

TRZYMAJĄCY W NAPIĘCIU BESTSELLER AUTORA PANIKI

**J E F F
A B B O T T**

ZDERZENIE

ZDERZENIE stanowi najlepszy dowód,
że w gatunku thrillera Jeff Abbott osiągnął mistrzostwo.

Harlan Coben

Zacznij czytać, a strony będą odwracać się same.

Publishers Weekly



JEFF ABBOTT

Jeff Abbott, pięciokrotnie nominowany do najważniejszych nagród w kategorii powieści kryminalnej (Edgar Award, Anthony Award), został przez Hariana Cobena nazwany „nową gwiazdą thrillera”. O jego bestsellerowej, pełnej niesamowitych zwrotów akcji powieści *Panika* pisarz powiedział: „Błyskotliwy, świetnie skonstruowany thriller, jedna z najlepszych powieści roku”. Podobnie wypowiedzieli się inni popularni autorzy – Michael Connelly („*Panika* jest jak podróż dziką rzeką, Jeff Abbott napisał thriller, od którego nie sposób się oderwać”) i Lee Child („Najlepsza książka Abbotta... aż do końca nie domyślisz się kto, jak i dlaczego”. Znani hollywoodzcy producenci zakupili prawa filmowe.

Dwoje ludzi z zupełnie innych światów. Ben Forsberg – prowadzący spokojne życie biznesmen i konsultant do spraw bezpieczeństwa. Po dwóch latach nadal oplakujący śmierć żony zastrzelonej przez snajpera na Karai-bach w trakcie ich wspólnego miesiąca miodowego. Były agent CIA, pseudonim Pielgrzym – zdradzony szpieg, potrafiący zabijać na dziesiątki sposobów. Cudem wywinął się od snajperskiej kuli. Obu mężczyzn nie łączy nic poza martwym zabójcą, który pociągnął za cyngiel i wizytówką z nazwiskiem Bena tkwiącą w kieszeni trupa. Ścigani przez agentów federalnych, nie mając wyboru, Forsberg i Pielgrzym muszą ze sobą współpracować, ale ich przymierze jest kruche jak szkło. Kim są dla siebie – przyjaciółmi czy śmiertelnymi wrogami?

ISBN 978-83-7359-922-2



9 788373 599222

JEFF ABBOTT

ZDERZENIE

Z angielskiego przełożył WIESŁAW MARCYSIAK

Tytuł oryginału: COLLISION

Copyright © Jeff Abbott 2008 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Wiesław Marcysiak 2009

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kurytowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-922-2

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie I Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Dla Billa i Mildred Groth

*Ludzie umierają,
ponieważ nie potrafią
połączyć początku z końcem.*

Alkmeon

Przed dwoma laty

- Kończy się już nasz miesiąc miodowy - powiedziała Emily. - Nie masz mnie jeszcze dość?

- Absolutnie. - Stała przy zlewie w kuchni w wynajętym domku letniskowym, a Ben Forsberg ją obserwował; uśmiechnął się, gdy hawajskie słońce zaigrało na jej twarzy.

- Już zadzwoniłem do kilku specjalistów od rozwodów. Najlepiej by było, gdybyśmy podczas powrotu nie siedzieli obok siebie w samolocie.

- A ja myślałam, że to z mojej winy. - Spojrzała na niego przez ramię i przygryzła wargę, żeby opanować śmiech. - To małżeństwo to wielki błąd.

- Przepelnia mnie żalność.

Ochlapała go wodą i podeszła do stołu, przy którym siedział. Usiadła mu na kolanach, a on ją objął i zaczął całować - robił to długo, powoli, bez pośpiechu. Odwzajemniła pocałunek, przesunęła stopą po jego łydce i wstała.

- Żartowałem - powiedział Ben.

- Wiem, Einsteinie. Weź prysznic. Pachniesz polem golfowym.

- A jak pachnie pole golfowe?

- Potem, trawą, słońcem i frustracją.
- Jak pachnie frustracja? - zapytał ze śmiechem.
- Wkrótce się dowiesz - odparła Emily - jak nie pójdziesz pod prysznic. Będziesz wielce sfrustrowanym żonkosiem. - Cmoknęła go w policzek i klepnęła w pośladek, gdy wstał.
- Uwielbiam, jak mi grozisz - rzekł Ben i znowu ją pocałował.
- To nie groźba, skarbie, idź doprowadzić się do porządku. Moja kolej na przygotowanie lunchu. A zanim wyjedziemy na lotnisko, mały deser, co? - Dotknęła palcem jego ust i uśmiechnęła się.
- Nie chcę wracać do domu - oświadczył Ben. - Nie chcę, żebyś na powrót zamieniła się w Królową Arkuszy Kalkulacyjnych.
- Ani żebyś ty był Królem Kontraktów - dodała. - Moglibyśmy tu po prostu zostać i już nigdy nie wracać do pracy.
- Zostaniemy biedni i bezdomni na Maui. Wspaniały pomysł. - Odsunął się od niej. - Praca jest przereklamowana.
- Tylko dzięki niej się poznaliśmy. A właśnie, muszę zadzwonić do Sama, zanim pojedziemy na lotnisko.
- Zapomniałaś? Żadnych telefonów do pracy. Ja dotrzymałem umowy.
- Hm, tak, dotrzymam ślubów małżeńskich, ale całą resztę da się negocjować. Idź pod prysznic. Pocałowała go w palec z nową obrączką. - Lubię, jak masz na sobie tylko tę obrączkę.
- Poszedł w stronę łazienki, zerkając na nią, gdy myła ręce. Jego żona. Uśmiechnął się szeroko, ale odwrócił się, aby tego nie widziała. Pomyślałaby, że się wygłupia.

Mył się pospiesznie, starając się nie myśleć o realnym świecie, który czekał na nich w Dallas. Kiedy się wycierał, słyszał, jak Emily kończy rozmowę z ich szefem; w jej głosie wyczuwało się wesołość. Później odłożyła słuchawkę, słyszał, jak leci woda do zlewu. Wsunął na palec prostą obrączkę; już zdążył się przyzwyczaić do jej niewielkiego ciężaru, owinał się w tali ręcznikiem. Mówiła o deserze z iskrą w oku. Może czeka go przyjemność przed lunchem, na przykład będą kochać się w kuchni; małe, nieokiełznane szaleństwo, któremu oddają się typowi pracownicy podczas ostatnich godzin podróży poślubnej.

Wygładził włosy przed lustrem. Usłyszał głośny brzęk szkła.

- Kochanie? - pamiętał, jak polaskotała go w łydkę, kiedy się całowali. Jeżeli upuściła szklanekę, to mogła się skaleczyć, chodząc bosą. - Kochanie? Spadło coś? - Wsunął stopy w sandały.

Pospieszył do kuchni. Emily leżała bezwładnie na kafelkach podłogi, jakby ktoś wsunął rękę przez okno i pchnął ją, zostawiając na czole wielki, wilgotny, czerwony odcisk.

- Emily. - Ben ściszył głos jak do modlitwy i przykląkł. Spokojnie, bez krzyku, bo to nie mogła być prawda. Mieli się kochać, zjeść lunch, pojechać na lotnisko. - Emily. Proszę. Obudź się...

Nicky Lynch leżał płasko na dachu z karabinem wyborowym i obserwował dwa cele, które trwoniły na kłótnię ostatnie momenty życia. Przyglądał im się przez celownik teleskopowy, czekając na odpowiedni moment, żeby zdjąć zarówno świra, jak i olbrzyma, błyskawicznie, jednego po drugim. Od szybkiej roboty robił się nerwowy. Nie miał dostyć czasu na przygotowania. Jego organizm funkcjonował jeszcze zgodnie ze strefą czasową w Belfaście, wyprzedzając Austin w Teksasie o sześć godzin. Zamrugał. Skup się, powiedział sobie.

- Zamierzasz dzisiaj strzelić? - W słuchawce rozległ się szept jego brata, Jackiego. Czekał w holu biurowca naprzeciw, osiem pięter poniżej celów, niecierpliwiąc się. Kiedy Nicky odda fantastyczny podwójny strzał, on wejdzie do biura Adama Reynoldsa i dokończy robotę.

- Cisza radiowa - powiedział Nicky do mikrofonu.

- Już, już. - Zniecierpliwione westchnienie brata Nick odebrał jako elektroniczne trzaski.

- Cisza - powtórzył Nicky do mikrofonu, kontrolując zdenerwowanie. Na zabójstwo potrzeba było jedynie sekund, ale środki bezpieczeństwa, które należało przedsięwziąć, żeby zadanie wykonać czysto, wymagały czasu. Jackie

był niespokojny. Zzerała go niecierpliwość.

Nicky wrócił myślami do ofiar. Kąt, pod jakim widział biuro, gdzie kłócili się dwaj mężczyźni, nie był idealny, ale klient bardzo konkretnie określił sposób wykonania zadania. Ten duży, przy oknie, nie stał wystarczająco blisko... a Nicky musiał załatwić to pierwszym strzałem. Jackie znalazł się w biurze niecałe dwie minuty po zgonie obu mężczyzn, więc Nicky nie chciał, żeby którykolwiek z nich odychał, kiedy jego brat wejdzie do środka podrzucić dowody. Szczególnie ten duży. Nicky nie życzył sobie, żeby Jackie zbliżył się do niego choćby na dziesięć metrów.

Żeby tylko ci dwaj przestali się ruszać. Trąbiące samochody poruszały się powolnym, rwanym tempem ulicą w centrum Austin, dziewięć pięter pod nim. W oddali przetoczył się po niebie grzmot; wiosenna burza postanowiła podarować miastu chłodny deszcz. Nicky odizolował się od hałasu, bo pierwszorzędna szansa na zabójczy strzał może pojawić się w każdej sekundzie. Znajdował się na tej samej wysokości co oba cele, ale musiał trzymać się blisko zadanego klimatyzatora, więc kąt był nie najlepszy.

Zmarszczył brwi. Najlepiej byłoby, gdyby obaj stanęli w tej samej wąskiej części okna, wystarczająco blisko siebie, ale oni trzymali się daleko jak para czujnych lwów. Na twarzy świra malowało się przerażenie, jakby usuwał z przerosniętego mózgu wszelkie liczby i fakty, szukając nieużywanej odwagi. Według Nicky'ego świr powinien się bać. Nicky z mieszaniną podziwu i niedowierzania czytał notatki na temat wielkoluda. Nie co dzień nadarzała się okazja, żeby wyeliminować takiego interesującego człowieka. Nicky zabił trzydziestu sześciu ludzi, ale nikogo tak... spełnionego. Niemal żałował, że nie może temu dużemu postawić piwa,

pogadać z nim, nauczyć się czegoś od niego, pławić się w jego chwale. Lecz ci najlepsi, jak dobrze wiedział, zawsze strzegli swoich tajemnic.

Teraz duży się zaśmiał - Nicky zastanowił się, co, do diabła tak go rozbawiło - i częściowo pojawił się w obrysie okna, ale nadal nie można było oddać celnego strzału.

A wtedy świr wyciągnął pistolet z biurka i wycelował w dużego. Nicky wstrzymał oddech. Może wykonają robotę za niego i pozabijają się, a on tylko będzie patrzył.



- Nie zbliżaj się - rozkazał Adam Reynolds. Pistolet ciążył mu w ręku - kupił go zaledwie przed trzema dniami, na wszelki wypadek. Spędził w Internecie pięć godzin, poszukując właściwej broni, lecz zupełnie nie ćwiczył strzelania. Ze strachu czuł ucisk w klatce piersiowej, po plecach przebiegały mu dreszcze, a w ustach zupełnie zaschło.

Oto do czego dochodziło, kiedy polowało się na niebezpiecznych ludzi. Czasami to oni ciebie znajdowali. Tylko trzymaj go na dystans, myślał Adam. Pomoc jest w drodze.

Pistolet nie zrobił większego wrażenia na wielkoludzie stojącym przy oknie.

- Adamie, daj mi to, zanim sobie odstrzelisz palec albo jeszcze coś cenniejszego.

- Nie - odparł Adam i zrzucił z biurka wizytówkę wielkoluda razem z ofertą na piśmie. Zabieraj swoje rekwizyty, sukinsynu. Jesteś zwykłym oszustem.

Olbrzym wzruszył ramionami.

- No dobra, okłamałem cię. Ty też kłamiesz. Dajmy temu spokój.

- Ty pierwszy. Jak się naprawdę nazywasz? Wielki się zaśmiał.

- Jestem nikim.

- Nie, kłopot w tym, że masz zbyt wiele nazwisk. - Adam pewniej ujął pistolet. Masz więcej nazwisk niż kot pcheł. Znalazłem wszystkie. Każdy twój pseudonim z ostatnich kilku miesięcy.

Wielki zmrużył oczy. Zrobił krok w stronę Adama. Trzymał ręce przy sobie.

- Zgoda. Powiem ci, kim jestem i dla kogo pracuję, jeśli mi powiesz, kto cię wynajął, żeby mnie wyśledzić.

- To ja mam broń, więc ja będę zadawał pytania, ty masz tylko odpowiadać.

- Tak, Adamie, rzeczywiście masz broń - powtórzył wielkolud, jakby ten fakt nie robił na nim wrażenia.

Adam przelknął ślinę.

- Jak się naprawdę nazywasz.

- Moje nazwisko jest nieważne. Ważne jest, dlaczego mnie szukasz, kto ci za to zapłacił. Tylko dlatego zjawilem się przed twoimi drzwiami, Adamie. - Założył ręce na piersi.

- Nie przyszło ci do głowy, że to ja jestem ten dobry?

- Wiem... Wiem, kim jesteś - Adamowi głos się załamał.

- Jesteś terrorystą. Pewnie powiązany z jakąś grupą terrorystyczną.

- O Boże, bardziej nie możesz się mylić - odparł olbrzym i się zaśmiał. - Jesteś bystry, ale tylko w teorii, na ulicy nie masz szans, co?

Adam potrząsnął głową. Ujął pistolet w obie dłonie, żeby opanować drżenie ręki.

- Dlatego właśnie masz kłopoty, Adamie. Żeby znaleźć mnie i wszystkie moje wcielenia, musiałeś wiele razy złamać prawo: prawo bankowe, prawo do prywatności, statusy federalne dotyczące ochrony tajnych materiałów. Grzebałeś w różnych bazach danych, do których nie masz prawa dostępu. Ktoś ci w tym pomógł. Powiedz kto, a ja zapewnię ci

bezpieczeństwo i ochronę.

- Siadaj na podłodze i połóż ręce na głowie - rozkazał Adam. - Zadzwoniłem do znajomego z firmy ochroniarskiej. Są już w drodze, więc jeśli coś mi zrobisz...

- Zrobisz? - Olbrzym zmarszczył czoło. - Wątpię. Ty masz broń. - Zrobił krok do przodu. - Błyskotliwi programiści ni z tego, ni z owego nie szukają ludzi, którzy sobie tego nie życzą. Dla kogo pracujesz?

- Będę strzelał. Proszę, stój. - Adam doskonale zdawał sobie sprawę, że nie wypada przekonująco. - Proszę.

Duży zaryzykował i zrobił kolejny krok w stronę Adama.

- Zbyt miły z ciebie facet, żebyś do mnie strzelił, a ja ci nic nie chcę zrobić. Więc oddaj mi broń, geniuszu, i pogadajmy.



Nicky obserwował wszystko przez celownik teleskopowy. Duży powoli przesuwiał się do przodu, a świr przechodził męczarnie, bo bał się strzelić do człowieka. Do diabła. Wtedy Nicky'emu przyszła do głowy pewna myśl: Co by było, gdyby świr rzeczywiście zabił wielkoluda? Zapłacą mi, jeżeli ich nie zastrzelę, a jeden zabije drugiego?

Na tę myśl wpadł w panikę. Przyłożył oko do lunety. Strzelaj, nie daj klientowi powodu, żeby się wykręcił i negocjował cenę albo kwestionował wykonanie usługi. Potrzebował tych pieniędzy.

Wielki przesuwiał się do przodu, zbliżał się do świra, całkowicie spokojny. Świr minimalnie opuścił broń.

Teraz obaj mężczyźni znaleźli się w tym samym oknie. Nie czekaj.

W dwie sekundy Nicky Lynch wziął poprawkę na porywisty

wiatr, uderzający znad zakola rzeki otaczającej centrum Austin, przeliczył odchylenie wywołane szybą, przycisnął język do podniebienia i strzelił.

Wielkolud runął. Nicky odrobinę przesunął lufę, strzelił, zobaczył, że świr podskakuje i pada. Ciszą w pokoju, dwie identyczne dziury w oknie. Przyglądał się przez dziesięć sekund, potem wycofał się z krawędzi dachu biurowca. W dole ludzie spieszyli na umówione spotkania, nieświadomi, że ktoś w pobliżu zginął: mężczyźni w garniturach i kobiety w garsonkach zmierzali do budynku zgromadzenia stanowego, większość ze słuchawką telefonu komórkowego założoną na ucho; uliczny grajek nieudolnie śpiewał jakiś utwór Dylana, szarpiąc struny gitary, przed nim leżał futerał z porozrzucanymi drobniakami; gromadka robotników czekała na autobus. Nikt nie podniósł głowy na dźwięk stłumionych strzałów.

Poszło dobrze, jak na takie dwa trudne strzały. Nicky schował się za urządzenie klimatyzacyjne i wytarł dłonie w kombinezon roboczy. Z wprawą rozebrał karabin, wepchnął części do worka i skierował się do schodów.

- Teren czysty - powiedział przez mikrofon do Jackiego.
- Idę - odparł Jackie. - Bez odbioru.
- Bez odbioru. - Nicky się rozłączył. Jackie miał skłonności do pogaduszek, a Nicky nie chciał go rozpraszać.

Rozległ się trzask grzmotu. Burza czekała aż do tej pory; wiatr przyniósł zapach ozonu.

Dziwaczne wymagania, pomyślał Nicky, ale klient zażywał sobie, aby zadanie wykonano dokładnie w ten sposób: należało wyeliminować cele z bezpiecznej odległości, a następnie pozostawić szarą kopertę na biurku świra. Pieniądze za tę robotę były na luksusy, takie jak kawior i szampan, starczy ich na alkohol i książki podczas kilkumiesięcznego pobytu w St. Bart. Potrzebował wakacji. Jackie wyda

swoją część na winylowe płyty Johnny'ego Casha i spędzi czas na pisaniu kolejnych kiepskich piosenek. Może Nicky namówi brata, żeby nie trwonił forsy, tylko przyjechał pić na Karaiby. Po morderstwie trzeba się wygrzać na słońcu, myślał Nicky, wychodząc na ulicę.



Jackie usłyszał w słuchawce, jak Nicky mówi, że teren jest czysty, i wezwał windę. Nadeszła grupa rozgadanych prawników w prążkowanych garniturach. Zewsząd go otaczali. Czekali, aż rozsuną się drzwi windy.

Cholera jasna, pomyślał. Nie chciał, aby go zapamiętano, więc pozwolił prawnikom zająć pierwszą kabinę, która się zjawiła. Znowu nacisnął przycisk i poczekał półtorej minuty na pustą windę. Wjechał samotnie na ostatnie piętro. Korytarz był pusty. Nikt nie słyszał wygłuszonych strzałów - nikt w panice nie wybiegł z sąsiednich biur na korytarz. Dobrze - nie zapamiętają jego twarzy, kiedy dokończy zlecenie. To zamówienie, chociaż dość ekspresowe, było duże; cele były ważne. Nie schrzań, pomyślał, a Nicky nie będzie się miał na co uskarżać.

Jackie zbliżył się do apartamentu opatrzonego tabliczką „Reynolds Data Consulting”. Drzwi były zamknięte na klucz. W dziesięć sekund otworzył je wytrychem. Wyciągnął z kurtki nóż, na wypadek gdyby któryś z mężczyzn jeszcze nie skołał. Jednak nie zamierzał go użyć bez potrzeby. Nawet dla zabawy. Rana od noża wzbudziłaby podejrzenia policji.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. W biurze panowała cisza. Jackie włożył dużą kopertę pod pachę. Świr leżał obok biurka, z dziurą w głowie, usta miał rozchylone, a oczy pozbawione wyrazu.

Polecenie brzmiało: „zostawić zapieczętowaną kopertę na biurku”, lecz najpierw Jackie wszedł za biurko, aby zerknąć na wielkoluda.



Po drugiej stronie ulicy Nicky Lynch przepychał się przez tłum młodych ludzi wylewających się z rampy parkingu i zmierzających na wczesnego drinka. Wszedł po rampie i skręcił w lewo. Nacisnął pilota swojego mercedesa i automatycznie otworzył bagażnik. Schował do środka walizkę z karabinem i zatrzasnął klapę. Kiedy wsunął się za kierownicę i włączył silnik, w słuchawce zatrzeszczało, a potem Jackie krzyknął zupełnie bez sensu:

- Nie ma go!

Nicky zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył wielkoluda, który biegł w jego stronę, wyciągając broń spod kurtki. Na pół sekundy Nicky zamarł. Potem schylił się po załadowanego glocka, którego trzymał pod siedzeniem. Okno od strony kierowcy eksplodowało; ostry ból przeszył mu ramię.

To nie mogło się dziać. Niemożliwe. Strzał był celny...

- Kto cię przysłał? - zapytał wielkolud.

Nicky miał sprawne usta; ramię nie. Zdrową ręką szukał po omacku broni.

- Masz ostatnią szansę. Gadaj - rozkazał wielkolud.

Z gniewnym jękiem Nicky uniósł broń, ale grad pocisków, rozbryzgał jego krew na desce rozdzielczej i przedniej szybie.

Jackie, uciekaj, pomyślał Nicky, wpatrując się w czerwoną mgłę, a potem skonał.

Wielkolud cztery razy strzelił dla pewności w pierś i głowę Nicky'ego Lyncha. Pistolet Reynoldsa rozgrzał mu się w dłoni.

- Zawsze trzeba się upewnić - powiedział. Przelknął kulę, która stała mu w gardle. Dzisiaj wszystko poszło źle. Trzeba uciekać z tego całego bałaganu. Przygotować paczkę dla policji.

Niech gliniarze kręć się w kółko. Wyciągnął z kieszeni wizytówkę i wepchnął ją do kieszeni zakrwawionej kurtki Lyncha. Nie będzie mu już potrzebna. Pospieszenie oddalił się od samochodu, schował broń pod lekką marynarkę i skierował się do klatki schodowej. Za kilka minut ktoś zauważył podziurawiony kulami samochód.

Wyszedł na chodnik, gdy lekki, łagodny deszcz zaczął padać z szarego jak marmur nieba.



Przecznicę dalej Jackie wybiegł jak oszalały z budynku, rzucił się w stronę garażu, wymijając samochody, starsze panie na zakupach i pochłaniających kawę lobbystów. Auta hamowały z piskiem; gonił go dźwięk klaksonów, gdy pędził ulicą. Wsunął nóż do kieszeni, zacisnął dłoń na glocku ukrytym pod kurtką i przerażony przyglądał się twarzom mijanych ludzi. Pod pachą ścisnął kopertę ze zdjęciami. Gdy wbiegał po rampie, usłyszał krzyk kobiety. Zatrzymał się gwałtownie i wyjrzał ostrożnie zza betonowego słupa. Kobieta i dwóch mężczyzn zatrzymali się przy mercedesie z przednią szybą umazaną na czerwono. Jeden z mężczyzn dzwonił na policję. Kobieta przyciskała dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać krzyk.

Jackie podszedł bliżej, aby przekonać się, że nic więcej nie może zrobić. Nicky nie żył. Jackiemu ścisnęło się gardło.

Oddychaj, uspokój się, upomniał się w duchu. Odwrócił się i niepewnie zszedł po rampie. Za chwilę zjawi się policja. Walczył z impulsem, by podejść do brata i wziąć go w ramiona; stłumił chęć, by paść na kolana i rozplakać się.

Wielkolud przeżył.

Ale to się wkrótce zmieni, pomyślał Jackie, gdy załala go fala wściekłości, a oczy zaszyły łzami.

- Mamy poważne kłopoty - oświadczył Sam Hector. - Dzisiaj rano diabli wzięli kontrakt wart dziesięć milionów dolarów.

- Przykro mi, Sam - powiedział do telefonu komórkowego Ben Forsberg.

- Jest do zrobienia interes z rządem Wielkiej Brytanii. Chcą, aby zapewnić dodatkowe zabezpieczenie ich ambasadom w czterech krajach wschodniej Afryki - mówił Hector.

- Ben, nie mogę stracić kolejnego dużego kontraktu. Przesłałem ci szczegóły i chcę, żebyś dzisiaj wieczorem się z nimi zapoznał. Koniec wakacji.

- Pewnie. - Ben był już blisko domu, podniósł dach w bmw, bo kiedy dojeżdżał do Austin, wiosenne niebo zasnuło się chmurami. Sam nazwał to wakacjami, ale Ben już nie jeździł na wakacje; brał wolne, był sam. Teraz nie było go sześć dni. - Jestem gotowy do pracy.

- Dzięki Bogu, bo interesy kiepsko idą - powiedział Hector. - Chciałbym, żebyś wrócił do pracy w pełnym wymiarze. Potrzebny mi jesteś.

- Jak przebiegają negocjacje z Departamentem Stanu? -

Ben nie był zainteresowany ponownym wałkowaniem tego tematu; lubił pracować na własną rękę i mieszkać w Austin. Biuro w Dallas zbyt przypominało mu o Emily.

- Kolejna niepewna sytuacja. Nie zgadzamy się w pięciu lub sześciu punktach. Podsekretarz Smith nie chce zmienić zdania w kwestii szkolenia personelu ochrony, który ma jechać do Konga z następnym kontyngentem, jednocześnie nie chce zapłacić wymaganej sumy. A w Kongu jest teraz strasznie niebezpiecznie. Potrzebują nas, ale ona się upiera, myśli, że wystarczy standardowy personel rządowy.

- Porozmawiam z nią. - Ben nie spodziewał się, że negocjacje zostaną przedłużone; sprawa bezpieczeństwa w Kongu wyglądała coraz gorzej, budził się terroryzm; stacjonujący tam personel Departamentu Stanu potrzebował lepszej ochrony, a kontrakt z zawodowymi żołnierzami z Hector Global to tanie i szybkie rozwiązanie. Co roku Hector Global zarabiała kilkanaście milionów dolarów na kontraktach z Departamentem Stanu, zapewniając uzbrojoną ochronę pracownikom rządowym. Groźba nowego konfliktu w Kongu była tragedią, ale jednocześnie stanowiła doskonałą okazję do zrobienia interesu. Ktoś musiał chronić dyplomatów i nikt nie mógł lepiej sprostać temu zadaniu niż Hector Global. - Jeżeli sytuacja pogorszy się, może szybko dopniemy kontrakt... bo wtedy ona się przestraszy.

- Lubię przestraszonych, bo nasza praca polega na odalaniu strachu - powiedział Hector.

- Ciągle chcesz, żeby to było motto. - Ben się zaśmiał. - Słowo „strach” źle wygląda w sloganie reklamowym.

- Nieważne. Podejrzewam, że Smith gra na zwłokę, żeby ściągnąć cię na powrót do Waszyngtonu.

Ben znajdował się na MoPac, głównej arterii północ-południe; zjechał na drugi pas i skierował się na północ do

Austin. Wjechał na przedmieście West Lake Hills, żeby bocznymi drogami dotrzeć do domu w Austin, które cieszyło się złą reputacją z powodu korków.

- Ben? Słyszałeś?

- Sam. Nie wygłupiaj się, wiesz, że nie jestem gotowy na...

- Nie możesz żyć pod kloszem. - Teraz Sam Hector mówił nie jak klient, tylko jak surowy ojciec. - Spędzasz pięć dni w kurorcie, który odwiedzają ludzie dwa razy starsi od ciebie. Emily nie chciałyby, abyś tak się izolował.

Ben nie odpowiedział. Nauczył się, że na rady tego rodzaju najlepiej reagować milczeniem.

- Smith pytała mnie, jak twoje interesy, jak często jeździsz do Waszyngtonu, co lubisz jeść. Gdy tylko zakończymy negocjacje, na pewno zaprosi cię gdzieś, jak będziesz w DC.

- Wie, że jestem wdowcem?

- Mówiłem jej. Ale nie wchodziłem w szczegóły. To twoja sprawa.

- Prześlij mi e-mailem jej wątpliwości co do kontraktu, a ja sklecę jakąś odpowiedź.

Sam Hector milczał przez chwilę.

- Wybacz - odezwał się w końcu. - Chcę tylko być pomocny. Martwimy się o ciebie...

- Sam, naprawdę nic mi nie jest. Porozmawiamy jutro rano.

- Uważaj na siebie, Ben. - Sam się rozłączył.

Żadna kobieta nigdzie go nie zapraszała w ciągu minionych dwóch lat, które upłynęły od śmierci Emily, a on nie zamierzał umawiać się na randki. Próbował sobie wyobrazić, jak zareagowałyby na takie zaproszenie. Nie miał nic do zaoferowania, nic, czym mógł się podzielić. Opuścił szybę w samochodzie, żeby świeże powietrze owiało mu twarz, gdy

zjechał z szosy w stronę domu. Włączył radio: „Dzisiaj w centrum Austin po zagadkowej strzelaninie znaleziono dwóch martwych...”, czytał spiker, a Ben wyłączył radio. Nie lubił słuchać o strzelaninach i zbrodniach. Dwa lata po śmierci żony już na samą wzmiankę o czymś takim czuł, jakby ktoś mu wbijał nóż w kręgosłup, a przed oczyma pojawiał się przerażający obraz martwej Emily leżącej bezwładnie na podłodze z dziurą po kuli w czole.

Jakiś nieznanymi idiotą bez powodu strzelał wówczas do pustych domów. Ben zwolnił uścisk na kierownicy, starał się odegnać wspomnienia. Mieszkał w Tarrytown, starszej, ekskluzywnej części Austin. Dom był mały jak na tamtejsze standardy. Tarrytown przeszło inwazję megarezydencji górujących nad pierwotną zabudową, ale bungalow o ścianach z wapienia odpowiadał Benowi. Wjechał do garażu w momencie, gdy w końcu zaczęło padać. Grządkom przed domem przydałby się ogrodnik na wiosnę, a trawnikowi kosiarka, pomyślał.

Wszedł do domu i postawił worek na podłodze w kuchni. Sięgnął do lodówki po wodę sodową i skierował się do gabinetu. Otworzył komputer i przejrzał pocztę z pięciu dni. Większość klientów wiedziała, że nie było go w tym tygodniu, więc miał mniej e-maili do czytania. Zobaczył zakodowany list od Sama ze szczegółami pilnego kontraktu z Wielką Brytanią. Zachnął się na kilka wiadomości: żądanie od reportera z magazynu biznesowego, by odpowiedział na pomówienie o nadużycia dokonane przez firmę, z którą nigdy nie pracował; trzy e-maile od nieznanomych protestujących przeciw używaniu prywatnej firmy ochroniarskiej w Iraku i Afganistanie; oraz e-maile od sześciu osób z kręgów wojskowych i ochroniarskich, chcących pracować u Hectora, z prośbą o jego pomoc i radę.

Kiedy w grę wchodziły miliony, a do tego broń, zawsze

pojawiały się kontrowersje. Rozumiał, że ludzie się niepokoją, jeśli prywatne firmy biorą udział w wojnie, ale rzeczywistość była taka, że rząd oferował wielkie kontrakty, a na ten lep łapali się różni ludzie. Hector Global należała do trzystu prywatnych firm oferujących ochronę i szkolenie w samym Iraku. Ben uważał, by współpracować jedynie z ludźmi o wyrobionej renomie i doskonale wyszkolonymi. Wiele firm, poza jego największym klientem, było nowych, zatrudniało ekszołnierzy i nie przywykło do układania się z rządem. Dzięki jego wsparciu łatwiej uzyskiwały dogodne warunki.

Na terenie Iraku pracowało ponad sto prywatnych firm ochroniarskich. Szkoliły siły bezpieczeństwa i policję, a także chroniły obiekty i dygnitarzy. Wynagrodzenie było doskonałe. Ben pomógł Samowi Hectorowi rozwinąć firmę do monstrualnych rozmiarów jak na rynek firm ochroniarskich: personel liczył trzysta osób, oprócz tego współpracowano z tysiącami niezależnych ludzi, którzy zajmowali się wszystkim, począwszy od ochrony, przez systemy komputerowe, po zaprowiantowanie.

Na automatycznej sekretarce paliła się czerwona „6”, resztą realnego świata postanowił się zająć, gdy weźmie prysznic. Formalnie nadal miał wolne.

Wziął prysznic i mocno wytarł się ręcznikiem. W lustrze dojrzał odrobinę wczesnowiosennej opalenizny na nosie i policzkach, efekt spacerów nad jeziorem. W jego żyłach płynęła szwedzka krew, więc słońce nie zawsze obchodziło się łagodnie z jego bladą, lekko piegowątą cerą. Przeczesał palcami gęstą blond czuprynę, umył zęby i postanowił się nie golić ze względu na opaleniznę. Włożył dżinsy, tenisówki i koszulkę polo z długimi rękawami. Sięgnął po wodę sodową, którą zostawił na blacie w kuchni, i wtedy rozległ się dzwonek u drzwi - niski, przeciągły, nieomal żalobny gong.

Na wyłożonym ceglami ganku stały dwie osoby. Ben miał wystarczająco dużo kontaktów z agentami rządowymi, aby takich zidentyfikować - cechowała ich charakterystyczna postawa i starannie dobrane obojętne spojrzenie. Jedną z osób była mała brunetka po trzydziestce, ubrana w drogą, szytą na zamówienie szarą garsonkę. Miała piwne oczy i mocno zaciskała usta, a kiedy Ben otworzył drzwi, spojrzała z taką zajadłością, że aż cofnął się o krok. Towarzyszący jej mężczyzna był szczupły i siwy.

Za nimi Ben dostrzegł samochód i dwóch mężczyzn o szerokich karkach, w garniturach i okularach przeciwsłonecznych. Stali na baczność przy drzwiczkach pasażera.

- Pan Forsberg? - zapytał mężczyzna.
- Tak.

Oboje pokazali identyfikatory z fotografią. Departament Bezpieczeństwa Krajowego, Biuro Inicjatyw Strategicznych. Tego wydziału Ben nie poznał, gdy współpracował z Departamentem jako konsultant. Miał wówczas do czynienia z FE-MA lub Secret Service. [Federal Emergency Management Agency - Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego.]

- Agent Norman Kidwell, a to agentka Joanna Vocek. Chcielibyśmy z panem porozmawiać.

Ben przyjrzał się odznakom. Kidwell był po czterdziestce, miał twarz pozostającą całkowicie wrogim terytorium dla uśmiechu i ciemne oczy o spojrzeniu raczej wyrachowanym niż miłym.

- Dobrze. O czym? - chciał wiedzieć Ben.
- Może pogadamy w środku - powiedział Kidwell.
- Och, oczywiście. - Zastanawiał się, czy któryś z jego klientów nabałagał, nie spisał się jak należy przy kontrakcie

dla Departamentu. Ale czy nie mogli po prostu zadzwonić w tej sprawie? Szerzej otworzył drzwi. Dwoje agentów weszło do środka.

- W czym mogę pomóc? - Ben zamknął drzwi.
- Usiądźmy - rzekł Kidwell.
- Tak, tak. - Poszedł do kuchni i oni też. Vocek trzymała się tuż za nim. Zauważył, jak lustruje pomieszczenie, jakby szukała wszelkich możliwych wyjść. - Napijcie się czegoś?
- Nie - odparł Kidwell.
- Wybiera się pan na wycieczkę? - Vocek wskazała jego worek.
- Nie, właśnie wróciłem. - Usiadł przy stole, Kidwell naprzeciw niego. Vocek dalej stała, odgradzając go od tylnych drzwi.
- Gdzie pan był? - zapytała.
- W Marble Falls. - Było to miasteczko oddalone godzinę drogi od Austin. - W mieszkaniu moich rodziców.
- Rodzice też tam byli? - spytał Kidwell.
- Nie. Oboje nie żyją.
- Był pan sam? - Vocek zaplotła ręce na piersi.
- Tak. Powiecie, o co chodzi?

Kidwell otworzył notes i wyrecytował mechanicznie imię i nazwisko Bena, datę urodzin, numer ubezpieczenia, adres i telefon domowy.

- Wszystko się zgadza? Ben skinął głową.
- Ma pan telefon w biurze?
- Pracuję poza domem; telefony do biura są przekierowywane na komórkę.

Kidwell nawet nie mrugnął.

- Ma pan inne telefony komórkowe?

- Nie. - Podejrzał, że wciągną go w jakieś biurokratyczne bagno. Najwyraźniej jakiś klient spieprzył kontrakt z Departamentem, a teraz on zgodnie z protokołem będzie musiał odpowiedzieć na mnóstwo pytań, zanim tych dwoje sztywniaków dotrze do sedna sprawy.

- Pan poleca pracowników kontraktowych administracji - powiedział Kidwell.

Ben skinął głową i ostrożnie się uśmiechnął.

- Czy któryś z moich klientów ma kłopoty?

- Nie. To pan je ma. - Kidwell pogładził się po brodzie.

- Dlaczego?

Vocek oparła się o ścianę.

- Czy Adam Reynolds jest pańskim klientem?

- Nie.

- Zna go pan? - zapytała Vocek.

Nacisk na słowo „zna” kazał mu zachować ostrożność.

- Jeżeli kiedykolwiek spotkałem pana Reynoldsa, to nie przypominam sobie.

- Pisze oprogramowanie dla rządu. Jednoosobowa firma, ale bardzo wydajna - dodała Vocek. - Bystry facet.

- No to szkoda, że go nie znam. - Ben poczuł, że zaczyna się pocić. Po raz kolejny niezdarnie się uśmiechnął. - Słuchajcie, naprawdę chcę wam pomóc, ale jeżeli nie powiecie mi, dlaczego mam kłopoty, dzwonię do adwokata.

Kidwell wyciągnął z kieszeni marynarki zdjęcie i przesunął je po stole do Bena.

- Rozpoznaje go pan?

Ben domyślił się, że zdjęcie zostało zrobione z dużej odległości, a potem poprawione komputerowo - nasycono kolory, wyostrzono szczegóły. Przedstawiało mężczyznę, niskiego, przysadzistego, który spogląda przez ramię, idąc

ruchliwą ulicą. Poprawia kołnierz, żeby schronić się przed deszczem i wiatrem, a palce ma zaskakująco delikatne i smukłe. Ben przysunął do siebie zdjęcie, przyjrzał się twarzy mężczyzny, poszukał w pamięci.

- Nie poznaję go, przykro mi.
- To Nicky Lynch - wyjaśnił Kidwell.
- Nie znam.

Kidwell poskubał wargę.

- Wygląda skromnie. Ale taki nie jest. Jego ojciec był katem i cynglem IRA, zanim zmarł, a wtedy Nicky przejął interes. Kiedy po rozbrojeniu w Irlandii Północnej zrobiło się nudno, Nicky najmował się do różnych robót. Należy do najbardziej przerażających płatnych zabójców. Zdaje się, że za pieniądze dokonywał naprawdę paskudnych rzeczy: szkolił snajperów Al-Kaidy w Syrii, eliminował liderów opozycji politycznej w Tadżykistanie i Pakistanie, mordował sędziów i świadków w Meksyku i Kolumbii na zamówienie karteli narkotykowych.

- Teraz to zdecydowanie go nie znam - oznajmił Ben.
- Na pewno? - zapytała pełna wątpliwości Vocek.

Ben oderwał wzrok od niewinnej twarzy mordercy na fotografii i potrząsnął głową.

- Co ten gnojek ma wspólnego ze mną...?

- Niech pan nam to powie - przerwała mu Vocek. Położyła ręce na stole i pochyliła się nad nim. - Ponieważ Nicky Lynch został zastrzelony, a pańska wizytówka znajdowała się w jego kieszeni.

„Pańska wizytówka znajdowała się w jego kieszeni”. W pokoju nagle zapadła cisza.

- Panie Forsberg, niech pan wyjaśni, dlaczego Nicky Lynch miał pańską wizytówkę - powiedział Kidwell.

Ben odzyskał głos. Czuł ucisk w piersiach.

- To chyba jakaś pomyłka...

- Przychodzą mi do głowy dwie możliwości. Pierwsza: jest pan powiązany z Lynchem. Druga: ktoś pana wystawia.

- Vocek wzruszyła ramionami. - A więc?

- To niesmaczny żart, prawda? Proszę, to naprawdę nie jest śmieszne.

- Wcale nie żart - odparł Kidwell. - Według nas Lynch zastrzelił Reynoldsa przez okno z karabinu wyborowego z lunetą. Usadził się z drugiej strony Colorado Street.

Przez okno. Karabin wyborowy. Emily na podłodze. Na te słowa, na to wspomnienie świat rozplynął się mu przed oczyma. Zacisnął powieki, wziął głęboki wdech.

- Nie... to nie ma ze mną nic wspólnego...

- Na podłodze w biurze Reynoldsa znaleźliśmy ofertę

na papierze z pańskim nagłówkiem - rzekła Vocek. - Ben, niech pan sobie pomoże. Proszę z nami współpracować.

- Ale ja go nie znałem. - Ben osunął się na krzesło.

- Proszę dać swój telefon - polecił Kidwell. Ben przesunął swój smartfon w stronę Kidwella, a ten przekazał go Vocek. - Poszukaj ostatnich połączeń. - Kobieta zaczęła przeszukiwać menu.

Ben potarł czoło. Powoli mijало zaskoczenie, a pojawiał się gniew.

- Jeżeli go nie znałem, to zgodnie z drugą możliwością, którą rozpatrujecie... ktoś chce mnie wykończyć. Tylko nie widzę powodu. - Nagle zapragnął, aby Kidwell skinął głową, aby się zgodził, ale pokerowa twarz pozostawała niewzruszona.

- Ma pan wrogów? - zapytał Kidwell.

- Wrogów? Nie. - Takie pytanie to było jak chwycenie za jaja, tak jak wtedy, kiedy policja przeszukiwała go po śmierci Emily, a on patrzył po twarzach policjantów i zorientował się, że jest podejrzany. Te same zjadliwe miny co u policjantów na Maui, a później w Dallas podczas pytań o zamordowanie Emily. Już raz podejrzenia zatrąły mu życie. Tylko nie to. Nie znowu. - Kto zabił Lyncha?

- Nie mamy podejrzanych. - Vocek podniosła wzrok znad listy niedawnych połączeń w telefonie Bena. Przeszyła go wzrokiem i wróciła do studiowania listy numerów.

To ja jestem podejrzany, nagle sobie uświadomił.

Kidwell podsunął Benowi kolejne zdjęcie - a na nim wizytówkę Bena. Krawędzie usmarowane krwią. Widniejący na niej numer telefonu nie był numerem jego komórki, ale jego numer domowy zapisano na niej ołówkiem.

Postukał palcem w zdjęcie; nagle pojawiła się nadzieja.

- To nie jest mój numer biurowy.

- Według operatora telefonii w zeszłym tygodniu założył pan nowy abonament na ten numer - powiedziała Vochek.

Ben potrząsnął głową.

- Nic takiego nie zrobiłem. A co z tą ofertą, którą to niby napisałem?

- Był to opis pozyskiwania kontrahentów rządowych, w tym kilku z pańskich klientów, do finansowania pomysłów Reynoldsa na nowe oprogramowanie.

- Nic takiego nie napisałem. - Ben odsunął zdjęcie. - Każdy mógł skopiować moje logo ze strony internetowej. Podrobić ofertę, żeby wyglądała, jakbym to ja ją napisał, wydrukować fałszywą wizytówkę.

- Niby tak, ale po co?

Nie znał odpowiedzi. Początkowy szok zaczął mijać, pojawił się gniew.

- Skoro jest to przesłuchanie, dlaczego nie rozmawia ze mną policja z Austin albo FBI?

Ben zauważył, jak Vochek i Kidwell wymienili się spojrzeniami.

- Ze względu na wysoce delikatną materię tej sprawy oraz jej możliwy wpływ na bezpieczeństwo narodowe przejęliśmy pańską sprawę - wyjaśnił Kidwell.

- Jak to ma wpłynąć na bezpieczeństwo narodowe? Chyba lepiej... - Lecz Vochek mu przerwała:

- W tym tygodniu w kalendarzu Adama Reynoldsa był pan wpisany trzykrotnie. Proszę to wyjaśnić.

Ben potrząsnął głową.

- Mówiłem już, byłem w Marble Falls.

- To zaledwie godzinę drogi stąd - rzekł Kidwell. - Z łatwością mógł pan przejechać tam i z powrotem.

- Mogłem, ale tego nie zrobiłem.

- Więc kalendarz Reynoldsa to całkowita fikcja?

- Jeżeli chodzi o kontakty ze mną, tak.
Cisza trwała przez dziesięć długich sekund.
- Panie Forsberg, dam panu jedną szansę, żeby się pan oczyścił. Słyszał pan o jakimś terrorystycznym zagrożeniu, które odkrył Reynolds? - zapytał Kidwell.
 - Nie. O żadnym. Przysięgam na Boga, nie.
 - Rozumie pan mój problem. - Kidwell wstał. - Adam Reynolds przysłużył się naszemu rządowi i został dzisiaj zamordowany przez człowieka mającego kontakty ze światem terrorystycznym. Tylko pańskie nazwisko jest powiązane z zabójcą i tylko ono widnieje wszędzie w biurze Reynolds, nawet w jego kalendarzu. Tym samym, krótko mówiąc, jest pan podejrzany o powiązania z terrorystami.
- Ben przestał oddychać, jakby pętla zaciskała mu się na gardle.
- Mylicie się.
 - Chciałbym przeszukać pański dom.
- Ben potrząsnął głową.
- Z jakiego biura Departamentu Bezpieczeństwa jesteście... Inicjatyw Strategicznych? Zapamiętał napis na ich odznakach. - Nigdy nie słyszałem o waszej grupie ani o żadnym z ludzi, z którymi chcecie mnie powiązać. Domagam się adwokata, a od was chcę zobaczyć nakaz.
 - Ani jedno, ani drugie nie jest konieczne - odparł Kidwell.
- Vocek przyklęknęła obok krzesła Bena.
- Ben, współpracuj z nami, a zrobię wszystko, aby ci pomóc.
 - Pomocy potrzebuję jedynie od mojego adwokata. - Wstał i sięgnął po telefon. Kidwell wyrwał mu go z dłoni i wydobył pistolet, wycelował w czoło Bena.
- Ben cofnął się o krok, potknął się o krzesło.

- O Boże... oszaleliście? - Podniósł ręce wysoko, nagle bojąc się poruszyć. To nie mogło mu się przytrafić.

- Do nikogo nie zadzwonisz. - Kidwell zauważył migającą lampkę sekretarki telefonu i nacisnął przycisk odzwyczajania. Sześć wiadomości. Pierwsze trzy były od różnych przyjaciół; zaproszenie na obiad, na mecz baseballu, do kina w weekend; była też wiadomość od telemarketera; upomnienie z biblioteki, aby zwrócił książki, a potem jeszcze szósta wiadomość, nagrana lekko nosowym, spiętym głosem obcokrajowca.

- Cześć, Ben, tu Adam Reynolds. Potwierdzam nasze spotkanie o czwartej dzisiaj po południu. Do zobaczenia u mnie w biurze. Zadzwonił pod pięć pięć pięć trzydzieści dziewięć dziewięćdziesiąt osiem, jeżeli chciałbyś zmienić termin.

Cisza w kuchni, potem tylko pisk i skomputeryzowany głos informujący o końcu wiadomości.

- Ben. - Kidwell spojrział na Bena, wciąż celując do niego z pistoletu. - Zawierasz umowy. Nalegam, abyś poszedł z nami na układ.

Ben czuł, jak ogarnia go przerażenie.

- Przysięgam, że mówię prawdę. Nic nie wiem. Nic.

- Agentko Vocek, zabierzmy go do biura. Wezwij z Houston ekipę od komputerów, nich przeszukają cały dom centymetr po centymetrze. Chcę mieć wszystko... papiery, pliki z komputera, numery telefonów, wszystko.

- Nigdzie z wami nie jadę. - Ben cofnął się o krok.

Kidwell opuścił broń i wymierzył w nogi Bena.

- Przestrzelę ci rzepek i zabierzemy cię na noszach. - Wykonał ruch dłonią. - Twój wybór.

Ben wpatrywał się w broń, a potem powoli odwrócił się i podążył za Vocek do drzwi.

Na zewnątrz dwóch ochroniarzy czekało przy rządowym samochodzie. Wiatr i deszcz po krótkiej burzy minęły. Nadeszło lekkie ochłodzenie.

Ben wszedł do samochodu. Ochroniarze zajęli miejsca po obu stronach, Vocek za kierownicą, a Kidwell obok niej. Gdy Vocek ruszyła, Ben zerknął za siebie przez przyciemniane okno, właśnie ożyły zraszacze i jego dom spowiała mgła. Jak znikające wspomnienie, pomyślał.

Jeden z goryli wbił mu lufę w żebra.

- Siedź prosto, patrz przed siebie i ani drgnij.

Coś tu się nie zgadza, pomyślał Ben. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że ci ludzie mogą wcale nie być z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Raport Chalida - Bejrut

Nic nie jest takie, jakie się wydaje. Ta myśl to najgłębsza prawda w tym smutnym świecie. I teraz ja mam doświadczyć tej prawdy, ponieważ moje całe życie stanie się zaraz starannie skonstruowanym kłamstwem.

Dlaczego?

Ponieważ piszę te słowa krwią mego brata na własnej twarzy.

Och, zmyłem te plamy przed tygodniami. Na skórze nie pozostał po nich choćby ślad i nikt ich nie zobaczy. Lecz krew moich braci tu jest. Zawsze będzie, niewidzialny ślad we mnie.

Uleczyć mnie może tylko zemsta.

Szefowie chcą, abym opisał, dlaczego podjąłem się tego najtrudniejszego zadania. Domyślam się, że moje słowa i pismo będą analizowane, by sprawdzić, czy jestem coś wart, określić moją lojalność, i ocenić pod kątem psychologicznym, czy jestem ulepiiony z właściwej gliny.

Wiem, jestem mało prawdopodobnym kandydatem na bojownika. Byłem najmłodszym dzieckiem w rodzinie, tym,

które moi bracia Samir i Gebran zawsze starali się chronić, zasłonić przed oprychami, przyprowadzić ze szkoły, któremu służyli radą, żeby nie wyszło na osła. Ale i tak wkrótce nim się stanę. Pora na spowiedź. Nie uważam siebie za szczególnie bystrego czy dzielnego. Jestem zły.

Moi szefowie powinni dokładnie wiedzieć, co sobą reprezentuję. Przez chwilę studiowałem chemię, potem przeniósłem się na biznes i finanse. Podoba mi się klarowność matematyki; nie jest taka zabałaganiona jak życie. Jestem zbyt oficjalny w sytuacjach towarzyskich (i chyba też w tym, co piszę), ale też zbyt swobodny przy tych, których kocham. Lubię stare westerny. Mogę się głupio zachowywać, ale nie jestem głupi. Mogę być zły, ale nie jestem szalony.

A teraz chyba mogę zabijać i nie uronić łzy.

Ośmielę się powiedzieć to o moich braciach: nie winię ich. Obaj zawsze robili to, co uważali za słuszne. Gebran był nauczycielem muzyki, utalentowanym gitarzystą. Samir pracował w banku, szczodry do przesady. Podejrzewam, że nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakie brnęli, ale ja wchodzę w nie z pełną świadomością i widokiem na raj.

Samir był starszy ode mnie o dwa lata, Gebran o pięć, mieli innych przyjaciół zaangażowanych politycznie i zapalczywych. Mnie bardziej interesowały gry wideo i dziewczyny niż brak szacunku ze strony Izraela, państwo palestyńskie albo walka islamu. Nikt w Bejrucie nie dziwi się, że najprawdopodobniej wyjeżdżam do szkoły w Europie, nie po tym, co przytrafiło się mojej rodzinie. Nikt nie wie, że tak naprawdę jadę do Ameryki wykonać swoje zadanie.

Oto, co się wydarzyło: Samir i Gebran mieli, jak powiedziałem, innych przyjaciół, o wiele bardziej zadziornych od mojej leniwej, wygodnickiej paczki.

Nie chcę iść, kiedy moi bracia proszą mnie, abym poszedł zobaczyć się z ich kumplem Husajnem, który mieszka niedaleko Rue Hamra - ale bracia nalegają, a ja, co smutne, nie mam nic innego do roboty.

W samochodzie, stojącym na południowym przedmieściu Bejrutu, gdzie mieszkaliśmy z rodzicami, Samir obraca się do mnie na tylnym siedzeniu i mówi:

- Husajn pracuje w grupie specjalnej.

Przejeżdżamy obok budynków zbombardowanych podczas ostatnich walk z Izraelem. Sterty gruzu usuwa się, aby znowu wznieść domy, zanim rakiety rozwalą je aż do fundamentów. Zaklęty krąg. Będzie to trwało dwadzieścia dni czy dwadzieścia lat? Nieważne, i tak znowu się wydarzy. Ten krąg nigdy nie zostanie rozerwany.

- Grupa specjalna - mówię. Nie sądzę, aby bratu chodziło o paraolimpiadę czy niesienie pomocy starszym, ewentualnie jakieś inne podobne zajęcie.

- Tak, grupa. Nazywa się Krew Ognia.

- Wygląda na działalność charytatywną - mówię z sarkazmem.

Samir ignoruje zaczepną uwagę.

- Była w uśpieniu przez kilka lat. Husajn przywraca do życia Krew Ognia i jej idee. To nie jest organizacja charytatywna, ale wykonuje... dobrą robotę. - Samir zerka na mnie, jakby spodziewał się, że moje zdanie na ten temat dojrzy wydrukowane na czole.

Dobra robota. Słyszałem, jak wcześniej używali tego określenia. Usprawiedliwienie bombardowania, zabójstw i terroru. Ogarnął mnie strach. W to słoneczne popołudnie

zupełnie nie było miejsca na przemoc. Do czego miała doprowadzić? Nóż w ręku nie zapewni bezpieczeństwa, kiedy ten drugi człowiek ma większy nóż. Może pchnąć cię raz i koniec z tobą... jeżeli ostrze sięgnie serca.

Inaczej patrzę na świat, gdy toczymy się na spotkanie losu, i mówię żartem:

- I co, Hezbollah nie jest dla niego dosyć dobry?

Samir i Gebran się nie śmieją.

- Wasz przyjaciel to kto, terrorysta? - Spróbujcie użyć tych słów razem, terrorysta i przyjaciel w tym samym zdaniu. Wymówienie tych słów to jak wprowadzenie sobie rury do gardła.

- Terrorysta, nie, to niewłaściwe słowo - mówi Gebran cierpliwym tonem, którego używa, gdy uczy dziesięciolatków gitarowych akordów. Nie podaje jednak innego określenia.

- Mówiłeś, że chciałeś pokoju w Libanie - odzywa się Samir, obserwując mnie. - My też. Chcemy pokoju w arabskim świecie.

Czuję, jak oblewam się zimnym potem. Myślałem, że jedziemy do domu ich przyjaciela na zwykły obiad, nic więcej. To jest coś więcej. Więcej o cały nowy świat, z którego nic nie chcę.

Chcę powiedzieć: „mama i tata zabiją was za to”, co jest prawdą, ale nie mówię. Może po prostu pragnę poznać kolegę moich braci. Zobaczyć, jak namówił ich, aby się przyłączyli, a potem, posługując się rozsądkiem i drwiną, obalę jego argumenty, przekonam ich obu, że to zły pomysł.

Dziwne, jak przypadkowa myśl, niewypowiedziane słowo, jakaś zachcianka mogą zmienić świat. Gdybym powiedział Gebranowi, żeby się zatrzymał. Gdybym powiedział

im: „nie, zawróćcie, chcę jechać do domu”. Gdybym miał odrobinę odwagi, aby natychmiast się im przeciwstawić.

Husajn zajmuje małe mieszkanie kilka przecznic od Rue Hamra, jej zatłoczonych sklepów i turystów. W mieszkaniu unosi się woń cebuli i cynamonu, a do tego dymu papierosowego, ale za to jest dobrze urządzone. Książki po arabsku, francusku i angielsku, mnóstwo półek. Husajn wygląda na takiego, który ćwiczy marsową minę przed lustrem. Jest chudy jak trzcina, ciemny, o miękkich, mięsistych wargach. Lecz w jego oczach dostrzegam płomień, ogień, który przyprawia o drżenie. Zastanawiam się, czy jest na haju, czy to po prostu czubek.

W mieszkaniu jest osiem czy dziewięć osób. Dłużej niż pięć minut rozmawiam tylko z młodym mężczyzną z blizną szpecącą mu kącik ust. Warga wygląda na wykrzywioną. Chłopak mówi, że ma na imię Chalid, tak jak ja. Wydaje się nerwowy, też tak jak ja. Jemy, pijemy, jestem przedstawiany wszystkim, młodszy brat. A może jestem obiecującym kandydatem? Kiwam głową, uśmiecham się, podaję rękę, próbując opanować jej drżenie.

Rozmawiają, ale nie o spiskach, bombach czy zemście. Mówią o polityce... o nienawiści do Izraelczyków, pogardzie dla Syrii, złości i wściekłości na Zachód. Mówią jak starcy, a nie młodzi bojownicy. Papierosowy dym zagęszcza się niczym chmura, bo okna są szczelnie zamknięte. Po dwudziestu minutach zauważam, że w moją stronę kierowane są ukradkowe spojrzenia.

To próba.

Świetnie. Nie chcę przejść tej próby. Wypalam ostatniego papierosa, popijam herbatę, i mówię Samirowi, że idę do sklepu na róg po fajki.

- Ja mam fajki - odpowiada Samir, szukając ich w kieszeni.

- Nie takie jak lubię. - Jakakolwiek markę zaproponuje, natychmiast ją znienawidzę.

- Biedni studenci nie wybrzydząją - mówi Husajn. Obok niego chłopak z okaleczonymi ustami kiwa głową, uśmiecha się do mnie nerwowo i proponuje, że pójdzie ze mną.

- Nie. Zaraz wrócę - odpowiadam. Śmieję się głośno i fałszywie. Chcę stąd wyjść. Może pojedę autobusem do domu i powiem mamie i tacie, że ich dwóch starszych synów postradało zmysły. Przepraszam i wychodzę na deszcz.

Sklep znajduje się na rogu. Kupuję papierosy i stoję pod markizą, ciepła słodycz dymu uspokaja mnie, nie spieszę się z powrotem, obserwuję przechodniów na modnej Rue Hamra. Moi bracia. Wiążą się z przyszłym terrorystą-molem książkowym. Szaleństwo. Zaczynam układać w myślach argumenty, szukam słów, którymi powiem im, że popełniają błąd. Krew Ognia, co za nazwa. Wyobrażam sobie jazdę do domu, kiedy bracia będą chcieli przekonać mnie, że służą prawu. Może służą. Tak, rozumiem, że są sfrustrowani systemem politycznym, resztą świata arabskiego i...

Wybuch przypomina raczej odgłos ciężarówki zwalającej tonę żwiru, bardziej łoskot maszynerii niż śmierć. Już wcześniej słyszałem eksplozje. Huk tej dociera aż do kości. Zastygam, a potem przerażony biegnę ulicą, z papierosem zgniecionym w palcach, nie czuję, żeby parzył mi rękę.

Chłopak z oszpeconymi ustami, ten drugi Chalid, wpada na mnie, przewracam się, niechęć stawia mi nogę na piersi. Podnoszę się i ruszam w stronę kamienicy.

Dym z budynku Husajna wylatuje kłębami na deszcz. Z drugiego piętra. Tam gdzie jest mieszkanie Husajna. Gdzie było.

Jakieś płonące ciało zwisa z okna. Spada, ramiona kręcą młynka. Rozbija się o chodnik pokryty gruzem. Podbiegam do niego.

Gebran. Zaczynam krzyczeć. Ręce, które mnie nosiły, płoną. Palce, które grały na strunach Bacha i folk, płoną. Ciemne, kręcone włosy płoną. Uderza w chodnik ze trzy metry przede mną. Nie czuję jego płomieni, nie czuję bólu, czuję, jak przenika mnie jego śmierć.

Czyjeś ręce chwytają mnie i odciągają od Gebrana. Maska zdziwienia pokrywa jego martwą twarz. Dym unosi się z ramion, z włosów. Zawodzą syreny. Wbiegam po schodach, walcząc z falą spanikowanych lokatorów uciekających z domu.

Podłoga zniszczona. Mieszkanie Husajna i sąsiednie są kompletnie zrujnowane. W obu lokalach szaleje ogień, ale z klatki schodowej widzę fragmenty ciał: szczątki ramienia rozmazane po podłodze. Głowa i barki jednego z przyjaciół Husajna, spalone i w strzępach. Skorupa o kształcie płodu, który kiedyś był osobą.

A Samir? Przypuszczalnie fala uderzeniowa cisnęła nim, kiedy wychodził z mieszkania, aby iść po mnie do sklepu, zganić mnie za brak szacunku i niespieszny powrót. Leży bezwładnie pod odległą, chybotliwą ścianą, nogi ma skręcone jak wygięte wiatrem gałązki, twarz bladą, krew leje się z niego, jakby się topił, całe jego ciało to jedna krwawa masa.

Kląkam przy nim, próbuję go dźwignąć, a on się rozpada. Jest cały połamany.

- Zabij... zabij ich... - Jego usta bezgłośnie układają się

w te słowa i patrzy na mnie, jakby mnie nie znał. Umiera.

Sufit zaczyna się walić. Zbiegam po schodach. Na ulicy słyszę syreny, mijam wozy strażackie, umazany krwią brata biegnę do domu.



Mama i tata stoją w progu. Patrzą, jak zataczam się, idąc w ich stronę. W telewizji same wiadomości o bombie. Muszę znaleźć słowa, aby powiedzieć im o śmierci Samira i Gebrana. Nawet nie pamiętam, co mówię. Chyba:

- Samir i Gebran nie żyją.

Tata potrząsa głową. Mama krzyczy. Pograżają się w żalu i szoku. Chwytają mnie kurczowo, teraz zostałem im tylko ja.

Kiedy odzyskują mowę i kiedy ja mogę mówić - zadają pytania. Nie, nie wiem, dlaczego w mieszkaniu była bomba. Nie, nigdy wcześniej nie widziałem Husajna, był przyjacielem braci. Nie, wyszedłem tylko po papierosy, nie było mnie kilka minut. Tata zaczyna dyszeć.

- Kto to zrobił? - pytam, klękając przed telewizorem, żeby obejrzeć doniesienia. - Kto bierze na siebie odpowiedzialność? - Bo bez względu na to, jaki oddział policji czy grupy antyterrorystycznej unicestwił Krew Ognia, na pewno będzie przechwalał się zwycięstwem.

Zapłakany tata potrząsa głową. Nikt jeszcze się nie przyznał.

W takim razie oznacza to Izraelczyków, CIA lub rywalizującą komórkę. Przypominam sobie, że Hamas i Al-Fatah w palestyńskich obozach radośnie mordują się nawzajem.

- Kim jest ten straszny przyjaciel, ten Husajn? - pyta mama, lecz po chwili zawodzi żałośnie, bo tata zaciska dłoń

na koszuli; w jego oczach maluje się rozczarowanie, ale i zaskakująca ulga. Osuwa się na fotel.

Wzywamy pogotowie. Spokojnie rozmawiam przez telefon, choć jestem zakrwawiony, nadpalony i potłuczony. Tata siedzi nieżywy w fotelu, mama trzyma mnie za rękę. Stoimy, patrzymy na tatę, moje włosy czuć spaloną krwią. Mama szlocha.

Nasz świat przestał istnieć. Znikł w ciągu godziny. Po raz pierwszy w życiu chcę kogoś zabić, ale nie wiem kogo. Na kogo polować, kogo nienawidzić?

Policja przesłuchuje mnie godzinami przez następne dni i tygodnie. Nic im nie mam do zaoferowania. Nie wypowiadam na głos słów „Krew Ognia”. Gazety spierają się, czy zamordowani należeli do organizacji zlikwidowanej przez Mosad albo CIA. Nie dokonano żadnych aresztowań.

Nikt nie wie, kim jest chłopak o okaleczonych ustach. Krążą plotki. Chłopak był amerykańskim agentem, albo może zdrajcą opłacanym przez Izrael, podłożył bombę i uciekł, jednak nie ma żadnych dowodów. Ale ja teraz znam prawdę.

Mama siedzi przy oknie, jęczy i szlocha, te odgłosy powoli doprowadzają mnie do szaleństwa. Dźwięk jej smutku tnie mnie powoli i głęboko, niczym miecz przeciągany po plecach raz za razem, obnażając mój ból, całą nienawiść i złość.

Tej nocy składam prostą przysięgę. Ci, którzy zniszczyli moją rodzinę, po tysiackroć zapłacą krwią. Obietnica brzmi po staremu. Ale dla mnie jest nowa, ponadczasowa. Nienawiść nie wygasa.

Dlatego jadę do Ameryki i chcę wypełnić swoje zadanie.

Teach położyła matczyną dłoń na ramieniu olbrzymiego mężczyzny, drugą przeczesła jego czuprynę.

- Dosłownie uszedłeś przed kulą. - Na jej twarzy widać wyraźną ulgę. - Pielgrzymie. - Przytuliła się do niego. To nie było jej prawdziwe imię, ale używała go przez minione dziesięć długich, posępnych lat wspólnej pracy, więc było tak samo prawdziwe jak wszystko w jego dziwnym życiu.

Pielgrzym skinął głową.

- Kiedy wystrzelił, akurat się cofnąłem i to mnie uratowało. Poczulem, jak pocisk przeszedł mi koło głowy. Upadłem na podłogę, więc snajper pomyślał, że mnie trafił. - Pielgrzym minął Teach i wszedł do pokoju w wynajętym domu nad cichym zakolem jeziora Travis niedaleko Austin. Teach i jej asystent Barker zaczęli już usuwać ubogie wyposażenie kryjówki; czyścili twardego dyska laptopa, zwijali kable. Zawsze zabierali z sobą niewiele, aby w razie czego szybko zniknąć. Teach poleciła Barkerowi dokończyć ładowanie rzeczy do samochodów.

Pielgrzym siedział przy stole, potarł tył głowy, jakby kula zostawiła mu ślad we włosach.

- Powiniennem był porwać Adama, zmusić go, żeby powiedział, jak nas znalazł, dla kogo pracował. - Potrzęsnała głową. - Nie lubię przegrywać, Teach.

- Nie mogliśmy się zdradzić, że go obserwujemy. Podszedłeś go w jedyny możliwy sposób.

- Ten, z którym współpracuje, nie chciał, żeby mówił.

- Powinieneś go tutaj sprowadzić - rzekł Barker, który wszedł z powrotem do domu, żeby zabrać skrzynkę ze sprzętem do inwigilacji.

Pielgrzym zastanawiał się, czy ten dzieciak wytarł sobie mleko spod wąsów. Miał co najwyżej dwadzieścia trzy lata, chudy okularnik, a gadał tyle, jakby dźwigał bagaż doświadczeń. Pielgrzym go zignorował.

- Adam myślał, że jestem terrorystą. Bóg jedyny wie, co nagadał w Departamencie.

- Wykonam kilka telefonów i doprowadzę wszystko do porządku. - Teach przeważnie miała rumianą twarz, nieco pulchną, ale teraz była blada, a usta zacisnęła w cienką kreskę. Była po pięćdziesiątce, lekkiej budowy, typ mola książkowego, z nienagannym południowym akcentem. - Ten snajper...

- Rozpoznałem go - powiedział Pielgrzym. - To Nicky Lynch. Krążyła plotka, że trzy lata temu w Istambule zabił dwóch oficerów CIA.

- Pamiętam - potwierdziła Teach. Stanęła obok niego i przyjrzała się jego głowie, tak jak matka, która ogląda zadrapanie. Nie zwracał na nią uwagi. - Podaj mi dane jego wozu.

Opisał samochód, podał numer rejestracyjny.

- Na pewno był wypożyczony na fałszywe nazwisko. Albo skradziony do tej roboty.

- Barker, poszukaj tego numeru, jak stąd wyjedziemy. - Skinęła głową do Barkera, który ciągle stał w progu. - Słonko,

wrzucimy torby do wozu. Ruszamy z powrotem do Nowego Jorku.

Barker przytaknął ruchem głowy. Zatrzymał się przy drzwiach.

- Dobrze, że nic ci się nie stało, Pielgrzymie.
- Dzięki.

Teach poczekała, aż Barker wyjdzie i zamknie za sobą drzwi.

- Niemal zginąłeś i nie zadzwoniłeś do mnie od razu?
- Uświadomiłem sobie coś bardzo nieprzyjemnego.

Tylko ty, ja i Barker wiedzieliśmy o tej operacji. A płatni zabójcy z zagranicy nie pojawiają się w takim mieście jak Austin. Ktoś dowiedział się o naszych działaniach.

- Barker jest czysty. - Teach podeszła do okna, jakby chciała na nowo przyrzeć swojemu asystentowi, gdy pakował bagaż do samochodu. - Czy Reynolds, zanim umarł, przekazał ci jakieś informacje o tym, jak nas znalazł?

- Nie. - Pielgrzym wszedł do sypialni, z której korzystał, i zaczął pakować kilka niezbędnych rzeczy do torby.

Teach potarła skronie i powiedziała:

- Ten, dla kogo Adam Reynolds pracował, zatarł ślady. Barker nie znalazł nic szczególnego w życiorysie Reynoldsa: żadnych pieniędzy, które wzięły się nie wiadomo skąd, żadnych kont, żadnych podejrzanych e-maili czy telefonów, nic. I to mnie przeraża. Mamy do czynienia z bardzo bystrymi, niebezpiecznymi ludźmi.

- Najwyraźniej. Zabili swojego geniusza za to, że ze mną rozmawiał.

- To zawęży krąg podejrzanych. - Wzruszyła ramionami. - Organizacje terrorystyczne. Przestępczość zorganizowana. Kartele narkotykowe. Obcy wywiad. - Uśmiechnęła się słabo. - Nie brakuje tych, co nas nienawidzą.

Pielgrzym poszedł do łazienki i spryskał twarz zimną wodą. We włosach poczuł upiorne łaskotanie, pozostałość po kuli, jakby przypiekła mu skórę. To tylko złudzenie, powiedział do siebie i wsunął palce pod zimny strumień. Nie chciał, aby Teach zobaczyła, że trzęsą mu się ręce. Aż strach pomyśleć, jak niewiele brakowało, by jego mózg ochlapał ścianę, biurko i zaskoczona twarz Adama Reynoldsa - biednego, upartego mądrali.

Osuszył twarz.

- Reynolds. Chciał dobrze.
- Ujawnienie nas nie leży w interesie kraju - powiedziała Teach. - Ze względu na naszą pracę koniecznie musimy pozostać w ukryciu.

Pielgrzym potrząsnął głową.

- Jestem zmęczony tym, co konieczne. To śmierdzi. Chcę robić to, co przyzwoite.

Teach położyła mu ręce na ramionach.

- Jednak robisz to. Codziennie. Jesteś zmęczony i roztrzęsiony. Poczujesz się lepiej, gdy wrócimy do domu. Przegrupujemy się, zaplanujemy następny ruch.

- Pieprzyć następny ruch. A jeżeli w jego biurze są materiały dotyczące Piwnicy. Coś, czego nie znalazłem. Co wtedy zrobimy? Ukryjemy się? Przyjmiemy nowe nazwiska, rozpoczniemy nowe życie, znowu?

- Wiedziałeś, na co się decydujesz. Wiedziałeś, że to będzie wymagało poświęceń...

- Nie mów mi o poświęceniu. Poświęcenie oznacza możliwość wyboru.

- Miałeś dzisiaj wybór. - Teach założyła ręce na piersi. - Powinieneś tak się zachować, aby Nicky Lynch uwierzył, że mu się udało. Wyśledzić go i sprawdzić, kto go wynajął. Zamiast tego działałeś bezmyślnie. Chyba chciałeś zobaczyć jego minę, gdy zorientował się, że nie trafił.

- Tak. Długo będę pamiętał zdziwienie na jego twarzy, zanim go kropnąłem.

- Daruj sobie ten sarkazm. Nie przeanalizowałeś sytuacji, a ja chcę wiedzieć dlaczego.

Pielgrzym usiadł na brzegu łóżka.

- Nie myślałem, bo... nie chcę więcej tego robić. - Dotarło to do niego jasno i wyraźnie, niespodziewanie, ale ostro.

Podeszła i dotknęła jego ramienia. Wtedy on przypomniał sobie dawne czasy, kiedy go znalazła, kiedy zaproponowała mu życie lepsze od tego w wilgotnej więziennej celi cuchnącej stęchlizną, łzami i krwią.

- Cały drżysz...

Pielgrzym strącił jej rękę.

- Jestem skończony. Adam Reynolds znalazł mnie, choć nikomu innemu to się nie udało. Znał moje pseudonimy używane podczas zadań w Indiach, Kanadzie i Syrii. Mógł przekazać dane na nasz temat programom informacyjnym. Już nigdzie się nie ukryjemy.

- Błąd. Po prostu dowiemy się, jak nas znalazł.

- Nie chcę więcej pracować dla Piwnicy. Pragnę normalnego życia.

Spowaźniała jeszcze bardziej.

- Przestań wygadywać te bzdury. Nie zrezygnujesz, Pielgrzymie. - Pomyślał, że Teach jest jak matka, która nie słyszy tego, czego nie chce usłyszeć. - Jesteśmy martwi, jeżeli nasze pseudonimy zostaną ujawnione. Znam cię wystarczająco dobrze i wiem, że nie zostawisz nas w razie ataku. - Wzięła telefon i zaczęła wybierać numer.

Znowu usłyszał swoje słowa: „Pragnę normalnego życia”. Dotknął kieszeni; notes był na miejscu, tam gdzie zawsze. Chciał iść nad jezioro, zaostrzyć ołówek, narysować twarz taką, jaką pamiętał, o jakiej śnił. Lecz nie teraz.

Włączył telewizor, poszukał wiadomości. CNN pokazywało ujęcie z lotu ptaka budynku w Austin i policję zabezpieczającą miejsce. Reporterka donosiła, że od kuli snajpera zginął jeden człowiek, a kolejne zwłoki znalezione na pobliskim krytym parkingu mogą mieć związek z pierwszym nieboszczykiem. Nie mówiono jeszcze, że ten trup na parkingu to znany zabójca. Nie wyjawiono jeszcze nazwiska Reynoldsa, było zbyt wcześnie. W telewizji tylko gadające głowy; reporterka na miejscu zdarzenia rozgryzała bezwartościowe fakty i próbowała dobrać mocne i stosowne słowa.

Teach się rozłączyła.

- Mamy miejsca na wieczorny samolot na La Guardia.

Pomachał ręką.

- Miłego lotu.

- Nie możesz odejść...

W drzwiach do sypialni zjawił się Barker. Poprawił okulary.

- Dobry Boże. Odchodzisz?

- Falszywy alarm. Jest w szoku po tym, jak go prawie zastrzelili - odparła Teach.

- Nie wyczuwasz momentu. - Na twarzy Barkera pojawił się dziwny uśmiech.

- To właśnie powiedziałam, teraz nie może od nas odejść... - rzekła Teach. Odwróciła się do Barkera i zastygła. Zaslaniała Pielgrzymowi młodszego kolegę, więc wstał.

Barker trzymał glocka kalibru dziewięć milimetrów. Celował w nich.

Pielgrzym był zdezorientowany, ciągle oszołomiony, że uniknął strzału snajpera, a drobny Barker w okularach przypominał mu biednego, głupawego Adama Reynoldsa. Świrzy z bronią, pomyślał. Wtedy zaczął działać instynkt samozachowawczy; przeliczał - dwa i pół metra do Barkera,

Teach między nimi. Nie mógł go dopaść; prędzej Barker zastrzeli Teach.

- To żalosne - skomentowała Teach.
- Przepraszam - odparł Barker. - To nic osobistego.

Pielgrzym milczał. Barker był głupi, wcześniej przekrzywił dłoń. Dlatego zrobi zaraz coś jeszcze głupszego. Pielgrzym przywołał z powrotem zmęczoną, zrezygnowaną mi-
nę, co pewnie ucieszy Barkera.

Teach mówiła spokojnie, ale Pielgrzym stojący za nią zauważył zmianę w jej postawie, przeniesienie ciężaru ciała do przodu.

- Pracujesz dla tego samego szefa co Adam Reynolds - rzekł Pielgrzym.

- Jejku. Daj mi chwilę na ochłonięcie, tak mnie zaskoczyła twoja niesamowita sprawność umysłowa. - Barker z bronią w ręku czuł się panem sytuacji, cały czas się głupkowato uśmiechał. - Z pewnością doczekasz emerytury. - Nie spuszczał broni z Pielgrzymem.

- Odłóż broń. Zapłacę ci lepiej niż ten, dla kogo pracujesz - odezwała się Teach.

- Zamknij się - rzucił, przewracając oczyma.

- Na co czekasz? - zapytał Pielgrzym, bo nie istniał żaden konkretny powód, aby ten gówniarz ich nie zabił. Zaryzykował krok w lewo. Teach stała nieruchomo. - Jestem nieuzbrojony, a ty mimo to się denerwujesz.

- To będzie twój ostatni komplement - oznajmił Barker.

Rozległy się czyjeś kroki na zewnątrz, ciężkie buty zachrząściły na kamykach. Teach specjalnie wynajęła dom ze żwirowym podjazdem; zgrzytanie kamyków obwieszczało nadejście pieszego lub przyjazd samochodu.

- Chcą Teach żywą - rzucił Barker. - Więc współpracuj, a nic jej się nie stanie.

Za dużo informacji, pomyślał Pielgrzym.

- Co ze mną? - zapytał.

- Nie żyjesz - oświadczył Barker i w tym momencie Teach ruszyła, a wycelowana broń przesuwiała się za nią. Barker zawahał się przez ułamek sekundy, bo nie chciał jej zastrzelić, złamać rozkazu. Teach naparła na Barkera, pchając go na futrynę. Pielgrzym chwycił pistolet i wykręcił Barkerowi rękę do dołu, z przerażającym chrupnięciem trzasnął złamany nadgarstek.

Barker krzyknął i padł na kolana.

Teach wzięła pistolet od Pielgrzyma i weszła do pokoju. Nigdzie nie było ich broni, Barker ją ukrył. Zamknęła tylne drzwi.

- Trzy dodatkowe sztuki są w szafie na górze - powiedziała.

Pielgrzym wbiegł po schodach. W szafie znalazł dwa półautomatyczne pistolety i karabin. Na dole rozległ się ogłuszający huk brzęk szkła, drzwi wyleciały z futryny. Chwycił karabin i zbiegł jedną trzecią schodów. Ujrzał chaos.

Barker nadal leżał płasko na podłodze, z twarzą wykrzywioną z bólu. Teach strzeliła do pierwszego mężczyzny przez drzwi, ale odrobinę chybiła. Zanim strzeliła ponownie, ciemnowłosa, napakowany goryl trafił ją kolbą karabinu w ramię. Upuściła pistolet, a mężczyzna ją pochwycił, gdy leciała do tyłu, i wypchnął na zewnątrz. Wybiegł za nią, a dwaj inni omiatali pokój seriami z półautomatów. Pielgrzym uniósł karabin i próbował wycelować poprzez balustradę, co było trudne.

- Na schodach! - krzyknął Barker.

Mężczyźni obrócili się, skierowali w jego stronę broń i otworzyli ogień.

Obsypały go drzazgi z balustrady, gdy cofał się na górę. Jeden z odłamków drewna skaleczył go w skroń. Dotarł na

piętro, nieprzerwanie strzelając z karabinu, i zbliżył się do okna. Wyrzwał na zewnątrz.

Teach siłowała się ze swoim oprawcą, który ciągnął ją przez podwórze. Wymierzyła mu precyzyjny cios w gardło. Facet ważył jednak z pięćdziesiąt kilogramów więcej i miał dwadzieścia lat mniej od niej. Wykręcił jej rękę do tyłu, rzucił ją na trawę i przycisnął. Na mokrym od deszczu trawniku wyglądała niczym marionetka, której odcięto sznurki.

Na dole panowała cisza. Nie słychać było krzyków Barke-
ra, ani żadnych kroków na schodach. Mężczyźni w domu
czekali, aż ich przeciwnik się pokaże.

Pielgrzym patrzył, jak goryl zarzuca sobie na ramię nie-
przytomną Teach i rzuca się biegiem w dębowe zarośla za
domem. Rozbił kolbą szybę, wycelował starannie i strzelił.
Goryl podskoczył i padł razem z Teach na trawę. Pielgrzym
wiedział, że powinien spojrzeć na schody, skąd groziło mu
bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale nie mógł oderwać
oczu od Teach.

Z dołu dobiegł go ryk wściekłości.

Wstań. Biegnij, namawiał ją w duchu.

Nie ruszała się. Jezu, może ją trafił. Ta myśl go zmroziła.
Nie widział, żeby krwawiła, ale leżała bezwładnie; widok
zasłaniał goryl.

- Możesz trzymać broń jedną ręką, co, idioto? - warknął
ktoś nerwowo po angielsku z ciężkim akcentem: - Zajmij
pozycję i czekaj, aż cwaniak spanikuje. - To zostało powie-
dziane po arabsku. Najpierw snajper z IRA, a teraz te czar-
nuchy. Międzynarodowe towarzystwo uparło się, aby go
zabić. Przelknął ślinę, a wtedy wypełnił go szczególny spo-
kój. Przez was wcale nie tak łatwo umrzeć, pomyślał.

Rozejrzał się po pokoju. Jedyne umeblowanie stanowił
stół i krzesło biurowe, słaba osłona.

Obliczył, ile czasu zajmie mu zejście po schodach, jeżeli obaj mężczyźni odwrócić się w stronę okna. Nie zdąży zbiec na dół. Przesunął się na skraj schodów i rozejrzał. Nikogo nie dostrzegł. To oznaczało, że Barker i dwaj napastnicy schowali się i czekali, aż pojawi się na schodach, gdzie miał ograniczone możliwości. Oni za to mieli do dyspozycji cały pokój, żeby wziąć go w krzyżowy ogień.

Ponownie podszedł do okna i zobaczył, że pierś Teach się unosi. Oddychała. Nic się jej nie stało, tylko straciła przytomność. Nagle spośród gęstych dębowych zarośli wyłonili się dwaj mężczyźni i podbiegli do niej. Gdyby teraz zaczął do nich strzelać, ci dwaj na dole od razu by wiedzieli, że nie zwraca uwagi na schody. W jednej chwili rzuciliby się na górę i wyprawili go na tamten świat.

Szach i mat.

Jeden z mężczyzn, ten o tlenionych blond włosach postawionych na sztorc, zarzucił sobie na ramię nadal nieprzytomną Teach. Uniósł wysoko pistolet, przyłożył jej lufę do głowy, gdzie gałązki wplątały się w siwiejące włosy. Pielgrzym zrozumiał przesłanie: Strzelisz do nas, ona zginie. Mężczyzna zawrócił i pobiegł niezdarnie, Teach podrygiwała mu na ramieniu. Drugi mężczyzna, w tandetnych, panoramicznych okularach przeciwsłonecznych, osłaniał ich powrót do zagajnika. Martwego towarzysza zostawili na trawniku.

Pielgrzym musiał odwrócić uwagę napastników. Miał pod ręką tylko stół, krzesło... Zauważył, że krzesło ma kółka. Przygotował pistolety, położył karabin na podłodze.

Podłoga z twardego drewna była niczym pole minowe, jedno skrzypnięcie zdradzi jego pozycję. Powoli otworzył okno nad zadaszonym gankiem. Przełożył krzesło przez okno i ostrożnie ustawił je na parapecie, pół w środku, pół

na zewnątrz, opierając kółka o kant framugi. Podniósł glocki i bezszelestnie niczym kot przesunął się na krawędź schodów.

Napastnicy razem z Barkerem jeszcze nie stali na schodach i nie czekali na niego. Tchorze, pomyślał.

Pielgrzym trzymał oba glocki, podniósł jeden, wycelował i strzelił. Kula trafiła w oparcie krzesła. Siła uderzenia nadała pęd balansującemu krzesłu, które stoczyło się z okna. Z łoskotem zjechało po pochyłym daszku krytym gontem, powodując niesamowity łoskot. Na parterze rozległ się krzyk, wyobraził sobie, że napastnicy odwracają się do okna, przekonani, że wyszedł na ganek w desperackiej próbie ucieczki.

Nie zbiegał schodami, tylko skoczył, ignorując groźbę śmiertelnego upadku. W ułamku sekundy, gdy leciał, zobaczył, jak szczupły mężczyzna przy oknie odwraca się gwałtownie w jego stronę, gdy krzesło spadło na trawnik. Barker skulił się pod oknem, ściskając strzaskany nadgarstek. Drugi napastnik przykucnął z wyciągniętym przed siebie karabinkiem, ale celował w same schody, których Pielgrzym nawet nie dotykał. Bandzior strzelił i krawędź schodów eksplodowała drzazgami.

Pielgrzym w ciągu milisekund, jakie dzieliły go od uderzenia o podłogę, trzykrotnie wypalił z obu pistoletów. Pierwsza kula trafiła chudego w twarz, druga przedziurawiła czoło Barkerowi, ostatnia drasnęła drugiego mężczyznę w nogę. Pielgrzym uderzył barkiem o podłogę.

Drugi napastnik, z twarzą wykrzywioną z bólu, kuśtykał, próbując znowu wycelować. Pielgrzym strzelił. Trafił mężczyznę w gardło. Facet poleciał do tyłu, ale zdążył nacisnąć spust i pociski podziurawiły ścianę nad Pielgrzymem. Bandzior runął.

Pielgrzym był cały obolały. Wstawaj, porywają ją, wstawaj! Właśnie zeskoczył z pierwszego piętra na podłogę

pokrytą kafelkami. Lewe ramię okropnie go bolało, ale poruszył nim gwałtownie, żeby przekonać się, czy nie jest złamane. Dźwignął się na nogi, sprawdzając, czy nie odmówią mu posłuszeństwa. Chudy napastnik i Barker nie żyli. Trzeci mężczyzna nadal oddychał, charczał, patrzył na niego zdziwiony.

Pielgrzym wypadł z domu, zataczając się. Pobiegł za porywaczami przez gąszcz młodych dębów i cyprysów. Ile minęło czasu, odkąd ją zabrali? Minuta? Dwie? Usłyszał starter samochodu, opony tarły o żwir, silnik zawył na wyższych obrotach. Nie widział samochodu. Rzucił się do drogi biegnącej na tyłach budynku i zobaczył, jak z pobocza wyskakuje srebrny van.

Pobiegł z powrotem do domu.

Wycelował w umierającego.

- Dokąd ją zabierają? - zapytał po arabsku.

Umierający splunął w niego krwawą śliną.

- Sprowadź lekarza... możesz przeżyć. Znowu zobaczysz rodzinę. Dokąd ją zabierają?

Oczy mężczyzny się zaszkliły.

Pielgrzym pospiesznie przeszukał nieboszczyka. Znalazł tylko zapalki i zgniecioną paczkę amerykańskich papierosów. Pudełko zapalek było srebrno-czerwone, a na nim widniał srebrny napis *Blarney's Steakhouse* i adres we Frisco w Teksasie oraz numer telefonu. Przypomniał sobie, że Frisco jest na północ od Dallas, szybko rozwijające się przedmieście.

Podbiegł do ciała Barkera. Głupi szczeniak. Żałował, że go zabił w strzelaninie. Odpowiedziałby na wszystkie jego pytania. Jednak nie zawsze można strzelać tak, by tylko ranić. W kieszeni nieboszczyka znalazł telefon komórkowy i portfel z prawem jazdy; zabrał i jedno, i drugie... może znajdzie informację, kto namówił Barkera do zdrady. Chudy napastnik miał jedynie portfel ze zdjęciem równie

szczupłej kobiety i dwójki chudych dzieci, nieśmiało uśmiechniętych. Rzucił zdjęcie na podłogę, zbierało mu się na wymioty.

Jak się wykonuje taką pracę, nie powinno się mieć rodziny.

Pielgrzym pobiegł. Posprząta później, jeżeli przeżyje, ale jak Teach zginie, to będzie koniec Piwnicy, więc jakie miało znaczenie, co znajdzie policja. Trupy w pustym wynajętym domu nad jeziorem, wyczyszczony laptop, broń, żadnych wyjaśnień, żadnych śladów.

Dowlókł się do swojego samochodu i z rykiem silnika ruszył podjazdem.

W okolicy jeziora prowadziła tylko jedna droga. Jezioro Travis to rozległy akwen w pobliżu Austin, na jego brzegu postawiono domy i apartamentowce, stworzono przystanie. Okolica była dość spokojna; kilka domów wynajmowano, nie zawsze były zajęte w dni powszednie. Tamci wyprzedzili go może o cztery minuty. Pielgrzym przemknął obok znaku stop przy wjeździe na główną szosę łukiem łączącą północno-zachodnie i południowo-zachodnie granice miasta.

Którędy pojechali porywacze?

Po prawej stronie, na końcu zakrętu, kilka samochodów zatrzymało się na czerwonym świetle. Jednym z nich był srebrny van.

Okropna, zdradliwa myśl przyszła mu do głowy. Chciał zrezygnować. Po prostu skręcić w lewo i pojechać w przeciwną stronę. W ten sposób mógłby przejść na emeryturę. Żyj normalnie, wyjdź z cienia, żyj w słońcu. Gdzie nikt nie będzie ci strzelał w głowę.

Niemal czuł smak piwa. Nie był pijany od dziesięciu lat, nie dlatego, że świadomie wybrał trzeźwość, ale ze względu na to, że „pijany” oznaczało „powolny”, a on nie mógł być powolny, nie mógł tracić czujności. Nigdy więcej. Pojedzie na lotnisko, wrzuci pistolety do śmietnika, kupi bilet, wybierze najdalej położone miasto od Austin, i upije się

miniaturowymi wódeczkami podawanymi w samolocie. Może nawet spróbuje odzyskać swoje dawne życie. Nie. Odrzucił tę myśl, gdy tylko mu przyszła do głowy. Nie dopuszczał takiej możliwości.

Tylko skręć w lewo. Odjedź. To zadanie to jedna wielka pułapka, mająca na celu wyciągnięcie ciebie i Teach z cienia. Dostali ją. Uciekaj. Teraz. Już dosyć się poświęciłeś.

Światło zmieniło się na zielone. Srebrny van ruszył z szarpnięciem.

Pielgrzym pamiętał pierwszy raz, kiedy zobaczył Teach. Leżał na zimnej, kamiennej podłodze w Indonezji, przeklinając swój bezsensowny błąd, własną niezdarność, przez którą dał się schwytać. Był bity gumowymi pałkami, ciągle od nowa, przez cały tydzień. Podniósł wzrok, a za kratami stała ona. Dlaczego bibliotekarka przyszła się ze mną zobaczyć? - od razu przyszło mu na myśl. Strażnik otworzył celę i odszedł, gdy dała mu łapówkę. Ona weszła do celi i krytycznie mu się przyjrzała. Uklękła obok i powiedziała:

- Słuchaj. Jak skończę, powiesz „tak” lub „nie”, nic więcej. Dla CIA jesteś nikim; nigdy nie przyznają, że kiedykolwiek istniałeś. Kiedyś znalazłam się w takim samym bagnie jak ty teraz. Byłam w więzieniu w Mołdawii. Jedzenie tutaj jest chociaż w połowie jadalne. Szczęściarz z ciebie.

Próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał wykrztusić słowa.

- Możesz zostać w więzieniu albo pracować dla mnie. To najtrudniejsza praca, jaka cię czeka. Prawdopodobnie zginiesz podczas jej wykonywania. Ale nic więcej nie mam do zaoferowania. Jednak musisz się całkowicie zmienić. Nic z ciebie nie może pozostać.

Wstrzymał oddech. Propozycja wydostania się stąd to

halucynacje. Niemożliwe. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, żeby wiedział, że jest realna.

Poczekala, aby sprawdzić, czy rozumie, co oznacza jej propozycja, jaką cenę zapłaci.

- Albo możesz powiedzieć, kim jesteś, i cieszyć się tą miłą celą do końca życia. Tak lub nie.

Obserwował ją w milczeniu przez dziesięć sekund. Decyzja życia. Postanowił jej uwierzyć i wyszeptał:

- Tak.

- Wobec tego muszę cię stąd zabrać - zdecydowała. - Bądź cierpliwy. Odwiedzę cię jutro. Muszę wręczyć kilka łapówek. Później sfingujemy twoją śmierć. - Wypowiedziała te zatrważające słowa, jakby odczytywała pozycje z długiej listy. Ku jego zdziwieniu odgarnęła mu z oczu zlepione, brudne włosy, czule i delikatnie. Wstała i wyszła z celi. Znikła w wilgotnym kamiennym korytarzu, a on zamrugał, jakby była zjawą senną.

Jednak zrobiła wszystko, co obiecała.

Aż zebrało mu się na wymioty ze wstydu, że zastanawiał się, jak postąpić. „Konieczne - powiedziała. - Zawsze robiłeś to, co było konieczne”.

Pomyślał, że to kolejna życiowa decyzja, którą musi teraz podjąć.

Dziesięć sekund później skręcił w prawo. Od vana porywaczy, który zmierzał do Austin, dzieliło go osiem samochodów.

Joanna Vocek z Kidwellem, Benem i dwoma ochroniarzami jechali samochodem do centrum. Ruch gęstniał; część ulic na północy została zamknięta przez policję - Ben przypomniał sobie, że słyszał w radiu o strzelaninie - a obszar między ekskluzywną Drugą Ulicą w Austin a Warehouse District, z najrozmaitszymi restauracjami i mnóstwem klubów, zapelnili ludzie spieszący się na festiwal bluesowy.

Vocek zaparkowała na placu przy Drugiej Ulicy obok opuszczonego, niskiego hotelu z cegły - Waterloo Arms. Wszystkie pozostałe budynki w okolicy zostały odnowione lub rozebrane w niedawnej gorączce podnoszenia statusu podupadłych dzielnic. Wczesnym wieczorem majętni amatorzy muzyki i alkoholu wędrowali od baru do restauracji, po drodze zahaczając o kluby muzyczne rozlokowane przy tej ulicy. Teren hotelu odgradzała metalowa siatka, informując, że Waterloo Arms przechodzi przemianę w wysokiej klasy biurowiec i restaurację.

Tysiące słów cisnęło się Benowi na usta, argumenty w obronie swojego dobrego imienia, ale postanowił milczeć. Nie mówić nic, dopóki nie dostanie adwokata. Cisza była

azylem dla cichych i pokornych. Kiedy zbliżyli się do Waterloo, w lusterku wstecznym napotkał spojrzenie Joanny Voček i nie był pewien, co zobaczył w jej piwnych oczach: żal, zmieszanie czy odrazę.

Ochroniarze schowali pistolety do kabur ukrytych pod ciemnymi marynarkami.

Kidwell odwrócił się do Bena.

- Teraz wysiadziemy z samochodu. Wejdziemy do tego budynku. W środku nikogo nie ma. Jak będziesz biegł lub krzyczał, uderzę cię tak mocno w podstawę czaszki, że prawdopodobnie zostaniesz sparaliżowany na całe życie. Rozumiesz?

Ben znowu dostrzegł błysk oczu Voček w lusterku, jakby Kidwell przekraczał pewną linię, ale nic nie powiedziała.

- Tak.

Kidwella zżerała ambicja. To jasne. Taka priorytetowa sprawa jak ta była niczym pociąg, do którego można wskoczyć. Przyjaciół, który zwrócił się o pomoc do Kidwella; człowiek, który pomaga firmom zdobyć lukratywne kontrakty; oraz powszechnie znany zabójca łączący te dwie osoby. To pachniało poważnym i głośnym skandalem. A wydobycie na światło dzienne będzie dla Kidwella odskocznią do kariery.

Wysiedli z samochodu. Voček i Kidwell prowadzili Bena z obu stron, a ochroniarze otwierali bramę. Grupka przeszła pod aureolami drutu kolczastego - zabezpieczenia przed ciekawskimi i wandalami. Dwaj mężczyźni w garniturach zostawili ich i stanęli przy ogrodzeniu.

W Waterloo nie było nikogo. Miejsce wyglądało na gotowe na przyjęcie urzędników biurowych. Kidwell, Voček i Ben pojechali windą na remontowane piąte piętro. Przeszli krótkim korytarzem i znaleźli się w pokoju bez okien. Stał tam stół i trzy krzesła. Cyfrowy dyktafon wielkości dłoni leżał na stole.

- Siadaj - rozkazał Kidwell, a Ben posłuchał.

Kidwell włączył dyktafon, podał datę, godziną i dodał, że Ben zeznaje dobrowolnie. Kidwell zaczął chodzić z dłońmi splecionymi na plecach. Vocek stanęła w kącie. Nie patrzyła na Bena.

- Opisz swoje kontakty z Adamem Reynoldsem - powiedział Kidwell.

Ben pochylił się nad dyktafonem.

- Tu mówi Ben Forsberg. Protestuję przeciw temu, jak zostałem potraktowany. Jestem niewinny, odmówiono mi prawa do kontaktu z adwokatem...

Kidwell uderzył Bena. Raz, od tyłu, zaciśniętą pięścią, za uchem, aż Ben padł twarzą na stół. Kidwell wymazał nagranie, powtórzył swój wstęp i zatrzymał dyktafon.

- Kidwell... - Vocek podała Benowi chusteczkę, żeby wytarł zakrwawiony nos.

- Agentko Vocek, łamiemy go. - Kidwell po prostu stwierdził fakt. - Już.

- Nie musisz go bić - odparła. - Nasze zadanie...

- Nasze zadanie to wykonać robotę, o wybaczenie poprosimy później.

Vocek została w rogu pokoju, nie zmieniała wyrazu twarzy, ale Ben dostrzegł, że trochę się zarumieniła ze złości. Kidwell pochylił się nisko nad Benem.

- Ben, ty mi pomożesz, ja pomogę tobie. Teraz włączę nagrywanie, a ty będziesz mówił, mówił, aż zedrzesz gardło, a jak nie, to znowu wyłączę dyktafon i zawołam jednego z tych młodych twardzieli z dołu, a on dopiero da ci popalić. Pewnie nigdy porządnie nikt cię nie stłukł. Przypuszczalnie nie masz pojęcia, jak boli solidny piętnastominutowy łomot. - Znowu włączył dyktafon. - Ofiara, Adam Reynolds, zadzwonił do ciebie do domu, aby potwierdzić spotkanie. Co to miało być za spotkanie?

- Grozisz niewłaściwej osobie - powiedział Ben. Jego klienci byli ważnymi ludźmi; pomogą mu wyjść z tego koszmaru. - Sam Hector to mój największy klient. Prowadzi Hector Global w Dallas.

- Wiem, kim jest Sam Hector - odparł Kidwell.

- Dla Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego wykonuje kontrakty warte miliony dolarów. Poręczy za mnie. To stary przyjaciel.

- Masz rację, Departament robi z panem Hectorem duże interesy. Więc jeżeli do niego zadzwonię i poproszę, aby zrezygnował z twoich usług, to posłucha. - Kidwell zerknął na Vocek. - Joanno, poszukaj dla mnie numeru pana Hectora. Zadzwonimy do niego z telefonu Bena.

- Chyba dowiem się więcej, pytając Bena...

- Zrób, o co proszę.

- Tak jest. - Marszcząc czoło, zaczęła przeszukiwać numery w smartfonie Bena.

- Twój największy klient, Ben, a zaraz go stracisz. Zaręczam, że Hector wybierze nas, nie ciebie. Opowiedz mi o spotkaniu z Adamem.

- Gdybym mógł wam pomóc, tobym pomógł. Bóg jeden wie, że pomógłbym. - Ben poczuł w gardle gorące łaskotanie.

- Zadzwonię do wszystkich kontrahentów Departamentu Bezpieczeństwa i powiem im, że ciążą na tobie podejrzenia o związki ze znanym terrorystą. Zbojkotują cię. Nigdy więcej nie znajdziesz pracy w tej branży.

- Nie mogę wam powiedzieć czegoś, czego nie wiem.

- Poza tym zamrozę ci konta bankowe. Twoje oszczędności. Nie będziesz mógł płacić rachunków. Spłacać hipoteki. - Kidwell zaplótł ręce na piersi. - Wylądujesz na bruku. Masz dziewczynę?

- Nie. - Przed oczyma pojawiła się twarz Emily. Zamrugał.

- Znajdę kogoś, kogo kochasz. Kogoś, kto jest dla ciebie ważny. Kochankę, ciotkę, wujka, sąsiadkę, kolegę z akademika, najlepszego przyjaciela. Ich konta też zamrozę.

Bena ogarnęła wściekłość, która pokonała strach.

- Nie możesz. Po prostu nie możesz.

- Cokolwiek zrobię, winę poniesiesz ty. - Kidwell uniósł ręce w udawanym geście poddania.

Ben odwrócił się do Vocek.

- Agentko Vocek, pani wydaje się rozsądna. Proszę. Nie może pani zgadzać się na to, co on wyrabia.

- Nie zgadzam się na to, co ty robisz, Ben, to znaczy grasz na zwłokę. Powiedz mu, co chce wiedzieć. - Vocek podała telefon Kidwellowi. - Znalazłam telefon do Sama Hectora. Dzwonimy?

- Chwilę. - Kidwell zatrzymał dyktafon. - Ben, dzwoniemy?

Ben przełknął ślinę.

- Chciałbym wiedzieć, czy są jakieś inne dowody świadczące przeciwko mnie.

Kidwell przestał chodzić i wyciągnął z kieszeni złożoną na pół kartkę.

- Masz trzy inne numery komórkowe.

- Nie. - Ben potrząsnął głową.

Kidwell przeczytał trzy numery, wszystkie z kierunkowym do Austin, 512.

- To nie są moje numery.

- Zostały otwarte na twoje nazwisko przed tygodniem.

- Jaki oddział je otworzył? Niech ktoś mnie zidentyfikuje, może osoba, która przeprowadzała transakcję.

- W zeszłym tygodniu wynająłeś biuro przy North Lamar. - Kidwell przeczytał adres z kartki.

- Nieprawda.

- Biuro było wynajęte przez pośrednika. Sparta Consulting.

- Nigdy o nich nie słyszałem. Nigdy nie korzystałem z pośrednika. Może tu chodzi o naruszenie danych osobowych.

- Ci, co kradną dane osobowe - wtrąciła Vocek - kupują telewizory i sprzęt do golfa albo pierścionki z brylantem, nie wynajmują biur.

- Macie w waszym raporcie, że otworzyłem też nowe konta kredytowe?

Kidwell skinęła głową.

- Trzy. W zeszłym tygodniu.

- Wspaniale. Zbadajcie moją historię kredytową. Nie otwierałem nowych kont. Mam jedną kartę kredytową od sześciu lat i spłacam ją co miesiąc. - Znowu spojrzął na Vocek. - Nie miałem żadnego motywu, by zabić Reynoldsa.

- Mów do mnie, nie do niej - polecił Kidwell.

- Rozmowa z tobą przypomina gadanie do ściany.

Kidwell się zasępił.

- Czy z któregoś z tych nowych numerów łączono się z Adamem Reynoldsem albo Nickym Lynchem? - zapytał Ben. Pomyślał, że musi ich zepchnąć do defensywy, bo przecież się mylili.

Vocek zwróciła się do Kidwella:

- Dostaliśmy wyciągi faksem. Adam Reynolds dzwonił pod nowy numer komórkowy Bena i do niego do domu tylko dzisiaj, do twojego biura w Houston, i jeszcze pod kilka numerów w Dallas. Vocek pokazała Kidwellowi dwa wydruki. - Z nowej komórki Bena łączono się kilkakrotnie z biurem Reynoldsa.

- Fantastycznie - rzucił Ben. - Chcę poznać godzinę tych połączeń, które rzekomo przeprowadzałem. Założę się, że mogę udowodnić, że to nie ja dzwoniłem. - Vocek chciała

już podać Benowi wydruki, ale Kidwell ją powstrzymał.

- Nie. Niczego mu nie pokazuj.
- Zanim zaczniecie mi grozić albo naprzykrzać się moim klientom, lepiej dokładnie sprawdźcie wasze dowody - zwrócił się Ben do Vocek, patrząc jej w oczy. - Lepiej upewnijcie się, że są niezbite. Bo Sam Hector ma koneksje w Waszyngtonie i wątpię, byście chcieli oskarżać jego przyjaciół. Szczególnie mnie. Pomogłem mu się wzbogacić. I zdobyć wpływ.

Kidwell zacisnął usta. Ben chciał, aby ta zaciekle wymiana zdań minęła; chciał również, aby Kidwell zachował twarz, dla swojego dobra.

- Czy mogę iść do łazienki? - zapytał.

Kidwell wyłączył dyktafon i skinieniem głowy wyraził zgodę, jakby sam potrzebował kilku minut na uporządkowanie myśli.

Vocek eskortowała Bena korytarzem. Ben dwa razy umył twarz, usuwając krew z nosa. Ból ustąpił miejsca tępemu pulsowaniu. Przynajmniej nosa nie miał złamanego. Wyszedł z powrotem na korytarz. Vocek czekała z rękami założonymi na piersi.

- Tak właśnie odgrywasz dobrego glinę?

- Nie.

- Nie możesz być gorsza od Kidwella. Wiesz, że łamię prawo, traktując mnie w taki sposób. Nie mogę sobie wyobrazić, aby Departament Bezpieczeństwa Krajowego tak działał. Znam zbyt wiele dobrych i oddanych osób, które tam pracują, aby uwierzyć, że Kidwell jest typowy. - Potrząsnął głową. - Biuro Inicjatyw Strategicznych. Nie przypominam sobie, żeby widział tę nazwę w siatce organizacyjnej Departamentu. Kim tak naprawdę jesteście?

Skrzyżowała ręce.

- Świetnie, nie chcesz powiedzieć. To dlaczego mam wam pomagać?

- Żeby pomóc sobie.

- Odwracasz kota ogonem. Należą mi się podstawowe prawa jako obywatelowi. Z założenia jestem niewinny - mówił. - Dopóki nie skontaktuję się z adwokatem, nie jestem pewien, dlaczego mam pomagać Kidwellowi. - Potrząsnął głową. - Myślałem, że cię przekonam. Widziałem, jak na niego patrzyłaś, kiedy się na mnie rzucił.

- Ben... - Zamilkła jednak, kiedy Ben ruszył z powrotem do pokoju.

- Siadaj - rzucił Kidwell.

Ben usiadł. Znowu spojrzał na Vocek, która zatrzymała się w drzwiach.

- Sprawdzę to, co mówisz. Ale wiesz, co się z tobą stanie, jak mnie okłamałeś. Dobrze i długo się nad tym zastanów, Ben. Zastukaj w drzwi, jeżeli będziesz chciał czymś się z nami podzielić, żeby oszczędzić nam czasu.

Kidwell wstał, zgasił światło i wyszedł. Vocek na odchodnym popatrzyła na Bena. Drzwi zatrzasnęły się za nimi, gasząc delikatną poświatę dochodzącą z korytarza, i Ben znalazł się w całkowitych ciemnościach.



- Zmiękł - powiedział Kidwell, gdy Vocek usiadła do laptopa. - Zrobi dokładnie to, czego się spodziewamy. Niech zaprzecza, prosi o adwokata, ale kiedy skonfrontujemy go z dalszymi dowodami, pęknie.

- Nie jestem pewna - odparła Vocek.

- Dlaczego?

- W tym całym bałaganie jest dziura. Ben, według mnie... to inteligentny facet, a wcale nie próbował zacierać śladów.

- Ludzie to idioci. Albo są aroganccy i myślą, że nie dadzą się złapać - powiedział Kidwell. - Chcę znaleźć wszystko, co łączyło go z Adamem Reynoldsem. Poszukaj tej firmy Sparta Consulting, która wynajęła dla niego biuro, sprawdź, jak Forsberg jest z nimi powiązany. Chcę wiedzieć wszystko, co Forsberg robił albo kupił, albo z kim rozmawiał przez ostatnie kilka dni.

Vocek otworzyła laptopa i zobaczyła nowy e-mail z biura w Houston: „RAPORT FORSBERGA”. Otworzyła go, prześledziła wzrokiem i powiedziała:

- Norman. Przeczytaj to. - Zaszło jej w gardle.

Norman Kidwell pochylił się, przeczytał e-mail i uśmiechnął się.

- Mój Boże. Pan niewinny pominął ważny szczegół.

Van porywaczy nagle mocno przyspieszył na bocznej drodze, serpentynie wyciętej w zboczu wapiennego klifu.

Zauważyli mnie, zdał sobie sprawę Pielgrzym.

Van przeskakiwał i wił się wśród innych samochodów, przyspieszając na krętej drodze.

Pielgrzym trzymał się ich, wyprzedził minivana i por-sche, żeby zmniejszyć dystans dzielący go od uciekających. Porywacze nie czekali, aby sprawdzić, jak powiodło się ich kolegom w trakcie strzelaniny w domu, co oznaczało, że uznali Pielgrzyma za martwego albo mieli rozkazy, aby się za siebie nie oglądać. Urowadzenie Teach musiało być dla nich najważniejsze.

Gdyby ją odzyskał, mógłby zakończyć ten koszmar.

Oczy go piekły - krew spływała na brew i do oka. Cały był obolały, jakby ktoś go stłukł metalową rurą.

Samochody usuwały się sprzed vana, gdy kierowca z wci-śniętym klaksonem parł na czerwonym świetle, mijając o centymetry trąbiącego lexusa, ocierając się bokiem o bmw, które aż zakręciło się wokół własnej osi. Pielgrzym wyminął obydwie samochody, cały czas trzymał się blisko uciekinie-rów.

Van wspinał się z rykiem pochyłością, w pewnym momencie otarł się o balustradę, aż posypały się iskry. Po chwili jednak zajechał drogę pojazdom z przeciwka, a potem wrócił na właściwy pas w samą porę, dzięki czemu uniknął czołowego zderzenia z pick-upem wypełnionym licealistami. Pielgrzym widział ich rozdziawione usta, twarze wykrzywione w krzyku, gdy van mijał ich o włos.

Skończ to teraz. Pielgrzym podjechał beemką blisko od strony pasażera. Blondyn z irokezem na głowie wychylił się przez okno i wysunął strzelbę; Pielgrzym wcisnął hamulec. Deszcz śrutu poznał przednią szybę.

Van wpadł z powrotem na niewłaściwy pas i zataczał się niczym pijany tancerz, by ominąć trzy samochody. Pielgrzym widział zaskoczone twarze kierowców, którzy wracali do podmiejskich komfortowych domów po wydłużonym dniu pełnym papierkowej roboty, telefonów i e-maili, a tu tymczasem śmierć przemykała zaledwie o centymetry od nich.

Przed nimi rozciągał się pusty odcinek drogi. Za wzgórzem musi być sygnalizator świetlny, który powstrzymał sznur samochodów. Pielgrzym opuścił szybę od strony pasażera, wyminął vana, wciskając gaz do oporu, zawirował na pustym asfalcie i stanął w poprzek drogi. Wycelował z pistoletu w przednie koła vana i wystrzelił przez otwarte okno. Ujrzał snopy iskier, pociski zrykoszetowały o osłonę opon i zderzak. Z powodu bólu nie mógł dobrze wycelować.

Van przemknął obok, blondyn z irokezem wychylił się przed kierowcę, mierząc w przód bmw. Pielgrzym zanurkował, gdy przednia szyba się roztrzaskała. Kiedy van przejechał, Pielgrzym wyprostował się i spróbował go dogonić, ale poczuł, że jedna z uszkodzonych opon odchodzi od felgi i na zakręcie zbyt szybko skorygował tor jazdy. Uszkodzone bmw przebiło barierkę nad ostro opadającym zboczem,

zsunęło się dziesięć metrów w chmurze pyłu z wapiennego rumowiska i uderzyło w cyprysy na granicy wypielegnowanego ogrodu.

Pielgrzym zamrugał. Rozbite szkło miał we włosach i na kolanach. Drzwi od strony pasażera wgniotło drzewo. Silnik zgasł. Otworzył drzwi i z trudem wysiadł. Był cały, ale beemka nie nadawała się do jazdy. Potknął się, potem stanął wśród kamieni. Pobiegł do domu w ogrodzie i kopniakiem otworzył tylne drzwi. Przy stole wychodzącym na ogród stała rodzina: ojciec, matka, dwie nastoletnie dziewczynki. Wszyscy wpatrywali się w niego znad pieczeni wołowej, sałatki i ziemniaków zapiekanych z serem. Obiad pachniał smakowicie. Pielgrzym uniósł broń, wycelował w ojca.

- Przepraszam za wtargnięcie - powiedział. - Potrzebny mi wasz samochód.

Matka cofnęła się do blatu kuchennego, rzuciła mu kluczyki. Pielgrzym złapał je jedną ręką.

- Dziękuję - powiedział. Dalsza część bardzo mu się nie podobała. Kazał rodzinie wejść do pomieszczenia gospodarczego bez wyjścia. Zamknął drzwi, pod klamkę wsunął krzesło. - Siedźcie tam przez następne dwie godziny. Mam radio policyjne, więc jak zadzwonicie na policję, wróćcie, a tego nie chcecie! - krzyknął przez drzwi. Musiał ich przestraszyć, bo potrzebował czasu, aby zniknąć. Słyszał, jak rodzice szeptem pocieszają córki.

Kluczyki były od czekoladowego volvo kombi. Z rykiem silnika wyjechał na szosę. W miejscu, gdzie bmw przebiło balustradę, stał wóz policyjny. Pielgrzym przejechał obok z dozwoloną prędkością i nawet nie zerknął na policjantów, którzy prawdopodobnie znajdą i uwolnią rodzinę za dziesięć minut. Pokonał następne wzniesienie i wcisnął gaz do dechy. Vana już dawno nie było. Przejechał cztery kilometry, cały czas mając nadzieję, że przestrelił im oponę. Pojechał w prawo, kiedy skończyła się droga numer 2222,

rozwidlając w dwie ulice; wybrał boczną drogą, zatrzymał się na parkingu przed chińską restauracją i próbował uporządkować myśli. Dokąd zabiorą Teach i kto może mu pomóc?

Nie miał do kogo zadzwonić. Na tym polegał urok Piwnicy - nie znało się prawdziwych nazwisk agentów operacyjnych ani nie wiadomo było, jak się z nimi skontaktować. Barker miał jakieś prawdziwe nazwisko, zupełnie inne i prawdopodobnie jeszcze dwa albo trzy inne operacyjne. Żaden agent nie mógł zdradzić drugiego.

Oprócz Teach; tylko ona znała wszystkie szczegóły każdego zadania.

Jej mózg był nagrodą, mógł rozbić Piwnicę, wtrącić każdego agenta do więzienia albo wystawić na odstrzał.

To niezwykle przeciwnik, doszedł do wniosku Pielgrzym, skoro wynajął byłego zabójcę IRA i grupę arabskich terrorystów, by przyjechali do Teksasu i wykonali brudną robotę. A Barker twierdził, że nie mógł znaleźć niczego niezwykłego na kontach bankowych Adama Reynoldsa ani w e-mailach, ale skoro Barker siedział w kieszeni u wroga, to kłamał i niszczył dowody łączące Reynoldsa i jego z wrogiem.

Pielgrzym przewinął numery zarejestrowane w telefonie Barkera. Skoro Barker miał zakończyć dzień porwaniem Teach i zabójstwem Pielgrzyma, przypuszczalnie nie był szczególnie skrupulatny w zacieraniu śladów. Spis połączeń zawierał to, czego można było się spodziewać po trzech dniach pracy nad sprawą Reynoldsa: telefony do Teach, telefony do Pielgrzyma. Ale było też połączenie z miejscowym numerem w Austin, którego Pielgrzym nie znał.

Pojechał do centrum Austin. Na Koenig Street zobaczył to, co chciał: małą kawiarnię z napisem w oknie informującym o bezpłatnym dostępie do Internetu. Wszedł do środka. Wczesnym wieczorem nie było tu tłoku. Na blacie w

odległym końcu stały trzy komputery; usiadł przy jednym z nich i uruchomił wyszukiwarkę. Otworzyła się na stronie z wiadomościami, gdzie Pielgrzym zobaczył wybór nagłówków: komisja senacka domaga się od CIA bardziej ludzkiego postępowania na Bliskim Wschodzie w wojnie z terroryzmem; gwiazda futbolu idzie na odwyk; strzały snajpera w Austin.

Przebiegł raport wzrokiem. Jeszcze żadnych nazwisk ofiar. Żadnej wzmianki o mężczyźnie opuszczającym miejsce zbrodni.

- Proszę pana? Nic panu nie jest?

Zerknął na kobietę za ladą, a potem uświadomił sobie, że musi wyglądać, jakby wyczołgał się z wraku pociągu. Była ładna, młoda; wskazała jego rozbite czoło.

- Krwawi pan.

- Tak? - Podszedł do baru i sięgnął po serwetki, przyłożył je do czoła. Do papieru przykleiła się krew. - Przewróciłem się. Nic mi nie jest.

- Jest pan pewien? - zapytała.

- Nic mi nie jest. Średnią latte poproszę; to mnie postawi na nogi. - Spróbował się uśmiechnąć.

Dziewczyna skinęła głową i wróciła do ekspresu. Usiadł, wpisał w Google numer telefonu w Austin znaleziony w komórce Barkera.

Brak wyników.

Począł, aż dziewczyna zawoła, że jego kawa jest gotowa, ale osobiście mu ją przyniosła.

- Na koszt firmy - powiedziała, kiedy wstał, aby sięgnąć po portfel.

- Nie, naprawdę...

- Proszę pana, chyba miał pan paskudny dzień. To na koszt firmy.

Taka uprzejmość była mu obca i przez chwilę nie wiedział, jak się zachować.

- Dziękuję - powiedział. - Bardzo dziękuję.

Dziewczyna uśmiechnęła się i wróciła za bar. Pielgrzym popił kawę - to była energia, stymulator i kalorie; tego wszystkiego potrzebował. Zadzwończy drzwi, do środka wszedł mężczyzna z nastoletnią córką; dziewczynka przyglądała kasztanowe włosy po wilgotnym wietrze. Patrzył, jak śmieją się i zastanawiają, co zamówić, i poczuł ucisk w piersi.

To powinienem być ja, pomyślał. Może tak będzie, jak skończy się ten bałagan. Wrócił do komputera.

Użył wyszukiwarki, żeby wejść do rządowej bazy danych, gdzie firmy telekomunikacyjne, zarówno komórkowe, jak i tradycyjne, były zobowiązane wpisywać każdy zarejestrowany numer. Zalogował się, korzystając z hasła, które Teach skradła oficerowi CIA i przekazała jemu; szukał numeru.

Baza danych nie zlokalizowała telefonu, ale zidentyfikowała abonenta; była nim firma pośrednictwa nieruchomości McKeen mieszcząca się przy Drugiej Ulicy w śródmieściu Austin. Przeskoczył z powrotem na mapy w Google i poszukał adresu.

Dokończył latte i pospieszył do skradzionego samochodu, nie patrząc na ojca i córkę, którzy roześmiani pili kawę.



Jackie Lynch siedział zgarbiony przy barze. Dłońmi wyczuwał chłodny granit. Błąkał się ulicami śródmieścia, kiedy dotarło do niego, że będzie musiał zadzwonić do szefa i wyjaśnić, iż zadanie skończyło się totalnym fiaskiem i Nicky nie żyje.

Zauważył w oknie baru neonową harfę, reklamę guinnessa, i rzucił się do środka. Chropawym szeptem zamówił piwo. Wypił je szybko, wziął głęboki oddech i powiedział sobie, żeby nie płakać. Zamówił kolejne duże piwo, bo - jak

często mawiał jego ojciec - żaden ptak nie wraca do domu o jednym skrzydle.

Dom. Stracił brata i mentora. Nicky był mózgiem ich interesu. Jackie zupełnie się nie orientował, jak sobie radzić z niebezpiecznymi klientami, jak szacować kontrakty i ryzyko, wybierać drogę odwrotu, zarządzać pieniędzmi na oficjalnych kontaktach. Teraz zawalili robotę dla niezwykle potężnego człowieka. Wbił wzrok w blat.

Ciągle kurczowo ścisnął kopertę. Miał ją podrzucić na biurko Adama Reynoldsa po tym, jak Nicky zlikwiduje cele, ale gdy znalazł tylko jedno ciało zamiast dwóch, zszokowany odwrócił się i wybiegł.

Zostawił niedokończony guinnessa i podszedł ostrożnie do okna. Kilka przecznic dalej ulice wokół krytego parkingu i biurowca Reynoldsa zostały otoczone policyjnym kordonem. Jeżeli policja jeszcze nie znalazła, to znajdzie w bagażniku zmodyfikowany karabin PSG1 Heckler & Koch Nicky'ego. Ktoś dopatrzy się dziur w oknach albo znajdzie ciało Reynoldsa i powiąże to wszystko.

Teraz nie miał szans na podrzucenie koperty. To zupełnie niemożliwe. Klient będzie musiał zrozumieć.

Zespół w kącie na małej scenie zaczął stroić instrumenty; gitarzysta i pianista próbowali riffy jednej z jego ulubionych piosenek Johnny'ego Casha, *The Tennessee Stud*. Kochał muzykę niemal tak bardzo jak swojego brata i przez chwilę kusiło go, by nie dzwonić do klienta, tylko zniknąć. Wrócić do Belfastu, słuchać płyt i zwinąć się w kłębek na łóżku.

Ale nie. To byłoby samolubne, ucieczka oznaczałaby, że zabójcy Nicky'ego ujdzie na sucho. Teraz Jackie przejął rodzinny interes; musiał stać się mężczyzną. Nicky zawsze był tym dorosłym, ale teraz te czasy to historia. Muzyka nie dostarczy tyle przyjemności co zemsta.

Przeszedł do stolika w narożniku, z dala od potencjalnych podsłuchiowaczy i wybrał numer, pod który mieli zadzwonić, aby potwierdzić wykonanie zadania. Telefon zostawiono dla nich w pokoju hotelowym i mieli dzwonić tylko raz. Numer zaczynał się od kierunkowego 972 i Jackie wiedział, że to Dallas; z czystej ciekawości sprawdził to poprzedniej nocy w hotelu w książce telefonicznej.

Telefon zadzwonił trzy razy, wtedy odebrał mężczyzna.

- Tak?

Z początku nie mógł mówić.

- Poszło źle. Nicky nie żyje - wykrztusił wreszcie.

Wyczuwał tłumiony gniew swojego rozmówcy.

- Gdybyś zadzwonił wcześniej, zdążyłbym ostrzec mój drugi zespół.

Jackie zagryzł wargę.

- Drugi zespół?

- Pierwszy człowiek, którego mieliście zabić, nosi pseudonim Pielgrzym. Zadanie miało jeszcze drugą część, porwanie kobiety, szefowej Pielgrzyma. Nie wyeliminowaliście Pielgrzyma, a on zabił jeszcze czterech z moich ludzi poza twoim bratem.

Będiesz skomleć, a mój brat nie żyje, pomyślał Jackie. Nic z tego, nie dzisiaj.

- To nie moja sprawa - rzucił. - Nie mówisz wszystkiego, więc nie zwalaj na mnie winy. To twój błąd, nie mój. - Starał się mówić twardym głosem, tak jak Nicky, gdy rozmawiał z kłopotliwym klientem. Wkurzać płatnego zabójcę to kiepski pomysł, bez względu na to, kim jesteś.

Zapadła cisza. Pierwszy raz działasz sam i spieprzyłeś, pomyślał Jackie.

- Dostarczyłeś paczkę do biura Reynoldsa? - spytał klient lodowatym tonem.

- Nie.
- Dostarcz. - Teraz wściekłość była oczywista.
- Absolutnie nie - odparł Jackie. - Wszędzie kręci się pełno glin. - Najlepiej po prostu mówić prawdę. - Widzę ich stąd.

Duet zaczął grać melancholijną piosenkę Willie Nelsona, a głos w słuchawce się odezwał:

- Gdzie jesteś?
- Hm, w barze.
- W barze. - W głosie rozmówcy pobrzmiwały niedowierzanie i furia.

- Nie piję.
- Ci, którzy ocalili z tamtego zespołu, dopadną cię. Nie pójdziesz na spotkanie, a powiem im, że przez twój błąd zginęła połowa ich zespołu. Nie wiem tylko, co wpraw ci obetną... język czy rękę.

Jackie z trudem przełknął ślinę.

- I co dalej?
- Potem pomożesz im dokończyć zadanie, czyli zabić Pielgrzyma.

Jackie nie miał ochoty zmierzyć się z człowiekiem, który nie padł od kuli Nicky'ego i zabił pięciu ludzi. Ale nie mam wyboru, powtarzał sobie. Nie chodziło teraz o zapłatę, tylko o zemstę. Będzie polował na Pielgrzyma dzień i noc, aby pomścić brata.

- Gdzie mogę spotkać się z twoimi ludźmi? - spytał, starając się, by jego głos był twardy jak stal.

Sam Hector siedział przy biurku z pięcioma telefonami komórkowymi rozłożonymi przed sobą. Czekał na telefon, który miał zmienić jego życie.

Jedną ręką poruszył antyczne, chińskie liczydło. Miał sporą kolekcję liczydeł z całego świata: afrykańskie z kości słoniowej, nefrytowe z Chin, bezcenny okaz z Indii, na którym niegdyś zliczano majątek jakiegoś maharadży. Uwielbiał delikatność koralików, ich stukanie na prętach, gdy się zderzały. To, którym teraz się bawił, sprezentował mu Ben Forsberg, pamiątka z wycieczki do Pekinu, dokąd przed ślubem Ben wybrał się ze swoją biedną, nieżyjącą od dwóch lat Emily. Najbardziej lubił to liczydło.

Drugą ręką Sam Hector przeglądał pocztę elektroniczną. Lista była długa, z wszelkich możliwych hot spotów na świecie. Komunikaty z Iraku, gdzie miał blisko tysiąc wojskowych pracowników kontraktowych, rozpracowujących szczegóły bezpieczeństwa od Kirkuku po Basrę. Z Etiopii, gdzie dobrany zespół pracowników służył radą reżimowi w kwestii powstania na południu. Z Afganistanu, gdzie jego zespoły zapewniały bezpieczeństwo zarówno afgańskim, jak

i koalicyjnym dygnitarzom, i nie dopuścili do samobójczego zamachu bombowego na szkołę - jeden z najemników zastrzelił człowieka bombę, niestety zabijając miejscowego gwardzistę, który starł się z zamachowcem. Godne pożalowania. Dał list swojemu dyrektorowi operacji afgańskich, zachęcając go, by przekazał pewną kwotę rodzinie nieszczęśliwego strażnika. Oczywiście anonimowo. Hector Global nie mogła przyjmować odpowiedzialności za ich działania. Wojna była pełna tragicznych zdarzeń, a Hector Global pracowała dla ogólnego dobra. Nie tylko Ameryki, pomyślał Sam, ale całego świata.

Przy następnym e-mailu zmarszczył czoło: kierownik w Bagdadzie donosił, że wielu pracowników ochrony wyraża niezadowolenie z poziomu przemocy, z jaką się zetknęli. Zdaniem Sama, jeżeli nie podobała im się praca dla Hector Global, mogli wsiąść do samolotu i wrócić do domu. Od okna albo od przejścia, kurczak albo makaron, wybierz miejsce, pomyślał. Lecz ostatnie dwa tygodnie były trudne. Stracił pięciu ludzi w trzech niezależnych zdarzeniach. Na szczęście nie musi wypłacać odszkodowań zdrowotnych albo ubezpieczenia na życie; pracownicy kontraktowi sami za to odpowiadali.

Co gorsza, stracił ostatnich siedem kontraktów, które wygrał w Iraku, a umowy na ochronę w kraju zaczęły się kończyć. Na liście płac miał trzy tysiące pracowników. Potrzebował jakichkolwiek kontraktów.

Odsunął liczydło i napisał e-mail do pani Smith w Departamencie Stanu, która zainteresowała się Benem nie tylko na płaszczyźnie zawodowej: *Ben na pewno zadzwoni jutro. Zdaje się, że dzisiaj wraca ze swojego wypadu. Z pewnością dojdziecie do porozumienia. Wszystkiego dobrego, Sam.* Wysłał wiadomość i pomyślał: Boże, gdyby Ben zaliczył tę idiotkę z Departamentu, gdy tylko pierwszy raz

zdradziła, że ma ochotę, kontrakt zostałby podpisany, a on miałby kilka milionów dolarów, których tak bardzo potrzebował w rozliczeniach.

Lecz Ben nie miał zamiaru nikogo zaliczać.

Ostatni e-mail przyszedł z Nowego Orleanu i zawierał link do mapy w Google. Studiował mapę w milczeniu przez kilka długich chwil. Ta mapa to pierwszy klucz do jego przyszłości. Zapamiętał ją i poczuł dreszcz podniecenia.

Zadzwoił jeden z telefonów; Hector spojrzął na wyświetlany numer.

- Halo?

- Departament Bezpieczeństwa Krajowego aresztował Bena Forsberga. Dowody łączą go z zabójcą obcego pochodzenia zastrzelonym dzisiaj w Austin.

Ale... Jackie nie dostarczył koperty. Wmanewrowanie Bena nie było całkowite. Ale nie zamierzał się sprzeczać ze słodkim uśmiechem losu.

- Gdzie jest teraz Ben?

- W nowej kwaterze Departamentu w centrum, w starym Waterloo Arms. Przesłuchują go.

- Bez policji?

- Bez.

- Należy ci się premia - powiedział i rozłączył się. Jednak przydawali się ludzie umieszczeni w różnych miejscach administracji rządowej, którzy byli gotowi udzielać informacji za stosowne wynagrodzenie.

Sam Hector wstał i podszedł do okna. Nie zabił od lat; skończył z brudzeniem sobie rak, ale skoro bracia Lynch i grupa z Libanu nie dali sobie rady ze zlikwidowaniem Pielgrzyma, cóż, nadeszła pora, aby odświeżyć swoje umiejętności. Ciepły dreszcz przeszedł mu po skórze, twarz się zarumieniła. Dobrze będzie wrócić do gry.

Zadzwoił kolejny telefon.

- Tu Jackie.

- Mów.

- Spotkałem się z tym drugim zespołem, poszczęściło się nam. - Jackie mówił niemal radośnie. - Ten cały Pielgrzym jest dwie ulice od hotelu, w którym mieliśmy się spotkać.

- To na pewno on?

- Jeździ powoli volvem kombi, jakby oglądał nieruchomości. Siedziałem z tyłu vana, widziałem go za kierownicą. Zaraz go sprzątniemy.

Pielgrzymowi udało się dotrzeć aż do Waterloo Arms. Bystrzak.

Hector się zastanawiał. I nagle ujrzał rozwiązanie-wprawdzie niemiłe - ale uniwersalne. Szybko rozważył pomysły pod każdym kątem, analizował mocne i słabe punkty, mierzył ryzyko. Ben Forsberg i ludzie z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego znajdowali się w Waterloo Arms. Pielgrzym chciał się tam dostać, żeby sprawdzić, jak to wiązało się z porwaniem Teach.

- Jackie. Pozwolisz Pielgrzymowi wejść do budynku. Potem pójdziesz za nim i zabijesz wszystkich. Wszystkich. Rozumiesz?

- Tak jest.

- Jeden z was zostanie z Teach. Jak wszyscy w środku zostaną zlikwidowani, zadzwonisz do mnie. Wszyscy dostaniecie po sto tysięcy ekstra. Oprócz ciebie, Jackie, bo nie dokończyłeś pierwotnego zlecenia. A poza tym brak pieniędzy bardziej cię zmotywuje niż zemsta za brata.

Przekaz był oczywisty: Nie narzekaj, bo inaczej powiem im, że nie ostrzegłeś ich, a przez to zginęli ich przyjaciele. Jackie milczał.

Sam Hector się rozłączył. Znowu zaczął oddychać. Czuł się tak, jakby właśnie rozkazał armii ruszyć do zmasowanego

ataku, aż mu się w głowie kręciło na myśl o rozlewie krwi, który zapoczątkował. Właśnie zlecił masową zbrodnię. Ale taka była konieczność. Jedyne możliwy wybór.

To niewielka ofiara, a zdobycz ogromna - niewyobrażalnie wielka - która zmieni wszystko w jego życiu.

Gdy czekał, czuł, jak na jego twarzy pojawia się uśmiech.



Jackie i trzech zabójcy wysłuchali instrukcji Hectora, jak dostać się do Waterloo Arms, i Jackie zamknął telefon. Trzej mężczyźni w vanie wpatrywali się w Jackiego, dwaj z obojętnymi minami, trzeci z wyraźną niechęcią. Jackie zerknął na starszą kobietę - Teach, jak nazwał ją Hector - którą tamci porwali nieprzytomną. Związali jej ręce z przodu i podali zastrzyk, który miał ją pozbawić przytomności jeszcze na kilka godzin.

- Słyszeliście go - odezwał się Jackie. – Dodatkowe sto tysięcy dla każdego z was. - Oznajmił to z niedbałą arogancją, jakby sam rozdzielał pieniądze.

Przywódca Arabów nie był tym zachwycony.

- Ty, Irlandczyku, zostaniesz z nią. - Arab miał duże znamię na brodzie. Szturchnął kobietę nogą. Dwaj pozostali poruszyli się, siedząc w kucki. Jeden z nich miał dziką czuprynę w białe i czarne pasemka; drugi nosił panoramiczne okulary. Wszyscy wyglądali dla niego jak wariaci.

- Nie - powiedział Jackie. - Pielgrzym zabił mi brata. Ja zabiję jego.

- Nie. Przywykliśmy do pracy w zespole. Bez ciebie.

- Idę z wami.

Szef potrząsnął głową.

- Trzech od nas, od ciebie jeden.

Mógł pozwolić tym osłom wykonać trudną część. Czy to

naprawdę ważne, kto zabije Pielgrzyma? Ta myśl zawstydzila go. Zaczal wstawac.

Szef usmiechnal sie lekko, odslaniajac krzywe zęby, i skierowal berette w pierś Jackiego.

- Mocno nienawidzisz tego Pielgrzyma. Czeka go pas-kudna śmierć. Obiecuję. Pilnuj kobiety. - W tych słowach Jackie wyczuł obelgę, jakby potrafił jedynie pilnować nie przytomnej pięćdziesięciolatki.

Mężczyzna w okularach najwyraźniej go pożałował, bo uściskał mu ramię.

- Poślemy temu Pielgrzymowi kulkę za twojego brata.

Jackie przełknął wściekłość i skinał głową. Niech oni wykonają robotę. Nie podobało mu się, że widzieli jego twarz ani że mu rozkazywali, jakby był ich podwładnym. Nadal miał nóż w nogawce i pragnął go teraz użyć. Wyobrażał sobie, jak nóż załśni, gdy będzie podrzynał im gardła. Uśmiechnął się i podał im rękę, życząc powodzenia.

Waterloo Arms okazało się taktycznym koszmarem. Ogrodzenia, strażnicy w samym środku miasta. Pielgrzym przejechał obok remontowanego budynku trzy razy i zaparkował volvo na pobliskim krytym parkingu przy Drugiej Ulicy. Amatorzy muzyki i barów tłoczyli się o zmierzchu na ulicach. Na skrzyżowaniach wznosiły się sceny, gdzie zespoły grały bluesa. Niemal z każdego baru sączyła się muzyka. Pielgrzym miał ochotę wejść do któregoś z nich, zamówić zimnego shiner bocka, zanurzyć się w gorącym strumieniu muzyki i nie zajmować się choć przez moment przemocą i bronią, chyba że znalazła się w tekście piosenki o zazdrośnym kochanku. Zamiast tego znalazł punkt obserwacyjny, stolik w jazzowym barze na ulicy, i napił się coli. Starsza kobieta, ubrana jak do kościoła, w suknię w kwiaty i różowy kapelusz do kompletu, waliła w klawisze pianina z wigorem i precyzją, i śpiewała o nicponiu, bez którego nie mogła żyć, jak bez powietrza.

Popił lyk coli. Miał na sobie brązowo-pomarańczową baseballówkę z logo University of Texas Longhorns i wiatrówkę, które znalazł w skradzionym volvie. Czapkę mocno naciągnął na oczy, kurtka okazała się na niego za duża, ale

przynajmniej nie było widać, że jest uzbrojony.

Przyglądał się terenowi przed hotelem. Nawet nie wiedział, czy Teach znajduje się w środku. Znak na ogrodzeniu informował, że jest to własność niejakiego McKeena, a wkrótce stanie się Waterloo Arms Court, z kilkoma tysiącami metrów kwadratowych powierzchni biurowej i sklepowej oraz Blarney's Steakhouse. Wszystko miało zostać otwarte za dwa miesiące.

Blarney's. Nazwa tej samej restauracji w Dallas widniała na pudełku zapalek w kieszeni u jednego z płatnych zabójców. To nie mógł być przypadek.

Obserwował dwóch mężczyzn w garniturach kręcących się przy ogrodzeniu, jeden zawsze miał oko na wejście do budynku. Trzymał straż.

Ci dwaj w garniturach różnili się od porywaczy. To byli biali Amerykanie, wysocy, mocno zbudowani, w marynarkach, pod którymi bez wątpienia kryły się kabury z bronią. Wyglądali na gliniarzy do wynajęcia.

Tych dwóch nie chodziło w parze. Jeden krążył zgodnie z ruchem wskazówek zegara po placu ogrodzonym siatką; drugi poruszał się w przeciwnym kierunku. Znikali sobie z oczu przynajmniej na minutę, na skraju ogrodzenia. Południowa strona pustego budynku wychodziła na bardziej ruchliwą Drugą Ulicą, wschodnia ściana przylegała do sklepu jubitera i firm projektowych. Północna strona graniczyła z Trzecią Ulicą, a zachodnia wychodziła na kolejny plac budowy, także ogrodzony. Oba place dzieliło wąskie przejście.

Przyłożył do ucha telefon Barkera - niewłęczony - i rozpoczął udawaną rozmowę z wyimaginowanym przyjacielem, chodząc tam i z powrotem, niczym kolejny

przechodzień w stworzonej przez siebie samego komórkowej bańce.

- Tak, na pewno pozabijam gnojów - powiedział do siebie. - A potem każę Teach postawić obiad ze stekiem i złożę rezygnację. Tak, tak.

Kiwał głową, trzymając milczący telefon i obserwował krążących ochroniarzy. Nie mógł zastrzelić żadnego z nich na ulicy; zbyt wielu ludzi dookoła. A jeżeli mieli kontakt radiowy z hotelem, wyeliminowanie ich mogłoby ostrzec tamtych w środku. Musiał ich wyminąć.

Drewniany płot na sąsiednim placu nie był zwieńczony drutem kolczastym. Tamtędy przedostanie się najłatwiej. Pielgrzym poczekał, aż wędrujący strażnik skreśli za róg. Następnie podbiegł do ogrodzenia placu budowy. Wetknął telefon do kieszeni, wziął rozbieg i skoczył. Opuszkami palców schwycił wierzchołek płotu, zajęczał ciężko, gdy się podciągał. Przedostał się na drugą stronę, ale aż ręce zabolowały go z wysiłku. Ześlizgnął się po drugiej stronie i podbiegł kawałek. Zatrzymał się i nasłuchiwał.

Usłyszał powolne kroki strażnika przy ogrodzeniu. Z początku myślał, że facet gada do siebie, ale wtedy zorientował się, że mówi do ukrytego mikrofonu.

- Tak. O wiele lepiej niż w Bagdadzie. Zarobiłem dziewięćdziesiąt kawałków, ale żona ciągle się wściekała, co noc beczała. Teraz chcę robotę tylko w kraju, może w Afryce poza Somalią, ci ludzie to szaleńcy. Tak...

Pielgrzym sprawdził godzinę. Nasłuchiwał, czy zbliża się następny strażnik albo czy wraca ten, który rozmawiał. Działali rutynowo. Miał minutę, plus minus dziesięć sekund.

Te dziesięć sekund mogło zdecydować o życiu lub śmierci.

Ogarnął wzrokiem pusty plac. Z boku stała przyczepa, bliżej środka. Wózek widłowy znieruchomiał obok niczym

przysadzisty strażnik. Pielgrzym wyciągnął z kieszeni wytrych i w pięć sekund otworzył przyczepę. Nie włączył się żaden alarm.

W środku panował bałagan. Zauważył klucze do wózka widłowego zawieszane na haczyku obok biurka.

Nasłuchiwał kroków strażnika krążącego zgodnie z kierunkiem ruchu zegara, a kiedy ucichły, pobiegł do wózka. Uruchomił pojazd i wycelował w najślabszy punkt ogrodzenia oddzielającego teren hotelu. Podprowadził go tuż pod płot i wyłączył silnik. Hałas zagłuszała wszechobecna muzyka. Spojrzał na zegarek; miał w zapasie dziesięć sekund.

Po dwudziestu sekundach usłyszał kroki strażnika.

Pielgrzym wspiął się na dach wózka i położył płasko na brzuchu. Zerknął ponad płotem, teraz zaledwie o pół metra przewyższającym dach wózka. Widział, jak strażnik się oddala.

Oba ogrodzenia rozdzielał ponad metr. Wybił się i skoczył. Rzucił się sprintem do najbliższych drzwi, schowanych w zacienionej wnęce. Pchnął je. Były otwarte.

Wyciągnął broń i wszedł do części gospodarczej oświetlonej słabą poświatą jarzeniówek zwisających z sufitu.

Zamknął drzwi. Nasłuchiwał w ciszy. Żadnych odgłosów alarmu.

Sprawdzał kolejne drzwi. Trzecie otworzyły się na klatkę schodową zalaną upiornym światłem. W połowie betonowych schodów usłyszał za sobą kroki. Obrócił się na pięcie i zobaczył jednego z ochroniarzy, który najpierw pilnował budynku, ale teraz stał w korytarzu i mierzył do niego z pistoletu.

- Stój!

Nie dam się zabić najemnemu gliniarzowi, pomyślał Pielgrzym.

- Mogę podnieść ręce?

- Zapleć palce, dłonie spodem ku górze. Zejdz ze schodów,

kładź się. - W głosie mężczyzny pobrzmiwał rozkazujący ton. Pielgrzym zszedł ze schodów.

- Gdzie Teach?

- Na ziemię. Na kolana. Ostatnie ostrzeżenie. Będę strzelał.

Zdecydowanie nie glina. Pielgrzym zaczął klękać. Zgiął kolano, a potem rzucił się błyskawicznie do przodu, waląc strażnika głową w brzuch. Razem wpadli na ścianę.

Facet był dobrze umięśniony. Trafił Pielgrzymą w szczękę krótkim ciosem zapożyczonym z muay thai boran, tajskiej sztuki walki. To zaskoczyło Pielgrzymą, ale uniknął drugiego ciosu i uderzył mężczyznę w skroń, raz, drugi, a później zdzielił go w tył głowy kolbą pistoletu. Facet zachwiał się przez moment i padł, a Pielgrzym jeszcze raz zdzielił go kolbą. Kiedy jednak zobaczył, że ochroniarz ma w uchu słuchawkę, wiedział, że tamten drugi słyszał wszystko i zareaguje. Poszukał u mężczyzny drugiego pistoletu, ale w jego kieszeni znalazł tylko płaski plastikowy identyfikator - Hector Global Security.

Rzucił go na pierś nieprzytomnego mężczyzny.

Czekać na drugiego strażnika czy iść? Przyłgął plecami do ściany, wyłączył światło.

Po dziesięciu sekundach drzwi otworzyły się z rozmachem i drugi ochroniarz wpadł na korytarz. Pielgrzym wyprowadził kopnięcie w tył jego głowy.

Światła zamigotały i ożyły, a Ben, po istnych grobowych ciemnościach, mrugał mocno porażony ostrym blaskiem. Siedział w ciemnościach, w całkowitym bezruchu, próbując przygotować się na to, co go czeka.

- Dobrze jest posiedzieć w ciszy i mieć czas na zastanowienie. - Kidwell zamknął za sobą drzwi.

- Nie zmądrzałem od siedzenia po ciemku.

- Nie? Myślałem, że będziesz chciał rozmawiać o Emily.

Ben poczuł, jak powoli wzbiera w nim wściekłość. Nic nie powiedział. Dziesięć sekund. Trzydzieści.

Norman Kidwell nawet nie mrugnął okiem.

- Coś cię dręczy. Teraz to widzę.

- Osiół z ciebie.

- To fascynujące - udało, że jego ręce to pistolety - że twoja żona została zastrzelona przed dwoma laty, sprawy nie rozwikłano, a dzisiaj znajdujemy twoją wizytówkę w kieszeni snajpera. Bo, widzisz, nie wierzę w zbieg okoliczności.

Ben wpatrywał się w podłogę.

- To dlatego skomlałeś o adwokata? Nie chciałeś rozmawiać o tym, jak zginęła twoja żona? Na pewno nie byłeś tak głupi, by nie pomyśleć, że powiążemy te dwa wydarzenia.

Ben wstał.

- Siadaj. - Kidwell strzelił palcami, wskazując krzesło. Ten gest zrobił na Benie większe wrażenie niż groźby.

- Zamknij się. Nie mów o Emily.

- Widzę, że to jeszcze boli do żywego.

- Pogodziłem się z tym. Moja żona zginęła od przypadkowego strzału, policja oczyściła mnie z zarzutów. Nie aresztowaliście mnie i nic więcej nie powiem na ten temat. Wychodzę stąd, zamierzam wynająć adwokata i zaskarżyć cię, tak że twoje konto bankowe będzie bardziej puste niż głowa.

Kidwell uniósł broń powolnym, leniwym ruchem. Wycełował w pierś Bena.

- Mówiłem ci, żebyś siedział. Zadzwonię do policji z Maui i do biura FBI; poinformuję ich, że pojawiły się nowe elementy w sprawie morderstwa twojej żony.

- Dzwon sobie.

- Albo zostawię to, tylko powiedz mi, co łączy ciebie, Reynoldsa i Nicky'ego Lyncha.

- Nic nas nie łączy. - Ben sprawdził drzwi; zamknięte na klucz. Odwrócił się z powrotem do Kidwella i zobaczył pistolet przy czole.

- Nigdzie nie idziesz.

Ben był zbyt wściekły, aby się bać.

- Jestem zmęczony twoimi groźbami i insynuacjami. Świetnie. Zadzwon na policję. Wtedy na pewno dostanę adwokata.

Kidwell szturchnął lufą w skroń Bena, który osunął się na krzesło.

- Kazałeś ją zabić i teraz to wyszło.

- Nie...

- Zleciłeś Lynchowi zabójstwo swojej żony przed dwoma laty, a dzisiaj kazałeś mu zabić Adama Reynoldsa.
- Nie. - Ben wstał. - Zamknij się!



Żonobójca, pomyślała Vocek. Ben nim się nie wydawał, chociaż socjopata potrafi się pięknie zakamuflować w normalnym społeczeństwie, okazać winę i wyrzuty sumienia, tak aby były wiarygodne. Wyszła na głupią, broniąc tego drania, zanim obejrzała raport, według którego jego żona zginęła w bardzo podobny sposób jak Adam Reynolds.

Znowu przejrzała policyjny raport. W ciągu czterdziestu minut zostało podziurawionych kulami kilka okien w posiadłościach w pobliżu Lahainy, żart, który skończył się tragicznie, kiedy kula trafiła Emily Forsberg w głowę. Nikogo nie aresztowano, nie znaleziono broni.

Wizytówka Bena znaleziona u Nicky'ego Lyncha utwierdziła ją w przekonaniu, że śmierć Emily nie była przypadkowa.

Vocek pochyliła się nad laptopem, za wszelką cenę chciała znaleźć dziurę w wersji Bena Forsberga, a także więcej powiązań między nim a Adamem Reynoldsem. Poprzez Departament Bezpieczeństwa Krajowego miała dostęp do dużej bazy kart kredytowych. Wystarczył jeden telefon, i przysłano e-mailem wyciągi z kart Forsberga. Karty Bena pojawiły się dwukrotnie w Marble Falls, gdzie, jak twierdził, przebywał. Wieczorem dokonał zakupów w sklepie monopolowym i spożywczym. Lecz w ciągu ostatnich trzech dni używano ich też w Austin. Porównała godziny; płacono kartą raz w Marble Falls o dziewiętnastej piętnaście i raz w Austin o dziewiętnastej czterdzieści sześć, o tej porze według terminarza Reynoldsa miał on jeść kolację z Benem. Na dojazd z Marble Falls do Austin potrzeba przynajmniej godziny.

A zatem jeden raz doszło do oszustwa.

Kidwell nie będzie uszczęśliwiony.

Otworzyła komórkę, przejrzała wydruki od firmy telekomunikacyjnej, porównując je z listą połączeń Adama Reynoldsa. Jeden numer wybierał czterokrotnie. Wykręciła go. Odezwała się automatyczna sekretarka: „Halo, halo, tu baza księżycowa, nie tutaj, znasz procedurę”.

Baza księżycowa? Otworzyła rządową bazę danych z numerami telefonicznymi. Ten należał do Delia Moon. Wpisała nazwę w Google - nic. Sprawdziła w bazie przestępstw. Nic. Znalazła prawo jazdy Delii Moon w tekszańskim Departamencie Bezpieczeństwa Publicznego. Dwadzieścia osiem lat, metr siedemdziesiąt pięć, atrakcyjna, adres we Frisco, na przedmieściach Dallas. Kim była ta kobieta dla Adama Reynoldsa?

Vocek zostawiła wiadomość; przedstawiła się i poprosiła Delię Moon, aby oddzwoniła, dodała przy tym, że to ważne. Zamknęła telefon. Przez głośnik radia słyszała, jak strażnicy rozmawiają między sobą, więc ściszyła urządzenie i wybrała numer do siebie. Mama powinna teraz być w domu.

- Halo?

- Mama? Cześć. Słuchaj, musiałam wyskoczyć do Austin, dzisiaj nie dam rady przyjechać na obiad.

- Oj, kochanie. W porządku, więc może w weekend, wrócisz? - Mama pociągnęła nosem; tej wiosny miała nieustanne problemy z alergią. Co jeszcze bardziej wzmogło w Vocek poczucie winy.

- Jeszcze nie wiem.

Jej mama nie potrafiła ukryć rozczarowania w głosie.

- No, cóż. W porządku...

- Wiem, że to trudne. - Jej matka, żeby być bliżej swojej jedynaczki, przeniosła się z Long Island do Houston, gdzie

Vocek dorastała. Trudno jej było przywyknąć do Houston. Miasto było przyjazne, ale mama nie potrafiła się zaaklimatyzować. Nie potrafiła albo nie chciała. - Naprawdę przykro mi, że nie mogę.

- Przynajmniej ja nie będę głodna. - Mama spróbowała się zaśmiać. - Zadzwonisz, jak będziesz wiedziała, kiedy wracasz? Nic nie będę planowała, dopóki nie dasz znać.

- No, może powinnaś - odparła Vocek i uświadomiła sobie, gdy nagle ścisnęło ją w dołku, że mówi bez sensu. - To znaczy, mam, jeżeli masz coś do roboty, zrób to. Idź do kina, do muzeum, na zakupy. Nie czekaj na mnie. - Proszę, pomyślała. Znajdź przyjaciółkę. Postaraj się. Nie pozwól, by życie przeszło obok.

- Czekanie to nie problem. - I wtedy mama zaczęła utyskiwać po swojemu na Houston: wilgoć, ruch, brak porządnej nowojorskiej pizzy, brak koleżanek z Oyster Bay. Vocek dała jej dwie minuty bezpłatnego obwiniania córki.

- Kocham cię, mam. Przepraszam. Muszę wracać do pracy. Dobra, cześć.

Odwróciła się do drzwi i ujrzała przed nosem lufę pistoletu. Trzymał go potężny mężczyzna.

- Ładnie, że kochasz mamę.

Vocek nic nie powiedziała. Mocniej ścisnęła telefon.

- Nie chcę, żeby twoja mama wybierała dla ciebie trumnę - rzekł mężczyzna. - Gdzie Teach?

Trudno jej było mówić z lufą przyłożoną do twarzy, ale postarała się.

- Jestem oficerem federalnym. Opuść broń.

- Ładny błąd, ale widziałem, że ochroniarze na dole to najemnicy. Gdzie ona jest? - powtórzył mężczyzna.

- Jestem tu jedyną kobietą. Agentem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Opuść broń, proszę. - Wiedziała,

że nie powinna użyć słowa „proszę”. Musiała mówić tonem nakazującym, ale wymknęło się jej to słowo, zanim zdążyła pomyśleć. Pistolet znajdował się tuż przy jej twarzy. Jak strzeli do mnie z tej odległości, nawet mama nie rozpozna mojej twarzy, pomyślała.

Obok torebki leżała pałka teleskopowa. Trzymała ją na wypadek, gdyby Bena Forsberga trzeba było obezwładnić. Torebka zasłania pałkę przed wzrokiem mężczyzny. W żaden sposób nie mogła sięgnąć po broń w kaburze ukrytej pod marynarką.

- Odnakę mam w torebce - powiedziała. - Mogę sięgnąć? Powinna cię przekonać.

- Nie. Połóż ręce na głowie. - Mężczyzna sięgnął i wyciągnął służbową broń Voček, cofnął się. W obu rękach miał teraz pistolety.

Rzuciła w niego telefonem. Trafiła go w czoło, ale on to zignorował. Uderzył ją pistoletem w bark. Runęła na stół. Chwyciła pałkę.

Po naciśnięciu guzika pałka wysunęła się na pełną długość sześćdziesięciu centymetrów. Voček zamachnęła się, celując w jego twarz. Uchylił się. Jeszcze raz się zamierzyła i niemal trafiła go w czubek głowy, ale znowu się uchylił. Uderzył ją mocno w nadgarstek i ból rozszedł się po rękę. Pałka wyleciała z bezwładnych palców.

O Boże, pomyślała. Pokonał ją, bez strzału. Strach i ból zdominowało nagle poníženie.

Mężczyzna wsunął jej pistolet z tyłu za pasek. Cofnął się o kilka kroków, ale nadal mierzył jej w głowę.

- Nie winię cię, że próbujesz.
- Jestem z Departamentu Bezpieczeństwa - powtórzyła.
- Zabij mnie, a kara będzie podwójna.
- Obróć się.

- Strzel mi w plecy. Świetnie. - Vocek uniosła brodę z przekorą. - Nie odwróć się.

- Nie utrudniaj. - Mężczyzna wykonał ruch pistoletem.

Vocek się odwróciła. Nie chciała okazywać strachu, ale kiedy odwróciła się do ściany, jej usta się wykrzywiły, a gardło zacisnęło. Pomyślała o matce i o tym, że już nigdy nie zje z nią obiadu.

- Przepraszam - powiedział, a ona pomyślała: Mój Boże, on naprawdę mnie zastrzeli. Tak to się skończy.

Cios, prosto w splot nerwowy na karku, powalił ją na kolana.

- Przepraszam - powiedział znowu. A wtedy padła na podłogę i ogarnęła ją ciemność.



Pielgrzym poszukał odznaki w torebce nieprzytomnej kobiety. Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Biuro Inicjatyw Strategicznych. Joanna Vocek.

Była albo bardzo dobrze podrobiona, albo kobieta mówiła prawdę. Pielgrzym rzucił odznakę na brzuch nieprzytomnej. Sięgnął po jej telefon, wyłączył go i schował do kieszeni. Telefony to użyteczne źródła informacji. Jeżeli Departament atakował Piwnicę, to sytuacja wyglądała o wiele gorzej, ponieważ w tej sytuacji będzie walczył z siłami rządowymi.

To oznaczało bitwę z o wiele niebezpieczniejszym i potężniejszym wrogiem niż banda porywaczy wymachujących bronią, którzy żywili jakąś urazę wobec Piwnicy. Na tę myśl zaschło mu w ustach.

Pielgrzym zaciągnął nieprzytomną Vocek do magazynku i zamknął w środku. Pobiegł korytarzem, trzymając przed sobą pistolet w wyciągniętej ręce. Zza jednych drzwi dobiegły go odgłosy kłótni.

Kidwell pchnął Bena z powrotem na krzesło. Ben czuł, jakby w czasie odpalono mu wirującą petardę. Zobaczył wycelowany w siebie pistolet.

- Zdziwiające, jak kula w kolanie rozwiązuje język.
- Przeszanę wierzyć, że jesteście z Bezpieczeństwa Krajowego - odezwał się Ben - i...

Huknęło. Przez sekundę Ben myślał, że to wystrzelił pistolet Kidwella, ale to kopniakiem otwarto drzwi. Stał w nich potężny mężczyzna z bronią. Celował w Kidwella, który też uniósł pistolet. Mężczyzna strzelił pierwszy. Kidwell upadł z krzykiem, dostał w nogę. Mężczyzna wykopał agentowi broń z ręki. Na twarzy Kidwella malowało się całkowite zaskoczenie.

Olbrzym przyjrzał się Benowi, który siedział na krześle, jakby go do niego przywiązano. Kidwell nie przestawał krzyczeć. Ma rację, kula w kolanie rzeczywiście zachęca do rozmowy pomyślał Ben. Miał ochotę dać sobie po gębie, żeby zacząć normalnie myśleć.

- Gdzie Teach? - zapytał mężczyzna.
- Nie wiem, o czym mówisz. - Ben zmarszczył brwi, jakby tamten bredził.

- Kim jesteś? - spytał mężczyzna Kidwella, który wił się z bólu na podłodze, krew sączyła się mu spomiędzy palców, gdy trzymał się za nogę.

- To agent Kidwell, Bezpieczeństwo Krajowe - wykrztusił Ben. - Prawdopodobnie.

- Gdzie kobieta, którą zabraliście z domu nad jeziorem? Mów albo strzelam. - Mężczyzna stał nad Kidwellem. - Barker pracował dla ciebie? Arabowie?

- Nie wiem... o czym mówisz... - Kidwell zgrzytał zębami; dłoń zaciskał na nodze.

- Ty. Wstań. Pod ścianę. - Mężczyzna wodził bronią za Benem, który wykonywał polecenia.

- Nie widziałem żadnej kobiety - powiedział Ben. - Nie jestem z Departamentu; on mnie tu przywiózł.

Mężczyzna przenosił wzrok z Bena na Kidwella i z powrotem.

- Kim jesteś?

- Ben Forsberg.

Broń zadrżała i na chudej twarzy olbrzyma pojawiło się zdziwienie, jakby Ben przemówił po łacinie.

- Nazywam się Ben Forsberg - powtórzył Ben. I wtedy w panice słowa posypały się z jego ust. - Myślą, że znam jakiegoś płatnego zabójcę, a ja nie znam, nie powinienem być tutaj...

Mężczyzna uciszył Bena, podnosząc pistolet do ust, tak jakby podnosił palec. Zamrugał, jakby się zastanawiał. Wtedy Ben dostrzegł, że tamten nagle podjął decyzję.

- Jestem Pielgrzym. Chodź ze mną. Pomożesz mi jej szukać.

- Nie ma tu... innych więźniów. - Kidwell dźwignął się do pozycji siedzącej i oparł o ścianę, ściskając okaleczoną nogę. - Tylko ten, a ty strzelałeś do oficera federalnego i wdepnąłeś w gówno.

- Szybko sprzątam - powiedział Pielgrzym. - Ty. Chodź ze mną.

Ben nie zamierzał zamieniać Kidwella na tego nowego świra, ale nie miał wyboru. Pielgrzym podbiegł do drugich drzwi, wołając Teach i nasłuchując odpowiedzi.

- Kim jesteś? - zapytał Ben. Pielgrzym nawet na niego nie spojrzał.

- Kimś, kto cię stąd wydostanie.

W połowie korytarza między nimi a pokojem, w którym zostawili Kidwella, otworzyły się drzwi windy.

- Stań za mną - polecił Pielgrzym.

Raport Chalida - Bejrut

Moja rekrutacja miała pewien urok. Nie w fizycznym sensie; nic z tych rzeczy. W ciężkich tygodniach po śmierci braci i ojca zacząłem sobie jednak uświadamiać, że jestem śledzony. A śledził mnie człowiek, którego poznałem jako J.

Z początku bardzo się bałem. Nikogo nie pociągnięto do odpowiedzialności za atak bombowy, a ja zastanawiałem się, czy wrogowie moich braci - obojętnie, czy z kraju czy z zagranicy - mogą obrać mnie za cel. Paranoja to nie jest sposób na zdrowe życie, ale często dostrzegałem J. na targu, kiedy wracałem do domu z uczelni albo od ciotki z matką. J. obserwował nas, śledził. Nie mówiłem nic mamie. Dosyć miała własnych zmartwień.

Podchodzi do mnie w uczelnianej bibliotece. Siada przy stole naprzeciw. Jesteśmy sami.

- Cześć, Chalid. Nic nie mówię.
- Wiem, kto zabił twoich braci i przyjaciół - mówi.

Wpatruję się w podręcznik do analizy finansowej. Tabele i wykresy wirują mi przed oczyma.

- Nie interesuje cię to? - pyta, kiedy cisza staje się nieznośna.

- Interesuje - odpowiadam. Wtedy on mnie zaskakuje.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Bo chcę walczyć z tymi, którzy ich zabili. Chcę, żeby zginęli. Żeby cierpieli.

Przyszła pora zamilknąć.

- Ale sztywniak z ciebie i chudzielec. Chyba się nie nadasz. - J. kładzie płasko ręce na stole.

Zbieram siły.

- Chciałbym się nadać.

- Chodź ze mną - mówi J.

Idę. W ciągu następnych dni pokazuje mi dowód - ślady finansowania, zdjęcia, fotografię tego drugiego Chalida, ze zdeformowaną wargą, leżącego na katafalku.

- Zabiłem go - mówi J. - Płakał, zanim go zastrzeliłem. Nie za bardzo go lubiłem. Nie zdradził swoich przyjaciół, nie chciał z nami współpracować.

Widok trupa nie przynosi mi ulgi, chociaż to on podłożył bombę. To mały trybik w maszynie, którą chcę zniszczyć.

- Mogłeś przekazać te wszystkie dowody policji.

- Nic by nie zrobili - mówi J. - Ty mógłbyś coś zrobić.

- Co?

J. odchyła się na oparcie krzesła, zapala papierosa.

- Przyłączyć się do nas.

- Nie.

Częstuje mnie papierosem, a ja potrząsam przecząco głową.

- Spodziewałem się, że powiesz „tak”.

- Nie jestem głupi.

- Nie, nie jesteś, Chalid. Dlatego zwracam się do ciebie z tą propozycją. Jesteś idealny. Młody, bystry i zmotywowany.

- Co ja w pojedynkę mogę.
- Do tego typu niebezpiecznych zadań czeka w kolejce kilkunastu młodych ludzi.
- Gdzie miałbym jechać?
- Do Ameryki. - J. wypowiada to słowo nieomal z warknięciem.

Waham się z odpowiedzią. Chcę uderzyć w morderców. Chcę dokonać czegoś, aby inna rodzina nie przechodziła przez ten horror. Zakrywam twarz dłońmi. Gdyby tata nie umarł... może powiedziałbym „nie”. Lecz ciężko przeżyłem śmierć braci. Zabójcy moich braci zabili coś jeszcze, nie tylko ich. Wrogów Krwi Ognia jeszcze nie ukarano. A jeżeli odrzucę propozycję J... czy natychmiast stanę się, hm, niebezpieczny dla J. i jego ludzi? Ta myśl mnie paraliżuje.

To naprawdę wielka chwila w moim życiu. Decyzja, czy pomścić rodzinę, czy odejść i być bezpiecznym... ale na tym świecie nigdzie nie jest bezpiecznie.

- Co mam zrobić? - pytam.
- Najpierw? Musisz przedostać się do Ameryki, Chalidzie - mówi J.
- Ktoś mi pomoże?
- Tak. Ale jak cię złapią, nie pomożemy. Nigdy o nas nie słyszałeś. Powiesz coś o nas, to nie ochroni cię amerykańskie więzienie.

Przełykam ślinę. Podejmuję decyzję i kiwam głową.

- Kiedy wyjeżdżam?

Ben Forsberg zobaczył dwóch mężczyzn o zaciętych twarzach, bladych, ubranych w dżinsy i ciemne T-shirty. Jeden miał panoramiczne okulary przeciwsłoneczne, drugi punkową, czarno-białą czuprynę. Ben nie widział broni, aż ten w okularach uniósł pistolet, a drugi karabin.

- Biegiem - nakazał Pielgrzym, wchodząc między Bena a bandziorów i strzelając do nich w biegu.

Ben odwrócił się i ruszył sprintem przez korytarz. W wąskim przejściu huk strzałów zabrzmiał niczym piorun trafiający w ziemię. Kierował się do klatki schodowej na końcu korytarza. Nad drzwiami wisiał napis „wyjście”, i kiedy pędził w tamtą stronę, tabliczka rozpadła się na kawałki za sprawą zbląkaney kuli, która przedziurawiła literę Y.

Kiedy dopadł do drzwi, poczuł przy uchu syk gorącego powietrza. Szarpnął. Zamknięte. Wtedy Pielgrzym odepchnął go i strzelił w zamek, potem otworzył drzwi kopnięciem i wepchnął Bena na schody. Oświetlała je słaba dogorywająca żarówka.

- Stój - powiedział Pielgrzym. - Na dole może być ich

więcej. Na pewno jest ich minimum trzech. Zabiję tych dwóch tutaj.

Dobra, świetnie, zabij tych tutaj. Ben nie mógł uwierzyć w spokój Pielgrzyma. Cofnął się na schody.

- Zastrzelą nas...
- Musimy zejść na poziom zerowy.

Usłyszeli czyjeś błaganie, potem rozległ się huk wystrzału.

Kidwell, pomyślał Ben. Gdzie Vocek? Dwóch strażników? Nie zamierzał stać tu i dać się zastrzelić. Trzeba uciec od tych facetów z bronią. Także od tego.

Nie chce zdradzić swojej pozycji... nie zastrzeli cię. Logika czyni cuda.

Ben odwrócił się i pobiegł do drzwi prowadzących na dach.

- Nie - zasyczał Pielgrzym. - Cholera jasna, wracaj tu. - Lecz Ben wpadł na drzwi, które się otworzyły.

Wybiegł na rozległy betonowy dach. Zapadał zmierzch, słońce zbliżało się ku wzgórzom. Po drugiej stronie dojrzał inne drzwi odgradzone dżunglą przemysłowych transformatorów i urządzeń wentylujących. Obietnica wybawienia z tego koszmaru. Ruszył prosto do nich.

Drzwi się otworzyły.



Pielgrzym nie mógł ochronić tego idioty, skoro ten nie chciał go słuchać. Nie znosił, gdy dostawał polecenie usunięcia kogoś, i już od dziesięciu lat tego nie robił. Upierdliwa robota takie wyciąganie oszalałego cywila żywcem z piekła. Ale musiał utrzymać Bena Forsberga przy życiu. Ponieważ był on najwyraźniej kluczem do zrozumienia, co się, u diabła, tu dzieje, z Teach, Piwnicą i tym atakiem.

Do rzeczy. Dwóch bandziorów na korytarzu. Jednego zostawić przy życiu, żeby powiedział mu, dokąd zabrali Teach.

Zastanawiał się. Klatka schodowa była betonowa, z metalowymi balustradami. Zajrzał w mrok. Szyb klatki schodził w dół sześć kondygnacji i nie było w nim żadnych zagłębień, żadnych wnęk, gdzie można by się ukryć. Zupełny brak osłony.

Jednak schody skręcały. Tam gdzie na półpiętrze się rozwidlały, gdzie prosta, metalowa balustrada dochodziła do betonu.

Mógł się schować za słupkiem, tuż pod półpiętrzem.

Pielgrzym przeszedł nad balustradą, sprawdził, czy sięgnie stopami do balustrady poniżej. Nie. Jeżeli zmieści się w wyrwie, głowa i ramiona będą mu wystawać; tamci rozwalą go w kilka sekund. Ale jeżeli będzie trzymał się balustrady jedną ręką...

Sprawdził ten pomysł. Odslonięte miał jedynie palce wczepione w metalowy słupek. Glocka trzymał w prawej ręce; nie widział półpiętra, ale napastnicy, jeżeli wejdą, będą stać dokładnie tak - wyobraził sobie ich pozycje - i zawołał histerycznie po arabsku:

- Poddaję się, rezygnuję, rozejm, porozmawiajmy!

Będą wiedzieli, że jest na półpiętrze, i zanim wejdą do środka, wszystko ostrzelają.

Usłyszał kopnięcie w rozwalone drzwi, grad kul trafił w miejsce, gdzie stałby człowiek. Gdyby zobaczyli jego palce trzymające dolny odcinek słupka, po prostu roztrzaskaliby mu kości i wtedy by spadł. Na klatce zapadły ciemności, gdy rozwalono oświetlenie.

Strzały ustały.

Pielgrzym uniósł lufę ponad krawędź półpiętra i ustawił pod kątem obliczonym na trafienie w kolana, a następnie opróżnił magazynek. Krzyki rannych odbiły się echem. Puścił słupek, gdy kula trafiła w balustradę. Krzyki ucichły.

Wylądował, uderzając w balustradę poniżej; odbił się i spadł na schody niczym niezdarne kot.

Wstał z trudem, wyciągnął pistolet, który odebrał Kidwellowi, i pobiegł na półpiętro. Blond punk leżał martwy z poszarpanym brzuchem i dziurą w miejscu serca. Ten w tanich okularach oberwał w pierś i pachwinę. Jedną dłoń zaciskał na dzinsach, na ranie tryskającej krwią, a drugą sięgał po pistolet blondyna.

Pielgrzym przestrzelił mu dłoń i mężczyzna wrzasnął.

- Gdzie jest kobieta, którą porwaliście? - zapytał. Mężczyzna zaklął, a Pielgrzym odpowiedział po arabsku:

- Sprowadzę lekarza i obiecuję ochronę, jak mi powiesz.

- Nie żyje! - krzyknął mężczyzna. Podciągnął kolano do zakrwawionego krocza.

- Nie porywaliście jej, żeby ją zabić. Gdzie ona jest?

Wymamrotał odpowiedź, skręcając się z bólu.

- Dla kogo pracujesz?

Jedno ze szkieł w okularach było rozbite i przypominało wpatrzone w Pielgrzyma puste oko. Mężczyzna skrzywił się i zmarszczył czoło, a następnie wyzionął ducha.

Wtedy na dachu zagrzemiał wystrzał. Pielgrzym przypomniał sobie o kimś, kogo musiał utrzymać przy życiu.



Drzwi na dach się otworzyły, Ben wyskoczył i schował się za najbliższym transformatorem. Ukrył się, zanim ten, kto przeszedł przez drzwi, zamknął je.

Ben kuczał przy metalowej obudowie transformatora i próbował oddychać bezgłośnie. Nasłuchiwał, któredy idzie przeciwnik. Zamiast tego słyszał odgłosy zwykłego świata: hamujące samochody, muzykę z pobliskiego festynu, klaksony, syk klimatyzatorów.

Wtedy usłyszał czyjeś kroki. Blisko. Jakby myśliwy zwięszął Bena wydzielającego woń strachu.

Ben nie miał broni, tylko ubranie, buty, pasek. Ostrożnie wysunął pasek ze spodni. Schwycił go mocno za koniec bez sprzączki. Srebrna klamra nie była ciężka, ale zaboli, jeżeli trafi w twarz, nos albo usta.

Będzie walczył z mordercą za pomocą paska? Idiotyzm. Starał się opanować drżenie.

- Nie ciebie chcę - rozległ się głos z obcym akcentem.

Ben się nie poruszył. Nie było sensu... ten mężczyzn wiedział, gdzie jest. Nie wiedział tylko, czy Ben ma broń, i raczej chciał go sprawdzić, niż z nim walczyć.

- Powiedz mi, gdzie jest Pielgrzym, a daruję ci życie. Nie mam nic do ciebie. Jego chcę. Zabił moich kuzynów.

Mężczyzna obszedł transformator, w rękę trzymał ciężki pistolet. Ben zamachnął się paskiem nad głową z taką siłą, jakby to była siekiera. Sprzączka uderzyła w kość nadgarstka, pocisk trafił w ziemię, tuż obok stopy Bena.

Mężczyzna - Ben zauważył ciężkie ramiona, znamię na brodzie, obnażone zęby - instynktownie chwycił się za nadgarstek, bardziej z zaskoczenia niż z bólu, i Ben wpadł na niego, zanim tamten zdążył unieść broń na wysokość jego piersi.



Pielgrzym biegł schodami na dach. Strzał prawdopodobnie oznaczał śmierć Bena Forsberga. Jezu, potrzebował kogoś żywego, kto by mu powiedział, co się dzieje. Przeszedł drzwiami pochyłony, z wyciągniętym pistoletem, i zobaczył w połowie dachu Bena siłującego się z jakimś mężczyzną. Napastnik próbował strzelić Benowi w głowę, ale Ben walczył z całych sił, choć niezbyt dobrze, kierując pistolet przeciwnika w górę. Jednak wkrótce zaczął przegrywać.

Pielgrzym uniósł pistolet, celując w ramię napastnika.

Wtedy tamten zauważył Pielgrzyma i uderzył Bena głową. Jednak Ben nie zwolnił chwytu, chociaż padał na plecy, a wielki mężczyzna przewrócił się na niego. Obaj zniknęli za transformatorem.

Pielgrzym pobiegł w to miejsce. Bandzior zacisnął grube ramię na szyi Bena i wymierzył pistolet w jego skroń. Trzymał Bena jak tarczę. Pielgrzym wycelował w głowę mężczyzny.

- Porozmawiajmy - powiedział po arabsku.
- Stój, bo go zabiję - odparł napastnik po angielsku.

Pielgrzym wzruszył ramionami.

- Zabij go. Co mnie to obchodzi.

Napastnik wycofał się w stronę drugich drzwi, ciągnąc za sobą Bena.

- Jak będę musiał, będę strzelał przez Bena - rzekł Pielgrzym.

- Nie! - krzyknął Ben.
- No to już, cwaniaku - odrzekł napastnik.
- Ale ty możesz żyć, jeżeli powiesz mi, kto zabrał kobietę z domu nad jeziorem. Gdzie ona jest?
- Wszedłeś na dach, żeby uratować tego człowieka, więc chcesz, aby żył.
- Nie pozwól mu... - zaczął Ben, ale napastnik zacisnął chwyt i Ben zsiniał na kilka chwil. Zamilkł.

Pielgrzym wzruszył ramionami.

- Zastrzel go - powiedział. - Ciągłe mi przerywa. - Gdyby tylko Ben Forsberg był na tyle odważny albo głupi, żeby walczyć, żeby wyrwać się i uciec, wtedy Pielgrzym mógłby strzelić napastnikowi w kolana i wyciągnąć potrzebne informacje. - Zabiłem wszystkich, których na mnie dzisiaj nasłaliście. Ale tobie pozwolę odejść, tylko powiedz, gdzie ona jest.

Ben milczał, ale Pielgrzym zobaczył w jego oczach, że wściekłość zaczyna dominować nad strachem. Jeżeli Ben zdecyduje się na walkę, to będzie ciekawe. Przygotuj się, pomyślał.

- Żeby się stąd wydostać, musisz jedynie ze mną porozmawiać - powiedział Pielgrzym.

Minęło dziesięć sekund, które ciągnęły się jak dziesięć dni.

- Ta kobieta jest w srebrnym vanie, dwie przecznice stąd. Z Irlandczykiem.

- Nie. Zabiłem Irlandczyka.

- Załatwiłeś innego. Jego brata.

- Jak ma na imię?

- Jackie.

- Dla kogo ty i on pracujecie?

Napastnik potrząsnął głową.

- Dostyc ci już powiedziałem. Otwieraj drzwi, ośle. - Przekreślił lekko Bena. Nie miał wolnej ręki; musiałby puścić Bena albo broń, z której celował w Pielgrzyma, więc obrócił Bena w stronę drzwi, aby ten mógł chwycić klamkę.

Głowa przy głowie, ale nagle pojawił się fragment skroni bandziora i Pielgrzym nie zmarnował okazji. Pocisk przebił skórę, kość i roztrzaskał mózg. Napastnik zwiotczał, Ben wraz z nim osunął się na kolana.

Pielgrzym ruszył do leżącego napastnika z wyciągniętym przed siebie pistoletem, aby upewnić się, że facet nie żyje.

Ben sięgnął po pistolet nieboszczyka i wycelował w Pielgrzyma.

- Hej, halo - powiedział Pielgrzym. - Właśnie uratowałem ci życie. Sam osobiście.

- Dobrze, dziękuję. Doceniam to. - Ben nie puszczał pistoletu, ale był słaby i zdenerwowany.

- Odlóż broń.
- Nie. Wychodzę stąd. Ty zostań. Zamierzam zejść na dół i wezwać policję... - Pistolet zaczął drżeć mu w dłoni.
- A oni przekażą cię Departamentowi Bezpieczeństwa Krajowego - oznajmił Pielgrzym. - Podejrzewają, że jesteś zamieszany w zabójstwo Adama Reynoldsa. Znaleźli twoją wizytówkę w kieszeni u Nicky'ego Lyncha. Rozumiesz?

Ben ścisnął pistolet, ale ręka mu drżała. Wszystkie zakończenia nerwowe kazały mu uciekać, znaleźć się jak najdalej od tego koszmaru. Nie mógł jednak wykonać najgłupszego ruchu. Nie teraz. Musiał poznać prawdę o minionym dniu, jeżeli miał oczyścić swoje nazwisko.

- Kim jesteś?

W oddali rozległy się syreny. Nadjeżdżała policja. Pielgrzym opuścił pistolet i uniósł dłoń.

- Mogę odpowiedzieć na twoje pytania, a ty odpowiesz na moje. Pomożemy sobie nawzajem. Ale nic z tego nie wyjdzie, jeżeli obaj zostaniemy aresztowani, a tak właśnie będzie za pięć minut, jak się stąd nie ruszymy.

- To wszystko jest jedną wielką pomyłką.

- Tak, jest, ale nie jedną, tylko dwoma. Wrobiono nas w wyrafinowany sposób, ciebie i mnie. Tutaj mieliśmy obaj wpaść. Obu nas wmanewrowano.

- Nie rozumiem.

- Pracuję dla rządu, ale nie mogę iść na policję. Ty też nie. Jeszcze nie. Dopóki nie dowiemy się, kto nas wrobił, kto próbował mnie zabić. Ta Teach, której szukam, to moja szefowa. I ten, kto ją porwał, wrobił też ciebie i kazał mnie zabić.

- Musimy iść na policję.

Syreny były coraz bliżej. Ktoś usłyszał wystrzały pomimo szumu nocnego życia.

- Policja ustąpi Departamentowi Bezpieczeństwa Krajowego, specjalnej grupie Kidwella. Chcesz, żeby kolega Kidwella znowu zaczął cię obijać?

- Nie...

- To chodź ze mną. Już. Musimy się dowiedzieć, kto nas wystawił i dlaczego. Później, jak będziesz chciał odejść i rozmawiać z policją, droga wolna. Ale teraz musimy uciekać.

- Jak uciekniemy, to będzie gorzej wyglądać.

- Tym się nie przejmuj, martw się rzeczywistością.

Syreny stawały się coraz głośniejsze. Ben podał mu broń. Zbiegli schodami na ostatnie piętro.

- Vocek - powiedział Ben. - Z Kidwellem jest kobieta...

- Uśpiłem ją i zamknąłem w schowku. Powinna być bezpieczna. Chyba jej nie znaleźli. - Zatrzymali się przed pokojem, w którym leżał Kidwell. Nie można było nic zrobić. Strzelono mu w głowę.

- Wypuśćmy Vocek.

- Policja to zrobi. Nic jej nie będzie.

Chwycił Bena za ramię i popędzili korytarzem. Zbiegli schodami na parter.

Korytarz był pusty, jeśli nie liczyć strażnika, którego trafił Pielgrzym. Mężczyzna leżał martwy, dwie kule trafiły za uchem. Drugi strażnik leżał nieżywy przy zamkniętych tylnych drzwiach, z otwartymi oczyma i dwiema kulami w twarzy.

- Jezus Maria - powiedział Ben.

- Ci bandyci przyszli tu zabić wszystkich - rzekł Pielgrzym. Odwrócił się do Bena. - Słuchaj. Ten Jackie może czekać na zewnątrz, żeby zabić każdego, kto wyjdzie. Pochyl się i idź za mną, a jak mnie zastrzela, biegnij.

Ben skinął głową.

- A jak mnie zastrzelą?
- Wtedy ja będę uciekał - odparł Pielgrzym.

Po drugiej stronie budynku syreny zaakcentowały swoje przybycie. Pielgrzym i Ben podbiegli do ogrodzenia z siatki i przeszli przez bramę.

- Chodź. - Chwycił Bena za ramię i pobiegli Drugą Ulicą. Dwie przecznice dalej miał stać van z Teach, tak mówił tamten bandzior. Może kłamał. Pielgrzym lustrował kondygnację garażu - jeżeli Jackie Lynch tam się zatrzymał, to natkną się na trzech uzbrojonych ludzi. Jackie Lynch wiedział, jak wygląda Pielgrzym, mógł właśnie teraz obserwować jego i Bena, widział, że się zbliżają, i zdawał sobie sprawę, że jego ludzie się martwią.

- Możemy nie dotrzeć do samochodu. Wtedy będziemy musieli jakiś ukraść.

- Ukraść samochód. Żartujesz? Nie zamierzam kraść.

- No to pożyczyc. Obmacamy zderzaki. - Mówił do Bena z całkowitym spokojem, myśląc: Niech się martwi czymś innym, nie tym, że go zastrzelą. - To łatwe; w małych magnetycznych skrzynkach, ukryte są zapasowe kluczyki. - Kiedy przedzierali się przez tłum, wylewający się z barów, Pielgrzym zwolnił.

- Co zrobimy? - zapytał Ben. Już się trochę uspokoił.

- Zostawię cię w samochodzie, poczekaasz na mnie, a ja poszukam szefowej.

Przepychali się przez tłum, pokonali dwa kwartały, a potem wbiegli na parking. Weszli po schodach na piętro, gdzie Pielgrzym zostawił volvo.

- Czekaaj tu - polecił Benowi i wszedł między rzędy samochodów, unosząc pistolet. Panował spokój. Pielgrzym oglądał zaparkowane pojazdy. Ani śladu srebrnego vana.

Wiele stanowisk było zajętych: albo ludzie pracowali do późna, albo przyjechali na festyn. Nie widział jednak, aby ktokolwiek wychodził albo kierował się do samochodu.

Skradzione volvo stało tam, gdzie je zostawił. Pielgrzym odwrócił się w stronę schodów i dał znak, że wszystko w porządku.

Zobaczył, że drzwi się zamykają. Ben Forsberg zniknął.

Ben zbiegał betonowymi schodami. Musiał uciekać od tego wariata, znaleźć policjanta i powiedzieć mu wszystko. Tak, może z powrotem trafi w ręce wariatów z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, ale był świadkiem morderstwa i nie zamierzał kraść samochodu ani uciekać przed policją. Gdy padły słowa: „Ukraść samochód”, poczuł się, jakby mu kto kubel zimnej wody wylał na łeb i od razu otrząsnął się z szoku. Nie było to jednak odpowiedzialne działanie. Musiał się zastanowić, dbać o reputację, a ta przerażająca noc nie określi go na nowo jako człowieka. Gdy tylko znajdzie adwokata, świat na powrót znormalnieje. Sam Hector ze swoimi znajomościami w rządzie pomoże mu odzyskać dobre imię.

Pewnie szybciej dotrze na parter schodami niż Pielgrzym samochodem.

Usłyszał, jak nad nim trzaskają drzwi prowadzące na klatkę schodową.

- Ben!

Uciekaj.

Ben zrezygnował ze schodów... były puste. Pielgrzym mógł do niego strzelić albo go dogonić; ten facet najwyraźniej miał duże doświadczenie w tej robocie. Ale na któregoś

kondygnacji mogą być ludzie. Obsługa. Imprezowicze. Ktoś, kto mu pomoże.

Uderzył w drzwi. Drugi poziom był pusty. Żadnych ludzi, tylko samochody na większości stanowisk.

Skierował się do przeciwległej klatki schodowej. Uciekaj jak najdalej, powtarzał w duchu, biegnij, biegnij, biegnij...

Pochyłością między nim a schodami przemknął van. Ben uniósł ręce, wzywając pomocy, a wtedy van skręcił i skierował się z rykiem w jego stronę. Za przednią szybą Ben zobaczył młodego człowieka o łagodnej twarzy, z pozlepianymi w strąki ciemnymi włosami.

Van się nie zatrzymywał. Przez okno od strony kierowcy chłopak nagle wystawił rękę i Bena oślepiło czerwone światło. Ale wcześniej zdążył zauważyć, że chłopak trzyma pistolet.

Srebrny van, tak powiedział bandzior na dachu.

Ben rzucił się między saaba a bmw. Huknął strzał i kula roztrzaskała okno w bmw. Hamulce vana zapiszczały. Ben nie schował się pod sedana; przetoczył się pod SUV-a zaparkowanego obok, gdzie olejem poplamiał koszulę i spodnie, starał się zachowywać jak najciszej.

Nie miał dokąd uciekać, dokąd biec. Chłopak mógł po prostu wysiąść z samochodu, pochylić się, uśmiechnąć do Bena i posłać mu kulkę.

Ben czekał, aż usłyszy otwieranie drzwi vana. Ale zamiast tego padły strzały.



Pielgrzym wyskoczył z klatki schodowej - dostrzegł, jak Ben zbiega schodami i napiera na drzwi prowadzące na drugi poziom - widział też, jak Ben ucieka przed vanem, widział czerwoną wiązkę celownika laserowego szukającą

celu, potem pocisk rozbił tylną szybę samochodu w miejscu, gdzie moment wcześniej stał Ben.

Van. Jackie Lynch. Teach była w vanie, jeżeli bandzior mówił prawdę.

Wiązka laserowa przeskoczyła na Pielgrzyma, zaskoczyła go między klatką schodową a zaparkowanym samochodem.

Padły strzały i Pielgrzym się wycofał; poczuł, jakby ktoś rozpalonym żelazem uderzył go w bark. Zatoczył się i nie trafił w drzwi, w tym momencie Jackie wychylił się przez okno, aby dokładnie wymierzyć i skończyć robotę.

Cofał się na ślepo, nie mając gdzie uciekać, zdesperowany przeskoczył szczupakiem betonowy murek. Spadał w pustkę. Zastanawiał się, jak tu jest wysoko. Przez ból nie pamiętał.



Teraz van, nabierając gwałtownie prędkości, minął kryjówkę Bena.

Facet mógł go z łatwością zabić, dlaczego uciekał?

Bo właśnie zastrzelił tego, kogo szukał. Pielgrzyma.

Ben wyczołgał się spod SUV-a. Kule podziurawiły ścianę nad drzwiami prowadzącymi na schody, na murku widniała plama krwi. Tam prawdopodobnie zatrzymał się Pielgrzym, gdy go gonił.

Ben zaczął biec do drugiej klatki schodowej. Usłyszał pisk hamulców. Zatrzymał się. Tam mógł leżeć Pielgrzym. Martwy, umierający.

Oparł się o zaparkowanego pick-upa. Losy jego i Pielgrzyma były w jakiś sposób ze sobą związane, za sprawą morderstwa Adama Reynoldsa i wplątania w nie Bena. „Mogę odpowiedzieć na twoje pytania - powiedział Pielgrzym - a ty odpowiesz na moje. Pomożemy sobie nawzajem”. Jeżeli Pielgrzym zginął, pewnie nigdy nie udowodnię

swojej niewinności, pomyślał. Departament Bezpieczeństwa znowu mnie będzie prześladował, zniszczy mi reputację, a prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. Pielgrzym przypuszczalnie zna powody, dla których Ben stał się celem, a jego życie zostało zrujnowane.

Pielgrzym uratował go przed Kidwellem, później przed bandziorem na dachu.

Ben podbiegł do betonowego murku i spojrzął w dół. Pielgrzym leżał półtora piętra niżej pośród zgniecionych ostrokrzewów; poruszał rękami oszołomiony, ranny, lekko unosił głowę.



W połowie zjazdu na parter grupa studentów, śmiejąc się, wsiadała do swoich samochodów; dyskutowali, który klub odwiedzić. Jackie domyślił się, że nie słyszeli odgłosów stłumionych strzałów albo przypisali huk odgłosom z festynu. Wcisnął hamulec, aby na nich nie wpaść. Opuścił szybę.

- Ruszcie się, do cholery!
- Hej! Grzeczniej, gościu - wycedził chłopak w jego wieku siedzący w jednym z samochodów i obdarzył go uśmiechem. Jackie miał ochotę ich wszystkich zabić, ale samochody były pełne, w każdym siedziało sześć osób, trwałoby to zbyt długo.

- Proszę - powiedział Jackie. - Przepraszam, że krzyczałem. Strasznie się spieszę. Przesuńcie się.

- Widzisz, trochę grzeczności nie zawadzi - rzucił pyskаты. Samochód przesunął się na tyle, by Jackie mógł przejechać.

Jackie podciągnął nogawkę, z pochwy wyciągnął stalowy nóż o dwudziestocentymetrowym ostrzu. Jeżeli Pielgrzym leżał ranny na ziemi, załatwi go nożem. Po cichu i bez

przyciągania uwagi; nożem Jackie posługiwał się sprawnie - w małym pokoju w Dublinie w niecałe trzydzieści sekund zabił ze czterech dealerów, którzy spóźniali się z płaceniem za towar. Nicky, naprawię to, pomyślał.



Ben zbiegał schodami, trzymając się poręczy. Wpadł przez drzwi i chłodne, nocne powietrze owiało jego brudną i zakrwawioną twarz. Skręcił za róg, gdzie Pielgrzym próbował wstać. Krwawił z postrzelonego ramienia.

- Chodź. - Ben zarzucił sobie rękę rannego na kark. Pielgrzym był z piętnaście centymetrów wyższy od niego i dużo cięższy. Ranny oparł się mocno o niego. Nie mogli biec ulicą; van zjawił się tu w ciągu kilku sekund, a strzelec w samochodzie zamierzał zabić Pielgrzymą.

- Dostałem...

- Wiem, chodź, chodź. - Ben dźwignął go, na wpół ciągnął, na wpół niósł z powrotem na parking. Musieli się ukryć. Natychmiast. Inaczej maniak w vanie załatwi ich obu.

Trzasnęła drewniana balustrada po drugiej stronie parkingu. Pobiegli do windy, Pielgrzym syczał z bólu. Ben nacisnął guzik. Drzwi rozsunęły się natychmiast i obaj wpadli do środka.

Ben dźwignął się na kolana i powcisnął guziki. Z rykiem zbliżał się samochód. Źle zrobili, znaleźli się w pułapce. Zaciągnął Pielgrzymą w odległy róg kabiny, gdzie nie byłoby ich widać.

Drzwi windy się zamknęły, gdy van przemknął obok i wyjechał na ulicę, omiatając światłami rozgniecione krzewy i pusty chodnik.



Pielgrzyma nie było. Jackie Lynch objechał garaż dwukrotnie, zaglądając do wjazdów, oświetlając reflektorami ulice, pary i samotników zmierzających do restauracji i nocnych klubów. Po rozgniecionych krzewach poznał, gdzie upadł Pielgrzym... ale nie było go tam. A to oznaczało, że nie odniósł poważnych ran i uciekał.

Jackie zawrócił, aby wjechać z powrotem do garażu, ale spory tłum pieszych - uczestników festynu, jak się domyślał - wlewał się do środka, gdyż znowu zaczął padać lekki deszcz. Teraz za dużo ludzi; za dużo świadków.

Może tamci nie schowali się w garażu.

Przejechał tam i z powrotem pobliskimi ulicami, narastała w nim wściekłość. Lustrował tłum w poszukiwaniu kulejacego, zakrwawionego mężczyzny.

Nicky nie przeoczyłby go, nie z takiej odległości. Do diabła, pomyślał, zrzucił Nicky'ego z tego piedestału. Spudłował, kiedy należało za wszelką cenę trafić.

Zadzwoił telefon. Jackie położył nóż na siedzeniu i włączył komórkę.

- Zдай raport - odezwał się Sam Hector. Cholera.
- Nie żyją, oni wszyscy nie żyją... - zaczął Jackie.
- Lepiej mów o Forsbergu i Pielgrzymie. Nazwisko Forsberg nie mu nie mówiło.
- Nie, chodzi mi o twoich cholernych arabskich najemników - powiedział. - Wszyscy nie żyją. Pielgrzym ich zabił.
- Tylko ty zostałeś? - Hector nie okazywał żadnych emocji; przez to żelazne opanowanie Jackie jeszcze bardziej go znienawidził.

- Tak, zamierzam znaleźć tego gnoja i zabić go... Zniknął, oberwał, ale przepadł, uciekł.
- Wyoś się stamtąd. Natychmiast. Przywieź do mnie Teach. Prześlę ci wskazówki na telefon.
- Ale Pielgrzym jeszcze...
- Rób, co mówię albo ci nie zapłacę.

Może po prostu zatrzymam tę kobietę, zobaczymy, jak ci się to spodoba, pomyślał ogarnięty furią Jackie. Sam Hector byłby jednak niezwykle niebezpiecznym wrogiem. Lepiej zawieźć mu tę kobietę. Wziąć pieniądze. A potem zobaczyć, czy można jakoś wykorzystać Hectora, aby odnaleźć tego skurwiela Pielgrzyma.

Jackie jechał aż do znaku IH-35 i znalazł zjazd do Dallas. Cztery godziny drogi na północ. Zostawiał miasto, w którym zginął jego brat, i po raz pierwszy zastanawiał się, co stanie się z ciałem Nicky'ego, gdzie będzie pochowane, jak przewiezie je do domu, do Irlandii Północnej. Podejrzał, że nie da rady. Zaczął drżeć, ale nie z żalu, tylko z wściekłości.

Dzisiaj wszystko miało przebiegać inaczej.

Kilka przecnic na zachód volvo kombi przedzierało się przez tłumy.

- Ból to nic takiego - wyjęczał Pielgrzym. - To przyjacieli. Jeżeli nie czujesz bólu, oznacza to, że nie żyjesz.

- Ból podpowiada ci, że potrzebujesz lekarza. - Ben jechał na wschód Szóstą Ulicą, kierując się poza śródmieście. Co jakiś czas spoglądał w lusterko wsteczne, chciał mieć pewność, że nikt ich nie śledzi. Skręcił ostro, jechał na północ przez jakiś czas, potem znowu skręcił na wschód. Szpital Brackenbridge znajdował się na Wschodniej Piętnastej... dotrze tam w ciągu paru minut.

- Żaden lekarz. Żaden szpital. - Pielgrzym zgrzytał zębami.

- Nie bądź głupi. Jesteś ranny.

- Nie. Mam szczęście. Nigdy wcześniej mnie nie trafili. Nigdy nie wypadłem z budynku. Co za popieprzony dzień.

- Wiozę cię do szpitala.

- Nie. Nie mogę. Znajdziemy się w punkcie wyjścia. Trafisz do aresztu, a ja... Za bardzo boli, jak mówię. Jedź. - Pielgrzym przycisnął mocno pięść do ramienia. - Agent federalny groził ci bronią, a płatny morderca miał w kieszeni

twoją wizytówkę, kolejny próbował odstrzelić ci głowę. Nie powinienesz rzucać się w oczy.

- Mimo to zabieram cię do szpitala.
- Jak chcesz przeżyć, jedź do Dallas. Jeśli stracę przytomność, weź mnie do taniego motelu i poszukaj apteczki.
- Apteczka. Do rany postrzałowej.
- I jakieś narzędzie, żeby wyciągnąć kulę. Nie zapomnij.
- Nie będę ci wyciągał kuli. Bądź rozsądny. - Wjechał na parking przed szpitalem. Neon nad izbą przyjęć wskazywał drogę.

Pielgrzym chwycił kierownicę.

- Nie. Błagam. Proszę. Jak mnie tu zaprowadzisz, obaj zginiemy.

Ben zawahał się, gdy wjeżdżał pod daszek przed wejściem.

- Ukatrupią nas na sto procent. Musimy dostać się do Dallas.

- Dlaczego do Dallas?
- Bo zapalki, które znalazłem przy bandziorze, pochodzą z restauracji w Dallas; Barker mnie zdradził, a adres na prawie jazdy też jest w Dallas. To są moje jedyne ślady. Ten strażnik, którego sprzątnąłem, miał w kieszeni odznakę Hector Global. Po drugiej stronie był adres z Dallas.

Ben mocniej chwycił kierownicę.

- Strażnicy nie byli z Departamentu?
- Nie. Myślę, że firma Hectora jest powiązana z tym całym bałaganem.

Ben przełknął ślinę.

- Sam Hector... jest właścicielem Hector Global, to mój klient. Jeden z moich najlepszych przyjaciół. Nie mieszałby się w nic nielegalnego ani pokątnego. Niecałe trzy godziny temu z nim rozmawiałem...

Pielgrzym wpatrywał się w niego.

- Cholerny zbieg okoliczności... nasz przyjaciel Kidwell powinien mieć ochronę złożoną z agentów Departamentu, nie najemników.

Wyszło dwóch sanitariuszy i zmierzało w stronę volva.

- Ben, proszę, nie możemy tu zostać. Jedź!

- Hector Global musi mieć umowę z grupą Kidwella... Sam może nam pomóc, powiedzieć, co się dzieje...

- Może. - Pielgrzym oparł się o drzwi, naciskając na ranę. Jeżeli naprawdę jest twoim przyjacielem, dobrze, poprośmy go o pomoc. Ale nie tutaj. Jedź do Dallas, Ben, proszę.

Jakiś samochód za nimi zatrafił i Ben wycofał się na parking. Skręcił na wschód w Piętnastą Ulicę, a potem skierował się na północ IH-35 do Dallas.

- To twój pierwszy mądry ruch.

- Robię to tylko dlatego... Kidwell sugerował... – Ben przelknął. - Dwa lata temu zabito moją żonę. Zamordowano. Podczas podróży poślubnej. Została zastrzelona. To był przypadek.

- Cholera. Paskudnie. Przykro mi.

Nigdy nie usłyszał bardziej szczerych kondolencji niż to współczucie wyrażone w ten dziwny, niezdarny sposób. Większość ludzi nie mówiła więcej niż „Przykro mi”. Inni wypowiadali coś tak przerażającego jak: „Przynajmniej nie cierpiała” albo „Jesteś młody, znowu się ożenisz”. Większość nie mówiła nic, co było jeszcze gorsze, jakby Emily nigdy nie istniała.

- Kidwell sugerował, że to ja ją zabiłem. Jakbym miał do czynienia z płatnymi zabójcami takimi jak Nicky Lynch.

Pielgrzym obserwował, jak samochód połyka drogę; oddychał rytmicznie, aby zapanować nad bólem. Minęło kilka minut. Ben przerwał milczenie.

- Zadzwońię do Sama. Hector Global to duża firma. Sam może nawet nie wiedzieć, że jego ludzie pracują dla Kidwella. Mógłby nam powiedzieć, kim jest Kidwell.

Pielgrzym poruszył się lekko.

- Zawrzyjmy umowę, Ben.

- Słucham.

- Mogę pomóc oczyścić twoje imię, ale tylko pod warunkiem, że ty mi pomożesz.

Ben się zastanawiał.

- Co ma mnie powstrzymać przed bezpośrednią jazdą na policję? Zmuszą cię do mówienia.

- Gdyby złapała mnie policja, przekażą mnie rządowi i już więcej mnie nie zobaczysz... a na tobie ciążą najgorsze podejrzenia. Oficjalnie nie istnieję. Gdyby mnie złapali, nie mógłbym ci pomóc. Przejdziesz piekło, jeśli zechcesz się oczyścić. Może nigdy ci się nie udać. - Spoglądał przez okno, na mijane przedmieścia wokół Round Rock, czekając, aż jego słowa dotrą do Bena.

Benowi na tę myśl aż się zjeżyły włosy. Już wcześniej, po śmierci Emily, był głównym podejrzanym.

- Więc kim jesteś? Agentem rządowym czy tajniakiem?

- Dziwnym tworem.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie powiem ci, co robię, dopóki mi nie pomożesz. Potrzebna mi twoja pomoc, Ben, proszę cię.

- Dlaczego mnie? Czemu doszło do tego wszystkiego?

- Mogę zaryzykować i zgadywać. Twoja żona.

- Nie...

- Ben. Byłeś podejrzanym o morderstwo, tak? To byłoby naturalne.

Gardło mu się ścisnęło i zakaszłał.

- Krótko. Ale policja mnie oczyściła.

Z podróży poślubnej musiał lecieć sam do Dallas. To było straszne. Jej ciało spoczywało w luku bagażowym. Później wrócił do ich wspólnego domu. Jej rodzice, wstrząśnięci, pełni bólu, obwiniali go, bo świat był okrutny i kapryśny, nie powitali go na lotnisku. Sam Hector był w delegacji i nie mógł wrócić na czas. W ciągu kilku następnych kilku dni Ben uświadomił sobie, że Dallas dla niego umarło, więc przeniósł się z powrotem do rodzinnego Austin, gdzie mniej szeptano po kątach na jego temat.

- Jeżeli ktoś chce kogoś wrobić, człowieka, który kiedyś był podejrzany, jest o wiele łatwiej wystawić policji i mediom.

- Ale dlaczego ja...

- Wyjaśnię ci, dlaczego zostałeś wrobiony. Tylko posklejaj mnie i dowieź do Dallas. - Słowa zginęły w bełkocie, oczy Pielgrzyma zasnuła mgła. - To czysty układ. Ufam ci, Ben. Umowa stoi?

- Tak. Daję ci słowo - odparł Ben. - Umowa stoi.

- Muszę napić się wody.

Ben skręcił w następny zjazd i podjechał do stacji benzynowej. Wszedł do środka. Kupił dwie butelki wody. Wrócił pospiesznie do samochodu i otworzył butelkę dla Pielgrzyma, następnie patrzył, jak pochłania wodę.

- Mogłem wcześniej podać ci wodę. Przepraszam. Nie umiem opiekować się rannymi.

Ben wrócił na autostradę.

- Poszukam Wal-Martu, a potem motelu, obmyję cię i zatamuję krwawienie.

- Dzięki.

- Mogę użyć karty kredytowej? Policja albo Departament będą mnie szukać? Kidwell powiedział, że zamrozi mi konta.

- Ja mam kartę, z której możemy skorzystać - powiedział Pielgrzym i zaśmiał się. - Umiesz podrobić podpis?
 - Hm, nigdy nie próbowałem.
 - Zaufaj mi. To łatwe. Wyglądasz na zdolnego. - Pielgrzym osunął się na drzwi, powieki miał na w pół przyknięte. - Nie jestem w dobrej formie...
- Ben przyspieszył na autostradzie.

Jackie Lynch miał obolałe gardło od śpiewu. Zepsute radio w vanie trzeszczało, a on nie potrafił znieść ciszy, więc śpiewał, powoli, niskim głosem, cały album Johnny'ego Casha *At Folsom Prison*. Nicky najbardziej lubił tę nową wersję. Jackie zaczął od *Folsom Prison Blues*, potem wyśpiewał pozostałe osiemnaście lirycznych kawałków. Znał wszystkie, ale przy ulubionych fragmentach Nicky'ego trudno mu było skończyć, połączyć słowa. Zaśpiewał cały album w godzinę, słuchał ciszy przez pięć minut, a potem zaczął śpiewać na nowo, jakby był zepsutą szafą grającą skazaną na ciągłe odtwarzanie tych samych dźwięków. W brzuchu zaczęło mu burczeć, gdy dojeżdżał do małego miasta, Hillsboro, półtorej godziny drogi na południe od Dallas. W Hillsboro znajdował się duży sklep dyskontowy oraz spora sieć barów fastfoodowych i stacji benzynowych. Doszedł do wniosku, że nikt na niego nie zwróci uwagi w tłumie. Jackie nie mógł znieść tego, że głód go do czegoś zmusza; przypominał mu, że żyje, a Nicky nie.

Kupił sobie obiad w McDonalddie dla zmotoryzowanych, zerkając na Teach leżącą z tyłu vana twarzą w dół. Przyglądał się jej ze szczerą nienawiścią. Nie kupił dla niej jedzenia,

gdy się przebudziła - niech suka głoduje, co go to obchodzi.

Zajechał w odległą część parkingu, aby zjeść hamburgera z frytkami. Popijał łąpczywie colę, aby ochłodzić gardło, i wgryzł się w hamburgera. Nie mógł przestać myśleć o Nickym. Powinni jeść homary i steki, pić drogie wino, cieszyć się z wykonanego zadania, które jeszcze bardziej rozślawi ich imię. Teraz jadł sam, bo Nicky nie żył, i na tę myśl twarz wykrzywił mu ból.

Jackie odłożył hamburgera i frytki na siedzenie pasażera. Polały się gorące łzy, więc pochylił głowę na kierownicę, a przed oczyma przepływały mu radosne obrazy. Jak Nicky uczy go jeździć na rowerze, bo tata wiecznie zajęty był przesłuchaniami i spotkaniami; jak Nicky pokazuje mu, jak kopać piłkę, jak strzelać z półautomatu, jak ciąć nożem, aby za pierwszą próbą otworzyć tętnicę szyjną. Serwetkami wytarł łzy i smarki, a potem poprawił rękawem. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że śmieją się z niego jacyś chłopcy.

Było ich trzech, nieco młodszych od niego, mieli mniej więcej z dziewiętnaście lat. Stali cztery miejsca parkingowe dalej i wsiadali do starego, zdezelowanego sedana, ale widzieli, że płakał jak dziecko; jeden wyglądał na zażenowanego, a dwaj pozostali byli wyraźnie rozbawieni jego bólem.

Kobieta za nim poruszyła się i zajęczała. Zerknął na nią, znowu znieruchomiała.

Teraz dwóch z trzech chłopaków wsiadło do samochodu, ale jeden stał i udawał, że wyciera dłonią udawane łzy z policzka. Jackie otworzył drzwi i wysiadł na chłód. Szum dochodzący z autostrady przechodził w gardłowy pomruk, a noc rozsypała gwiazdy po ciemnym niebie. Aż rwał się do bójki. Nie potrzebował pistoletu ani noża.

- Masz jakiś problem? - zapytał.

Uśmiech zastygł na twarzy chłopaka.

- Gdzie masz dumę, stary? - rzucił gówniarz z południowym akcentem.

- Dzisiaj zmarł mój brat. Może powinienem się śmiać? Skakać z radości?

Chłopak wskoczył do samochodu, zamykając drzwi. Jackie chwycił za klamkę. Wściekłość dodawała mu sił. Sięgnął do środka i wyciągnął chłopaka na chodnik, ten wykręcał się i przeklinał. Jackie mocno uderzył go pięścią w usta; trzasnęły zęby.

Dwaj pozostali wyskoczyli z samochodu po drugiej stronie. Jeden był większy od Jackiego, o atletycznej posturze, ale Jackie nie widział muskulatury i prędkości, tylko słabości biorące się ze zbytnej pewności siebie: szyja nieosłonięta, krocze też, oko można wydłubać. Przetoczył się po bagażniku na spotkanie z atletą. Najpierw bierz największego, tak uczył go Nicky. Jackie położył go mocnym kopnięciem w brzuch. Atleta zgiął się wpół, a Jackie pchnął go z całych sił na bok samochodu. Drzwi były otwarte, więc Jackie wepchnął jego głowę do środka i mocno zatrzaskał na niej drzwi. Atleta złożył się, krwawiąc z uszu.

- Widzisz - powiedział Jackie do ostatniego dzieciaka, obchodząc samochód i zmierzając w jego stronę. - To jest duma, gnoju.

Skoczył, gdy ostatni chłopak wyprowadził cios. Jackie zanurkował pod pięścią i trzykrotnie uderzył z bliska - w pachwinę, żołądek i szczękę. Nicky nauczył go tej sekwencji. Ostatni chłopak padł z rozdziawionymi szeroko ustami. Atleta leżał nieprzytomny na asfalcie. Jackie obiegił samochód i znalazł chłopaka, który kiedyś się uśmiechał; oszłamiony gnojek próbował wczłgać się za kierownicę, krew ściekała mu z ust na brodę.

Jackie wyszarpnął go z samochodu. Wyciągnął kluczyki ze stacyjki, rzucił chłopaka na ziemię.

- Płacz - rozkazał.

- Proszę, nie! - Chłopakowi napłynęły do oczu łzy.

Jackie wcisnął głowę chłopca w chodnik, wbił kluczyk w kącik oka. Chłopak rozdarł się na całe gardło. Żałoba Jackiego rozplynęła się w ogniu wściekłości.

Oślepił go, pomyślał. Załatw drugie oko. Lecz uniósł wzrok i zauważył parę w samochodzie gapiącą się na niego z przerażeniem.

Pora jechać. Odwrócił się... ale vana nie było.

Upuścił kluczyki i zamarł w bezruchu. Wtedy zobaczył swój wóz toczący się w stronę wyjazdu; kobieta prowadziła wężykiem. Jakby narkotyki jeszcze zalewały jej mózg, jakby nie wiedziała, że jeśli chce uciec, musi dodać gazu.

Jackie pobiegł, zostawiwszy na chodniku wrzeszczącego i wijącego się z bólu chłopaka. Van znajdował się dziesięć metrów od wjazdu na autostradę. Dziesięć metrów, aby ją złapać, i Boże, niech tylko nie doda gazu. Biegł na skróty do prawej strony vana, próbując sobie przypomnieć, czy zamknął drzwi od strony pasażera. Miał nadzieję, że ona - otumaniona narkotykami - tego nie zrobiła.

Van wpadł na chodnik, rozgniół wiosenną trawę, wyjechał z parkingu na drogę przed McDonaldem.

Dziesięć metrów. Wybiegł na ulicę i sięgnął do drzwi od strony pasażera, chwycił klamkę. Van włączył się do ruchu. Jackie siłował się z klamką; otworzył drzwi, gdy kobieta zarzuciła tyłem wozu w jego stronę, próbując go trafić, i niemal rzuciła go na chodnik. Wskoczył do środka, łądując na resztkach obiadu - kawałku mięsa, sałacie i ogórku.

Teraz Teach wcisnęła gaz, ignorując trąbiącą kawalkadę, i przepychała się między samochodami. Zjechała na

niewłaściwy pas, przemknęła obok innego wozu. Jackie złapał ją za ramię i schwycił kierownicę.

Jackie zatrzaskał drzwi.

- Nie, nic z tego. - Przejął kierownicę i na poboczu wyrównał tor jazdy. Uderzył Teach, mocno i precyzyjnie. Osunęła się. Wyciągnął ją z miejsca kierowcy i wepchnął na tył vana. Następnie z rykiem silnika włączył się do ruchu.

Idiota, powiedział do siebie. Żadnego opanowania. Co go obchodziło, że jakieś kmiotki widziały, jak płacze? Przez niewłaściwą ocenę sytuacji przyciągnął uwagę i niemal stracił Teach. Wjechał z powrotem na IH-35. Będzie musiał poszukać innego wozu, porzucić vana; ukraść inny wóz, i to szybko. Cholera. Wyobraził sobie, że duch brata przysiadł mu na ramieniu i wali go rozczarowany po głowie. Żadnych więcej głupot. Przez coś takiego może wylądować w więzieniu albo zginąć.

Dośzedł do wniosku, że za ten błąd odpowiada ból, który go przepełniał. Koniec z tym. Od tej pory będzie jedynie przysparzać bólu innym. Swojego pozbył się, gdy wydlubał temu gówniarzowi oko. Tak należało postępować, gdy człowieka ogarniał żal - wystarczyło skupić się na pracy.



Dwie godziny później Jackie zaparkował innego vana przed centrum handlowym na przedmieściach rozrastającego się Dallas, we Frisco. Nowy wóz ukradł z dzielnicy mieszkaniowej w Waxahachie, między Hillsboro a Dallas. W skradzionym vanie cuchnęło trawką i przez to po raz pierwszy tego dnia Jackie zaśmiał się histerycznie. Joint nie był takim złym rozwiązaniem, ale wtedy przypomniał sobie, że prowadzi biznes rodzinny, a dyrektor naczelny powinien zachować trzeźwość, szczególnie jeśli wykonywał zlecenie bardzo irytującego klienta.

A zatem może rozsądnie i mądrze byłoby wyrzucić pewien nacisk na pana Sama Hectora.

Wjechał w narożnik parkingu, daleko od nielicznych kupujących i światła. Teach leżała na brudnej podłodze, obserwując go spod na wpół przymkniętych powiek. Spojrzał na nią, a ona zamknęła oczy. Jednak dostrzegł w jej wzroku skupienie, co oznaczało, że narkotyki przestają działać.

- Większość starszych kobiet uciekłaby z wrzaskiem. Ale ty chciałaś wykraść się, niewidziana, po cichu.

Teraz Teach otworzyła oczy. Pod kneblem, pod paskudnym siniakiem na twarzy, pojawił się ślad słabego uśmiechu. Jackie wrócił na tył vana i zdjął jej knebel.

- Kim jesteś? Czym się zajmujesz?

- Zawrzyjmy umowę - wyszeptwała. - Milion dolarów, jak mnie wypuścisz.

Zaśmiał się.

- Milion - powtórzył. - Stosowna propozycja. Ale mój brat nie żyje. Więc nie interesują mnie teraz pieniądze. Przepraszam.

- Propozycja wygasa za minutę.

Przywykła do twardej gry, pomyślał.

- Żeby powiedzieć „nie”, nie potrzeba mi nawet dziesięciu sekund.

- Dobrze - odpowiedziała, niemal z szacunkiem.

Ujęło go to, że nie próbowała błagać.

Teach otworzyła oczy.

- On cię zabije. To pewne.

- Trafiłem go i spadł z piętra garażu, więc są szanse, że nie żyje. - Lepiej, żeby nie miała nadziei.

- Pewien człowiek myślał dzisiaj po południu, że go zabił. Mylił się.

Jackie przyłożył usta do jej ucha.

- Skoro żyje, to ja go zabiję, a jak skończę, a ty jeszcze będziesz żyć, przyniosę ci jego głowę, żebyś mogła pocałować go na do widzenia.

- Gdzie są ci, którzy mnie porwali?

Jackie zacisnął usta w cienką linię; nie odpowiedział, a ta wredna suka potrząsnęła głową.

- Zgadnę. Pielgrzym zabił wszystkich, z którymi dzisiaj pracowałeś. Chłopcze, naprawdę chcesz się z nim zmierzyć?

Dziwka z jajami. Zignorował nagły przypływ złości i nie wbił jej zębów do gardła. Hector chciał ją mieć nieuszkodzoną. Wrócił za kierownicę, a ona zapytała:

- Dokąd mnie zabierasz?

- Mam nadzieję, że na bolesną śmierć.

W lusterku wstecznym zobaczył, jak szerzej otwiera oczy, ledwo dostrzegalnie. Tak, pomyślał. Lepiej było to powiedzieć, niż kopnąć ją w twarz.



Jackie pomyślał, że dom Hectora przedstawia się okazałe. Posiadłość leżała na wiejskich wzgórzach na zachód od Prosper, małego miasteczka, które czekał wielki rozwój. Nadal było tam jednak wspaniałe wiejskie powietrze. Jackie przejechał przez kamienną bramę - długi mur otaczał cały teren. Były tu stajnie, prywatny pas startowy z hangarem i mały odrzutowiec, trzykondygnacyjny dwór z wapienia toskańskiego, z łukami oraz na końcu krętego podjazdu niewidoczny z ulicy garaż na siedem samochodów.

Sam Hector i Jackie stali w garażu. Tył vana był otwarty i Hector przyglądał się Teach.

Jackie myślał, że Hector będzie wyglądał inaczej, tymczasem jego klient miał ponad metr dziewięćdziesiąt, siwiejące włosy przystrzyżone równo przy skórze, twarde ciało

uksztalowane przez ćwiczenia z ciężarami i kamienną twarz. Jego oczy przypominały Jackiemu szare chmury zaraz po tym, jak rozdarła je błyskawica. Przyjął postawę obronną.

- Prawie dostałem Pielgrzyma i tego drugiego...

- Bena Forsberga. - Sam Hector miał głos niski i spokojny.

- Forsberga. Ale uciekli. Pielgrzym jest poważnie ranny.

- W jego głosie znów pojawiła się duma.

- Poproszę kopertę.

Jackie mu wręczył.

Hector spojrzał na pieczęć, aby się upewnić, że jest nie naruszona.

- Nie chwaliłbym się tak bardzo kompetencjami na twoim miejscu. Jak trudno jest podrzucić kopertę? - zapytał Hector. - Dobrze chociaż, że udało ci się przywieźć kobietę.

- Właśnie, ona jest tutaj i możemy wykorzystać ją jako przynętę na Pielgrzyma.

Teach nie patrzyła na niego.

- To prawda, Jackie. - Hector uśmiechnął się do niego chłodno. - Pielgrzym po nią przyjdzie.

- Mam nadzieję. - Jackie zapalił papierosa i próbował opanować drżenie ręki. - Chcę zabić skurwiela.

- Już raz zabiłem Pielgrzyma - powiedział Hector. - Na pewno możemy to zrobić jeszcze raz. Gdybyś mógł zanieść ją do domu. Chodź za mną.



Jackie zaniósł Teach i rzucił ją na fotel w pokoju konferencyjnym. Stół wykonany był z gładkiego granitu, do niego podłączono najnowocześniejszy system prezentacji; na ścianie wisiał gigantyczny ekran plazmowy.

Jackie odwrócił się do wyjścia.

- Nie, Jackie, zostań - odezwał się Hector. - Zobaczysz, jak rośnie mi sprzedaż; to ciekawe.

Jackie chciał iść i pobyć sam, zając się podartym i brudnym ubraniem - chociaż nie miał nic na zmianę, bo jego walizka została w bagażniku wozu Nicky'ego - ale zatrzymał się za fotelem Teach.

Hector usiadł na brzegu granitowego blatu.

- Chcę z tobą zawrzeć umowę - zwrócił się do Teach.

Czekała.

- Sporo mnie dzisiaj kosztowałaś - wyznał Hector. - Pieniądzy, krwi i ryzyka.

- Może powinienes zastanowić się nad swoją inwestycją - rzekła zdecydowanie.

- Nie zamierzam kontaktować się z twoimi ludźmi i żądać okupu. Skontaktuję się z nimi i zażadam lojalności. Pomożesz mi w tym.

- Nie.

- Adam Reynolds... znalazł dziesięciu twoich ludzi. Chciałbym wiedzieć, ilu ich jest. Domyślam się, że od dwudziestu do trzydziestu. Byłych i zdyskredytowanych agentów CIA, może kilku eksagentów KGB, którzy chcą żyć i pracować w Europie i Azji, haker i złodziej.

Wpatrywała się w stół.

- Mógłbym cię torturować - dodał - ale, Boże, to takie niesmaczne i nieefektywne. I tak na koniec chyba cię zabiję... poprowadzisz mnie kilkoma fałszywymi tropami, to pewne, a ponieważ jestem porywcy, zabiję cię z wściekłości. - Obdarzył ją uśmiechem, który przypominał Jackiemu pękniętą szybę.

- Czego chcesz? - spytała w końcu.

- Nazwisk i szczegółów dotyczących wszystkich, którzy pracują dla ciebie w tym twoim małym prywatnym CIA. Wszystkich sprawozdań. Wszystkich danych.

- Wiesz co, idź do diabła - odparła.
- W piekle tłok - odpowiedział. Otworzył w laptopie plik z nagraniem wideo.

Ekran się ożywił. Ukazał się na nim młody człowiek, pod trzydziestkę; był przywiązany do krzesła, miał zakneblowane usta, oczy posiniaczone, jakby właśnie go pobito. Na brodzie, poniżej knebla, zaschła strużka krwi. Zamrugał przed kamerą, podrażniony ostrym światłem.

- Kiedyś to był Antonio De La Pena – powiedział Hector. - Agent terenowy, zaginiony i uznany za nieżyjącego po spartaczonych robocie przeciw terrorystom handlującym narkotykami w Kolumbii. Jego ochronę diabli wzięli i nie miał dokąd iść, jedynie do programu ochrony świadków, ale ty mu złożyłaś lepszą propozycję. Pracował dla ciebie pod trzema nazwiskami, ostatnio w Mexico City. - Hector pochylił się bliżej Teach. - Albo będziesz współpracować, albo on zapłaci.

- Współpracować. - Wypowiedziała to słowo, jakby chciała go posmakować.

- Będziesz pracować dla mnie, Teach. Ty i cała Piwnica. Będziesz wypełniać moje polecenia bez wahania. Nie dasz poznać swoim agentom, że nastąpiła zmiana kierownictwa. Jeżeli odmówisz, zdemaskuję całą twoją nielegalną operację. Rząd wyprze się was jak trędowatych i prawdopodobnie wyładujecie w tych rozkosznych krajach, gdzie przez te wszystkie lata poczyniliście tyle szkód.

Teach nie napięła mięśni, nie zadrzała.

- Wymień dziesięciu, których znasz - odezwała się.

Hector wyrecytował listę nazwisk.

Teach zamknęła oczy, przygryzła wargę. Wskazała głową ekran.

- Dlaczego on?

- Jest najmłodszy i najmniej doświadczony. Jeżeli będę

musiał zabić kogoś, aby ciebie przekonać, on może iść na straty. - Hector wzruszył ramionami. - Decyzja czysto biznesowa.

- Przyjmuję rozkazy od bardzo niewielu osób - powie działa. - Nie mogę ich zwieść, słuchając rozkazów z innego źródła.

- Pozwól, że zgadnę. Od prezydenta.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Prezydent nie wie o nas i zawsze może się wyprzeć. Starsza kadra oficerska w Agencji... to oni wydają mi polecenia.

- Nadal będziesz przyjmować od nich polecenia i informować mnie o rozkazach z Waszyngtonu. Ale będziesz pracować dla mnie. Nie dla nich.

- A jeżeli odmówię?

- De La Pena umrze. Po tym, jak zabiję całą jego rodzinę. - Hector założył ręce na piersi. - Ma matkę, dwie siostry z mężami, a siostry mają pięcioro dzieci. - Zerknął na Jackiego. - Jackie, zabiłbyś dziecko?

- Niespecjalnie lubię dzieci - odparł Jackie. - Mógłbym spróbować. Zdaje się, że jednak są tańsze, bo łatwiej sobie z nimi poradzić.

- Dałbym ci stawkę za rodzinę. - Hector odwrócił się z powrotem do Teach. - Nie chcecie zostać zdemaskowani, iść do więzienia, być wyrzutkami ściganymi przez rząd. Ale na pewno nie chce, aby ludzie, o których dbaliście w poprzednim życiu, zginęli przez was. Albo będziesz pracowała dla mnie, albo zlikwiduję Piwnicę.

Nic nie odpowiedziała; obserwowała De La Penę na monitorze. Mężczyzna zamknął oczy.

- Powiemy De La Penie, że to były ćwiczenia. Pozwolę ci żyć i wielu niewinnych ludzi nadal będzie oddychało.

Teach milczała, a Hector najwyraźniej miał czas.

- Co będziesz miał z tego układu? - spytała w końcu Teach.

- Świącie wierzę, że prywatne firmy są bardziej efektywne od agencji rządowych - odpowiedział Hector.

- Nie w naszej branży - odparła.

Otworzył folder.

- Dwa miesiące temu miałaś szansę zabić czołowego terrorystę w Istambule. Ale ci się nie udało. Trzy tygodnie temu zmarnowałaś okazję, żeby zlikwidować komórkę terrorystów narkotykowych w Ekwadorze. Trudno to uznać za sukces.

Zarumieniała się ze złości.

- Te niepowodzenia nie miały nic wspólnego z umiejętnościami moich ludzi.

- Pod moim przewodnictwem nie popełnisz tylu błędów.

- Kto cię wynajął? - spytała, a Jackie pomyślał: Oto pytanie za milion dolarów.

- Nikt.

Zaśmiała się szorstko.

- Najemnicy i kurwy nie pracują za darmo.

- To inwestycja w przyszłość mojej firmy. I zamierzam zapłacić tobie i twoim ludziom, Teach, lepiej, niż kiedykolwiek płacił rząd. - Hector przykleknął i delikatnie uniósł jej brodę. - To niesamowite, że zorganizowałaś i prowadziłaś tyle czasu tak tajną organizację. Masz całą historię Piwnicy w swojej głowie bibliotekarki. Znasz wszystkie szczegóły o każdym agencie, o każdym zadaniu. Potrzebuję cię. Możemy wspólnie dokonać wspaniałych rzeczy dla naszego kraju. Nie chcę zniszczyć twojej grupy. Chcę tchnąć w nią nowe życie.

- Próbowałaś zabić Pielgrzyma.

Sam Hector uśmiechnął się do Jackiego.

- Za bardzo zbliżył się do Adama Reynoldsa. To nie było nic osobistego. - Jackie zauważył, że jednak była to sprawa osobista, powiedział mu o tym błysk w oczach mężczyzny, kiedy odwracał się od Teach. Ciekawe.

- Teach, nie zostawiajmy naszego biedaka w niepewności - powiedział Hector. - Jego rodzina ma żyć czy nie?

- Niech żyje - odpowiedziała. Przyłożyła rękę do czoła, jakby gdzieś pod czaszką pojawiła się migrena. - Zgadzam się na współpracę.

- Dobrze. Jackie, pan De La Pena jest w sąsiednim pokoju. Możesz go rozwiązać i tutaj przyprowadzić. Powiedz mu, że to porwanie to tylko element ćwiczenia, które niestety oblał. - Obserwował, jak zareaguje Teach. - Mam zadanie dla niego i kilku innych agentów. - Pochylił się nad kobietą. - Masz agenta w Denver. Sprowadź go do Dallas na jutro rano. Wtedy będziemy musieli wybrać jeszcze przynajmniej sześciu do innego projektu. Zdradzisz się przed swoimi ludźmi choć słówkiem, a oni i ich rodziny zginą.

- Co to za projekt?

- Piwnica zabije dla mnie grupę bardzo złych ludzi - wyjaśnił. - W Nowym Orleanie.

Raport Chalida - Nowy Orlean

Teraz w Nowym Orleanie jest nas sześciu; przygotowujemy się do chwili chwały. Sześciu z nas zdało pierwszy test: wjechaliśmy do Ameryki i nie daliśmy się złapać. Szeffowie chyba mogli bez trudu przerzucić nas w środku nocy przez meksykańską granicę, ale oni najwyraźniej chcą usunąć tych, którym brakuje odwagi lub inicjatywy.

Według niepisanej umowy, jeżeli zostaną złapani, muszę radzić sobie sam. Nikt mi nie pomoże.

Dwa miesiące temu wypełniłem instrukcje podane przez telefon i w skrytce bagażowej znalazłem bilet, tysiąc euro i francuski paszport na nowe nazwisko. Poleciałem z Bejrutu do Frankfurtu. We Frankfurcie jakiś mężczyzna przeszedł obok mnie i wsunął mi do kieszeni kurtki nowy bilet.

Pierwszy prawdziwy problem. Człowiek o fizjonomii Araba nie ma ochoty chodzić po zachodnioeuropejskim lotnisku z kilkoma paszportami. Pierwszy paszport zniszczyłem, drąc go na kawałki i splukując w toalecie. Wykorzystałem nowy belgijski paszport i bilet, poleciałem do Genewy, potem do Rzymu. Odebrałem wiadomość pozostawioną dla mnie w

biurze linii lotniczych: spotkaj się z J. w hotelu niedaleko placu Świętego Piotra.

Do hotelu dostałem się okreśną drogą, na wypadek gdybym miał zgubić kogoś, kto mnie śledził w tłumie na rozległym placu. W hotelu człowiek określany mianem J. - we-dług mnie o wyglądzie nauczyciela matematyki, co on na pewno doskonale rozumie - powiedział mi, że śledziło mnie czterech ludzi, podążając za mną na zmianę, abym nie zauważył, jeden przede mną, żeby mnie potem przejąć; niewidzialny taniec, gdy przemieszczałem się ulicami Rzymu. J. tłumaczył mi, jak radzić sobie z takimi sztuczkami. Będziesz ćwiczył w Stanach, dodał.

Należy się przemieszczać, nie zostawiając nawet cienia, mówi J., a mnie podoba się ten zwrot, ten pomysł. Ponieważ alternatywą jest pojmanie i śmierć.

J. pozwala mi zatrzymać belgijski paszport z francuskim imieniem i libańskim nazwiskiem; wypożyczył dla mnie samochód, abym pojechał do Paryża. Z Paryża poleciałem do Miami. Obok mnie siedział jeden z tych męczących wieśniaków, którzy zwykle skinieniem głową na przywitanie traktują jak zaproszenie do przesłuchania i zadawania pytań na temat wszelkich aspektów twojego życia: gdzie chodziłeś do szkoły, gdzie mieszkasz, co robisz, co lubisz... a potem muszą skomentować twoje odpowiedzi. Podejrzewam, że ci ludzie nie mogą znieść ciszy ani płytkości własnych myśli, ale wtedy przyszło mi do głowy, że właśnie takich ludzi potrzebuję. Informacja to władza. To jest teraz moja praca.

Przez chwilę obawiałem się, że ten ciekawski nie był zwykłym wścibskim pasażerem, lecz raczej kimś gotowym przyłapać mnie na kłamstwie dziesięć kilometrów nad ziemią, żeby albo dać mi nauczkę, albo mnie zdemaskować.

Twierdził, że sprzedaje oprogramowanie dla dużych finansowych przedsiębiorstw, więc uznałem, że mówi prawdę. Zdobyłem podstawowe wiadomości dotyczące banków i ich operacji; mogą się kiedyś przydać przy wyborze celu lub interpretacji danych.

W biurze imigracyjnym przyglądali się bacznie - chociaż starali się tego nie okazywać - mojej arabskiej twarzy i zapytali o powód wizyty w Stanach. Wyjaśniłem, że przyjechałem w interesach jako przedstawiciel handlowy nowej firmy komputerowej z siedzibą w Brukseli. J. przekazał mi broszury, a ja nauczyłem się na pamięć cech produktów. Zadawali te swoje bezsensowne pytania i udało mi się jakoś przez nie przebrnąć.

Co by się jednak stało, gdyby przyłapano mnie na kłamstwie? Czy zostałbym pozostawiony sam sobie? Zdaje się, że tak; do tajnych wojowników nikt się nigdy nie przyznaje. To byłaby gorzka nauczka.

Z Miami, pięknego i zwodniczego miasta, do Nowego Orleanu, zwodniczej ruiny.

Spodziewałem się, że od lotniska ktoś mnie będzie śledził. Zauważyłem, że idzie za mną jeden człowiek, ale jestem pewien, że śledziło mnie więcej ludzi. Wypełniając instrukcje J., pojechałem taksówką wpierw do Zoo Audubon, starając się zgubić ogon w gęstym tłumie. Potem poszedłem do Tulane, oglądając się za siebie, następnie złapałem kolejną taksówkę i pojechałem do Superdome. W hotelu wynająłem pokój, używając fałszywego nazwiska, ale w ogóle do niego nie zajrzałem, tylko wyszedłem tylnymi drzwiami. Wtedy ostatnią taksówką pojechałem do pewnego hotelu na przedmieściach Metairie.

Nowy Orlean jest teraz dziwnym półmiastem. Przypomina mi ulubioną zabawkę dziecka, które teraz ją po rzuciło.

Całe połacie miasta pozostają całkowicie zniszczone - tutaj, w kraju, który nieustannie szczyli się swoim bogactwem, swoimi ambicjami, swoją (mam być szczerzy?) wyższością. W dzielnicach, które znów wyglądają względnie normalnie, można odnieść wrażenie, że życie toczy się z dnia na dzień, a ludzie są przygaszeni, bo wątpią, żeby miasto odzyskało poprzednią formę.

Wiem, jak teraz czuje się Nowy Orlean. Tak samo jak ja.

A zatem przyjechałem przed dwoma miesiącami i rozpoczęliśmy naszą pracę. Ponieważ w mieście wciąż pojawiają się jacyś ludzie, a inni wyjeżdżają - nikt nas nie zauważy w tych ruinach.

W ostatnim hotelu nie przekazano mi instrukcji. Jak miałem znaleźć moich nowych kolegów? Pozostawiony sam sobie pomyślałem, że wykażę się inicjatywą. Poszedłem na spacer, kierując się do miejscowego centrum handlowego, i zaraz kiedy tam się zjawiłem, przechwycili mnie. Eskortowali do ciemnego lincolna navigatora. Nie bałem się. Wymieniliśmy wyznaczone hasła, te, które w Rzymie przekazał mi J. Zawieźli mnie do dużego domu poza właściwym miastem - w pobliżu dzielnicy bogatych domostw zniszczonych w powodzi, blisko jeziora Pontchartrain. Okolica była wyludniona; ci, których stać na nowe domy, stać też na wyjazd.

Przewodniczy tutaj pan Noc. Czyżby czytał w moich myślach? Jeżeli tak jest, panie Noc, musi pan przyznać, że pana nazwisko to esencja pretensjonalności. Ale pasuje do niego: ciemne, nieznanne, a jednak pocieszające. Jeżeli będziemy go słuchać, pozostaniemy przy życiu, gdy ruszymy do boju.

Doskonale swoje umiejętności. Uczę się, jak podróżować i gubić tego, kto mnie śledzi, jak śledzić kogoś tak, aby o tym nie wiedział, jak szyfrować informacje, jak nawiązać kontakt z siatką, aby nikt mnie nie znalazł ani nie zdemaskował, jak identyfikować ludzi, którzy muszą umrzeć, jak zbliżyć się do nich.

Nauczają mnie zabijać. Nie samych technik mordowania, ale nauczają mnie, jak się nie zawahać. J. powiedział, że to sekret zabijania. Nie możesz się wahać.

Za trzy dni, w niedzielę, tutaj dzień święty, wyjdziemy w sześciu, aby spełnić swój obowiązek bez cienia wahania.

Motel był stary i czysty. Prowadziło go uśmiechnięte małżeństwo z Pakistanu. Ben podpisał fałszywą kartę kredytową Pielgrzyma (jako James Woodward), aż przygryzał wargę z przejęcia, starając się, aby podpis był identyczny z ciasnym zawijaszem na karcie. Następnie poprosił o pokój na uboczu, z dala od autostrady. Przejechał samochodem na tyły i na wpół przeniósł, na wpół przeprowadził Pielgrzyma do pokoju, gdzie położył go na jednym z dwóch łóżek.

Znalazł sklep sieci Target w pobliżu Georgetown, małego miasta na północ od Austin, gdzie kupił czyste ubranie, ręczniki, worek marynarski, coś do przekąszenia, dużą butelkę środka odkażającego, wodę, bandażę i opatrunek jałowy, roztwór soli fizjologicznej, wodę utlenioną i największą apteczkę pierwszej pomocy, jaka była. W dziale farmaceutycznym kupił także szczypczyki, zupełnie jakby naprawdę zamierzał wyciągać kulę. Przy tej samej ulicy był sklep spożywczy; kupił w nim dwie butelki taniego chianti.

Ściągnął z Pielgrzyma niebieską koszulę i spodnie koloru khaki i rzucił zakrwawione rzeczy na podłogę. Miał twarde i żylaste ciało; nie tak jak Ben, który wyrabiał mięśnie na

siłowni albo korcie tenisowym. Przez brzuch rannego biegła falista blizna, druga widniała na barku. Zupełnie jakby historia życia w cieniu została wypalona na skórze. Drugie ramię szpeciła ściągnięta rana. Paskudny siniec biegł od biodra do kolana. Szrama na przedramieniu wskazywała, gdzie kula przedziurawiła skórę i gdzie wyszła. Ben delikatnie zbadał nogi i ręce rannego, sprawdzając, czy nie ma złamań. Wszystkie kości wydawały się całe.

- Ciągle mam kulę w barku - powiedział Pielgrzym. - Powiem ci, co masz zrobić. Ufam ci, Ben.

- Jak coś spieprzę, to przepraszam.

- Uda ci się.

Ben postępował zgodnie z instrukcjami: ostrożnie umieścił Pielgrzyma w wannie, zlał ranę wodą, zdezynfekował ranę i szczypczyki. Potem pomógł mu przejść do łóżka, położył ręczniki pod ramię i spróbował delikatnie wprowadzić szczypce do rany.

- Nie mam pojęcia, co robię, więc będzie bolało jak diabli - ostrzegł.

Pielgrzym nigdy nie krzyczał. W tkance mięśniowej szczypce natrafiły na kawałek metalu, a potem zamknęły się na nim. Ben powoli usunął kulę, razem z Pielgrzymem wstrzymując oddech. Z łoskotem rzucił kulę na stolik, przełykając zółć, która podeszła mu do gardła.

- Dobra - wymamrotał Pielgrzym. - Przepłucz. Z całych sił. Mocno.

Ben pomógł mu przejść z powrotem do łazienki i obficie polał ranę wodą, opróżniając kilka butelek, potem polał ją solą fizjologiczną i na koniec przemył wodą utlenioną. Pielgrzym zazgrzytał zębami. Ben naniósł okazałą porcję maści z antybiotykiem na gazę. Przycisnął ją do rany, a potem umocował jaskrawoniebieskim samoprzylepnym bandażem.

Otworzył butelkę chianti, zakręcaną kapslem, którą kupił dla Pielgrzyma i ten pociągnął potężny haust czerwonego wina. Wtedy Ben oczyścił, zdezynfekował i zabandażował ranę na przedramieniu.

Pielgrzym przeciągle wypuścił powietrze.

- W porządku, doktorze, spisałeś się.

Ben podszedł do zlewu. Krew poplamiała mu ręce, nowe ręczniki kąpielowe, które właśnie kupił, spodnie, które włożył po powrocie z podróży do domu, kiedy jeszcze jego życie było normalne. Jednak dłonie mu nie drżały; wsunął je pod strumień wody.

- Wypiję większość tego doskonałego rocznika. - Przyjrzał się nalepce. -- Napileś się, Ben?

- Nigdy nie piję przed operacją. - Ben zauważył, że Pielgrzym pochłonął jedną trzecią butelki, potem zamknął oczy i oddychał z bólem.

Ben pozbierał podarte i zakrwawione ubranie Pielgrzyma. Poczul, że coś schowano w kieszeniach. W przedniej kieszeni znajdował się mały czarny notes, który upadł na podłogę, gdy Ben kładł spodnie na krześle.

Podniósł go i otworzył. Strony były gładkie i połowę z nich wypełniały delikatne rysunki wykonane ołówkiem i długopisem.

Seria rysunków była starannie naniesiona na kremowe strony: noworodek wtulony w mocne ramiona ojca; szkrab tańczący pośród róż w ogrodzie, sięgający pulchnymi rączkami do przelatującego motyla; nastolatka pochylona nad książką na ławce w parku, w cieniu sosen, odgarniająca z twarzy czarne włosy. Rysunki przepelniała czułość - jak światło ukazujące wyraz spokoju, radości i skupienia na twarzy dziewczyny.

- To moje - odezwał się Pielgrzym, otwierając oczy.

Ben podał mu notes, zażenowany, jakby wtargnął w sen innego człowieka. W tylnej kieszeni spodni wyczuwał inny ciężar - stamtąd Pielgrzym wyciągnął kartę kredytową - ale Pielgrzym patrzył, więc Ben rzucił spodnie z powrotem na podłogę.

- Nie podejrzewałem, że masz artystyczną duszę. Naprawdę dobre rysunki.

- Nie jestem artystą. - Pielgrzym zamknął notes i podniósł go do piersi. - Dobrze jest wyrobić sobie oko. Widzieć rzeczy takie, jakie są.

- Tak. Rzeczywiście. A jak jest teraz? - Ben podszedł do apteczki, wysypał sześć ibuprofenów na rękę Pielgrzyma. Patrzył, jak je przełyka, popijając chianti.

- Masz pytania. Nienawidzę pytań.

- Mam pytania.

- Przynieś szklanę. Nie chcę pić sam.

Ben nie chciał pić, ale przyniósł szklanę. Jeżeli Pielgrzym pił, żeby uśmierzyć ból, mogło to rozwiązać mu język. Lepiej się zaprzyjaźnić, nakłonić go do mówienia. Znalazł czysty plastikowy kubek w łazience i wlał do niego wina na dwa palce.

- Życie szybko przemija, co? - powiedział Pielgrzym.

- Tak. - Pomyślał o chwili, kiedy jego życie się rozpadło, w jednej sekundzie żonaty, w drugiej wdowiec, wciąż słyszał echo pękającej szyby.

- W ciągu ostatnich czterech godzin zabiłem siedmiu ludzi. Jestem jak jakiś cholerny seryjny zabójca, wszystkich jednego dnia. - Pielgrzym łyknął wina. Wytarł usta grzbietem dłoni, a Ben zauważył, że ranna ręka mu się trzęsie.

- Musisz coś zjeść. - Ben podgrzał wodę w małym ekspresie do kawy i wrzątkiem zalał błyskawiczny makaron w plastikowej miseczce; potem patrzył, jak Pielgrzym je kleistą masę nafaszerowaną kawałkami suszonych warzyw.

- A więc twoje pytania.
- Twoja szefowa, ty, ta tajna grupa. Kim jesteście?

Długa przerwa.

- Teach jest generałem - wyjaśnił Pielgrzym - i tylko ona zna siłę oddziału, plany bitwy.

Ben postanowił pozwolić, by Pielgrzym opowiadał na swój sposób, widać było, że nie przywykł do omawiania własnego życia.

- A ci bandyci chcą wiedzieć, co ty, Teach i cała grupa robicie. Albo chcą powstrzymać wasze działania.

Pielgrzym opróżnił szklankę i ponownie sięgnął po butelkę. Ben nie powstrzymywał go. Pielgrzym wychylił więcej chianti, nie patrząc na Bena. Po raz pierwszy intensywny blask w jego oczach przygasał, jakby zmęczyły się patrzaniem na świat.

Ben postanowił go zachęcić.

- Ta karta kredytowa była na Jamesa Woodwarda. Czy to twoje prawdziwe nazwisko?

- Obiecuję, że się nie przestraszysz.
- Chyba niewiele strachu we mnie zostało.
- Założę się, że miałeś ochotę przeszukać mój portfel.

Wiem, że to zrobisz, jak tylko zasnę. Proszę bardzo.

Ben sięgnął po spodnie, wydobyl portfel i otworzył go.

W plastikowym okienku widniało prawo jazdy z Teksasu. Ze zdjęciem Pielgrzyma. Nazwisko brzmiało: FORSBERG, BENJAMIN LARS.

Ben przejrzał resztę portfela. Visa, American Express, karta członkowska klubu zdrowotnego - wszystkie na nazwisko Bena. Wizytówka, taka sama jak jego. W portfelu znajdował się także paszport amerykański - twarz Pielgrzyma, nazwisko Bena.

Ben poczuł, jak wzbiera w nim złość. Rzucił portfelem w Pielgrzyma, który złapał go jedną ręką.

- Jestem tobą, Ben - rzekł Pielgrzym. - Byłem tobą przez ostatnie trzy dni.

- To przez ciebie... Departament uważa, że jestem winny - powiedział Ben. - To nie ma nic wspólnego ze mną ani z moim życiem...

- Wszystko jest powiązane z twoim życiem - odparł Pielgrzym. - Wrobili ciebie tak samo jak mnie.

- Skradłeś moją tożsamość.

- Nie. Twoją tożsamość dał mi zdrajca. Wrobił mnie, abym był tobą, ponieważ ktoś chce zniszczyć nas obu.

- Mogłeś mi to powiedzieć jeszcze... w samochodzie...

- Nie mogłem. Potrzebna mi była twoja pomoc. A wcześniej byłem za bardzo zajęty ratowaniem ci życia. Usiądź. Napij się wina.

- Nie spodziewaj się podziękowań. - Ben podszedł do stołu i podniósł pistolet Pielgrzyma.

- Nie uważam cię za głupca. Obu nas wciągnięto w grę, obu nas trafiono jednym strzałem. Mamy wspólnego wroga. - Zamilkł. - Ja nie jestem twoim wrogiem. Gdybym był, już byś nie żył. Chwyciłbym cię, jak poprawiałeś ostatni bandaż, i złamałbym ci kark. Nie zrobiłem tego.

- Ojej, dziękuję. - Ben odłożył broń na stół. - Powiedz, dlaczego mnie udajesz.

Zapadła pełna napięcia cisza. Jedynymi odgłosami były szum samochodów na autostradzie i brzęczenie cykad wśród drzew.

- Zanim wydobyłem kulę, mówiłeś, że mi ufasz. Udowodnij to.

Pielgrzym odchrząknął.

- Ta moja grupa wykonuje brudną robotę, która czasami jest konieczna, aby zidentyfikować i zneutralizować zagrożenia dla kraju.

- Brudna robota.
- Zadania, których innym agencjom oficjalnie nie wolno wykonywać.
- Wykonujecie pracę, którą nikt nie może się szcycić ani za którą nikt nie może być obwiniony.

Pielgrzym zmrużył oczy.

- Wspaniały opis.
 - Gdzie ukryli wasz budżet... w FBI? CIA?
- Pielgrzym spojrział na niego z odrobiną szacunku.
- Tylko Teach wie na pewno, ale chyba finanse ukrywane są w CIA, przemieszane razem z innymi funduszami. Jesteśmy gdzieś w kącie. W zapomnianym pomieszczeniu. - Przerwał. - Nazywa się Piwnica.

- I rutynowo kradniecie innym ludziom tożsamość.
- Nie. Przynajmniej jak dotąd. Takie nędzne gówno jak Barker stworzył o mnie legendy... tożsamości... wykorzystywane podczas wykonywania zadań. Normalnie brał je z sufitu, wymyślał nazwisko, historię, finansową przeszłość. Dawał mi tożsamość; nie miałem pojęcia, że naprawdę istniejesz. Zdradził mnie i Teach; współpracował z jej porywaczami. To znaczy, że jego szef... ktokolwiek to jest... przekazał mu twoje nazwisko, aby je wykorzystał. - Zamilkł. - Nie wiedziałem, że naprawdę istniejesz.

- Ale dlaczego ja?
- Powiedziałbym, że ten, dla kogo pracuje Barker, nienawidzi cię, i to bardzo.
- Nikt mnie nie nienawidzi.
- Albo jesteś dla kogoś wielkim zagrożeniem. Tylko o tym nie wiesz.

Ben potarł czoło.

- Do jakiego zadania potrzebowałeś mojego nazwiska?
- Śledziłem Adama Reynoldsa. - Znowu pociągnął łyk

chianti. - Przez ostatnich kilka tygodni wszystkie fałszywe nazwiska i pseudonimy użyte przeze mnie i moich kolegów z Piwnicy zostały wytropione. Sprawdzano karty kredytowe wystawione na fałszywe nazwiska, wszczęto dochodzenie, nasze pseudonimy rozesłano do policji w Nowym Jorku, Londynie, Atlancie i w innych miastach. Normalnie po skończeniu roboty porzucamy nasze pseudonimy... ale mamy na nie oko jeszcze przez jakiś czas, na wypadek gdyby ktoś próbował nas namierzyć.

- Wyśledził was Adam Reynolds.
- Był programistą, więc zapewne korzystał z zaawansowanej techniki, aby odkryć nasze działania. Ale nie mamy pojęcia, jak tego dokonał.

- I wciągnęliście do tego moje nazwisko.
- Musieliśmy się dowiedzieć, dlaczego nas ściga i kto go finansuje. Teach odnalazła stary kontakt z CIA, który miał przekazać Adamowi Reynoldsowi, że konsultant Ben Forsberg może mu pomóc znaleźć fundusze na uruchomienie firmy software'owej, na stworzenie produktów opartych na jego pomysłach. Osobiście jednak uważałem, że Ben Forsberg to postać wymyślona przez Barkera razem z całą historią.

- Barker kupił telefony komórkowe na moje nazwisko. Otworzył konta kredytowe. Wynajął biuro. - Ben potrząsał głową. - Sparta Consulting. Tę nazwę wykorzystał jako przykrywkę.

- Sparta to fasadowa firma Piwnicy, kamuflaż dla naszych finansowych przedsięwzięć. - Pielgrzym zakaszał, syknął z bólu. - Z Adamem spotkałem się trzy razy i powiedziałem mu, że reprezentuję grupę rządowych kontrahentów zainteresowanych poparciem jego pomysłów software'owych. Mógłbym mu pomóc uruchomić własną firmę, sfinansować prace, podzielić się zyskami. Oczywiście chciałem

jedynie dowiedzieć się, jak nas znalazł i kto mu zapłacił, aby nas namierzył.

- Napisałeś projekt biznesowy z moim nazwiskiem, który Kidwell i Vocek znaleźli w jego biurze - powiedział Ben. Poczul, jak zaczyna mu się robić niedobrze.

- Chciałem się dowiedzieć, jak odkrył nasze pseudonimy, z kim współpracuje, kto finansował jego poszukiwania Piwnicy.

- Więc dlaczego zginął?

- Dowiedział się dzisiaj, że nie jestem Benem Forsbergiem. Chciałem go przekonać, że mogę go ochronić, ale powiedział, że zadzwonił do Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Jednak moim zdaniem nie pracował na zlecenie Departamentu, kiedy szukał Piwnicy.

- Dlaczego?

- Departament Bezpieczeństwa nie wysyła uzbrojonych Arabów, aby porywali ludzi. Nie zajmuje się zabójstwami na zlecenie. I nie ma powodów, aby ciebie wrobić.

- W takim razie kim jest jego szef?

- Nie mam pojęcia. Jego szef dowiedział się, że Adam się spłoszył, i najwyraźniej nie chciał, żeby się wygadał.

- A Piwnica jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego, jak napisał Kidwellowi?

- Najwyraźniej uznał nas za niebezpiecznych.

Ben wstał z łóżka i podszedł do okna.

- Więc Nicky Lynch zabił go, a ty zabiłeś Nicky'ego. Włożyłeś moją wizytówkę Lynchowi do kieszeni. - Poczul, jak wzbiera w nim wściekłość, wstrzymał oddech i agresja zniknęła; zastąpiła ją wyczerpująca świadomość tego, w jak złej sytuacji się znalazł. Nie mógł sobie pozwolić na złość. Trząsł się, gdy stał przy oknie, chociaż w pokoju było ciepło.

- Ben, posłuchaj, nie wiedziałem, że istniejesz... zdemaskowali mnie. Myślałem, że podstawiam jako kozła ofiarnego kogoś wymyślonego, kieruję policję na fałszywy trop. - Potrzęsnała głową. - Nie wiedziałem, że wskażę cię palcem.

Ben usiadł na swoim łóżku.

- Gdyby Nicky Lynch zabił ciebie i Adama, wyszłoby na jaw dość szybko, że nie jesteś mną. Dlatego nie jestem przekonany, że... kimkolwiek jest twój wróg... jest także moim. Ten Barker mógł zdecydować się wykorzystać moje nazwisko, gdyż pracuję w branży, której potrzebowałeś jako przykrywkę.

Pielgrzym ponownie nalał sobie wina.

- Nie sądzę, żeby to był zbieg okoliczności. Jestem w Austin i udaję ciebie, a ty akurat przebywasz poza miastem. Kto wiedział, że cię nie ma?

Ben się zawahał.

- Moi klienci. Powiedziałem im, że nie będę odbierał telefonów ani e-maili.

- A Sam Hector... którego ludzie pilnowali cię dla Departamentu... jest twoim klientem.

- Tak. Najbardziej cenionym. Moim przyjacielem.

Pielgrzym przyglądał się w skupieniu szklance z winem.

- Świat rządowych pracowników kontraktowych jest mały - rzekł Ben. - Hector prawdopodobnie ma dziesiątki ludzi pracujących nad projektami Departamentu. Tylko dlatego, że zajmuje się bezpieczeństwem...

- To wyobraź sobie w takim razie coś takiego. Nicky Lynch nie pułkuje, ja padam martwy, a przy sobie mam portfel z dokumentami na twoje nazwisko. Władze zechciałyby się dowiedzieć, czy byłeś ze mną powiązany.

- Przyjęłyby po prostu, że skradłeś moją tożsamość. Jako uwikłanie kogoś wydaje się to... niekompletne.

- Ale powiedzmy, że według rządu pracowaliśmy wspólnie. Ty, pracownik najemny, i ja, facet, który nie ma prawa istnieć, a pracuje dla tajnej grupy. Twoja reputacja w kręgach rządowych skonałaby w strasznych męczarniach. Równie dobrze mógłbyś stracić swój biznes.

Ben poruszył się na łóżku.

- Biuro Inicjatyw Strategicznych Kidwella. Słyszałeś o czymś takim w ramach Departamentu?

Pielgrzym spróbował ułożyć się wygodniej.

- Nie. Ale nie zwracam szczególnej uwagi na biurokrację. To trucizna.

Odstawił szklanekę z winem; na jego twarzy widać było wyczerpanie.

- Drużyna Kidwella może być tak samo brudna jak twoja - zasugerował Ben. - On z pewnością nie zamierzał podać mnie należnym procedurom.

- Jeśli chcemy wyjść z tego całego bałaganu, musimy odkryć, kto tak naprawdę uprowadził Teach. Wrobili nas. Daliśmy się złapać, nie możemy wskazać tego, kto wynajął Adama.

Ben wstał i zaczął krążyć po pokoju. Zastanawiał się.

- Muszę się teraz przespać. - Pielgrzym zamknął oczy, poddając się zmęczeniu. - Dojedziemy do Dallas rano.

- Jedną chwilę. Kto zaatakowałby Piwnicę?

- Dowolni wrogowie. Z pewnością terroryści. Jestem przekonany, że niektóre obce rządy ucieszyłyby się, gdyby Piwnica zwinęła interes. Mogą podejrzewać, że istniejemy, ale nie mogą tego udowodnić. Nawet pięć osób z zewnątrz nie wie, że istniejemy.

- Teraz doszedłem jeszcze ja.

Pielgrzym skinął głową, zamykając oczy.

- Teraz ty. Szczęściarzu.

Przez następne kilka minut Ben patrzył, jak Pielgrzym zasypia. Gdyby teraz uciekł, zostawiając rannego, pewnie zarobiłby kulkę. Ten, kto zaatakował Piwnicę, wykorzystał jego nazwisko. Pielgrzym miał rację; to nie mógł być zbieg okoliczności. Bezpieczniej będzie trzymać się blisko niego. Zobaczyć, czego się dowie, bo w więziennej celi albo w pokoju przesłuchań Departamentu niczego się nie dowie.

Zastanawiał się, czy Vocek nadal siedzi zamknięta w schowku.

Ben położył się z twarzą wciśniętą w poduszkę. Czuł się tak, jakby wpadł do alternatywnego świata, do Wonderlandu, w którym zapanowały ciemności, gdzie jakiś szaleniiec wykorzystał jego nazwisko, przez co teraz jego, Bena, szukała policja, a okrutni ludzie przystawiali mu lufy do głowy. Tego ranka obudził się na krótkich wakacjach, a w tej chwili jego życie legło w gruzach.

Nie oszukuj się. Twoje życie legło w gruzach po śmierci Emily.

Nie mógł zasnąć, więc usiadł i włączył CNN. Zobaczył swoje nazwisko i twarz w telewizji. Zdjęcie z prawa jazdy. Spiker opisał Bena jako osobę publiczną - rzecznicy prasowi mówili o podejrzanym. Departament Bezpieczeństwa Krajowego chciał poznać jego związki z rzekomym płatnym zabójcą, którego znaleziono martwego w Austin. Spiker mówił, że Ben uciekł z aresztu Departamentu w trakcie wymiany ognia, podczas której zginął szanowany i odznaczony agent. Ktokolwiek wie o miejscu pobytu Forsberga, proszony jest o kontakt z Departamentem Bezpieczeństwa pod specjalnym numerem.

Ledwo udało mu się odzyskać spokój po śmierci Emily; przeżył spojrzenia, szepty, ale nigdy nie udało mu się odsunąć poczucia bezsensownej winy. Miał do siebie pretensję,

że zabrał ją na Maui na miesiąc miodowy, że został przy życiu, gdy ona zginęła. A teraz pojawiło się coś o wiele bardziej zatrważającego myśli niż wina - podejrzenia. Jego żona została zamordowana, a on był ponoć powiązany z płatnym zabójcą. Musi całkowicie oczyścić się z podejrzeń albo będzie skończony.

„Uciekł z aresztu”. Słowa spikera odbijały się echem w jego głowie. Ben dotknął własnej twarzy na ekranie telewizora. Teraz był ścigany.

Vocek niespecjalnie lubiła dzieci, ale nie potrafiła zapomnieć tych dwóch zabitych chłopców.

Pół roku temu weszła do ostrzelanego pokoju w Kabulu i zobaczyła małe, skurczone ciała.

Gdy znalazła się w zdemolowanym domu w ten okropny szary poranek, ciaśniej zawinęła hidżab wokół twarzy, a nosiła go z szacunku dla tradycji. Ta chusta maskowała woń spalonego kordytu i zasłaniała drżące usta, gdy Vocek stała nad żałosnymi ciałami. Pochyliła się, aby dotknąć dzieci, ale zatrzymała palce tuż przed ciemnymi czuprynymi. Jeden chłopiec miał dziewięć lat, drugi dziesięć. Gdyby to były amerykańskie dzieci, na ich piżamach widniałby Scooby-Doo, Power Rangers albo Spider-Man. Ale ta dwójka miała na sobie piżamy z powtarzanym wzorem piłki nożnej, z tęczowym łukiem ciągnącym się za każdą z piłek, sugerującym potężne i celne kopnięcie.

Leżeli na brzuchach. Domyśliła się, że strzelono do nich od tyłu.

Nie było śladu rodziców dzieci, ludzi, których znała, tłumaczy współpracujących z Departamentem Stanu. Znała,

ich ponieważ przyjechała tu, by pomóc rządowi w Kabulu stworzyć i udoskonalić własną wersję Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Ojciec chłopców zadzwonił do niej przed godziną, wyrывая ją z głębokiego snu. „Pani Vochek, czy mogłaby pani przyjechać do nas i porozmawiać. Mamy ważne informacje. Liczy się czas”.

- To dwóch ludzi od pani - powiedział afgański oficer odpowiedzialny za sprawę.

- Moi ludzie. - Oderwała wzrok od dzieci. - Nie rozumiem.

- Tak. Mordercy. Dwaj ludzie z Departamentu Stanu.

- Ci, którzy ich zabili, pracują dla rządu? - Jej głos był pełen przerażenia.

- Tak. W sekcji bezpieczeństwa. Porwali rodziców i wrzucili do bagażnika. Żona nie żyje, mąż jest ranny. Pewnie nie przeżyje nocy. - Oficer afgański wzruszył ramionami. - Co z wami jest nie tak, ludzie?

Polecono jej przesłuchać tych dwóch pracowników Departamentu Stanu. Rząd afgański podawał mediom starannie przygotowaną historię, według której dwóch nieznanymi, uzbrojonych napastników zaatakowało rodzinę.

Pytania Vochek wykazały, że dwaj pracownicy Departamentu Stanu pracowali dla rządu, ale wykonywali rozkazy tajnej grupy działającej w Kabulu, będącej częścią prywatnej siatki informacyjnej. Ta grupa na własną rękę próbowała wyśledzić zbuntowanych Talibów. A rodzice ponoć wiedzieli o rozmieszczeniu kluczowych talibskich sił. Jeden z dwóch napastników, skory do użycia broni, zastrzelił dzieci, gdy próbowały uciekać.

- Nie chciałem - powiedział jej jeden z mężczyzn. - Mieliśmy tylko zabrać rodziców i zmusić ich do mówienia. Dzieciaki się przestraszyły. Uciekły. Nie mogliśmy pozwolić,

żeby zbudziły całą dzielnicę - jakby ogień z broni palnej nie zakłócił ciszy - i zastrzeliłem je. - Mężczyzna się rozplakał. - Bo nikt nie miał wiedzieć, co robimy. Nikt.

Na myśl, że jakaś bandycka grupa działa niezależnie, potajemnie i nielegalnie wewnątrz potężnego labiryntu rządu, zrobiło jej się niedobrze. Waszyngton wyciszył sprawę. Dwaj pracownicy Departamentu Stanu, zatrudnieni w Biurze Bezpieczeństwa Dyplomatycznego, zostali odesłani do Stanów, gdzie postawiono im o wiele mniej poważne zarzuty. Vocek protestowała. Kazano jej zapomnieć o zdarzeniu. Nie miała pojęcia, co się stało z którymkolwiek z członków bandyckiego ugrupowania w rządzie - czy zostali zwolnieni, czy postawiono ich w stan oskarżenia, czy kazano im postępować ostrożniej.

Było to zdecydowanie niesprawiedliwe i wyrażała swój protest w kolejnych listach do przełożonej.

Jedyną odpowiedzią było uporczywe milczenie, doprowadzające do wściekłości, aż pewnego popołudnia Margaret Pritchard zjawiała się u niej w biurze.

Pritchard była zadbaną kobietą już dobrze po pięćdziesiątce, o posiwiałych blond włosach, w dużych okularach. Przedstawiła się, że jest z sekcji wykonawczej Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego z Waszyngtonu. Vocek o tej sekcji nigdy nie słyszała. Zamknęła drzwi biura.

- Nie podobają się pani te utajnione grupy?

- Nie.

- Oburzają panią. - Było to suche stwierdzenie. - Przeczytałam pani apele i e-maile. Zdecydowanie pani przesadza.

- Nie lubię przesady, ale czemuś ona służy.

Pritchard pochyliła się do przodu.

- Chciałabyś pomóc mi zlikwidować te grupy?

- Nie, dziękuję.
- Dlaczego?
- Ponieważ rząd nie chce, żeby te parszywe kundle trafiły do więzienia. Była ku temu okazja. Widziałam dwóch ludzi, którzy zabili rodzinę i dostali za to tylko po łapach. Nie chcę brać udziału w kolejnej farsie.

- Parszywe kundle. Podoba mi się to określenie. Ale to nie jest farsa. Administracja chce zakończyć działalność tych grup, ale bez rozgłosu, bez przyznawania, że kiedykolwiek istniały. Oto problem, który narastał od jakiegoś czasu... zbyt wiele agencji, brak wystarczającej odpowiedzialności, za dużo swobody w tworzeniu siatek wywiadowczych i słabe wyniki. Byłam odpowiedzialna za zespół, który miał szukać nielegalnych grup, zbierać dowody przeciwko nim, zbudować silne podstawy do oskarżenia, a potem je wsadzić. - Założyła ręce na piersi. - Ty i reszta zespołu będziecie mieli ogromną swobodę działania.

- Jeszcze nie powiedziałam „tak”. Ile grup istnieje? Margaret Pritchard wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, czasami grupy tworzyły się i rozwiązywały. Podejrzewam, że w CIA kryje się druga mniejsza, bardzo prywatna agencja. Naszym pierwszym zadaniem będzie ustalenie, czy rzeczywiście istnieje. - Sięgnęła do aktówki, rozwinęła długi arkusz papieru. Siatka kolorowych linii łączyła okręgi; okręgi zachodziły na nazwy agencji i departamentów: CIA, FBI, NSA, Obrona, Stan, Bezpieczeństwo.

- Podejrzewamy, że pewna komórka w rządzie zlecała konkretne działania... zabójstwa, kradzieże, sabotaż... niezgodne z naszą oficjalną polityką. To może dać dobre rezultaty, ale w ten sposób nie działa nasz rząd. Nie jesteśmy pewni, gdzie ukrywają się te grupy w biurokratycznym labiryncie, skąd dostają pieniądze, skąd biorą ludzi, materiały.

- Tworzysz jedną tajną grupę, aby znaleźć inną. - Vochek zaśmiała się cierpko.

- Jeśli wejdiesz między wrony... - Margaret Pritchard odsunęła się od wykresu. - Będiesz pracować poza biurem w Houston. Nie chcę, żeby w Waszyngtonie wiedzieli, co robimy. Grupa będzie nieliczna, żadnego afiszowania się; będziemy w dużym stopniu korzystać z ludzi z nami niepowiązanych, żeby nie zorientowali się ci, których śledzimy.

Żaden dobry uczynek nie przywróci życia tamtym afgańskim chłopcom w piżamkach. Ale jeśli znikną tajne grupy, to nie będzie też tych bezwzględnych działań. Będzie musiała milczeć dla dobra rządu, ale znikną dranie bez skrupułów korzystający z ochrony rządu i państwowych środków do realizacji własnych celów.

Znalazła pierwszy plus.

Otworzyła oczy, gdy usłyszała, że otwierają się drzwi. W nogach łóżka szpitalnego stała Margaret Pritchard. Vochek zmrużyła oczy przed porannym światłem wlewającym się mglistą poświatą przez okno.

- Nic nie będę mówiła poza samymi uprzejmościami. Porozmawiamy krótko.

Vochek skinęła głową.

- Najwyraźniej nadal masz nadspodziewanie twardą łepetynę.

- Nic mi nie jest. - Napastnik nie związał jej jak należy.

- Przywiozłam ci parę rzeczy z Houston. - Pritchard uniosła torbę. - Chyba jednak za dużo ci płacę.

- Moja mama wie, że zostałam ranna?

- Nie pisnęłam słówka. Ty powinnaś jej powiedzieć, Joanno.

- Dziękuję. - Vochek poszła do łazienki.

Wcześniej rano brała prysznic... obudziła się o czwartej, była niespokojna.

Otworzyła torbę: dwie garsonki od Chanel, szare, na lato; dwie od Armaniego; do tego jedwabne bluzki, buty pod kolor, pończochy, bielizna. Ubrania były jej jedyną słabością, ale odkryła, że opłacało się, by wyglądała jak bizneswoman. Pritchard była skrupulatna i włożyła do torby podstawowe kosmetyki, dezodorant, pastę do zębów, szczoteczkę i nić dentystyczną.

Vocek żałowała, że jej matka nie wykazuje choćby w polowie takiej inicjatywy i równowagi jak Margaret Pritchard. Będzie musiała dzisiaj zadzwonić do mamy, ale poczeka, aż wyjdzie ze szpitala, żeby nie kłamać.

Vocek skorzystała z przyborów toaletowych i włożyła ulubiony garnitur. Czowała się, jakby zakładała zbroję; znowu była gotowa zmierzyć się ze światem. Po raz pierwszy od uderzenia w głowę czuła się całkowicie sobą.

- Zwolnili cię ze szpitala - powiedziała Pritchard. - Chodź.

Szły w milczeniu do tylnego wyjścia - z dała od wścibskich dziennikarzy - i poczekały na lincolna town car. Pritchard miała szofera ochroniarza, potężnie zbudowanego mężczyznę, który podniósł kuloodporną szybę, gdy tylko limuzyna ruszyła od krawężnika.

Samochód opuścił kompleks szpitalny i przejechał drogą międzystanową do wschodniego Austin. Poranny ruch na drogach stawał się horrorem - czytała, że wśród średnich miast w kraju Austin miało pod tym względem najgorszą reputację - więc szofer trzymał się bocznych dróg.

- Przykro mi z powodu Kidwella - odezwała się Pritchard.

Vocek uważała, że Pritchard prawdopodobnie była bliżej z Kidwellem niż ona.

- Dziękuję - odpowiedziała.

- Co dokładnie powiedziałaś policji, jak cię znaleźli?
- Trzymałam się wersji, którą Kidwell kazał mi podać, gdybyśmy wpadli w tarapaty. - Vocek wyjrzała przez okno. Przejeżdżali obok jaskrawo pomalowanych taquerii i meksykańskich piekarni, przed którymi pełno było ludzi kupujących kawę i pieczywo na śniadanie. - Że pracuję w Departamencie Bezpieczeństwa przy tajnym projekcie i nie mogę rozmawiać o pracy.

- Miejscową policję wezwano na dywanik - powiedziała Pritchard. - Wyjaśniono im, że strzelanina wiąże się z tajną operacją związaną z bezpieczeństwem narodowym. Siedzą cicho i udzielają nam wsparcia. FBI przejęło oficjalne śledztwo. Wiedzą jedynie, że wasza praca, twoja i Kidwella, była utajniona i informacji na jej temat nie może poznać opinia publiczna. Będziesz musiała później złożyć im wyjaśnienie, ale już je dla ciebie napisałam. - Pritchard podała jej poranne wydanie miejscowej gazety i Vocek przyjrzała się artykułowi.

Ze zdjęcia spoglądał na nią Ben Forsberg. Artykuł opisywał śmiały atak na biuro wynajęte przez Departament Bezpieczeństwa Krajowego w centrum Austin. Jeden z agentów nie żyje, jeden przeżył, dwóch pracowników ochrony z firmy zewnętrznej zostało zabitych. Trzech podejrzanych napastników nie żyło. Żadnego nie zidentyfikowano, ale - gazeta sugerowała tło terrorystyczne - opisano ich jako Arabów. Nastąpiło to po dwóch strzelaninach w centrum miasta; w jednej zginął programista, w drugim człowiek na parking, nadal niezidentyfikowany, choć z kanadyjskim paszportem i odpowiadający rysopisowi znanego zabójcy z Irlandii Północnej. Zginął Forsberg, miejscowy biznesmen; gazeta sugerowała niejasno, że może on mieć informacje dotyczące napastników - opisano go jako osobę, którą interesuje się policja. Urzędnik państwowy ostrzegł

przed terrorystami przenoszącymi pole walki na amerykańską ziemię. Rzecznik prasowy waszyngtońskiego biura Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego nie miał nic do dodania. Podobnie jak FBI.

- Nie ma mowy o mężczyźnie, który mnie zaatakował. Czy ktoś uważa, że ci napastnicy popełnili samobójstwo? - Vocek nie kryła zjadliwego tonu.

- Oczywiście, że nie - odparła Pritchard. - Ta praca mnie postarza o wiele szybciej niż moje nastoletnie dzieciaki. Powiedz mi wszystko.

Vocek opowiedziała. Pritchard miała denerwujący nawyk słuchania szczegółowych sprawozdań z zamkniętymi oczyma. Kiedy Vocek skończyła, Pritchard otworzyła oczy.

- Ten mężczyzna szukał kobiety o imieniu Teach. Wiesz, kim ona jest?

Vocek potrząsnęła przecząco głową.

- Ale interesuje mnie.

- Dlaczego?

- Bo on się nią interesuje.

Pritchard oparła się w skórzanym fotelu.

- Niedługo Departament wyda oświadczenie. Zidentyfikowaliśmy tych trzech Arabów; należą do nowej komórki terrorystycznej. Zaatakowali siedzibę w Austin ze względu na słabą ochronę.

- To prawda?

- Hm, dowiedziałam się, że w sieci komórkowej prowadzono wiele rozmów, żeby w Departamencie i FBI uwierzono, że organizacje terrorystyczne próbują stworzyć tu więcej oddziałów. Al-Kaida, Hezbollah, kilka małych, ale ambitnych grup, takich jak Synowie Miecza i Krew Ognia. Napastnicy mogli pochodzić z Libanu, ale jeszcze nie dostaliśmy potwierdzenia.

- Więc po co mówić, że to terroryści, skoro nie jesteśmy pewni?

- Ponieważ potrzebujemy przykrywki. Jeszcze czterech ludzi zginęło w domu nad jeziorem w pobliżu Austin. Trzech z nich to też Arabowie. Jeżeli powiemy, że to komórka terrorystyczna, to nic więcej nie musimy wyjaśniać; jeśli płatni zabójcy z Libanu atakują nasze biuro, pojawia się więcej pytań, natomiast jeśli powiemy, że zrobili to terroryści, pytań nie będzie. Jest jednak kolejny problem. Oto czwarty trup. - Pritchard podsunęła jej fotografię. Młody mężczyzna bez okularów, szczupły, z cierpkim wyrazem twarzy, nieszczęśliwy, że zrobiono mu zdjęcie.

- Kto to?

- Nazywał się David Shaw. Był crackerem systemów zabezpieczenia, podejrzany o włamanie do sieci Departamentu Obrony. Jako haker nazywał się Big Barker. Oczekiwał na proces, ale zniknął przed rokiem.

- Jaki ma związek z Arabami?

- Poza tym, że leżał z nimi martwy na podłodze? Nie mam pojęcia... - Pritchard przyglądała się własnym paznokciom, przyłożyła palce do ust.

Vocek postukała w zdjęcie Bena w gazecie.

- Nie mówiłam o nim policji.

- Ben Forsberg to przewracający się rząddek kamieni domina. Policja w Austin ma taśmę, którą nagrał Kidwell podczas przesłuchania Forsberga... Wiedzą, że Kidwell podejrzewał go o udział w zamordowaniu Reynoldsa. Kiedy pojawiło się jego nazwisko, media je sprawdziły i wypłynęły zeznania, które złożył w sprawie śmierci żony. Prasa dobrała się do niego, bo tylko on może odpowiedzieć na jej pytania.

- Więc Ben to ich cel.

- Tak, i mnie to nie przeszkadza. - Pritchard otworzyła laptopa, postukała w klawisze. Pojawiło się wideo... dwóch

biegnących mężczyzn, jeden najwyraźniej ranny. - Wczoraj wieczorem w piętrowym garażu przy Drugiej Ulicy ktoś próbował zabić mężczyznę, który cię napadł, i Bena Forsberga. W jednej ze ścian tkwi kilka pocisków, są ślady krwi. Dzięki kamerze telewizji przemysłowej mamy dobry obraz twarzy naszego milusińskiego. - Pritchard wcisnęła kolejne klawisze; pojawiły się zdjęcia ukazujące twarze mężczyzn. Jedna z nich należała do Bena Forsberga. Druga do mężczyzny o szerokich ramionach, który ją uderzył i zamknął w komórce, co bezsprzecznie uratowało jej życie.

- Tak. To on.

- Uruchomiliśmy programy szukające twarzy, żeby go dopasować. - Pritchard złączyła palce. - Kidwell, biedny skurwiel, był bliższy trafienia w dziesiątkę, niż się spodziewał. - Otworzyła kolejny plik i na ekranie pojawiło się inne zdjęcie.

Na tym zdjęciu mężczyzna był o dziesięć lat młodszy, miał kasztanowe włosy. Jego szczeka była bardziej spiczasta, a nos grubszy, bardziej orli. Był nijaki, ani przystojny, ani brzydki. Takiej twarzy raczej się nie zapamiętuje. Lecz nie zmieniły się błękitne oczy, które wpatrywały się w nią znad lufy. Patrzyły przenikliwie.

- To chyba on. Przeszedł małą operację; nosa, policzków i brody. Kto to jest?

- Randall Choate - odpowiedziała Pritchard. Był czołowym zabójcą z CIA. Dziesięć lat temu zawałił misję Agencji w Indonezji. Został złapany. Osadzono go w więzieniu w pobliżu Samarindy, a potem zginął podczas próby ucieczki, kiedy przepływał przez Mahakam. Indonezyjski oficer policji zeznał, że strzelił Choate'owi cztery razy w plecy.

- Myślałam, że ciała nie trzymają się tak dobrze w wilgotnym klimacie.

- Ciała nie znaleziono. Policja zakłada, że prąd zaniósł je do cieśniny Makasar i dalej na morze.

- Ten kapitan policji kłamał.

- Najwyraźniej dostał łapówkę - rzekła Pritchard. - Choate to klucz, Joanno, jestem pewna. - Dziwną radość słyhać w jej głosie... wywołaną bliskością obiektu, pomyślała Vocek. - Pracował dla kogoś przez dziesięć lat, i to nie dla CIA czy innej agencji. Znajdziemy go, to może odkryjemy pierwszą prawdziwą, niezatwierdzoną grupę w rządzie. Byłby to duży sukces w usuwaniu parszywych kundli.

Wielka nagroda; klucz do podejrzanego, prywatnego CIA, największej z nielegalnych grup. Po plecach Vocek przebiegły dreszcze na myśl o oczekiwaniu, strachu, rozwiązaniu zagadki.

Przyglądała się twarzy mężczyzny. Nie należała do kogoś okazującego słabość, którą zeszłej nocy jednak okazał; powinien ją zabić, kiedy miał okazję.

Pokona go.

Margaret Pritchard zamknęła laptopa.

- Twoja praca, Joanno, nigdy nie miała większego znaczenia. To nasza największa szansa. Chcę mieć tę grupę w garści. Szczególnie jeżeli Choate zabił Kidwella. - Uśmiechnęła się półgębkiem. - Liczę, że złapiesz ich dla mnie.

- Tak jest. - Zamilkła. - Mógł mnie zabić, ale nie zrobił tego; dlaczego miałby zabijać Kidwella?

- Nie znamy związków między Forsbergiem, Choate'em a tymi Arabami. Niczego nie zakładaj. Ci ludzie mogą grać w jednej lidze. Te alianse często prowadzą do rozlewu krwi.

- I co, Choate i ci Arabowie zabijają Kidwella i ochroniarzy, a potem Choate zabija Arabów? - Potrzęsnęła głową.

- Cóż, dowiemy się, co ich łączyło, jak znajdziemy Choate'a i Forsberga.

- Zginęła moja komórka. Na pewno Choate ją zabrał.
- Proszę, masz nową. Zadzwoń do nich. - Wręczyła Vo-
chek telefon.

Vocek wystukała swój stary numer i nagrała się po usły-
szeniu poczty głosowej.

- Chciałabym odzyskać telefon. I porozmawiać. Może
zdołamy pomóc sobie nawzajem. - Podała swój nowy nu-
mer i rozłączyła się. - Mogą nie włączyć telefonu, więc nie
da się go namierzyć. Co teraz?

- Pożegnamy się. Prywatny odrzutowiec zabierze cię do
Dallas. Wczoraj przed śmiercią Adam Reynolds cztery razy
próbował dodzwonić się do tej kobiety, Delii Moon. Chcia-
łabym wiedzieć dlaczego. Nie była w stanie odpowiadać na
pytania, kiedy zadzwoniłam do niej; nie wiedziała o śmierci
Adama. Zaczęła histeryzować. Ostrzegłam ją, że ma nie
rozmawiać z prasą. - Pritchard wyjrzała przez okno; skręca-
li w stronę lotniska w Austin, kierując się do sekcji prywat-
nych samolotów. - Chcę wiedzieć, czy istnieje jakikolwiek
związek między Benem Forsbergiem a Nickym Lynchem,
poza wizytówką. Jeżeli Forsberg pracuje z Choate'em, to ich
drogi musiały się skrzyżować już wcześniej. Zobacz, czego
jeszcze możesz się dowiedzieć o żonie Bena. Zmarła na Ha-
wajach, ale mieszkali w Dallas. Coś jeszcze?

- Tak. Ci strażnicy, którzy zginęli... pracowali dla
Hector Global.

Pritchard zawahała się na moment.

- Tak.
- Hector Global mieści się w Dallas. Powinnam tam
wstąpić i złożyć kondolencje.

Pritchard potrząsnęła głową.

- Najlepiej trzymać się z daleka. Dostaję burę za to,
że zatrudniam zewnętrzne firmy do ochrony, ale jak się

poluje na parszywe kundle na własnym podwórku, łatwiej zaufać ludziom z zewnątrz.

- Forsberg powiedział, że Sam Hector był jego głównym klientem. Hector może mi przekazać informacje o Forsbergu.

Pritchard znowu potrząsnęła głową.

- Sam Hector będzie pod ostrzałem prasy, bo zginęli jego ludzie. Nie chcę, żebyś pokazywała się u niego, bo to by wywołało dalszą falę pytań. Trzymaj się w ukryciu. Skup się na tym, co ci zleciłam. Hector dostarczy nam informacji, jeżeli zajdzie potrzeba.

- W porządku. Jednak bardzo chciałabym wyjaśnić pewien problem, zanim mnie wypuścisz. - Założyła ręce na piersi. - Nie jestem Kidwellem.

- I co?

- Nadużywał władzy w przypadku Forsberga. Nie chcę krytykować zmarłego... ale on groził aresztowaniem rodziny Forsberga, jego przyjaciółom. Groził zniszczeniem mu kariery, odwołaniem wszystkich kontraktów.

- Groźby mogą zdziałać cuda. Mamy zlecenie, Joanno. Zamknąć wszystkie nielegalne, tajne operacje. Jeżeli będę musiała nagiąć prawo, aby złapać tych, co je łamią, nie zamierzam tym się martwić i ty też się nie przejmuj. - Pritchard zmierzyła ją zimnym spojrzeniem.. - Chciałaś dla mnie pracować, Joanno, bo zmęczyli cię ci ludzie i ich brudna robota, ich bezkarność. Nie narzekaj teraz.

Tego sporu nie mogła wygrać.

- Ten cały Choate... co zrobi Benowi?

- To zależy, w jakim stopniu Forsberg jest przydatny. - Pritchard wzruszyła ramionami. - Choate był draniem od lat. Wątpię, aby wyrobił w sobie lojalność. Forsberg może zginąć lada chwila. - Założyła okulary przeciwsłoneczne. - Pogrzeb Kidwella odbędzie się za kilka dni. Dam ci znać.

Mam nadzieję, że do tej pory okiełznamy nasze parszywe kundle. I zadzwoń do mamy. Podaj jej swój nowy numer. Chyba nie chcesz, żeby gawędziła z kimś takim jak Choate.



Mała i tajna grupa „hycli” pod dowództwem Pritchard skryła się w zakamarkach na tyłach Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Zważywszy na tajny charakter ich grupy, nie zamierzali zdradzać planów i prosić CIA o akta Randalla Choate'a, jeżeli człowiek na zdjęciu z garażu był ich „nie tak zupełnie martwym” eksagentem. Ale pszczoły robotnice Pritchard złożyły dokumentację dla Vocek dość szybko, a to za sprawą wstępnej identyfikacji twarzy, więc w rządowym odrzutowcu lecącym do Dallas studiowała szczególnie.

Urodzony jako Randall Thomas Barnes przed trzydziestu sześciu laty w Little Rock, w stanie Arkansas. Randall to panieńskie nazwisko jego matki; Thomas imię dziadka. Ojciec zginął, kiedy Randall miał dwa lata, prowadził po pijanemu. Matka wiele razy przeprowadzała się i pracowała jako sekretarka, od Arkansas po Wirginię Zachodnią, aż w końcu dotarła do Lafayette w Indianie, gdzie szczęście się do niej uśmiechnęło, gdy dostała stanowisko sekretarki na wydziale języków obcych uniwersytetu w Purdue. Jeden z doktorów, Michael Choate, specjalizujący się w literaturze rosyjskiej dziewiętnastego wieku, zainteresował się młodą wdową i jej synem. Choate wkrótce adoptował Randalla, zachęcał chłopca, aby swój intelekt poświęcił nauce. Ojczym od wczesnych lat także uczył go rosyjskiego. Randall ukończył z wyróżnieniem dwa kierunki w Purdue: filologię rosyjską i historię. Akta zawierały zbiór starych, przypadkowych zdjęć Randalla ze studenckiej gazetki i z rocznika szkolnego.

Randall był nieszczęśliwym chłopcem, bladym, ale o silnym ciele i oczach wyrażających pewność siebie. Na większości zdjęć był sam albo stał z boku. Na jednym ze zdjęć, zrobionym podczas międzyszkolnego meczu, członkowie drużyny obejmowali go rękami; Randall Choate uśmiechał się, jakby sam wolał zagrać cały mecz. Rozpoznała ten uśmiech - taki sam jak wtedy, kiedy wybił jej pałkę z ręki, uśmiech wyrażający rozbawienie, ale i szacunek.

Dzięki sugestii jednego z profesorów, kolegi ojczyma, który miał kontakty z Agencją, Randall złożył podanie do CIA i został przyjęty. Na tym zawartość teczek się kończyła, pozostała tylko notatka, według której uznano go za zabitego podczas ucieczki z więzienia w Indonezji cztery lata później. Misja, którą prawdopodobnie zepsuł, pozostała utajniona, a ludzie Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego pracowali niestrudzenie, by zebrać więcej informacji bez zadawania bezpośrednich pytań Agencji.

Dane osobowe: jego matka i ojczym nadal mieszkali w Lafayette. Żona Kimberly i córka Tamara nie były świadome, że jest zabójcą. Żona powtórnie wyszła za mąż przed pięciu laty, nowy ojczym adoptował Tamarę. Historia się powtarza. Rodzinie powiedziano, że Randall był zamieszany w przemyt narkotyków w Indonezji i zginął podczas ucieczki z więzienia. Ładna historia, aby nie brać na siebie odpowiedzialności. Brak dowodów że Choate w ciągu minionych lat kontaktował się z rodziną.

Vocheck zamknęła akta.

CIA albo wiedziała, że Choate nadal żyje, a jego śmierć przed dziesięcioma laty była przykrywką, żeby wyciągnąć spalonego agenta z więzienia, albo nie wiedziała - a w tej sytuacji łatwo będzie określić motywy, dla których Choate sfingował własną śmierć.

Samolot leciał nad północnymi połaciami zagospodarowanej prerii i ku zdziwieniu Vocek pod nimi pojawił się pas startowy, ciągnący się wzdłuż rzędu ekskluzywnych domów obramowanych z czterech stron zatłoczonymi ulicami.

- Jakie to lotnisko? - zapytała pilota.

- Plano Air Park Ranch - odparł. - Prywatny Park Lotniczy z pasem startowym tuż przy domach. Kupuje się dom z dostępem do pasa startowego, a samolot można trzymać w ogródku. Zbudowano go, zanim Dallas rozwinęło się aż tak daleko. Departament kupił tu dom przed dwoma laty. Lepsze to niż korzystanie z Addison lub DFW. Pani Pritchard powiedziała, że może się pani zatrzymać w tym domu. Mam klucz, jest też dodatkowy samochód, z którego może pani korzystać. Przewoziłem stąd kilku złych facetów do Meksyku albo na Kajmany, a gdzie dalej trafili, nie mam pojęcia. Czasami te gagatki płaczą podczas lotu, bo nie wiedzą, dokąd lecą.

- Niepewność to niezbyt miłe uczucie - powiedziała. Samolot wylądował i pilot podkołował pod dom należący do Departamentu. Pilot umieścił maszynę w krytym hangarze i wręczył Vocek komplet kluczy do domu i samochodu.

- Pani krzyknie na mnie, jak trzeba będzie zabrać jakiegoś łobuza - rzekł pilot. - Jestem na zawołanie.

- Nie będę zabierać żadnych prawdziwych łobuzów - odparła. - Muszę tylko przesłuchać kilka osób.

- Jeszcze wcześniej. - Pilot się uśmiechnął. - Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy.

Indonezja, dziesięć lat wcześniej

Mężczyzna, którego nazywali Smokiem, nie zjawił się na spotkaniu. Świetnie, pomyślał Choate. Nienawidził pracy z partnerem, a szczególnie nie lubił, gdy go do tego zmuszano.

Jeszcze godzinę, postanowił. W parku zaczęła zapadać noc. Staw zrobił się mgliście fioletowy, gdy słońce zaszło za zadymione dachy Dżakarty. Choate usiadł w pobliżu altany; schody okupowało trio młodych muzyków, lekko pijanych, którzy nie w tonacji grali kawałki Beatlesów na gitarach.

Rozkazy, jakie otrzymał Choate od szefa CIA z Dżakarty były jasne: „Pracuje dla nas wolny strzelec. Ma informacje dotyczące finansowego śladu prowadzącego do grupy terrorystycznej. Pomożesz mu. Spotkaj się z nim w parku o siódmej wieczorem”.

Choate poczekał, aż tłum odpoczywających w parku zaczął rzednąć. Został tylko on i muzycy, i dwie starsze siostry wrzucające kaczkom w stawie okruszki chleba.

Wstał, gdy trio zaczęło fałszować *Hey Jude*. Koniec. Przeszedł obok altany, wrzucając kilka monet do otwartego futerału gitary.

- On nie przyjdzie - rozległ się głos za nim i Choate się odwrócił. Trio muzyków stało, uśmiechnięte; jeden z nich wyciągnął pistolet zza gitary, drugi - ze zniszczonego plecaka. Choate zamarł.

- Nie wiem, o co wam chodzi - odpowiedział.

- Twój przyjaciel Smok - odparł gitarzysta i zaśmiał się.
- Głupie przezwisko; że niby taki groźny? Smoki nie istnieją, są niczym. Będzie się ukrywał. I ma powód.

- Nie rozumiem - powiedział Choate. - Czego chcecie?

- Pójdiesz z nami - rozkazał gitarzysta. - Tylko żeby porozmawiać.

Choate cofnął się o krok. Jeden z trójki złapał go za ramię. Rozległ się strzał i pierś gitarzysty pokryła krwista mgła; runął na schody. Huk wystrzału był głośny niczym trzask bata.

Dwie starsze siostry nad stawem podniosły krzyk. Schowały się z wrzaskiem za ławkę.

Choate walnął w twarz drugiego mężczyznę, zakręcił nim, zaciskając dłonie na jego nadgarstkach, kiedy tamten próbował zapanować nad bronią. Choate czuł jego oddech cuchnący rybą i czosnkiem. Kolejny strzał poniósł się echem przez park. Kula trafiła mężczyznę w głowę, zaledwie pięć centymetrów od twarzy Choate'a, mężczyzna zwałił się z nóg, a jego krew zbryzgała wszystko wokół.

Choate krzyknął i puścił ciało.

Został jeden, najwyższy z muzyków. Odwrócił się i uciekł. Żaden mściwy strzał z daleka nie padł, więc Choate chwycił broń napastnika, wymierzył i strzelił. Chybił. Drugi strzał trafił mężczyznę prosto w łydkę. Przewrócił się, tłumiąc krzyk i chwytając się za nogę.

Choate usłyszał za sobą tupot nóg. Obrócił się i wycelował w człowieka spieszącego w jego stronę z karabinem

snajperskim. Mężczyzna miał ogoloną głowę, był potężny i jakieś dziesięć lat starszy od Choate'a. Mówił z brytyjskim akcentem.

- Złap go. Poszukajmy jego samochodu. Musimy się dowiedzieć, dla kogo pracuje.

- Jesteś Smok...

- Boże, aleś ty zielony - odpowiedział mężczyzna. - Głupio zrobiłeś, że dałeś tu się wyśledzić i słuchałeś ich kiepskiej muzyki przez dwie godziny.

- Nie byłem śledzony...

- Dupa wołowa z ciebie, najwyraźniej byłeś - rzekł Smok. - Policja jest dość wyczulona na tę część Dżakarty. - Schwycił rannego, ponaglił go, aby wstał, i cedził słowa po indonezyjsku, jednocześnie wciskając mu lufę karabinu w szyję. Mężczyzna wskazał na parking po wschodniej stronie i wysapał coś, co Choate uznał za błaganie o łaskę.

Choate wydobyl kluczyki z kieszeni mężczyzny i ruszyli w stronę parkingu. Choate naciskał guzik centralnego zamka, zataczając ręką szerokie koła. Zamigwały tylne światła jednego z samochodów. Wepchnęli mężczyznę na tylne siedzenie i Smok się dosiadł. Choate prowadził.

- Dziękuję - powiedział Choate.

- Co?

- Dziękuję. Uratowałeś mi życie. - Czuł zawroty głowy od nadmiaru adrenaliny.

- Ach. Cóż. Oczywiście. - Smok mówił jak ktoś, kto nie przywykł do grzeczności. W lusterku wstecznym Choate zobaczył, że Smok obserwuje drogę przed i za nimi, upewniając się, czy nie są śledzeni, i że Choate wie, jak jechać w labiryncie ulic Dżakarty. Zapytał ich jeńca po indonezyjsku i otrzymał odpowiedź po angielsku.

- Tak, trochę po angielsku.

- Dla kogo pracujesz?

Więzień się zawahał.

- Mam jeszcze jedną kulę. W sam raz dla ciebie. Będziesz mówił, przeżyjesz.

Więzień obliznął usta, zadrżał. Choate pomyślał, że ma jakieś dziewiętnaście lat.

- Krew Ognia. Ale ja jestem nowy. Proszę. Nie znam nazwisk, nic wam nie pomogę.

- Krew Ognia? - zapytał Choate.

- Mała komórka terrorystyczna. Wielkie ambicje - odpowiedział Smok. - A cel w tym zadaniu, które mieliśmy omówić dzisiaj, jest związany z Krwią Ognia. To znaczy, że wiedzą. Mamy przeciek. Wiedzieli, że mieliśmy się spotkać, i próbowali cię usunąć.

Choate'owi zaschło w gardle. Życie stawało się łatwiejsze, kiedy cele nie były podejrzliwe.

- Skąd wiesz, że CIA was goni? - zapytał Smok.

- Nie wiem... Kolega mi powiedział. Jego pierwszego zastrzeliliście. Ja tylko wypełniam rozkazy. Karmią mnie - dodał po cichu. - Jestem nikim.

- Nie jesteś przekonujący - Smok powiedział do jeńca, a do Choate'a: - Wiesz, gdzie jest wysypisko śmieci Deepra?

Choate skinął głową.

- Jedź tam.

- Nie powinniśmy zabrać go do CIA...

- Nie. Nie jestem oficjalnie z CIA, a przy tym zadaniu ty też nie jesteś.

To było coś nowego dla Choate'a, ale milczał i tylko patrzył na drogę.

Niewyobrażalne jest, ile śmieci może wyprodukować osiemnastomilionowe miasto. Śmietniska Dżakarty zajmowały tysiące akrów zamieszkiwanych przez rodziny śmieciarzy żerujących wśród odpadków, wiedzących, jak przeżyć. Wysypisko Deepra piętrzyło się niczym miniatury

łańcuch górski, z porzuconymi wrakami samochodów w świetle gwiazd, ze stadami mew unoszącymi się na masywem śmieci, gdzie odór nieczystości był niczym policzek wymierzony przez śmierć.

Wjechali do środka. Choate słuchał poleceń Smoka i skierował się na odosobniony teren. Namioty śmieciarzy zgromadziły się po jednej stronie, ale gdy zbliżył się samochód, ludzie schowali się do swoich kryjówek.

- Wiesz, dlaczego się chowają? - Smok zapytał jeńca. - Nie chcą być świadkami. Ładny sedan nie przyjeżdża tu po zmroku, żeby wyrzucić tonę śmiecia. Ładne sedany przyjeżdżają tu, żeby pozbyć się ciała.

Z gardła jeńca wydobył się cichy szloch.

- Powinniśmy go zabrać do CIA - powtórzył Choate. - Mogą go przesłuchać.

- W CIA nie prowadzą dobrze przesłuchań. Jestem temu zdecydowanie przeciwny. - Szarpnął jeńca za koszulę. - Skąd wiedziałeś o naszym spotkaniu?

Jeniec patrzył na górę śmieci.

- Mogę cię zabić i porzucić tu twoje ciało. Jednak mam lepszy pomysł, ciężko cię zranię i zostawię tutaj, żeby ptaki odrywały ciało od kości. Śmieciarze ci nie pomogą. Nikt ci nie pomoże. Słuchaj. Za godzinę możesz być wolny, lekarz opatry ci ranę i dostaniesz miskę gorącej zupy. Twój wybór.

Jeniec nie odpowiadał przez trzydzieści sekund, a Choate pomyślał: Powiedz mu, odpowiedz na pytanie.

- Wie, że go namierzacie - odezwał się jeniec.

- Kto to jest? - zapytał Choate.

- Finansista. W imię Allaha przekazuje pieniądze terrorystom - wyjaśnił Smok. - Jego brat to wielka szycha w rządzie Indonezji, więc sprzątnięcie go to taka cicha robota.

- Potrzebny mi lekarz - powiedział Jeniec.
- Skąd Gumalar o tym wie? - zapytał Smok. - Gdzie jest przeciek?
- Znaleźliśmy ludzi, którzy dla was pracują - wyznał Jeniec. - Przez ostatnie kilka dni. Pięciu. Dali nam dosyć informacji, abyśmy domyślili się, gdzie się spotkacie.
- Gdzie są moi ludzie? - spytał Smok lodowatym tonem. Jeniec wzruszył ramionami.
- Nie wiem.
- Masz ludzi? - zapytał Choate.
- Smok na niego nie spojrzał, nie spuszczał oczu z jeńca.
- Informatorów. Zdobywają informacje, które sprzedają CIA.
- Miałeś informatorów - poprawił go Jeniec.
- Smok wymierzył jeńcowi mocny policzek, aż tamtemu szczęka zazgrzytała.
- Gdzie mogę znaleźć Gumalara?
- Nie możecie go tknąć - odpowiedział Jeniec z butą w głosie.
- W radiu podano wiadomości. Dwóch mężczyzn zidentyfikowanych jako agentów Badan Intelijen Negara, służby wywiadowczej indonezyjskiego rządu, znaleziono zastrzelonych w parku.
- O cholera - jęknął Choate. - Zabiłeś dobrych facetów.
- To względne, kto jest dobry - odparł Smok. - Nasz cel ma dobrych ludzi na liście płac.
- Nie możecie tknąć Gumalara, a ja nie wiem, gdzie on jest - powiedział więzień.
- To co z ciebie za pożytek? - zapytał Smok. Wystrzelił raz, w ciasnym wnętrzu samochodu huk zabrzmiał twardo i zdecydowanie.

- Jezu, mógł nam powiedzieć więcej! - krzyknął Choate.
- Niedużo - odparł Smok. - Otwórz bagażnik.

Choate zrobił to lekko drżącymi rękami. Smok wysiadł z sedana i poszedł do tyłu. Zamarł.

Choate pospieszył do niego. W samochodzie leżała duża plastikowa torba. A w niej zobaczyli usmarowane krwią kilkanaście dłoni. Duże, spracowane; gładkie, damskie; z pierścionkami, inne pozbawione biżuterii.

Choate odsunął się od samochodu i starał się powstrzymać wymioty.

- Dziesięcioro dłoni - po chwili rzekł Smok. - Moich pięciu informatorów.



- Więc... co wiemy? - Siedzieli w ciemnych czeluściach baru w Dżakarcie, daleko od parku, daleko od wysypiska.

- Przeciek w sprawie Gumalara pojawił się, bo ma w kieszeni kogoś ważnego z BIN. Dlatego też Agencja musi się nim zająć potajemnie.

- Kazano mi wykonywać twoje polecenia - powiedział Choate.

Nie był z tego zadowolony, ale rozkaz to rozkaz.

- W takim razie trzymamy się pierwotnego planu. Musimy odkryć kanał, którym skurwysyn Gumalar przekazywał pieniądze terrorystom. Znajdziemy pieniądze, to powiązemy je z nim, a po drodze załatwimy jego i całą komórkę. Zaaranżujemy to tak, żeby wyglądało, że to terroryści zwrócili się przeciw niemu. CIA ma trzymać się od tego z daleka.

- A mnie potrzebujesz, żebym namierzył pieniądze.

- Gumalar posiada duży bank. Za dwanaście godzin padnie ofiarą cyberataku. Zostaniesz wezwany jako przedstawiciel firmy eksperckiej IT, aby naprawić i zbadać bazy danych. Będziesz musiał zadać pytania dotyczące pięciu

pseudonimów używanych przez kontakt Gumalara z komórki terrorystycznej. Użyjemy tych informacji, aby go znaleźć, i w efekcie dostaniemy jego i samego Gumalara, jak się spotkają.

- Prowadzone śledztwo pozostawi elektroniczny ślad. Gumalar może mieć swoje konta pod kontrolą i zauważy dochodzenie.

- Masz być sprytny. Postaraj się.

Choate nic nie powiedział.

- Nie jestem dobry w rozpieszczaniu, chłopcze - oznajmił Smok.

- Nie spodziewałem się tego ani nie chciałem.

- Znalezienie śladu nie zajmie ci dużo czasu. Zdobądź informacje o kontaktach i uciekaj. Nie chcę, żebyś tkwił w banku cały dzień; jeżeli znają twój twarz, staniesz się celem.

- Skąd zdobyłeś te pseudonimy?

- Od moich informatorów.

- Czy wiedzieli o tym, że namierzamy bank Gumalara?

- Nie - odparł Smok po chwili.

- Nie podoba mi się twoje wahanie.

- Nie wiedzieli.

Choate postukał palcami w stół, uspokajał się.

- Musimy zdać raport Agencji.

- Oczywiście. Ale misja trwa nadal.

- To zależy od Agencji.

- Niech decyduje. Tym skurwielom nie ujdzie na sucho zabicie moich ludzi. Prowadzę swoją siatkę jak mały, miły rodzinny biznes. Opiekowałem się nimi, ich rodzinami. Byli wobec mnie lojalni. A ja wobec nich.

- Wszystko bardzo szlachetne - przyznał Choate. - Ale nie wybieram się na samobójczą misję.

- Świetnie. Zdobądź zgodę Agencji. Bądź pewien siebie i powiedz, że uratowałem ci życie. - Smok wstał, skończył

piwo. Wyszli, zostawiając pieniądze na stoliku, i pojechali do małego domu Smoka przy cichej ulicy.

Choate zadzwonił, połączył się z szefem CIA w Dżakarcie. Wyjaśnił. Słuchał. Rozłączył się.

- Mamy zgodę.
- Zapomniałeś powiedzieć, że uratowałem ci życie.
- Nie jestem dobry w rozpieszczaniu - odparł Choate. -

Kiedy idziemy do banku?

Smok uśmiechnął się słabo.

- Jutro rano. Przejrzyj te akta. Prześpij się. Możesz położyć się w pokoju na końcu korytarza. - Smok wszedł do innego pomieszczenia. Choate przyłożył ucho do ciężkich drzwi. Wyciszone.

Poszedł do pokoju i padł na łóżko.

Zupełnie mu się to nie podobało, ale otrzymał rozkazy. Skulił się i pozwolił, by ogarnął go sen. Starał się nie myśleć o torbie z odciętymi rękami ani o zdziwionej twarzy zastrzelonego jeńca, wpatrującego się martwo ponad górami śmieci w niebo usiane gwiazdami.

Pierwszego poranka jako uciekinier Ben obawiał się, że sprzątaczką zjawi się w pokoju wcześniej rano albo że właściciele motelu zobaczą jego twarz w CNN. To był nowy rodzaj strachu; nie przechodził, kiedy włączało się światło w zaciemnionym pokoju albo kiedy wmawiałeś sobie, że stukanie w okno o północy to tylko gałąź poruszana wiatrem. Ten strach pozostawał w człowieku, oddziaływał na umysł, sprawiał, że każda chwila była wyczekiwaniem.

O siódmej rano w piątek wyjechali z motelu. Ben prowadził, kierując się na północ w stronę Dallas. Pielgrzym zapisał wskazówki na papierze, powiedział Benowi: „W Dallas najpierw pojedziemy tu”. X na mapie znajdował się w pobliżu Międzynarodowego Portu Lotniczego Dallas/Fort Worth. Pielgrzym przysypiał nerwowo na tylnym siedzeniu, nadal obolały, ale wyglądał lepiej niż poprzedniej nocy.

Na śniadanie kupili torbę taco w kiosku w Lorena, na południe od Waco. Pielgrzym obudził się i zjadł z wilczym apetytem, wypił olbrzymią butlę soku. Ben zamienił tablice rejestracyjne w ukradzionym volvie na tablice z subaru zaparkowanego w pobliżu kampusu Uniwersytetu Baylor w Waco.

Pracował szybko, używając klucza, który znalazł w miniaturowym komplecie narzędzi w bagażniku kombi.

Teraz jestem uciekinierem i złodziejem, pomyślał, a dzień się dopiero zaczął.

- Studenci tak szybko nie zauważą zamienionych tablic - powiedział Pielgrzym. - Dobrze jest kraść tablice przed klubami studenckimi w weekend. Wtedy wielu młodych ludzi jest pijanych.

- To szkoła baptystów. Tym dzieciakom nie wolno pić - zauważył Ben.

- Wobec tego mam nadzieję, że są zajęci sprawami duchowymi. - Pielgrzym zamknął oczy i znowu zasnął.

Ruch nie był duży, dopóki nie dotarli do przedmieść Dallas, skąd do śródmieścia ciągnął się długi sznur samochodów. Pielgrzym się obudził.

- Pytanie do ciebie - powiedział Pielgrzym. - O Sama Hectora. - Wyglądało na to, że nabrał sił, był żwawszy. Gotowy rozrabiać. - Jakże duże jest to przedsięwzięcie?

- Jedno z największych. Trzy tysiące zatrudnionych. Duże kompleksy szkoleniowe, jeden godzinę drogi na wschód od Dallas, drugi w Nevadzie. Większość kierownictwa to byli wojskowi, odznaczeni oficerowie. Ochrona, szkolenia, oprogramowanie... jeżeli rząd ma na coś zapotrzebowanie, on tego dostarczy. - Ben zaśmiał się cicho. - Sam kiedyś zażartował, że to powinno być mottem firmy.

- A jak długo z nim pracowałeś?

- Moja żona, Emily, pracowała dla Sama. Tak się poznaliśmy. Była księgową w jednym z jego oddziałów, mnie wynajął, żebym pomógł mu w zdobyciu nowych kontraktów. Kiedy zginęła, wyjechałem z Dallas i zostałem konsultantem, dalej z nim współpracowałem. Od kiedy zacząłem dla niego pracować, jego dochód wzrósł o pięćset procent.

- To dobry z ciebie alfons - zauważył Pielgrzym.
 - Słucham?
 - Czytałem o niektórych kontraktach, którzy ci faceci podpisują. Rząd się spieszy... jak wtedy, kiedy weszliśmy do Iraku... i nie bierze pod uwagę wielu innych ofert.
 - Tak, niekiedy. Często mamy do czynienia z presją czasu.
 - A w tych kontraktach jest zagwarantowany dochód. Obojętnie jak bardzo wykonawca spieprzy robotę albo przekroczy budżet.
 - Hm, to często są zadania o wysokim ryzyku - odpowiedział Ben.
 - Trzeba pamiętać jedno, Ben. Każdy biznes to ryzyko.
 - Nie w każdym biznesie możesz zginąć. Na każdych czterech żołnierzy, którzy giną w Iraku, ginie jeden pracownik kontraktowy. Oni nie dostają medali ani nie wyprawia im się wojskowych pogrzebów, ani nie dostają specjalnych dodatków. Nie przysługuje im szpital wojskowy. Nie urządzają parad na ich cześć po powrocie do domu.
- Pielgrzym milczał.
- Ben nie potrafił się powstrzymać:
- I nie sądzę, żeby złe interesy przynosiły zysk.
 - Ale gwarantowany zysk. Ile normalnych firm ma zagwarantowany zysk? Bierze się ze stosunku ryzyka do odpowiedzialności.
- Ben przeniósł wzrok z powrotem na drogę.
- Trafiłem w czuły punkt - zauważył Pielgrzym.
 - Pewnie są nieuczciwi ludzie biorący pieniądze za pracę, której nie wykonają albo nie potrafią wykonać. Ale do takich nadużyć dochodzi, kiedy celem gry są miliony dolarów.
 - To jedna wielka *piñata* - powiedział Pielgrzym. - Ale ty nie jesteś stroną w tym problemie, ty rozwiązujesz ten problem.

- Jak chcesz mnie obrazić, mogę wepchnąć ci z powrotem tę kulę w ramię. Z dużą prędkością.

- To byłoby ciekawe widowisko, Ben.

- Najemnicy istnieją, ponieważ rząd przez nas wybrany dokonał takiego wyboru - mówił Ben. - Ludzie nie chcą obowiązkowej służby. Nie chcą dużej armii. I nie przeszkadza im, że niedobory w wojskowej infrastrukturze uzupełniają się zasobami prywatnych firm. Nieczęsto widzę protestujących przed biurami moich klientów. Ci ludzie mają niezły zwrot z inwestycji.

- Wątpię, żeby to była dobra inwestycja dla Ameryki - odparł Pielgrzym. - Co będzie, jak walki zrobią się zacięte? Pracownicy kontraktowi mogą się wycofać; żołnierze nie.

- Tak też bywało.

- Pieprzenie. Pewne firmy inżynieryjne wycofały się z Iraku, bo o wiele za dużo wydają na ochronę. Jeżeli wojska inżynieryjne wykonują robotę, armia zapewnia ochronę, muszą zostać. To nazywa się odpowiedzialność.

- Dziwne to twoje zainteresowanie odpowiedzialnością, skoro ukradłeś mi nazwisko.

- Dostałem, nie ukradłem. Wracając do Hectora, jaką ma przeszłość?

- Długi okres w wojsku, pracował jako łącznik między oficerami z obcych armii, potem przeszedł do konsultingu w ochronie.

- Ach. Czyli pan Hector pozwala armii wydać miliony na swoje szkolenie i zamiast być zawodowym oficerem, zakłada prywatną firmę.

- Wstąpienie do armii nie oznacza dożywotniej służby.

- Ale większość ludzi nie zarabia milionów, kiedy zrzuca kamasze.

Ben zmarszczył brwi.

- Kiedy Emily zmarła... Sam Hector okazał się dobrym przyjacielem. Płacił mi nawet wtedy, gdy nie mogłem pracować. Podsyłał mi kontrakty. Dał mi pierwszą pracę, gdy byłem gotów wrócić do gry... To wyjątkowo lojalny człowiek.

- Lojalny. Wobec tego Sam Hector i ja mamy coś wspólnego. - Pielgrzym wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, przyjrzał mu się, włączył na krótko i wyłączył. - Barker zadzwonił na komórkę należącą do hotelu, w którym byłeś przetrzymywany, zanim rozpętało się piekło. Właścicielem hotelu jest firma o nazwie McKeen. Znasz ją?

- Nie.

- Słyszałeś kiedykolwiek o Blarney's Steakhouse?

Ben skinął głową.

- Jest ich parę w Dallas.

- Interesuje mnie lokal we Frisco. Jadłeś tam?

- Raz. To oryginalny lokal tej sieci.

- W kieszeni jednego z napastników znalazłem zapalniczki z Blarney's. Logo sugerowało, że Blarney's otwiera się w Waterloo Arms.

Ben postukał palcami w kierownicę.

- Istnieje związek, który musimy zrozumieć. - Pielgrzym rzucił na podłogę komórkę Barkera i wyciągnął inną z kieszeni. - Ta należy do ślicznej agentki Vocek. - Obracał telefon w palcach. - Jeżeli go włączę, to mogą nas namierzyć.

Benowi przyszło coś do głowy.

- Kiedy spierałem się z nimi o numery telefonów, które kupiłeś na moje nazwisko, Vocek powiedziała Kidwellowi, że Adam Reynolds dzwonił parokrotnie do Dallas wczoraj po południu. Mogła próbować zadzwonić pod ten sam numer.

Pielgrzym włączył telefon i wszedł w listę numerów.

- Dzwoniła do swojej mamy. Grzeczna dziewczynka. - Zjechał niżej. Przeczytał głośno numer, wyłączył telefon. -

Ten ostatni to numer w Dallas. Ach. Jest poczta głosowa, dwie wiadomości. Na pewno do mnie. - Odtworzył nagranie, trzymając telefon tak, aby obaj słyszeli.

Pierwsza wiadomość była od kobiety; mówiła bardzo ostrożnie.

- Halo, pani Vocek... Tu Delia Moon. Dzwoniła pani do mnie i zostawiła wiadomość, więc oddzwaniam. Ma pani mój numer.

Druga wiadomość była od Vocek, która prosiła, by do niej zadzwonić. Pielgrzym wyłączył telefon.

- Chyba nie chcę dzisiaj dzwonić do Vocek. - Wetknął komórkę do kieszeni. - Musimy się dowiedzieć, kim jest ta Delia Moon. Może wie, dla kogo pracował Adam.

- Jest wiele możliwości. Co robimy najpierw?

Pielgrzym się zastanawiał.

- Trzymamy się planu. Zdobędziemy wsparcie. Potem bazę. - Pochylił się, wyciągnął portfel z torby. - Później odwiedzimy dom mojego przyjaciela Barkera; może dowiemy się, kto go namówił do zdrady.



Pielgrzym przechowywał swoje „wsparcie” w niepozornym, trójkondygnacyjnym magazynie. Gdy zmierzali do budynku, nad ich głowami regularnie przelatywały samoloty startujące z rykiem z lotniska w Dallas. Minęli parę wynoszącą skrzynkę dobrego wina z magazynu oraz matkę z synem zbierających kartony. Ben udawał, że kicha, kiedy przechodzili obok tych ludzi. Pielgrzym szedł, włożył okulary przeciwsłoneczne. Ben próbujący ukrywać swoją twarz wyraźnie go rozbawił.

- Oj, człowieku, świetne. „Psik i myk”, pozwolisz, że w przyszłości wykorzystam tę technikę.

Ben poczuł, jak się czerwieni.

Pielgrzym, pochyliwszy się z jękiem, otworzył zamek, nie kluczem - nie miał go przy sobie - ale srebrnym, cienkim drutem. Ben kręcił się za nim niecierpliwie, mając nadzieję, że nikt nie pojawi się w korytarzu. Pielgrzym wszedł do pomieszczenia i zapalił światło. Ben podążył za nim, zamykając drzwi.

W pomieszczeniu znajdowały się metalowe pojemniki. Pielgrzym otworzył jeden: kolekcja pistoletów z dobraną amunicją; pudełko z dokumentami - prawo jazdy, paszporty. Laptop, jeden z najnowszych. Grube paczki dolarów.

Ben gapił się na broń i pieniądze.

- Mój Boże. Skąd masz to wszystko?

- To pozostałości po robocie w Piwnicy. Teach nie wie, że to mam. Uznałem za stosowne odłożyć coś na wypadek, gdybym musiał kiedyś uciekać i kryć się. - Otwierał i zamykał wszystkie pojemniki. - Ben, nie mam dla ciebie pistoletu na wodę. Wolisz glocka czy berette?

- Nie chcę broni.

Pielgrzym zaśmiał się i syknął z bólu.

- Zrozum, że znaleźliśmy się w niezłych tarapatach. Idziemy na wojnę z tymi ludźmi.

- Myślałem...

- Wydawało mi się, że słyszałem jakiś trzask. - Pielgrzym wyciągnął magazynek z pistoletu i włożył z powrotem.

- Mamy dowody, kto wynajął Nicky'ego Lyncha; przekażemy je policji i koniec.

- Dla ciebie. Nie dla mnie. - Skontrolował, wyczyścił i naoliwił pistolety, potem pokazał Benowi, jak ładować, sprawdzać i rozładowywać każdy z nich. - I najważniejsza rada. Licz pociski. Zawsze musisz wiedzieć, ile masz w magazynku.

- Nie zamierzam do nikogo strzelać. Połatałem cię, nie

dzwonię na policję, mówię ci, co wiem. Wystarczy. Naprawdę nie lubię broni.

- Upewnię się, żeby umieścili to w twoim nekrologu w przyszłym tygodniu.

- Nie, to znaczy... nie chcę.

- Zaledwie wczoraj celowałeś do mnie z pistoletu.

- Byłem w szoku. Wiem, że nie mogę zastrzelić człowieka.

- Podejrzewam, że zakamarki twojej duszy są niezbadane. A mógłbyś zabić tego, który zamordował twoją żonę?

Ben odłożył do futerału pistolet, który trzymał niezdarnie... berettę 92.

- Jeśli go zabiję, nie będę lepszy od niego.

- Pomyślałbym, że kogoś, kto zabił ci żonę, uznasz za złoczyńcę - powiedział Pielgrzym. - Prawda?

- Tak.

- Powiedziałbym, że to szumowina. Ale ty, święty Ben, nie pochylisz się ze swego złotego siodła na wysokim koniu i nie zabijesz go. Teraz uwaga: Będziemy mieć do czynienia z ludźmi, którzy może nie są tak bardzo wredni, ale równie niebezpieczni jak morderca twojej żony. Chyba zamierzasz oszczędzić wszystkich interesujących ludzi, których napotkamy. Kurczę, Jezusie kochany, skauciku, chciałem, żebyś mi krył tyły.

Ben chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

- Nie o to mi chodzi.

Pielgrzym wzruszył ramionami.

- Tak powiedziałaś. Bądź szczery wobec siebie, Ben; masz kręgosłup? Muszę wiedzieć, zanim pójdziemy dalej.

Ben podniósł berettę, zważył ją w dłoni.

- Istnieje wiele sposobów, abym ci pomógł, nie udając kogoś, kim nie jestem.

Pielgrzym wziął pistolet od Bena, załadował go, wepchnął sobie za pasek pod marynarką.

- Bierzemy pieniądze i broń. - Odwrócił się od Bena, który wiedział, że nie przeszedł próby, że Pielgrzym traktował go bardziej jak balast niż pomoc; a to - jak sobie uświada-
miał - stwarzało poważne zagrożenie.

- Bardzo mi przykro z powodu pani straty. - Vocek zamknęła portfel z odznaką. - Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

- Dziękuję. Miło z pani strony - odpowiedziała Delia Moon, a wyraźna złość zniknęła z jej twarzy, ustępując neutralnej minie. Otworzyła szeroko drzwi do domu i Vocek weszła do chłodnego korytarza. Dom był duży, niedawno zbudowany, na fali boomu rozbudowy przedmieścia Frisco. Pobliskie działki były puste lub właśnie zabudowywane, ewentualnie opatrzone szyldem: NA SPRZEDAŻ.

- Rozumiem, że moja przełożona z Departamentu poprosiła panią, aby nie rozmawiała pani z prasą ani nie omawiała sprawy Adama...

Delia była wyższa od Vocek; włosy nosiła upięte w gruby koński ogon. Miała na sobie batikową bluzkę brązowo-błękitno-zieloną, wytarte dżinsy, sandały z turkusami na rzemykach. Po przepłakanej nocy oczy miała zapuchnięte i zaczerwienione. Do jej łagodnej twarzy nie pasowała złość.

- Ona w taki uprzejmy sposób przekazała mi wiadomość o śmierci Adama. W ogóle nie spałam w nocy. Napije

się pani kawy? Ja będę do pani wrzeszczyć z kuchni? Vochek w duchu przeklęła brak finezji Margaret Pritchard.

- Może pani wrzeszczyć, a kawy chętnie się napiję, dziękuję. Proszę posłuchać, moja przełożona...

- Powiedziała, że narażę bezpieczeństwo narodowe, jeżeli będę z kimkolwiek rozmawiać. Nie tylko z policją lub prasą, ale nawet z naszymi przyjaciółmi - mówiła Delia. Słowa nieomal eksplodowały z niej. - Współczucie i groźby. Myślałam, że oglądam film o mafii. - Delia weszła do dużej, jasnej kuchni, Vochek za nią. Przywitała ją ciepła woń cynamonowej kawy; talerz z niedojedzoną ryżową grzanką stał na granitowym blacie.

- Pani Pritchard nie zachowała się należycie i chciałabym za nią przeprosić - powiedziała Vochek. - Ma pani ładny dom.

- Dziękuję.

- Zdaje się, że jest pani fizjoterapeutką.

Delia nałała Vochek kawy, nie patrzyła na nią.

- Adam kupił ten dom dla mnie.

- Nie pytałam, skąd panią stać na niego... - zaczęła Vochek, ale w oczach Delii zauważyła wojowniczy wyraz. Rozmowa z Pritchard nastawiała Delię wrogo do Vochek. - Jeżeli mamy złapać ludzi odpowiedzialnych za śmierć Adama, potrzebna jest mi pani pomoc.

- Rozumiem.

- Staramy się określić, co stało się przed jego śmiercią. Próbował dzwonić do pani cztery razy...

- Wyłączyłam telefon - odparła Delia i emocje skruszyły złość malującą się na jej twarzy. - Byłam w bibliotece i później zapomniałam go włączyć. - Jej głos zabarwił żal, a Vochek chciała powiedzieć: „To nie miało znaczenia, nie

uratowałyby go, gdyby się dodzwonił”. Jednak jeszcze nie mogła dzielić się z tą kobietą szczegółami, nawet tymi, które mogły przynieść pociechę.

- Połączyliśmy się z jego pocztą głosową... zostawił dla pani wiadomość, że może będzie musiał zniknąć na kilka dni. Wie pani dlaczego?

- Nie. - Delia ponownie napełniła swój kubek.

- Ale skoro kupił pani ten dom... - zaczęła Vocek - była pani z nim blisko.

Delia odstawiła kawę, założyła ręce na piersi.

- Poznaliśmy się przez przyjaciół, tutaj w Dallas. Adam pracuje... pracował... na ogół w Austin, ale często przyjeżdżał do Dallas. Tu się wychowywał, jego mama przebywa w tutejszym w domu opieki. - Odchrząknęła. - Adam i ja., to skomplikowane. Moje życie legło w gruzach. Po studiach miałam poważne długi, straciłam pracę... on zawsze świetnie zarabiał, pracując na kontraktach rządowych. Chciał się mną zaopiekować.

- Więc byliście parą.

- Nie, on tego chciał... ale ja nie byłam gotowa.

Za to byłaś wystarczająco gotowa, aby przyjąć od niego ładny dom, pomyślała Vocek.

- Kochałam Adama. Był moim najlepszym przyjacielem. Powiedział, że zamierza kupić dom w Dallas jako inwestycję, a ja mogłam tu mieszkać, dopóki nie będę gotowa przenieść się do Austin. Potrzebowałam więcej czasu... żeby się przekonać, czy go kocham bardziej niż przyjaciela. - Słowa padały jednym ciągiem.

Albo go otumanić, dodała w myślach Vocek. Było jej żal Adama Reynoldsa; człowieka, który kochał dziewczynę, choć ta najwyraźniej nie odwzajemniała tego uczucia, przynajmniej niewystarczająco, i podtrzymywała jego płonne nadzieje.

- Proszę powiedzieć, co pani wie o jego pracy.
- Myśli pani, że ktoś tak tępy jak ja, będący na zasiłku, orientuje się w jego pracy? - Delia uniosła brwi.

Muszę popracować nad twarzą pokerzysty, doszła do wniosku Vocek.

- Na pewno. Jestem przekonana, że chociaż złości się pani na moją przełożoną, chciałaby pani, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

- Proszę mi zaufać, tylko tego pragnę - powiedziała, ale Vocek zorientowała się, że Delia inaczej pojmuje sprawiedliwość. - Pisał sporo programów dla agencji rządowych. Głównie dotyczących analiz finansowych. Wykrywanie sposobu wydatkowania, trendów, śledzenie przeznaczenia konkretnych budżetów, same nudy. - Delia zaczęła wycierać ścierką nienagannie czysty blat.

- Czy możliwe, że trafił na finansowe dowody przestępstwa? Czy dlatego powiedział, że musi zniknąć?

- Nigdy nie mówił mi nic konkretnego. Wiem, że pracował nad nowym projektem... nad czymś związanym z wyszukiwaniem finansowych informacji w różnorodnych bazach danych.

Może znalazł jakiś ślad prowadzący do tajnej grupy, pomyślała Vocek.

- Czy wykonywał to zlecenie dla agencji rządowej?

Delia spuściła wzrok.

- Nie, pracował na własną rękę. Chciał zrobić z tego produkt, sprzedać rządowi. Myślał, że rząd zapłaci mu za to miliony. Nie wiem, co się z tym teraz stanie. - Zaakcentowała lekko ostatni wyraz.

- Zdaje się, że prawa własności przejdą na osoby dziedziczące.

- Dziedziczące - powtórzyła Delia. - Adam nie ma dzieci.

Jego tata zmarł, jak Adam miał trzynaście lat. Mama przebywa w domu opieki, początki alzheimera. Jest źle. Zajmuję się nią zamiast niego, sprawdzam, czy niczego jej tam nie brakuje. - Przyłożyła dłoń do czoła. - Nigdy nie wspominał o testamencie.

- Czy Adam kiedykolwiek mówił o Benie Forsbergu?
- To ten, którego szuka policja. Widziałam jego zdjęcie w telewizji.

- Tak.

- Adam napomknął kilka dni temu, że rozmawiał z konsultantem o nazwisku Forsberg, który pomógłby mu znaleźć inwestorów na założenie nowej firmy. Czy on współpracował z tymi, którzy zabili Adama?

- Próbuję to ustalić.

- Proszę posłuchać, nie obchodzą mnie pieniądze z oprogramowania, które napisał Adam... Nie chcę tylko, żeby jego praca poszła na marne. Zastrzelił go snajper. O co w tym, do diabła, chodzi? On i jego projekt musieli zagrażać komuś potężnemu. Może komuś w rządzie.

- Proszę mi powiedzieć więcej o tym nowym projekcie. Bo nie słyszałam o żadnych notatkach ani o oprogramowaniu znalezionym w systemie. - Jednak ona nie przeszukała rzeczy Adama. Pritchard przejęła wszystko z biura Adama i kazała pilnować.

- Departament Bezpieczeństwa Krajowego ma dane z jego projektu, prototyp oprogramowania - oznajmiła Delia.

- Macie wszystko, nie musicie mnie pytać.

- Zapewniam panią, że jego własność nie będzie skradziona ani niewłaściwie wykorzystana.

- Zastanawiam się, czy to dlatego pani szefowa kazała mi siedzieć cicho. Bo macie jego program i dla Departamentu jest on cenny? - Delia uniosła głos.

- Oczywiście, że nie. Nasi technicy przejrzą wszystkie programy i pliki w jego systemie, żeby sprawdzić, dla kogo mógł być celem, ale nic nie zostanie sprzeniewierzone. Naprawdę, pani Delio, myśli pani, że jesteśmy złodziejami?

- Nie wiem, co myśleć. Komu ufać.

- Więc ja zaufam pani. Adam kontaktował się z nami w sprawie poważnego zagrożenia. Może nawet terrorystycznego. Niewykluczone, że właśnie dlatego chciał zniknąć na chwilę. Gdzie by pojechał, gdyby miał kłopoty? Może szczególnie dotyczące zagrożenia trzymał gdzieś ukryte?

- Przyjechałby tutaj. - Wskazała ładny, prawie pusty dom.

- Ale gdyby chciał, aby pani uniknęła zagrożenia...

- Nigdy nigdzie nie chodził. Żył pracą. Adam... - Zamilkła. - Kilka razy pojechaliśmy do Nowego Orleanu z przyjaciółmi i tam nam się podobało. Ludzie, jedzenie, muzyka. A potem w dziwny sposób to skomentował. Nie byliśmy tam od ataku Katriny, a on powiedział, że nie chce już nigdy zbliżyć się do Nowego Orleanu, a przynajmniej przez jakiś czas.

Vocek zmarszczyła brwi.

- Ale nie powiedział dlaczego?

- Nie.

Vocek się zawahała. Pritchard ostrzegła ją, aby trzymała się z dala od Hector Global, ale nie szkodziło zapytać, szczególnie że nazwisko Hectora pojawiło się kilkakrotnie. A Adam też współpracował z rządem.

- Czy Adam wspominał kiedykolwiek o Samie Hectorze? Delia pociągnęła długi łyk kawy.

- Sam Hector. Nic mi nie mówi to nazwisko.

- Jest właścicielem dużej prywatnej firmy ochroniar-skiej. Wielomilionowe kontrakty z rządem.

Delia wzruszyła ramionami.

- Przepraszam, że w niczym nie mogę pomóc. Adam nie mówił mi wiele o swojej pracy. Była dość techniczna, a ja nie jestem... Wiedza Adama na temat komputerów przewyższała moją tysiąc razy. - Mówiła szorstkim głosem.

- Czy Adam powiedział coś niezwykłego?

- Nie. Był podekscytowany postępami w pracy. Nie... - Delia nagle przerwała, jakby spadł na nią jakiś ciężar. - Zadzwoń do pani, jeżeli coś jeszcze sobie przypomnę. Mam pani numer po wczorajszej rozmowie.

- Zgubiłam komórkę. - Vocek zapisała nowy numer w notesie leżącym na blacie kuchennym.

- Czy mogę zadzwonić do jego matki i powiedzieć jej, że Adam nie żyje? Nie wiem, czy zrozumie, ale nie chcę tego przed nią ukrywać.

- Oczywiście. Jeżeli coś jeszcze ma pani do dodania...

- Raczej nie. - Delia złożyła kartkę z numerem na pół. - I chciałabym wiedzieć, kiedy wydadzą ciało Adama. Muszę zaplanować pogrzeb.

Ona coś wie, pomyślała Vocek. Ale jak będziesz ją naciśkać, zupełnie zamknie się w sobie.

Sprawdź, co się dzieje z ciałem, zdobędziesz punkt. Vocek skierowała się z powrotem do samochodu. Delia Moon, wcale nie narzeczona w żałobie chętna do pomocy w śledztwie, przysporzy problemów. Vocek będzie musiała zdobyć zgodę, aby dowiedzieć się więcej o Delii. Zadzwoiła do Margaret Pritchard, nagrała wiadomość, aby przekazano jej najświeższe informacje dotyczące tego, co zespół techników znalazł w komputerach Adama, spytała także, kiedy wydadzą ciało. Po raz kolejny spróbowała zadzwonić na swoją komórkę. Bezskutecznie.

Przejrzała notes i znalazła potrzebne nazwisko. Bob Taggart, detektyw policyjny, który asystował miejscowej policji na Maui w śledztwie w sprawie morderstwa Emily Forsberg.

Sprawdził życie Emily i Bena w Dallas, poszukując motywu, dla którego Ben mógłby zabić żonę. Mieszkał na południe od Dallas, w Cedar Hill. Zadzwoiła do niego, wyjaśniła, dlaczego chce z nim porozmawiać, a Taggart zaprosił ją do siebie.

Ruszyła od krawężnika i w lusterku wstecznym zauważyła, że Delia Moon obserwuje ją przez okno. Wtedy firanka spadła i Delia znikła.



Delia Moon odeszła od okna. Dzień był zimny i pogodny; porwisty wiatr tłukł w szyby. Wydawało się jej, że dom ją osacza, zaciska się na niej jak pięść. We wszystkich zakamarkach pełno było Adama; wstrząsnął nią żal. Delia wyobrażała sobie, co agentka Vocek o niej myśli; widziała tę niechęć, którą policjantka próbowała bezskutecznie ukryć.

Cóż, potężna i nieomylna agentka Vocek była w błędzie. Delii nie obchodziło to, że nie dziedziczy po Adamie. Żałowała, że nie kochała go bardziej lub przynajmniej lepiej. Nie miała kopii jego programu, ale wiedziała, że prawie skończył projekt, który mógł być warty miliony, a teraz Departament Bezpieczeństwa Krajowego przejął jego intelektualną własność. Pliki komputerowe można skopiować i skrócić. Jego projekt mógł zniknąć. Nawet jeżeli nigdy nie zobaczy ani centa, pieniądze należały się Adamowi i mogły pomóc jego matce.

Kupił Delii ten dom, pomógł jej wyprostować chaotyczne życie; teraz ona chroniła jego interesy. Powzięła postanowienie.

„Proszę mi powiedzieć więcej o tym nowym projekcie”,

powiedziała pani Przemądrzała. Raczej nie, pomyślała Delia; nie zamierzała wydać jego zawodowych tajemnic. Adam zginął, bo zapewne trafił na kogoś, kogo nie miał znaleźć. A to znaczyło, że jego pomysły się sprawdzały.

Może będzie potrzebny jej prawnik, aby odzyskać z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego laptop Adama, dokumenty i pliki komputerowe.

Wiedziała, do kogo zadzwonić, tak, Adam wspominał o Samie Hectorze, człowieku, który miał mu dać pieniądze na rozwój tego projektu. Znalazła jego nazwisko w książce adresowej w komputerze Adama, z którego razem korzystali, gdy był tu w mieście; znalazła numer Hectora z dopiskiem „bezpośrednia linia prywatna”.

Delia Moon sięgnęła po telefon.

Ben i Pielgrzym znaleźli motel należący do sieci i tak nowy, że teren dookoła jeszcze nie był uporządkowany. Stał przy autostradzie LBJ, która przecinała północny kraniec miasta. Pielgrzym zapłacił za pokój gotówką. Zostawił pieniądze i resztę bagażu, poza torbą z ubraniami, w bagażniku volva.

Pielgrzym wyglądał blado, kiedy wchodzili po schodach.

- Nic ci nie jest?
- To bandaże, trzeba je będzie jeszcze raz założyć.
- Dobra - odparł Ben. Weszli do pokoju; był czysty i schludny. Ben włączył telewizor i zaczął szukać kanału z wiadomościami. Pielgrzym rzucił torbę na łóżko, wszedł do łazienki i zamknął drzwi.

Ben znalazł CNN. Nadal głównym tematem były zwałki znalezione w Dallas; jego twarz pokazywano w wiadomościach, wciąż go poszukiwano. Lecz w tym momencie na ekranie pojawiła się fotografia Emily i serce podeszło mu do gardła.

Reportarka o idealnie wygiętych łukach brwiowych mówiła:

- Przeszłość Forsberga kryje niewyjaśnione morderstwo... jego żony, Emily Forsberg, sprzed dwóch lat. - Ben

schwycił pilota i wyłączył telewizor. Nie.

Zatęsknił za Emily tak bardzo, że jego ciało przeszły ból. Fragmenty przeszłości wirowały mu w głowie: spojrzenie na zielone wzgórza za ich wynajętym domkiem chwilę po śmierci Emily; hawajscy policjanci, którzy opowiadali mu, że tego ranka ktoś strzelał do okien w czterech pobliskich domach, więc prawdopodobnie był to przypadkowy strzał, jego życie walące się w gruzy bez wyraźnego powodu; Sam Hector mówiący na pogrzebie Emily o jej wdzięku, szczególnej etyce zawodowej i godności. Gdy Ben opuścił w końcu ich dom w Dallas, był przekonany, że dopuścił się zdrady, ale nie mógł tam zostać, bo wszystko przypominało mu Emily.

Pielgrzym wyszedł z łazienki, stanął w drzwiach.

- Musisz poprawić mi bandaż.
- Jasne - odparł Ben. Wszedł do łazienki, a wtedy na jego przegubie zamknęła się plastikowa bransoleta.
- Co, do diabła... - Siłował się i walczył, ale Pielgrzym przygniótł go mocno do podłogi i zamknął kajdanki wokół rury na dole.
- Przepraszam, Ben, tak będzie lepiej. - Pielgrzym cofnął się, ciężko dysząc.
- Ty skurwielu. - Ben szarpnęła mocno, ale kajdanki nie ustępowały. Ogarnęła go panika. - Już byś nie żył, gdybym ci nie pomógł.
- Chronię cię. Nie wiem, co znajdę w domu Barkera, więc lepiej, żebyś trzymał się od tego z daleka.
- Świetnie, zostaną tu, tylko zdejmij te kajdanki.
- Ben... będziesz mnie spowalniał. Nie mogę na tobie polegać. Przepraszam. Na pewno twoje nazwisko zostanie oczyszczone.

- Ben próbował go kopnąć, ale Pielgrzym się uchylił.
- Ty sukinsynu, masz powiedzieć ludziom, że skradłeś moje nazwisko.
 - Bezpieczniej będzie dla ciebie, jak pozostaniesz uwięziony, niżbyś miał chodzić ze mną.
- Ben mocno szarpnął plastikowe kajdanki.
- Puść mnie.
 - Ben, posłuchaj, nie chcesz wchodzić do mojego świata. To nie jest przygoda, tylko gigantyczny syf. To nie dla ciebie. Dowiem się, kto nas wrobić i każę mu za to zapłacić. Zostaniesz oczyszczony z zarzutów. Jesteś przyzwoitym obywatelem.
 - Myślisz, że jestem tchórzem? Hm, to ty nim jesteś.
 - Wątpię - odparł Pielgrzym.
 - Pozbywasz się mnie, bo nawet nie wiesz, jak przyjąć moją pomoc, która nie oznacza zabijania ludzi. Po tym, jak cię posklejałem, niewdzięczniku, myślałem, że jesteśmy po tej samej stronie. Brakuje ci odwagi, żeby dotrzymać umowy.
 - Ja tylko... nie wierzę, że przydasz się do zadania, które nas czeka. Dlatego pozwól, że sam odwalę brudną robotę. - Pielgrzym wstał. - Poszukaj dobrego prawnika, niech zada Departamentowi trudne pytania o Biuro Inicjatyw Strategicznych, dla którego pracuje Kidwell i Vocek. Powodzenia, człowieku, i dzięki.
- Odwrócił się i oddalił od łazienki.
- Pielgrzym!
 - Tak będzie najlepiej, Ben - powiedział, jakby chciał się utwierdzić w tym przekonaniu.
- Potem Ben usłyszał tylko trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Pielgrzym uważał, że postąpił słusznie. Policja znajdzie Bena i odda go Departamentowi. Tam opowie im o Pielgrzymie i w końcu mu uwierzą, bo przecież Ben Forsberg nie uciekłby ze strzelaniny w Austin bez pomocy. Ostatecznie przekażą go CIA i FBI i tam zostanie przesłuchany. Potem go zwolnią.

Chyba że... chyba że jakaś grupa w rządzie wypowiedziała wojnę Piwnicy i nie chcieli, aby Ben opowiadał publicznie takie historie. Niespodziewanie ciarki przebiegły mu po skórze. Ale Ben miał znajomości w rządzie; nic mu nie będzie. Ten cały Sam Hector zapewni mu oddział prawników.

„Myślałem, że jesteśmy po tej samej stronie”. Sentymentalna, czysta głupota. Ben żył w normalnym świecie, gdzie, tak, można było kogoś poznać i myśleć, że ta osoba jest twoim sprzymierzeńcem. Nawet przyjacielem. Pielgrzym przypomniał sobie tamten świat na krótką sekundę, chciał wyciągnąć szkicownik, zaostrzyć ołówek, narysować dziewczynę taką, jaką pamiętał, niosącą stokrotki w złożonych dłoniach; jej śmiech tańczył z promieniami słońca.

Po głowie tłukło mu się oskarżenie Bena. „Brakuje ci odwagi, żeby dotrzymać umowy”. Nie, może nie, ale to bez znaczenia. Pracował sam. Tylko tak można było przeżyć.



Adres z prawa jazdy Barkera doprowadził go na ulicę we wschodnim Dallas, gdzie dwa domy oznaczono napisami „Na sprzedaż”. Dzielnica była spokojna, zdominowana przez rosłe dęby i parterowe, wiejskie domy. Większość ludzi była w pracy, ale zauważył młodą kobietę w ciąży kłęzczącą w cieniu i pielącą grządkę kwiatową. Podniosła wzrok i pomachała mu, gdy przejeżdżał. Odpowiedział tym samym.

Trawnikowi przed domem Barkera przydałoby się koszenie, a orzechy pekan leżały rozrzucone i zapomniane na podjeździe. Dookoła nie było żadnych policyjnych samochodów, co znaczyło, że nieboszczyka, prawdopodobnie spoczywającego w kostnicy w Austin, nie powiązano z tym adresem. Zabranie mu prawa jazdy było sprytnym posunięciem.

Pielgrzym przejechał obok domu trzy razy, nie zauważył żadnego znaku życia, żadnego śladu inwigilacji. Zaparkował wóz dwa domy dalej, przed jedną z posesji wystawionych na sprzedaż, i skierował się do drzwi domu Barkera. Zastukał, zadzwonił, zastukał raz jeszcze. Włożył do zamka wytrych w kształcie małego pistoletu i nacisnął spust, a mechanizm zwolnił zasuwę. Był w środku.

Rozległ się dźwięk alarmu; w końcu była to własność Piwnicy, więc spodziewał się zabezpieczeń. Wyciągnął z kieszeni palmtopa, podniósł plastikową pokrywę urządzenia alarmowego, podłączył komputer, wstukał program. Urządzenie skanowało ustawienia dezaktywacji i wprowadziło do systemu prawidłową kombinację po osiemnastu sekundach od uruchomienia. Pielgrzym odłączył palmtopa i wyłączył alarm. Potem zamknął ponownie drzwi i reaktywował alarm w ustawieniu „czekaj”, żeby mógł poruszać się po pokojach. Gdyby ktoś wszedł do środka, pomyślałby, że dom jest pusty.

W domu było ciemno i spokojnie. Wyglądał, jakby zamieszkiwał go kawaler. Pielgrzym przechodził przez pokoje, nie zapalając światła. Szukał miejsc, gdzie można ukryć broń: zamrażalnik, wąska szuflada kuchenna najbliżej tylnych drzwi, miejsce w spiżarni. Nic. Kuchnia była dobrze zaopatrzona, jakby Barker spodziewał się, że wróci do domu. Hm, dlaczego nie? Teach miała zostać złapana, a Pielgrzym zabity. Butelka francuskiego szampana chłodziła się

na półce w lodówce, czekając na uroczystość.

Przeszukał dom. W jednym z pokoiów znajdował się przenośny telewizor, różne czasopisma podróżnicze, otwarte na artykułach o Bahamach i Arubie, z notatkami na marginesie dotyczącymi rezerwacji w przyszłym tygodniu. Barker planował wakacje za swoje srebrniki. Wbudowane półki były puste. Pielgrzym czuł się tu jak u siebie; jego mieszkania, przeważnie zmieniane co kilka miesięcy, były tak samo gołe.

Na tyłach domu znalazł dużą sypialnię. Ubrania przeznaczone do prania leżały przed nieposłanym łóżkiem. Biurko, szerokie i głębokie, zajmowało jeden z kątów. Nie dostrzegł komputera ani żadnych papierów, ale stał bezprzewodowy telefon z sekretarką. Włączył taśmę; była wymazana.

Zaczął przeszukiwanie. W tyle szuflady znalazł trzy pary kajdanek, jedwabne paski, lubrykatory. Kilka magazynów przedstawiających biczowanie i pary związane ze sobą czymś więcej niż miłością i respektem. Nic wielkiego, pomyślał Pielgrzym. Praca dla Piwnicy była stresująca.

W głębi szuflady znalazł ukryte dwa fałszywe paszporty Barkera, na różne nazwiska; wyglądały, jakby wyprodukowała je Piwnica. Teach korzystała z pierwszorzędnych fałszerzy. Lecz Barker nie musiał działać za granicą. Podczas operacji przeprowadzanych w obcym kraju Teach korzystała ze wsparcia na miejscu; Europejczyków używała w operacjach europejskich; Amerykanów, aby załatwiali amerykańskie sprawy. Barker i paru innych mieszkali blisko lotnisk, aby szybko dostać się tam, gdzie musieli.

Dlaczego wybierał się za granicę?

Znalazł jeden paszport ze stemplem ze Zjednoczonego Królestwa, potem ze Szwajcarii, oba sprzed dwóch tygodni. Drugi paszport miał stemple Grecji i Libanu.

Zjednoczone Królestwo. Może Belfast, żeby nająć braci Lynch. Liban. Trzy tygodnie temu, na trzy dni, aby zwerbować grupę, która porwała Teach.

Ale kto w takim razie wynajął Barkera?

Pielgrzym wepchnął paszporty do kieszeni.

Usłyszał, że otwierają się drzwi frontowe, prawdopodobnie posłużono się tym samym urządzeniem, którego on użył! Zabrział alarm. Pielgrzym przeszedł w róg pokoju. Usłyszał, że drzwi się zamykają. Palce wstukały kod. Zapadła cisza.

Ktokolwiek to był, znał kod. Pielgrzym od razu polubił tego gościa. Mógł mu opowiedzieć różne rzeczy.

Ciche kroki, jakby pełzające, dwa ściszone głosy, oba męskie. Pomruk rozmowy... nie słyszał, co mówią... przez trzydzieści sekund.

To znaczyło, że nie wiedzieli o jego obecności.

Czekał. Po chwili jeden z intruzów wszedł do pokoju i Pielgrzym od razu przyłożył mu pistolet do tyłu głowy. Mężczyzna był żyłasty i zwarty, po czterdziestce, z wygoloną czaszką; znieruchomiał z zawodową uległością. Pielgrzym odsunął się i obszedł go, podniósł palec do ust, trzymając pistolet wycelowany zdecydowanie w jego głowę.

- Zawołaj tu swojego partnera - wyszeptał. - Grzecznie i spokojnie.

- Znalazłem coś - powiedział łysy normalnym tonem. Pielgrzym odciągnął go, aby nie był widoczny z korytarza, użył go jako tarczy, stawiając między sobą a drzwiami. Słyszał zbliżające się kroki, potem wszedł do pokoju drugi mężczyzna, młodszy, mocno zbudowany Latynos. Widać było po nim trudy dnia: oczy podbite, usta posiniaczone. Miał na sobie garnitur, nieco za mały jak na niego: czarna marynarka i spodnie, biała wyjściowa koszula, zagięcia

wskazywały na to, że niedawno została wyciągnięta z opakowania. Gdy zobaczył Pielgrzyma, zamarł, sięgając po broń.

- Nie radzę - powiedział Pielgrzym.

- Jesteś Pielgrzymem. My jesteśmy z Piwnicy - wyjaśnił mężczyzna o posiniaczonej twarzy. - Teach nas tu przysłała. Jestem De La Pena. To moje prawdziwe nazwisko. A to jest Green.

- Naprawdę. Gdzie jest Teach?

- Bezpieczna.

- Gdzie?

- Nie wiem, gdzie jest - odparł. - Ale bezpieczna.

Pielgrzym rzucił każdemu z nich po parze kajdanek Barkera.

- Stańcie twarzami do siebie. Ręce przed siebie. Załóżcie kajdanki, jedną obrączkę na swoją rękę, drugą - na kolegi. - Nie okazywał zdziwienia, że De La Pena przedstawił się prawdziwym nazwiskiem; w Piwnicy nigdy nie zdradzało, się prawdziwych personaliów.

Zatem on wcale nie musi być z Piwnicy. Albo bardzo chciał wzbudzić zaufanie.

Obaj mężczyźni stali przed sobą, jakby mieli tańczyć na balu, zsunęli kajdanki na przeguby. Prawa ręka Greena była przykuta do lewej De La Peny; lewa Greena do prawej De La Peny.

- Zamknijcie je - polecił Pielgrzym, a oni posłuchali. Green wyglądał na wkurzonego; miał małe usta, które ułożył w dzióbek. De La Pena zachowywał spokój. On, jak podejrzewał Pielgrzym, był bardziej niebezpieczny.

- Te są dla dziewczyn - odezwał się Green zirytowany. - Trochę za ciasno.

- Siadać - rozkazał Pielgrzym. Zabrał im pistolety; po jednym z każdej kieszeni. Przeszukał plecy i nogi, ale więcej

broni nie znalazł. Położył pistolety na biurku, zdecydowanie poza ich zasięgiem.

Obaj mężczyźni, niezgrabnie połączeni, osunęli się na podłogę.

- Nie powinno cię tu być - powiedział De La Pena bez cienia złośliwości w głosie.

- Was też nie - odparł Pielgrzym.

- Jesteśmy czyścicielami. Sprzątamy, jak robota nie wyjdzie.

- Sprzątacie: niszcycie dane, zacieracie ślady Barkera, zabijacie tego, kogo trzeba.

- Oglądnie ujęte. Ja nigdy nikogo nie zabiłem - rzekł De La Pena. - Nie mogę mówić za niego. - Ruchem głowy wskazał Greena, który przywołał na twarz enigmatyczny uśmiech.

- Więc mówicie, że Teach was przysłała.

- Tak.

- Widzieliście się z nią czy dzwoniła do was?

- Zadzwoiła do Greena. Ja już tu byłem, to część ćwiczeń. Pielgrzym wskazał podbite oczy De La Peny.

- Ćwiczyłeś, jak być workiem treningowym?

- Kazała mi jechać do Dallas, wpaść tu i pomóc temu gościowi usunąć z domu wszystko, co jest związane z Piwnicą - wyjaśnił Green.

- Została porwana - powiedział Pielgrzym.

- Powiedziała, że ty próbowałeś ją porwać - odparł Green. - Zabiłeś jej pomocnika, ona ciekła. Wy tłumacz się.

- Zabiłem Barkera, tak, okazał się zdrajcą. Nie ja. Ją porwali.

Dwaj mężczyźni mu się przyglądali. Widział, że mu nie wierzą.

- Kto ją trzyma? - zapytał cicho. - Chyba wiecie. Prze-
stańcie kłamać. - Kopnął ich mocno, trafił De La Penę w
plecy i obaj się przewrócili. - Ona nie działa na własną rękę,
wypełnia polecenia.

- Powiedziała mi, co mam robić - odparł De La Pena. -
Powiedziała, że ci odbiło i...

Co robisz, Teach? - zastanawiał się Pielgrzym.

- Wstańcie - rozkazał im. Mógł ich przesłuchiwać w ku-
chni; gdy zobaczą ostrze noża, rozwiążą im się języki.

De La Pena i Green wstali niezdarnie, niczym bracia sy-
jamscy, wiecznie zwrócenii do siebie twarzami.

Pielgrzym wskazał im drogę do wąskiego korytarza, po-
szli bokiem. De La Pena był sporo wyższy od Greena, który
musiał przyspieszać, aby dotrzymać mu kroku. Nagle Green
potknął się, niemal padając na kolano. De La Pena zatrzy-
mał się i podciągnął go, a kiedy Green powstał, wyprowa-
dził ostre i dokładne kopnięcie w rękę Pielgrzyma trzymają-
cą pistolet. ,

Pielgrzym wycofał się pospiesznie do sypialni. Wyciągnął
przed siebie pistolet, ale obaj mężczyźni go przygnietli. De
La Pena znowu pociągnął Greena, miotając niższym kolegą,
który trafił nogami w pierś Pielgrzyma. Kiedy Green upadł,
De La Pena kopniakiem wytrącił pistolet z ręki Pielgrzyma.
Broń uderzyła w odległą ścianę.

Pielgrzym poleciał na ścianę, a skuci mężczyźni skoczyli
na niego i wszyscy trzej osunęli się na podłogę. Dwaj na-
pastnicy zacisnęli dłonie na jego szyi.

Pielgrzym wbił Greenowi palec w oko, ten zawył i wykrę-
cił się. De La Pena wstał i opuścił ich złączone ręce, zam-
knął Pielgrzyma w kole, próbując zgnieść go między sobą
a Greenem. Pielgrzym wyprowadził krótki i bardzo mocny
cios i poczuł, jak od uderzenia pęka warga i łamie się nos

Greena. De La Pena napał na Pielgrzyma całym swoim ciężarem.

Pielgrzym poczuł, że nie może oddychać, na dodatek przeraźliwy ból niczym płomień przeszył mu ramię. Uniósł stopy, wepchnął je między napastników a ścianę i pchnął, pozbawiając ich równowagi. Splątani mężczyźni znowu runęli na podłogę i De La Pena na sekundę rozluźnił duszący chwyt. Wtedy Pielgrzym wciągnął powietrze i wbił łokieć w twarz De La Peny, raz, drugi, aż ból rozrywał mu zranione ramię. De La Pena próbował uderzyć go głową, trafił w ramię, przez co Pielgrzym niemal zemdlął z bólu, ale przetoczył się na De La Penę, ściągając na niego Greena.

- Złap go za gardło! - krzyczał De La Pena do Greena.

Twarz Pielgrzyma od twarzy Greena dzieliły zaledwie centymetry. Zacisnął ręce na szyi Greena, który próbował uciec przed jego chwytem z paniką w oczach.

- Nie... nie - charczał Green, wiedząc, co oznacza ten chwyt.

Pielgrzym zacisnął palce na szczęce, na głowie, z precyzją i starannością, a po sekundzie rozległ się głośny trzask. Poczł na twarzy ostatnie tchnienie Greena.

Green przetoczył się bezwładnie, uwiązany do rąk De La Peny, leżąc na nich obu. Pielgrzym ześlizgnął się niżej, schwycił głowę Greena i walnął nią De La Penę w twarz. Wygramolił się spomiędzy obu ciał, ale jego przeciwnik zdążył go chwycić za gardło i włosy.

Jednak uwolnił się z chwytu. Wstał i wyprostował się, gdy De La Pena rzucił się, by schwycić go za nogi; wtedy wyprowadził potężne kopnięcie w szczękę napastnika, a potem w żołądek.

De La Pena złożył się wpół, próbował posłużyć się Greenem niczym tarczą. Pielgrzym mu pozwolił. Potem chwycił

głowę trupa od tyłu i zaczął nią tłuc regularnie w twarz żyjącego przeciwnika.

- Będę mówił! - wrzasnął w końcu De La Pena. - Będę mówił!

Pielgrzym dla pewności uderzył go jeszcze dwa razy, potem odrzucił na bok ciało Greena. De La Pena leżał nieruchomo.

- Jak się ruszysz, jak krzywo na mnie spojrzysz, zabiję cię, skurwysynu.

- Rozumiem - odparł De La Pena, którego twarz ociekała krwią jego i Greena.

- Teach. Ale... jest człowiek. Ten facet, były wojskowy, porwał mnie w zeszłym tygodniu. Przywiózł mnie do Dallas, trzymał w sali konferencyjnej i bił. Zupełnie bez powodu. - Mrużył oczy, bo zalewała je krew. - Wiedział, że byłem kiedyś w CIA. Znał moje prawdziwe nazwisko. Powiedział, że wkrótce porozmawia ze mną Teach.

- I pojawiła się.

- Wczoraj wieczorem. Wyglądała, jakby stoczyła walkę. Powiedziała mi, że ten nowy facet jest partnerem i będziemy z nim pracować. Czuję, że to się źle skończy. Wszedł na siłę do Piwnicy, a ona mu na to pozwoliła.

- Wiesz, jak ten gość się nazywa?

- Nie. Nie powiedziała mi. Jest starszy, ale widać, że z naszej branży. Zimne oczy. Uśmiecha się jak upiór. - Prze-rwał. - Ma superdom.

- Jak wygląda ten mężczyzna?

- Wysoki, pod pięćdziesiątkę albo już po, siwawy, ale bardzo sprawny.

- Ktoś jeszcze?

- Jest jeszcze jeden facet. Młody. Z irlandzkim akcentem. - Wzruszył ramionami.

- Ubrany na czarno. Jak Johnny Cash?
 - Tak. Ten nowy trzyma Teach w garści. Może i ją porwał, ale ona z nim współpracuje.
 - Tylko dlatego, że zagroził jej albo nam. Została zmuszona. Teach by nas nie zdradziła.
 - To nieważne, że robi to pod przymusem - odparł De La Pena. - Teach traci panowanie nad Piwnicą, ja płynę z prądem. Ktokolwiek prowadzi Piwnicę, jest moim szefem.
 - Powiedz, gdzie jest ten dom.
 - Nic nie rozumiesz. Tych dwóch nie trzyma jej na muszce. Ten facet ma nas w garści i może wydać. - De La Pena wpatrywał się w Pielgrzyma przez krew zalewającą mu oczy. - Co zrobi CIA, jak wyjdziemy z ukrycia? Wyprze się nas. Wiesz, że nie możemy zostać oficjalnie uznani. Wszyscy na to przystaliśmy na początku. Postawią nam federalne zarzuty. - Splunął krwią. - Powinieneś po prostu zniknąć. Zrezygnować z odzyskania Teach. Nastął nowy dzień, czło-wieku.
 - Twoja lojalność jest prawdziwie inspirująca. Teach wyciąga cię z rynsztoku, daje drugą szansę, a ty nie będziesz walczyć, aby ją uwolnić.
 - Ona nie walczy z tym facetem. - De La Pena wzruszył ramionami. - Po co ja mam walczyć?
- Pielgrzym wstał, poszedł w odległy kąt pokoju i podniósł pistolet.
- Rozkuj mnie - powiedział De La Pena. - On nie żyje, rozkuj. - Szarpnął ręką, a martwe ramię Greena po słusznie się poruszyło. - Powiedziałem ci, co chciałeś wiedzieć; puść mnie. Nigdy cię nie widziałem, jesteście kwita.
- Pielgrzym stał niepewnie, czując w kieszeni ciężar pasz-portów Barkera.

- Jak się ruszysz, zostawię go przykutego do ciebie i wyrzucę was na ulicę. Nie mogę się doczekać, jak będziesz wyjaśniał sąsiadom, dlaczego wędrujesz ulicą przykuty do trupa. - Podniósł słuchawkę telefonu, wcisnął wybieranie ostatniego numeru i słuchał. Ekranik wyświetlił numer 504. Kierunkowy do Nowego Orleanu. Po trzecim dzwonku odebrała kobieta:

- Hotel Marquis de Lafayette, w czym mogę pomóc?
- Próbuję znaleźć wasz hotel, ale chyba źle skręciłem.
- Jesteśmy w pobliżu Poydras i St. Charles, proszę pana. Skąd pan jedzie?

- Och, źle zapisałem adres, znajdę sam. Dziękuję. - Odłożył słuchawkę. Próbował wyobrazić sobie ostatni dzień Barkera w tym domu, jak przygotowywał się do zdradzieckiej operacji. Musiał wyprowadzić w pole Teach i Pielgrzyma, wystawić Pielgrzyma i odizolować Teach, by można ją było porwać. A ostatni telefon wykonał do hotelu w Nowym Orleanie.

Kto tam był? Dlaczego Nowy Orlean?

- Powiedz, gdzie ją przetrzymują.
- Najpierw zdejmij kajdanki, człowieku - odparł De La Pena.

- Powiedz.
- Nie. Rozkuj mnie. Będziesz musiał mi zaufać. Mogę pomóc ci uratować Teach. A jak ci powiem, to zabijesz mnie jak Greena.

- To ty próbowałeś mnie zabić.
- Rozkazy. Powiedzieli mi, że zdradziłeś... ale pogadaliśmy i widzę, że jednak nie. Wierzę tobie, nie temu facetowi, który trzyma Teach. Mogę ci pomóc. On planuje jakąś dużą robotę, do której potrzebna mu Teach. Słyszałem, jak rozmawiali. Robota jest w niedzielę.

- Co ma być w niedzielę?
- Nie wiem.

Pielgrzym go obserwował. Podszedł do nocnego stolika, przeszukał zawartość szuflady i znalazł kluczyki. Trzymał pistolet w pogotowiu. Żałował, że nie zabrał ze sobą Bena, nawet jeśli miałyby się na nic nie przydać. Teraz był najbardziej ryzykowny moment. Celując z pistoletu do De La Peny, otworzył pierwszą obręcz, potem drugą.

De La Pena wstał powoli, rozłożył ręce. Przez walkę w kajdankach nadgarstki miał obtarte i zakrwawione. Znowu splunął krwią.

- Gdzie mieszka ten facet?
- Jezu, krwawię w środku... - De La Pena zatoczył się, podniósł rękę do kołnierzyka koszuli. Pielgrzym zawahał się, ale wtedy zauważył, że coś błysnęło pod kołnierzykiem De La Peny, który gwałtownie wyciągnął w jego stronę rękę. Pielgrzym poczuł ostrze przecinające mu dłoń, w której trzymał pistolet. Strzelił.

Kula trafiła De La Penę w szyję. Przewrócił się, upuszczając miniaturowy nóż ukrywany pod kołnierzykiem, wbił spojrzenie w sufit i zamarł w bezruchu.

- Ty głupcze - mruknął Pielgrzym. Cięcie nie było groźne, ale blisko nadgarstka. Wytarł krew ręcznikiem. Spryskał twarz wodą, splunął do zlewu. Wszystko go bolało; rany jątrzyły się, zbierało mu się na wymioty.

Skończył przeszukiwać dom. Nic. Miał ślad... słaby i może bez znaczenia... prowadzący do Nowego Orleanu i do brudnej roboty, która ma być wykonana za niecałe czterdzieści osiem godzin. Lecz Teach nadal przebywała w Dallas i nie mógł wyjechać, nie próbując jej odnaleźć.

Poszedł do samochodu zaparkowanego przed domem,

użył kluczyków znalezionych w kieszeni Greena. Wóz wynajęto; znalazł paragon w schowku na rękawiczki. Rezerwacja była na Sparta Consulting. Nie miał nic, co by go doprowadziło do nowego szefa. Nic poza niedokładnym rysopisem, a w dodatku nie wiedział, czy De La Pena był szczerzy.

Wrócił do skradzionego volva i pojechał. Uśmiechnięta kobieta w ciąży, nadal klęcząca w ogródku, znowu pomachała do niego, kiedy przejeżdżał obok, a on odpowiedział tym samym.

W piątek rano po zamieszaniu w Austin Sam Hector stanął przed prasą w sali konferencyjnej kompleksu Hector Global na północny wschód od Dallas.

- Nic nie zastąpi dwóch dzielnych ludzi, których straciłmy wczoraj w Austin. Pracowali dla Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego jako strażnicy w ważnej nowej siedzibie, aby w Ameryce żyło się bezpieczniej. - Wygłosił krótką elegię na ich cześć i chwalił ich rodziny. Oddał hołd Normanowi Kidwellowi, oddanemu oficerowi Departamentu, który zginął wraz ze swymi ludźmi. - Zapewniam, że trzy tysiące pracowników i wszystkie światowe zasoby Hector Global zostaną udostępnione władzom, które pragną znaleźć odpowiedzialnych za to, co się wydarzyło. - Odchrząknął i obdarował zgromadzoną publiczność surowym i zdecydowanym spojrzeniem. - Wszelkie wcześniejsze poszlaki wskazywały, że za ten przerażający atak odpowiedzialna jest komórka terrorystyczna działająca tutaj, na amerykańskiej ziemi. Najwyraźniej pojawił się nowy rodzaj zagrożenia, z którym zarówno nasz rząd, jak i prywatny biznes... muszą się uporać stanowczo i bezwzględnie.

Nie odpowiedział na pytania dziennikarzy i opuścił podium. Usłyszał jedno dotyczące jego związku z zaginionym Benem Forsbergiem i jedno na temat wartości jego kontraktów z Departamentem Bezpieczeństwa. Inny reporter był ciekawy, ile Hector stracił w ciągu minionego półrocza, a Sam musiał się opanować, aby nie wzdrygnąć się, gdy odchodził.

Wycofał się z sali konferencyjnej do własnego gabinetu. Usiadł przy biurku i wyciągnął z zamkniętej na klucz szuflady pożółkłą fotografię. Mężczyzna na zdjęciu był potężnie zbudowany, o prostej twarzy, kasztanowych włosach. Nazywał się Randall Choate. Rzekomo miał nie żyć, ale prawda wyglądała inaczej.

Sam Hector pragnął, aby Choate prędko zszedł z tego świata. Stawka była o wiele za wysoka, aby ktoś taki jak Pielgrzym - Choate - przeszkadzał mu w operacji.

Większość dużych kontraktów z firmami zostaje przekazana podwykonawcom, bardziej wyspecjalizowanym. Powstała sieć dostawców i firm umożliwiała skuteczny wywiad.

Hector korzystał z tej sieci, poszukując po cichu Pielgrzyma.

Lockhart Technologies, szybko rozwijające się przedsiębiorstwo z Alexandra w Wirginii, w Hector Global zajmowało się telekomunikacją oraz wsparciem IT. Sam Hector opłacał w Lockhart programistę o imieniu Gary, który potrzebował pieniędzy na hazard uprawiany przez Internet. Lockhart dostarczał też oprogramowanie indywidualnie przygotowane dla klienta oraz wsparcie dla głównych komputerów Agencji Bezpieczeństwa Narodowego do namierzania, analizowania i katalogowania milionów rozmów telefonicznych między Stanami Zjednoczonymi a innymi krajami oraz na terenie Stanów. Oprogramowanie było krytyczną częścią składową satelitarnych stacji nasłuchowych

agencji w Yakimie w stanie Waszyngton i w Sugar Grove w Wirginii Zachodniej. Gary utrzymywał konto administracyjne w głównym komputerze używanym do analizowania torrentów z danymi... i dzisiaj rano, na żądanie Hectora, potajemnie łądował programy nasłuchujące i identyfikujące wszelkie rozmowy telefoniczne z terenu całego kraju, w których pojawiło się słowo „Choate”. Chciał wiedzieć, czy CIA orientowała się, że jeden z jej zaginionych bohaterów żyje i ma się dobrze.

Inny człowiek zajmował się finansami - prowadził obciążenia kart kredytowych dla wojska i dla pracowników Hectora w Zielonej Strefie w Bagdadzie - i miał powiadomić Sama Hectora, gdyby otwarto nowe konta na nazwisko Benjamin Forsberga albo Randalla Choate'a, lub na jakiegokolwiek pseudonimy używane w Piwnicy. Prosił także o sygnał, gdyby użyto uśpionych od miesięcy kart, szczególnie jeśli płacono by za hotele, bilety lub benzynę na terenie pięciu stanów.

Natychmiast zanotowano kilka trafień. Hector zauważył trzy z ostatniej nocy w miastach między Austin a Dallas, w tym jedno obciążające Jamesa Woodwarda. To było jedno z nazwisk używanych przez Pielgrzyma, które odkrył Adam Reynolds. Czyżby więc kierowali się do Dallas... czy tylko oddalali od Austin? Oddzwonił do swojego człowieka, kazał mu się natychmiast kontaktować, gdyby ponownie obciążono kartę Jamesa Woodwarda.

Pielgrzym musi w końcu wychylić łeb, a Sam Hector chciał być gotowy, by go ściąć.

Wsunął z powrotem starą fotografię Randalla Choate'a do szuflady. Już niedługo, skurwielu, będziesz w trumnie, tam gdzie twoje miejsce, pomyślał. Spodziewał się, że Ben Forsberg - jeżeli Choate go nie zabił - będzie wzywał pomocy. Miał nadzieję, że obaj zginą w ciągu dwunastu godzin, jeżeli

Pielgrzym zachowa się tak, jak się po nim spodziewano, i pojedzie do domu Barkera. Dobrze jest mieć ludzi, którzy wykonują za ciebie najgorszą robotę; Hector wołał nie brudzić sobie rąk.

Zadzwoił telefon komórkowy, który trzymał w kieszeni, a ten numer znało niespełna dziesięć osób. Spojrzał na wyświetlacz. Nie znał tego numeru.

- Halo?
- Halo. Pan Hector? Nazywam się Delia Moon.
- Pani jest przyjaciółką Adama - powiedział.

Znał wszystkie ważne szczegóły dotyczące życia Adama Reynoldsa, bynajmniej nie dlatego, że Adam mu się zwierzał.

- Tak. Wspominał panu o mnie?
- Delio, najgłębsze wyrazy współczucia. Bardzo panią lubił.

- O, Boże... - Z trudem opanowała szloch. Począł, aż dojdzie do siebie.
- Potrzebuję pomocy.
- Oczywiście.
- Adam wspominał, że zamierzał pan pomóc mu w projekcie. Z tym oprogramowaniem, które namierzało nielegalne transakcje bankowe terrorystów.

Hector ścisnął grzbiet nosa i pomyślał: Idiota, nie potrafił dochować tajemnicy. Niedobrze.

- Tak, oczywiście, rozmawiał ze mną o takim projekcie... ale nie wiedziałem, że już się w niego zaangażował.

- Tak, i to bardzo. Chyba właśnie dlatego zginął. A Departament Bezpieczeństwa skonfiskował jego komputery; będą sprawdzać oprogramowanie albo sami je wykorzystają... a to przecież nie jest ich własność. To należy do... niego, a teraz to spadek po nim, zdaje się.

- A pani po nim dziedziczy?

- Nie - odparła przerażona. - Jego mama. Jest chora, potrzebuje pieniędzy. A to nie należy do rządu. Boję się, że zabrają wszystko... to niesprawiedliwe. Potrzebuję pańskiej pomocy. Nie będą chcieli mnie wysłuchać, ale pana tak. Albo pańskich prawników.

- Tak - odparł. - Powinniśmy porozmawiać. Ale prywatnie.

- Dobrze.

Zastanowił się.

- Czy mogę przyjechać do pani do domu? U mnie jest pełno dziennikarzy, a Departament ciągle nęka mnie telefonami.

- Dobrze, oczywiście. - Podyktowała mu wskazówki.

- W takim razie do zobaczenia wkrótce - powiedział i rozłączył się.

Wezwał swojego asystenta.

- Dzisiaj będę pracował poza domem.

Asystent - były urzędnik wojskowy, który łatwo nie wpadał w panikę - zbladł.

- Proszę pana. Dostał pan kolejne dwadzieścia próśb o wywiad, w tym od CNN, Foksa i „New York Timesa”; w południe ma pan spotkanie z prawnikami, gdyby rodziny strażników wniosły roszczenia, firma PR-owska chce omówić strategię...

- Odwołaj wszystko. Nie udzielam więcej wywiadów; powiedziałem to, co według mnie jest najważniejsze, mogą jeszcze raz odtworzyć konferencję prasową. Jestem po prostu nieosiągalny. - Wiedział, że nie musi się tłumaczyć, ale wierzył gorąco w siłę własnej firmy oraz w to, że postępuje dobrze. - Muszę wesprzeć rząd w śledztwie. Czy jeszcze dużo dziennikarzy koczuje przed bramą?

- Tak jest.

- Powiedz kierowcy, żeby wziął wóz z przyciemnianymi szybami. Nie chcę, żeby świat wiedział, gdzie teraz jestem.



Dwaj mężczyźni z Piwnicy nie wrócili ani nie zgłaszali postępów. Teach siedziała przy stole konferencyjnym. Przed nią leżał laptop, niepodłączony do Internetu. Pisała szczegółową historię Piwnicy, jej agentów i działań, jak polecił jej tego ranka Hector.

Usiadł naprzeciw niej.

- Twoi chłopcy nie wrócili. Myślisz, że Green i De La Pena porzucili cię?

- Nie.

- A może Pielgrzym ich przejął.

- Może. - Oczy miała pełne nienawiści. - Nie uda ci się zamienić nas w swoje marionetki.

- Nie uda się dzisiaj - powiedział - ale może jutro. Jeżeli będę miał najmniejsze choćby podejrzenia, że tych dwóch związo, zacznę zabijać ludzi z Piwnicy.

- Możesz zabić nas wszystkich.

- Mogę.

- Nie wierzę, że to będzie łatwe.

Pochylił się i wydrukował opis poczyną Piwnicy. Kiedy papier wysuwał się z drukarki, Hector przyglądał się każdej stronie. W pewnym momencie otworzył szeroko oczy, ale poczuł na sobie jej spojrzenie i na powrót przywołał minę pokerzysty.

- Co? - zapytała.

- Jestem zarazem urzeczony i zaniepokojony zakresem waszych działań. Czy brzmi to inaczej niż „podziwiam cię”?

- Tak.

- Jak mówisz, to nie będzie łatwe, ale wiem, że mi pomożesz. Pisz dalej. - Położył kartki na stole i wyszedł z pokoju, zamykając ją w środku. Opierał się przez chwilę o drzwi; powracała mu pewność siebie, gdyż wiedział, że podjął słuszną decyzję. Miał ochotę zaśmiać się, ale się opanował.

Hector znalazł Jackiego w pokoju gościnnym. Wysłał sekretarza, aby kupił mu ubranie; czarne spodnie i czarną koszulę, jak zażyczył sobie Jackie. Jackie cały czas miał na sobie czarne kowbojki. Wyglądał jak Johnny Cash dla ubogich. Bawił się nożem, który rzucał refleksy świetlne, gdy Jackie próbował opanować drżenie ręki.

- Chcę, żebyś użył tego noża do rozwiązania pewnej sprawy. Ma na imię Delia Moon.

Jackie podrzucił nóż i złapał za rękojęść.

- Nie wiedziałem, że w Dallas są hipisi.

- Będzie jednego mniej. Pospiesz się i nie daj się złapać.

Jackie schował nóż do pochwy i wstał.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego tak bardzo nienawidzisz tych dwóch facetów.

- Słucham?

- Pielgrzyma i Forsberga. Jaki masz motyw?

- Nie twoja sprawa.

- Mój brat zginął, próbując sprzątnąć Pielgrzyma. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

Hector zaplótł ramiona na piersi.

- Jackie, zastanawiam się, czy myślałeś o przyszłości.

- Tak. Całkiem sporo. Odpowiesz na moje pytanie?

- Nie. Nie jest ci potrzebne do wykonania zadania. - Odchrząknął. - Prowadzenie takiego biznesu jak twój jest niebezpieczne... nie tylko ze względu na przemoc. Zawieranie kontraktów, znajdowanie klientów, którzy zapłacą, to

prawie tak samo niebezpieczne jak likwidowanie celów. Każdy potencjalny klient to glina albo rywal, który tylko czeka, aż opuścisz gardę.

- Nie podkreścisz się interesu przez telemarketing.
- Więc skończysz tę pracę i jak będziesz miał ochotę, możesz dla mnie pracować. Jak długo zechcesz.

- Pracować dla ciebie. I co bym robił?

- Dam ci zajęcie Pielgrzymia.

Jackie się zaśmiał.

- Jest cholernie niebezpieczne.

- Ale nie będziesz sam, Jackie. - Hector wiedział, że dobrze rozumie tego chłopaka, który przecież znajdował się w trudnym położeniu. Jackie przyglądał się podłodze, a potem spojrział na Hectora.

- Pewnie - powiedział. - Zastanowię się, panie Hector. Gdzie jest ta mała hipiska?

Ben, przykuty do toalety, pomyślał, że może krzyknąć, walić w ściany, a personel lub inni goście usłyszą go i przyjdą mu z pomocą. I co potem? W najlepszym razie musiałby się tłumaczyć, dlaczego został przykuty do rury, a w najgorszym zostałby rozpoznany na podstawie zdjęć pokazywanych w telewizji i przekazany policji.

Plastikowe kajdanki wrzynały mu się w skórę. Musiał je poluzować. Położył się między wanną a muszlą klozetową. Na blacie stał pojemnik z szamponem, dwiema identycznymi butelkami z odżywką i mydłem. Jednak były poza zasięgiem.

Ben szarpnął za ręcznik kąpielowy wiszący mu nad głową. Złapał go za jeden koniec i strzelił drugim końcem w blat. Rozsypała się piramidka miniaturowych mydełek i żeli. Ben zarzucił ręcznik na plastikowe butelki i powoli ciągnął go do siebie, aż kosmetyki spadły na podłogę.

Natłuścił skórę. Wprowadził mydło między plastik a ciało. Ciągnąc i kręcąc, spróbował wydostać dłoń z obejm. Była zbyt ciasna. Pracował jeszcze przez pięć minut, ale bez rezultatu.

Spróbował teraz z butelką odżywki; nalał ostrożniej, starając się nie rozlać na kafelki. Serce mu waliło. Wziął się w

karby, gotów był poświęcić warstwę skóry. Zagryzł zęby i pociągnął. Poczul przejmujący ból. Próbowal wykręcić rękę z plastikowego kółka, ale było za ciasne.

Przeszukiwal wzrokiem blat. Dostrzegł tylko kilka paczek cukru, plastikowe kubki, foliowe woreczki z kiepską kawą i ekspres.

Ekspres do kawy. Mały dzbanek najwyraźniej był ze szkła. Spróbował go dosięgnąć rękami. Chybił. Za daleko. Przysunął się jak najbliżej blatu. Dzbanek nadal pozostawał poza jego zasięgiem. Ściągnął drugi ręcznik z wieszaka i niezdarnie związał oba. Spróbował jeszcze raz. Chybił. Kolejna próba. Tym razem dzbanek zakołysał się na swoim miejscu w ekspresie, ale nie wypadł. Ben rzucił ręcznikiem, mocno i zdecydowanie; teraz dzbanek wyskoczył z ekspresu, ale potoczył się w stronę umywalki. Jeżeli wpadnie do środka, nie sięgnie go.

Ben uspokoił się przed kolejną próbą. Wycelował rękami, złapał za jeden koniec, rzucił ponad dzbankiem. Przyciągnął go powoli obok umywalki i wreszcie dzbanek spadł na podłogę, roztrzaskując się.

Boże, proszę, oby był tam duży kawałek i nadawał się do cięcia, pomyślał. Ściągnął ręcznik z rozbitego dzbanka. Metalowy pierścień obejmował wyszczerbione szkło. Ben ostrożnie ujął uchwyt i zaczął piłować kajdanki w miejscu, gdzie łączyły się z rurą.

Rozległo się stukanie do drzwi i odezwał się dźwięczny głos:

- Tu sprzątaczką... wszystko w porządku? - Kobieta usłyszała roztrzaskujący się dzbanek.

- Nic się nie stało! - krzyknął. Żeby tylko nie otworzyła drzwi.

- Coś się stłukło? - Kobieta mówiła z jamajskim akcentem.

- Nie, wszystko w porządku.

Kobieta nie odpowiedziała. Na powrót przyłożył ostre szkło do kajdanek i po kolejnych kilku sekundach przeciął plastik. Wstał z połową kajdanek nadal na nadgarstku. Dotarł do drzwi, potykając się o coś na podłodze.

Mały szkicownik Pielgrzymia; musiał wypaść mu z kieszeni podczas szamotaniny. Dobrze mu tak, pomyślał Ben, wsuwając szkicownik do kieszeni. Przyłożył oko do wziernika. Wózek sprzątaczkowy stał po drugiej stronie, a kobieta rozmawiała przez walkie-talkie.

- Tak, słyszałam tłuczone szkło - mówiła. Przerwała, nasłuchując instrukcji. - Dobrze. - Wyciągnęła pęk kluczy z kieszeni i podeszła do drzwi.

Ben otworzył drzwi i minął ją.

- Upuściłem ekspres - rzucił przez ramię. - Przepraszam, starałem się posprzątać. - Rękę trzymał przed sobą, rękaw zsunął na plastikowe kajdanki. Dotarł do windy i odwrócił się; kobieta wpatrywała się w niego, w jego twarz. Wszedł do pustej kabiny i zjechał do holu.

Minął pospiesznie recepcję i wyszedł na chłodny wiatr. Skradzionego volva nie było na miejscu. Zamarł niezdecydowany, a za nim rozsunęły się drzwi hotelowe. Zerknął przez szkło i zobaczył, że recepcjonista stoi za kontuarem z telefonem przy uchu. Obserwuje go.

Ben odwrócił się i przeszedł przez parking. Czy na tym polegała paranoja, na przekonaniu, że wszyscy gapią się na ciebie, że wiedzą, kim jesteś, że wszyscy chcą cię pojmać i wciągnąć w ciemność? To był robak, który drążył człowieka i przeżuwał od środka.

Musiał znaleźć samochód.

Hotel stał przy ruchliwej autostradzie w Plano, jednym z największych przedmieść Dallas, ciągnęły się tu sieci restauracji - rdzennych z Luizjany, meksykańskich, z owocami morza, ze stekami. Za nimi znajdowało się centrum handlowe ze sklepem z wyposażeniem łazienkowym, sklepem z rękodziełem i księgarnią. Dziesiątki zaparkowanych samochodów, a on nie miał pojęcia, jak skraść jeden z nich.

Stój. Pomyśl. Zachowywał spokój, negocjując wielomilionowe kontrakty, więc teraz też mógł się opanować.

Wyrwać komuś kluczyki z ręki - nie. Nie zamierzał napaść niewinnej osoby. A w dzisiejszych czasach nikt nie zostawiał niezamkniętego samochodu.

Co mówił Pielgrzym o tym, jak ukraść samochód? Należy przeszukiwać zderzaki. Wybrał najdłuższy rząd samochodów, pochylił się nisko i przechodził od samochodu do samochodu, omijając luksusowe wozy sportowe. Pomyślał, że więcej szczęścia mu dopisze z samochodami, którymi jeździły matki z dziećmi. Czy matka nie podejmie środków ostrożności, by nie zatrzasnął się samochód, gdy w środku będzie małe dziecko? Skupił uwagę na wozach z nalepkami przedstawiającymi małe dziecko.

Mój Boże, powiedział do siebie, zaczynasz myśleć jak złodziej. Ładnie. Co by Pielgrzym powiedział na jego poczynania: „Wykonujemy brudną robotę, która jest konieczna”. Pielgrzym miał rację. Zrobiłem to, co trzeba, aby podjąć walkę.

Usłyszał zbliżające się zawodzenie syren policyjnych.

Jakaś kobieta, wsiadająca do samochodu cztery stanowiska dalej, wybałuszała na niego oczy, jakby wiedziała dokładnie, co planuje. Wyjeżdżając z parkingu, podniosła telefon do ucha.

Przy następnym samochodzie, który sprawdzał - fordzie explorerze - natrafił na skrzynkę na kluczyki.

Otworzył skrzynkę, martwiąc się, że będzie to klucz do domu, ale nie, był to kluczyk do forda i w ciągu dziesięciu sekund Ben siedział w środku. Wycofał, zobaczył dwa policyjne radiowozy wjeżdżające na parking przed motelem. Pojechał exploerem na tyły sklepów i skręcił w boczną drogę, pragnąc jak najszybciej oddalić się od policji.

Co teraz? - zastanawiał się.

Jechał na zachód przez dziesięć minut - Plano w większości składało się z dzielnic wyrastających przy bocznych drogach. Podjechał pod bibliotekę.

Mógł zadzwonić do Sama Hectora. Błagać starego przyjaciela o pomoc. Wyjaśnić, co stało się z jego pracownikami w Austin. Hector miał mocne powiązania z każdą komórką i agencją rządową. Mógł użyć swoich wpływów, aby pomóc Benowi oczyścić imię.

Ben założył okulary przeciwsłoneczne, które znalazł w skrytce na rękawiczki. Skromny kamuflaż, ale tylko tyle mógł zrobić. W schowku na kompaktki znalazł trochę drobnych. Obok drzwi stała stara budka telefoniczna z aparatem na monety. Wrzucił ćwierć dolara i wykręcił bezpośredni numer do Sama Hectora. Telefon zadzwonił trzy razy - wyobrażał sobie, jak Sam marszczy brwi, widząc obcy numer łączący się z linią znaną tak niewiele - wtedy usłyszał znajomy baryton.

- Sam Hector.

Nagły głos odpowiedział Benowi: Rozłącz się, nie wciągaj Sama w to piekło.

- Sam. Tu Ben - powiedział zamiast tego.
- Ben, Ben, dzięki Bogu. Nic ci nie jest? Gdzie jesteś?
- Nic, wszystko w porządku. Jestem w Dallas,
- Gdzie?
- Sam, potrzebuję pomocy.

- Ben, gdzie jesteś?
- Nie chcę mówić; nie chcę wciągać cię w kłopoty z policją.

- Ben, już mam kłopoty. Zginęli moi ludzie. Wyjedź stamtąd. Musisz mi cholernie wiele rzeczy wytłumaczyć. - W tle Ben usłyszał ciche kliknięcie i pomyślał: Mają linię Sama na podsłuchu, na wypadek gdybym zadzwonił.

- Pomóż mi, to wyjaśnię.

Bolesna cisza.

- Ben, przyjedź do mnie. Zastanowimy się i oddasz się w ręce policji; poszukamy najlepszych prawników. Będę cię wspierał. - Znowu rozległo się kliknięcie.

- Nie mogę przyjechać. Potrzebuję informacji.

Ben obejrzał się przez ramię, aby sprawdzić, czy ktoś go rozpoznał i obserwuje. Kilku stałych bywalców biblioteki zajętych było lekturą. Znowu usłyszał klikanie... jednak brzmiało znajomo.

- Opowiedz mi o Biurze Inicjatyw Strategicznych w Departamencie.

- Ben, wiesz przecież, że nie mogę zawieść zaufania klienta.

- Daj mi tylko nazwisko i numer. - Ben nie mógł znieść błagalnego tonu w swoim głosie.

- I co dalej? Pobiegniesz do Waszyngtonu i zrobisz z siebie głupca? Zadzwońisz do prasy i zavalisz ważny program? Co?

- Nie praw mi kazań. Strasznie mi przykro, że zginęli twoi ludzie, ale celowali do mnie i pomagali Departamentowi w zabranii mnie z domu. Nie przestrzegano procedury. To nie jest normalne w typowych działaniach, które wykonuje twoja firma na amerykańskiej ziemi. - Nie krył złości.

- Moi ludzie wypełniali polecenia Inicjatyw Strategicznych, nie moje - odparł Hector.
 - Sam. Jesteś mi to winien.
 - W porządku - powiedział Sam po dłuższej chwili ciszy, której nie przerywało klikanie - Biuro Inicjatyw Strategicznych to bardzo mała i niereklamowana grupa w Departamencie. Nie ma ich na stronie internetowej. To zespół ekspertów, którzy wiedzą, jak przebrnąć przez biurokratyczne procedury i doprowadzić do współpracy między agencjami.
 - Po co tym ekspertom potrzebna ochrona?
 - Ponieważ są awangardą myśli antyterrorystycznej. A bandyci chcieliby dostać w swoje ręce kogokolwiek z Biura Inicjatyw.
 - Kto je prowadzi?
 - Ben, na miłość boską, przyjedź do mnie i wtedy porozmawiamy.
 - Nie, spotkamy się w miejscu publicznym. Usłyszał pojedyncze kliknięcie po drugiej stronie słuchawki.
 - Teraz zachowujesz się jak paranoik.
 - Powiedz mi tylko, kto prowadzi Biuro Inicjatyw. - Był tak sfrustrowany, że niemal krzyczał.
 - Nie mogę. Obiecałem dyskrecję. Tego nie da się negocjować.
 - Powiem ci, czego się nie negocjuje. Ile pieniędzy zarobiłem dla ciebie przez ostatnie lata? Ile kontraktów pomogłem ci zdobyć, bo ty nie byłeś specjalnie dobry w osiągnięciu kompromisu i negocjacjach, a ja tak. Przyczyniłem się do sukcesu twojej firmy, a ty nie chcesz mi pomóc w czarnej godzinie.
 - Ben, histeryzujesz. Po prostu przyjedź do mnie...
- Ben się rozłączył. Uspokoił oddech. To klikanie. Sam miał u siebie w domowym gabinecie kolekcję liczydeł. Często bawił się abakusem na biurku, przebierając w palcach

zużyte drewniane koraliki, przesuwając je tam i z powrotem na prętach, gdy rozmawiał przez telefon, kiedy był znudzony albo zdenerwowany.

To mogła być najważniejsza rozmowa, którą kiedykolwiek odbył z Samem Hectorem, a on bawił się liczydłem. Jakby rysował bazgroły na kartce.

Benowi zrobiło się niedobrze. Sam Hector uciekał przed nim. Tyle dostał za swoją lojalność. Nie mógł już na nikogo liczyć. Odetchnął głęboko.

Przypomniał sobie numer telefonu, pod który dzwoniła Vocek, kiedy Pielgrzym przeglądał jej listę połączeń. Wiadomość zostawiła Delia Moon. To mogła być ta kobieta, do której Reynolds dzwonił cztery razy, partnerka, powierniczka, ktoś, kto mógłby służyć pomocą Benowi... która powiedziała: „To nie ten Ben Forsberg, którego znał Adam Reynolds”. Albo mogłaby mu powiedzieć, jak Adam znalazł Pielgrzyma i Piwnicę, i wyjaśnić, jak prowadzić poszukiwania.

W bibliotece nie było tłoku; kilku emerytów czytało gazety, kilka osób surfowało po Internecie. Zobaczył swoją twarz na pierwszej stronie gazety. Na podręcznych półkach znalazł książkę telefoniczną. Poszukał jej nazwiska. Nie mieszkała w Plano. Przejrzał spisy z przedmieść i znalazł jej adres we Frisco. Sprawdził na mapie, zapisał wskazówki, jak trafić, i skierował się do samochodu.



Dom Delii Moon stał w schludnej dzielnicy dostojnych, choć identycznych domów, z których wszystkie miały kamienne łuki, tokańskie linie i utrzymane w stylu budynku garaże. Jej dom należał do tych nielicznych wykończonych. Odnosiło się wrażenie, że wyrasta z teksaskiej prerii, podobnie jak chwasty i dzikie kwiaty. Przejechał przed domem

dwa razy i zauważył, że w kuchni pali się światło. Była prawie pierwsza po południu. Przed dwoma wykończonymi domami, przed którymi jednak zamiast zadbanego trawnika był piach, a w nim wbita tablica z napisem NA SPRZEDAŻ, stał zaparkowany ciemny mercedes. W samochodzie siedział mężczyzna w ciemnych okularach, z rozłożoną przed sobą gazetą; prawdopodobnie potencjalny kupiec.

Ben zaparkował trochę dalej przed świeżo wykończonym budynkiem, który także wystawiony był na sprzedaż, i wrócił pieszo trzy parcele do domu Delii Moon.

Miał pomysł, co powiedzieć, ale brakowało mu przekonania, czy to się sprawdzi. Ścisnęło go w gardle.

Zadzwoił do drzwi. Żadnej reakcji. Ale z daleka dobiegł dźwięk włączonego telewizora. Znowu zadzwonił.

- Pani Moon?! - zawołał.

Drzwi uchyliły się nieznacznie. Przed nim stała wysoka, młoda kobieta o ciemnych włosach. Drzwi otworzyła zaledwie na kilka centymetrów. Zobaczył zielone oko i policzek usiany delikatnymi piegami.

- Z nikim dzisiaj nie rozmawiam.

- Jestem Ben Forsberg - przedstawił się. - Pani i ja to ostatnie osoby, do których Adam próbował dodzwonić się przed śmiercią. Musimy porozmawiać.

- Skąd pan wiedział, gdzie mieszkam? - Zielone oko bacznie go obserwowało przez wąską szparę.

Ben przełknął ślinę. Nie umiał kłamać, ale nie przywykł też do wyjmowania kul z ciała, podrabiania podpisów i kradzieży samochodów, a teraz przyszła kolej na kłamstwo. Odchrząknął.

- Departament Bezpieczeństwa wziął mnie na przesłuchanie. Ten, kto zabił Adama, miał w kieszeni moją wizytówkę. Uważają, że ja mogę być następny do odstrzału. -

Przerwał. - Zobaczyłem pani numer w telefonie jednego z agentów Departamentu, kiedy chcieli się z panią skontaktować.

- Chciał mu pan pomóc wystartować z firmą software'ową - powiedziała.

Kupiła to, myśli, że jestem tą moją wersją udawaną przez Pielgrzymę, doszedł do wniosku.

- Chciałem mu pomóc - skłamał. - Możemy porozmawiać?

- No, nie wiem... - Przygryzła wargę, teraz musi ją przekonać, kłamać, jeżeli trzeba, bo zamknie mu drzwi przed nosem i pewnie zadzwoni na policję.

- Proszę posłuchać. Ktokolwiek wynajął snajpera, żeby zabić Adama, może wziąć na cel panią, jeżeli uzna, że Adam się pani zwierzył.

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Jestem nikiem - powiedziała.

- Mimo to. Jeżeli wie pani to, co on wiedział...

- Wiem tylko, że wszystkie jego pomysły, program komputerowy, który opracował, przejął Departament Bezpieczeństwa. Ale...

- Ale co?

- Nie wiem, co chcą zrobić z jego badaniami. Nie chcę, żeby ukradli jego pracę. Chcę ją chronić.

On też musiał się dowiedzieć, o co chodziło w tych badaniach. Szedł za ciosem.

- Przypuszczalnie to zrobi ta grupa w Departamencie. Dostęp do jego oprogramowania przyniesie im milionowe oszczędności. - Miał nadzieję, że ten bluff miał sens. - Ale może uda mi się odzyskać dla pani własność Adama.

- Chwilę. - Zamknęła drzwi, a on stał i czekał, przez trzydzieści sekund, aż znowu otworzyła. Brakowało jej tchu, jakby biegła. - Proszę wejść.

Ben wszedł do środka. W powietrzu, niczym perfumy, unosił się intensywny zapach kawy z cynamonem. Delia Moon wskazała Benowi kuchnię, gdzie wszedł. Nie chciała odwracać się do niego plecami. Żadnych gwałtownych ruchów, pomyślał, nie przestrasz jej.

Była ładna, ale twarz miała wymalowaną troską, jakby całe życie coś ją niepokoiło.

- Napije się pan kawy?

- Chętnie. Naprawdę przykro mi, że panią nachodzę w takiej chwili - rzekł zgodnie z odczuciami. Pamiętał, jak ludzie niezdarnie zachowywali się w stosunku do niego po śmierci Emily. Morderstwo paraliżowało wszystko w twoim życiu.

Podeszła do szafki i wyciągnęła dodatkowy kubek. Nalała mu kawy, a sobie dołała.

- Mam nadzieję, że może być czarna - powiedziała. - Skończyła mi się śmietanka i cukier.

- Tak. - Popił kawę. Ciepło rozeszło się po całym ciele.

Był to moment spokoju, normalności, dobra kawa pita w słonecznej, jasnej kuchni.

Delia wyciągnęła z dzinsów broń, którą miała ukrytą pod luźną, batikową bluzką.

- Proszę położyć ręce na głowie.

Nie powinna dawać mi gorącego napoju, mógłbym ją ochlapać, odebrać jej broń, pomyślał. Niesamowite, jak działa umysł, kiedy człowiek nieustannie się boi. Odstawił kawę.

- Nie jestem dla pani zagrożeniem. - Powoli położył ręce na głowie.

Dziewczyna zerknęła na plastikową bransoletę kajdanek na jego przegubie.

- Połóż się na podłozie.

Posłuchał.

- Nie mam broni - powiedział.
- Nigdy się nie spodziewałam, że użyję tej. Adam nalegał. Skoro mieszkam tu sama. - Szturchnęła go stopą, przejechała wzdłuż nóg, krzyża.
- Delio, proszę, wysłuchaj mnie. Był człowiek, który skradł moją tożsamość. Udawał mnie. To on podszedł Adama. Pracuje dla tajnej grupy rządowej. Adam odkrył nazwiska, pod które się podszywał, używane w tajnej robocie, i ten człowiek zaczął szukać Adama. Chciał się dowiedzieć, jak wpadł na ich ślad, skoro nikt nie miał o nich wiedzy.
- Cofnęła się, nadal mierząc w niego z pistoletu.
- Fałszywe nazwiska... - zaczęła mówić i zamilkła. Zobaczył w jej oczach, że zaczyna mu wierzyć.
- Uważasz, że mówię prawdę - rzekł zaszokowany, a ona skinęła głową.
- Poczucie ulgi - po dwóch dniach, kiedy nikt mu nie wierzył - było ogromne. Zadrżał, ukrył twarz w dłoniach.
- Bogu dzięki. Nareszcie. Dziękuję, Delio.
- Delia powoli opuściła pistolet i nagle dwie łzy spłynęły jej po policzkach. Ben powoli usiadł na podłodze.
- Ci ludzie, których zdemaskowałam, są jakby szpiegami, ale nie należą do CIA. Wykonują brudną robotę, do której rząd nie może się przyznać. Muszę dowiedzieć się, jak Adam na nich trafił.
- O Boże, był jednocześnie głupi i genialny. - Wytarła łzę. - Powiedział mi, że stworzył ciąg programów, które potrafią wyśledzić typowe zachowania ludzi używających fałszywych tożsamości. Uważał, że to się przyda w namierzaniu terrorystów. Chciał dobrze. Zawsze powtarzał, że musimy ich znaleźć, zanim zaatakują.

- Ale nie tylko terroryści ukrywają się za fałszywymi nazwiskami i kontami - zauważył Ben. - To także odnosi się do tajnych operacji.

Wierzchem dłoni wytarła nos.

- Mówił o takich rzeczach jak typowe wzorce zachowań, fałszywe nazwiska, konta bankowe, podejmowanie dużej gotówki z tych kont.

- Połączenie tych wszystkich danych to jak wrzucenie ich do wyszukiwarki, która wskaże ci przestępców. - Ben zmarszczył czoło. - Ale to nie zadziała, jeżeli nie masz dostępu do wielu niezależnych baz danych. Finansowej, policyjnej, rządowej, biur podróży, biznesowej. Ślad, jaki każdy z nas zostawia w życiu, ciągnie się przez najrozmaitsze bazy danych, których nic nie łączy.

- Czy rząd nie mógł dać mu na to zezwolenia?

- Nie bez tysięcy poręczeń. Ale Adamowi ktoś umożliwił dostęp.

- On nie próbowałby ujawniać tajnych policjantów, agentów CIA lub kogokolwiek działającego w dobrej wierze. Nigdy. Nie celowo.

- Nie wierzę, aby wiedział, że szuka tajnych agentów rządowych. Może ktoś mu powiedział, że to źli faceci. Czy kiedykolwiek wspominał, że ktoś chciał finansować jego oprogramowanie?

- Wspominał o tym raz. Powiedział, że Sam Hector... że pan Hector może sfinansować jego prace. Ale to było kilka miesięcy temu. Zadzwoiłam do niego dzisiaj, kiedy zrozumiałam, że to rząd położył łapę na wszystkich pomysłach Adama. Myślałam, że może mi pomóc. Powiedział, że przyjedzie porozmawiać o tym, jak odzyskać materiały Adama od rządu.

- Znam Sama.

- Och, to dobrze.

- Niezupełnie. Ociągał się z pomocą dla mnie. To do niego niepodobne. - Zastanawiał się, czy Sam odczuwał takie same naciski ze strony rządu. Może wiedział o wiele więcej, niż oficjalnie mówił.

- Cóż, pan Hector jedzie tutaj i chce mi pomóc.

A dla mnie nie robi nic, co mu nie odpowiada. Co, do diabła, było nie tak z Samem? Ben poczuł w gardle żółć.

- Więc musiał uznać, że tobie warto pomóc, a mnie nie. Delio, to wielka sprawa. Mówiłaś komuś, na przykład policji, co robił Adam?

- Była tu kobieta z Departamentu Bezpieczeństwa, ale zachowywała się, jakbym była psią kupą, w którą wdepnęła.

- Joanna Voчек.

- Znasz ją?

- Tak. Ona może mi uwierzyć.

- Nie uwierzyła w ani jedno moje słowo - odparła Delia.

- Mam do niej zadzwonić, jak przypomnę sobie coś jeszcze.

- Podsunęła mu kartkę z numerem Voчек; rozłożył kartkę, zapamiętał numer. Może wkrótce być mu potrzebny. Oddał jej papier.

- Ale wierzysz mi. Skinęła głową.

- Wierzę.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

- Sam miał teraz przyjechać? - zapytał Ben.

Delia pospieszyła do drzwi.

- Tak - powiedziała i przyłożyła oko do wizjera.



Jackie siedział w mercedesie i zastanawiał się, jak dostać się do domu Delii Moon bez zrobienia większego bałaganu,

kiedy Ben Forsberg - cywil, na którego natknął się na parkingu wczoraj wieczór - zajechał białym explorerem.

Począł, obserwował, jak Ben przekonuje kobietę, aby go wpuściła. Ciekawe. Zadzwoił pod numer Hectora. Nie odbierał. Nagrał wiadomość. Począł kilka minut i Hector oddzwonił.

- Ona i Forsberg są tu razem.
- To po co, do diabła, dzwonisz do mnie? Zabij ich.
- Dzwonię, bo wydziwiasz, jak załatwiam sprawy - odpowiedział Jackie. Zakończył rozmowę i ruszył do domu. Zadzwoił do drzwi. Zobaczył, że światło w wizjerze znikło, że ktoś podszedł do drzwi.

Wystrzelił z glocka w wizjer.

Indonezja, dziesięć lat wcześniej

Randall Choate przeczytał materiały Smoka na temat Krwi Ognia, nowej grupy, zdezorganizowanej, wewnętrznie skłóconej. Podejrzewano ich o kilka morderstw w środowisku muzułmanów w Sydney, o dwa zabójstwa w Libanie, o podłożenie bomby w Kairze. Bardzo źli ludzie.

Najwyraźniej ten człowiek porządnie odrobił pracę domową, przemyślał możliwości, przeanalizował ryzyko i zminimalizował je.

Lecz siatka informatorów Smoka znikła, rozpadła się w niecały dzień. To oznaczało... co? Jedno źródło zniszczyło całą siatkę? Jeden informator wiedział o reszcie. To nieprawdopodobne. Smok, legenda, popełnił po drodze błąd, a teraz Choate'owi pozostał tylko on jako partner.

Jednak podobał mu się plan; wykona niebezpieczną pracę przy komputerze i klawiaturze; Smok może wykonać brudniejszą robotę, czyli zorganizuje zabójstwo Gumalara i jego współników terrorystów, gdy się ich zlokalizuje.

Cztery godziny po tym, jak hakerzy Agencji z małego laboratorium w Gdańsku rozpoczęli o trzeciej w nocy cybernetyczny atak na bank Gumalara, Randall Choate, ubrany

w garnitur i krawat, z przepustką dla gościa, zasiadł do bankowego komputera. Według identyfikatora pracował dla Tellar Data.

- Może pan posprzątać po tym ataku? - Kierownik informatyków bankowych stał za nim z założonymi rękami. Pod nosem połyskiwał mu pot. Poranek był bardzo nerwowy.

- Tak. Hakerzy to problem.

- Chciałbym mieć jakieś podstawy do zaskarżenia - rzekł kierownik.

Choate rozpoczął długi, nieprzerywany, techniczny wywód na temat sprawdzenia integralności pola przed wprowadzeniem danych. Wszystko będzie dobrze i uszkodzone pliki będzie można odzyskać z kopii. Kierownik komputerowców zadawał jednoznaczne pytania, a Choate udzielał poprawnych odpowiedzi. Kiedy Choate skończył (kierownik zaczynał się niecierpliwić), wyrzucił ręce w górę niczym maestro gotowy do pracy.

Kierownik wyszedł, pozostawiając go samego.

Choate rozpoczął poszukiwania, ładował programy, które nie zostawią śladu po swoim działaniu, ukryte za serią protokołów sprawdzających spójność bazy danych. Poza szukaniem uszkodzonych plików, program polował na pięć pseudonimów używanych przez Gumalara do pompowania pieniędzy w podejrzaną komórkę terrorystyczną Krew Ognia.

Znalazł cztery; piątego nie. Zapisał transakcje i adresy do pliku log. W połowie tej operacji zjawił się kierownik i obserwował monitor, gdy miliony transakcji w bazie danych podlegały inspekcji.

- Gnojki z tych hakerów - zagaił Choate.

Kierownik zgodził się z nim i przyjrzał się problemowi z siecią na innym terminalu, rozmawiając po cichu przez telefon. Program skończył i kiedy Choate wyciągnął dysk programowy z systemu, ukradkiem wsunął pusty CD do napędu

i odpalił plik z podejrzanymi transakcjami. Kiedy kierownik poszedł odebrać telefon, Choate wsunął płytę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Gotowe. Mieli finansowy ślad, który zostawił Gumalar, a który mógł zdemaskować Krew Ognia w Dżakarcie.

Kierownik przyniósł mu herbatę, a nieprzyjęcie jej byłoby zdecydowanie niegrzeczne. Popijał łykami gorący napój i wtedy zadzwoniła jego komórka. Spodziewał się, że to Smok dzwoni, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. O dwie minuty przekroczył wyznaczoną godzinę.

- Tata?

- Groszku. - Uwielbiał brzmienie głosu Tamary. Nie wiedział nawet, która godzina jest w Wirginii. Dwanaście lub trzynaście godzin różnicy. W Indonezji była teraz dzieńśnięta rano; Tamara siedziała do późna.

- Wracasz do domu na następny weekend? Bo chcę ci upiec tort urodzinowy.

- To twoje urodziny, skarbie, nie moje.

- W porządku. Upiekę dwa. Waniliowy dla mnie, czekoladowy dla ciebie.

- Idealnie, Tamciu. Mam już dla ciebie prezent.

- Naprawdę, co takiego?

- To niespodzianka. - Kupił dla niej i jej mamy identyczne kurtki z czerwonego jedwabiu.

- Tylko nie lalkę. Tata Jenny pojechał do Europy i przywiózł jej okropną lalkę.

- Żadnych lalek dla mojej laleczki. - Skończył herbatę, mówił cicho. - Muszę iść, Groszku, ale zadzwonię do ciebie jutro, jak tam będzie rano, dobrze?

- Dobrze, nie zapomnij wsiąść do samolotu.

- Za nic w świecie, malutka. Możesz dać mi mamę?

- Nie, jest zajęta.

- Hm. Dobrze. Kocham cię i niedługo porozmawiamy.
- Cześć, tato. - Tamara się rozłączyła. Cóż. Kimberly nie chciała z nim rozmawiać. Chyba dlatego, że stawki połączenia były tak wysokie. Na pewno.

Głos Tamary sprawił, że zatęsknił za domem; był gotów wracać. Wykonywał brudną robotę, ale ona była jego skarbem, największym. To dziwne, jak dziecko może ci uświadomić wewnętrzną potrzebę bycia dobrym.

- Muszę jeszcze raz sprawdzić dane, zanim uruchomiemy je ponownie - powiedział kierownikowi. - Pójdę do pańskiego biura, przejrzę to z moim analitykiem i w ciągu dwóch godzin powinienem mieć dla pana raport.

- Bardzo dobrze - odparł kierownik. Poszedł za Choate'em do windy; stali tam dwaj inni mężczyźni w garniturach. Przeszły go ciarki po skórze, ale oni byli szczupli i niepozorni, ubrani jak kadra zarządzająca średniego stopnia, która chce wywrzeć spore wrażenie. Choate sięgnął do przycisku oznaczającego parter, ale już się palił. Odwrócił się, aby pogawędzić z kierownikiem. Wtedy silne ręce chwyciły go za ramiona. Uderzył tyłem głowy, poczuł, jak łamie się czyjś nos pod jego czaszką, usłyszał krzyk bólu. Czyjeś ręce pchnęły go na ścianę windy, w szyję wbito mu igłę.

Zapalony przyciski z numerami wirowały i tańczyły, zachodziły mgłą, jakby patrzył na nie przez ścianę deszczu. Natychmiast zrobił się senny i wesoły. Silne ręce zacieśniły chwyt, pociągnęły go w stronę drzwi.

Zaśmiał się i powiedział im o czerwonej kurtce dla Tamary, później stracił przytomność.



Randall Choate nadal miał dwie ręce.

Były posiniaczone i obite, knykcie fioletowe. Stracił dwa

zęby, z tyłu. Z każdym oddechem czuł w drżącej piersi, że ma złamane dwa żebra. Jedno ucho miał naderwane i nie spał od dwóch dni - za każdym razem, gdy przysypiał, oprych chlustał mu w twarz lodowatą wodą.

Obudził się w pokoju o ścianach z gołych pustaków z oknem wysoko, wpuszczającym mgliste, słabe światło. Był przywiązany do drewnianego krzesła; jego oprawcy mieli stół, lampę i krzesło. W pokoju nie było nic więcej poza węzłem, obcęgi, wiadrem, kubłem na śmieci i ciekącym kranem, którego kapanie doprowadzało do szaleństwa.

Znowu zaczynał zapadać w drzemkę; lodowata woda trafiła go w twarz. Otworzył oczy i zobaczył Gumalara naprzeciw siebie; jadł banana i marszczył brwi.

- Spróbujemy jeszcze raz. Jestem optymistą. - Przeżuwał banana. - Mam wtykę, który mówi mi, że jesteś z CIA.

Choate miał pusty żołądek, ale zapach owocu sprawił, że zółć podeszła mu do gardła.

- Nie... proszę, panie... pracuję dla firmy konsultingowej zajmującej się bazami danych...

- Ta robota dla Tellar Data to kłamstwo. - Podniósł płytę kompaktową, która zawierała finansowe transakcje przeprowadzone pod pseudonimami. - Po co ci ten CD-ROM?

- Proszę, puśćcie mnie - powiedział mimowolnie i poczuł, jak przepelnia go wstyd.

- Nazywasz się Randall Choate. Mieszkasz w Manassas w Wirginii. Masz żonę i córkę. Panie Choate, jak widać, mam długie ręce. Jak zechcę sięgnąć po twoją rodzinę... - wrzucił skórkę po bananie do kubła na śmieci - ...to zdołam. Dobra. Jesteś z CIA, przysłali cię tu, żebyś mnie szpiegował.

- Nie, nie, nie. - Nie musiał się starać, by w jego głosie zabrzmiało przerażenie. Grozili jego rodzinie. Nie bał się już o siebie, ale o Kim i Tamarę. Skąd o nim tyle wiedzieli?

- Tellar to przykrywka CIA.
- Nie. Nie. To nieporozumienie, musicie mnie wypuścić. Moja firma wam zapłaci, o to wam chodzi? Zapłacą za mnie.
- Nie oddam cię. Powiesz mi, jaką operację szykują przeciw mnie.
- Niczego nie wiem...
- Gdzie znajdę tego Anglika, którego nazywają Smokiem. - spytał Gumalar.
- Nie wiem...

Więcej wody, więcej tortur, więcej bólu przechodzącego falami pod skórą. Oprych Gumalara zaszczekał obcęgami przed twarzą Choate'a i z wielkim dramatyzmem ściągnął mu but i skarpetę.

Choate milczał, zazgrzytał zębami, nie pozwolił sobie na krzyk.

Szybkiem szarpnięciem oprych wyrwał mu jeden z paznokci. Choate'a przeszły straszliwy ból, nadaremnie próbował schwycić powietrze i nie panował nad pęcherzem. Krzyknął i oprych uderzył go obcęgami, raniąc policzek, a potem kopnął krzesło i pobił go do nieprzytomności.

Nie wiedział, ile czasu minęło. Snop światła padający z wysokiego okna zmienił położenie. Kiedy Choate się obudził, był sam.

Nagle z sąsiedniego pokoju, przez drewnianą ścianę dotarły głosy: „Zobaczmy, czy ten Smok zionie ogniem”.

Wtedy Choate usłyszał krzyk mężczyzny: „Nie, nie, macie nie tego, co trzeba, człowieku...” i miękki, angielski akcent z prowincji. Słowa przeszły w krzyk. „Kurwakurwaaaaaaaaaaa... Boże nie Boże nie...”.

Znaleźli Smoka. Ktoś zdradził ich obu.

„Jesteś tym, którego nazywają Smokiem?”.

„Ja, och, proszę, nie...”.

A potem horror, odgłos ostrego uderzenia o drewno i krzyk, który poruszyłby demony w piekle. Krzyk trwał połowę wieczności, a potem przeszedł w szloch i jęk. Uderzenia, mamrotane pytania o działania CIA w Indonezji. Znowu krzyki. I znowu.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, Choate otworzył oczy. Mężczyźni wciągnęli do pokoju to, co zostało ze Smoka. W miejscu nadgarstków miał zakrwawione kikuty, luźno zawinięte w poszwy do poduszek przesączone czerwienią. Oczy szeroko otwarte z przerażenia, twarz umazana wymiocinami.

- Kto to jest?! - wrzasnął Gumalar i przez chwilę Choate nie wiedział, czy krzyczy do niego, czy do Smoka.

- Nigdy w życiu go nie widziałem - odezwał się Choate, a Smok zwiesił głowę.

- Zabijemy go, jak nie będziesz gadał.

- Już prawie to zrobiliście - powiedział Choate i splunął na Gumalara. Jeden z nich zaczął okładać go pięścią po głowie i po siódmym ciosie i brutalnym kopniaku krzesło, na którym siedział, przewróciło się, a on razem z nim. Świat zamglił się i poszarzał.

Czas przestał istnieć. Poderwał głowę na huk wystrzału. Męskie głosy, kłótnia, jeden mówił po indonezyjsku: „Teraz nic z niego wyciągniemy, ty ośle”. Przez chwilę myślał, że strzelili do niego, ale nie, był sam.

Słyszał otwierane i zamykane drzwi. Zaraz przyjdą tutaj i go zabiją. Głosy przybrały na sile. Kłócili się po indonezyjsku. Usłyszał wyraźne, ciche szuranie, gdy ciągnięto ciało po podłodze.

- Ej. Pogadamy za parę dni. Jak wyschniesz, zgłodniejesz, wtedy porozmawiamy. - Głos oprycha był ledwo słyszalny przez ciężkie drzwi.

Zostawili go tutaj. Zostawili, żeby umarł. Żeby zagłodził się na śmierć albo umarł z odwodnienia w samym środku wielkiego, tętniącego życiem miasta.

Odgłos oddalających się kroków, zamykanych drzwi.

Smok musiał dać im to, czego chcieli, w przeciwnym razie zaczęliby torturować jego. Może zamierzali negocjować jego uwolnienie. Nie. Widział twarz Gumalara. Nie mógł liczyć na to, że kiedykolwiek się stąd wydostanie. Mieli powód, aby utrzymywać go przy życiu.

Choć ledwo śmiał się ruszyć. Został mocno przywiązany do krzesła... ale z krzesłem coś było nie tak. Oparcie poruszało się przy każdym ruchu. Drewno tarło o drewno. Zamknął oczy i zebrał myśli. Powoli zaczął poruszać związanymi rękami. Nie myślał o niczym innym, ignorował ból.

Trzask. Oparcie krzesła, już zniszczone od kopnięć napastników, oddzieliło się od siedziska. Starał się uwolnić z lin, ale nadal trzymały zbyt mocno. Ciągle był przywiązany, teraz tylko do fragmentów mebla; ręce do oparcia, nogi do siedziska.

Nie pozostało nic innego, jak czekać, aż wrócą i go zabiją.

Kiedy się obudził, w pokoju nadal było ciemno, wysokie okno, przez które wcześniej sączyło się szare światło, zamieniła noc.

„Jak zechcę sięgnąć po twoją rodzinę...”.

Szarpnął liny. Mocne. Szorował fragmentem krzesła o betonową ścianę; zaczął uderzać plecami o mur. Raz za razem. I znów.

Oparcie krzesła coraz bardziej się rozpadało. Ciągnął palcami, poruszał plecami i usuwał roztrzaskane fragmenty krzesła. W końcu, po całych godzinach, uwolnił lewą dłoń z więzów. Potem powoli prawą. Ból pulsował w rękach, gdy próbował nimi poruszyć po raz pierwszy od dwóch dni. Po chwili wyswobodził z lin stopy.

Staął niepewnie. Potykał się, aż dotarł do ściany. Szukał po omacku drzwi. Zamknięte. Spróbował zapalić światło. Zamigotało.

Gdzieś w oddali usłyszał, jak otwierają się drzwi. Wracali. Kłamali, że nie będzie ich przez kilka dni. Wyjechali chyba tylko po to, żeby pozbyć się ciała Smoka.

Rozejrzał się po pokoju. Stół, wysoko okno wpuszczające trochę światła. Przysunął stół do okna. Podniósł krzesło, na którym siedział oprych podczas przesłuchania. Ustawił je na stole i chwycił jedną z nóg krzesła, które wcześniej rozwalili. To była jego jedyna broń. Wepchnął ją z tyłu, pod brudną koszulę, podskoczył i chwycił się parapetu. Trzymał się mocno jedną ręką, a drugą otworzył i uniósł okno. Spadł na stół. Z powrotem wszedł na krzesło i znowu podskoczył. Zarzucił nogę, aby znaleźć oparcie, i przecisnął się przez okienko. Wypadł w zaułek. Nocne odgłosy Dżakarty - niesłabnący szum pojazdów, trąbienie, wiatr niosący zawodzenie muzyki - brzmiały mu w uszach.

Pobiegł w stronę drogi.



- Nie rozumiem - mówił Choate. Pościel była sztywna i pomimo wyczerpania zupełnie nie miał ochoty na odpoczynek.

- Wracasz do domu - powiedział szef placówki, Raines. Wyglądał jak strach na wróble, jakby gorąco i wilgoć Indonezji wysssały z niego siły. Palił *kreteki*, goździkowe papierosy, i od słodkiego zapachu Choate'owi robiło się niedobrze.

- Ale Gumalar...
- Nieważny Gumalar. Śledztwo jest zamknięte.
- Ale Smok... zabili go, Jezu, odrąbali mu dłonie. Ktoś wewnątrz nas zdradził.

- Tak. Jeden z jego informatorów.
- Nie. Jego informatorzy mnie nie znali. Złapali go po mnie. O tym, że ja i Smok pracowaliśmy razem, wiedziała tylko Agencja.

Raines zmarszczył brwi, jakby odebrał tę obelgę osobiście.

- Słuchaj, w takim razie Smok musiał za dużo gadać. Był facetem od brudnej roboty, nie istniał. Był wolnym strzelcem, nie agentem.

- Mówię tylko, że w Agencji jest przeciek. Gumalar wiedział o mojej rodzinie, znali moje nazwisko... nigdy nie podawałem Smokowi swoich personaliów.

- To zatkamy przeciek. Ale ty jesteś spalony. Wracasz do domu. Rodzina Gumalara wie o śledztwie. Wywiad Indonezji prosi, abyśmy się wycofali. Oni się tym zajmą.

- Gumalar ma kogoś w indonezyjskim wywiadzie. - Choate schował twarz w dłonie. - Podsyła pieniądze terrorystom. Porwał nas, bo za bardzo się zbliżyliśmy. Chciał przestraszyć Agencję.

- Czego nie rozumiesz w poleceniu: „Wracasz do domu”? Dalej to już nie twój problem. Masz samolot jutro rano. Bądź wdzięczny i ciesz się, że żyjesz, Randall.

Pielęgniarka przyniosła mu obiad, a Randall Choate pomyślał: Nie, nie wyjeżdżam jutro. Nie wyjadę, dopóki żyją ludzie, którzy grozili mojej rodzinie. Miał dług wdzięczności wobec Smoka, musiał wymierzyć sprawiedliwość. Niemal się zaśmiał. Nie chciał partnera; teraz musiał pomścić tego jedyne go, którego miał.

Pocisk roztrzaskał szkło, przeszedł przez drzwi i wbił się w prawe oko Delii Moon. Ben schwycił ją, gdy padała martwa. Drugi strzał rozwalił zamek, kula przeszła nad jego karkiem, gdy klękał. Uchylił się.

Po trzecim strzale zamek się rozpadł.

Pistolet Delii; przypomniał sobie, że położyła go na blacie w kuchni.

Ben wycofał się do kuchni. Chwycił pistolet. Usłyszał, jak drzwi frontowe ktoś wywała kopnięciem.

W kuchni znajdowały się drzwi balkonowe prowadzące na dwór, z osadzonymi szybkami, pomalowane na jaskrawożółty kolor. Widać je było z frontowego korytarza i przez kilka sekund, kiedy ruszył do tych drzwi, znajdował się na linii ognia. Przestań za dużo myśleć, po prostu działaj; przestań za dużo myśleć, działaj, powtarzał sobie w duchu. Usłyszał kroki.

Za długo czekał, dał się zapędzić w pułapkę. Idiota. Teraz nie dotrze do wyjścia, raczej nie. Będzie musiał wpierw zastrzelić napastnika.

To go zastrzel.

„Nie mogę zastrzelić kolejnego człowieka”, tak powiedział i tego się trzymał, ale nie mógł stać beczynnym i nie pomścić Delii, na dodatek samemu dać się zabić. Drwiące słowa Pielgrzyma: „Brakuje ci jaj” dzwoniły mu w uszach. Ben ujął pistolet oburącz. Nie wiedział, jak to się robi, ale będzie sobie musiał poradzić.

W domu nagle zrobiło się cicho jak w pustym kościele. Jego własny oddech był głośny niczym walenie w bęben. Próbował przełknąć ślinę, ale nie mógł.

Ben wycelował pistolet w przejście do korytarza w odległym krańcu kuchni. Gdzie powinien stanąć albo się schować? Nie miał pojęcia. Przykucnął za kuchennym blatem, zerkając z ukrycia. Mógł się tam schować cały, ale wtedy nie będzie widział, skąd nadejdzie napastnik.

Ktoś poruszył się za rogiem i Ben strzelił; nie spodziewał się takiego odrzutu, kula trafiła w narożnik ściany, daleko od miejsca, w które celował.

Bardziej wychylił się zza blatu, wyciągając pistolet, i Jackie, dzieciak z garażu o ciemnych, elfich, irlandzkich oczach, strzelił do Bena.

Ben poczuł szarpnięcie, a potem gorąco; z przerażeniem uświadomił sobie, że został trafiony. Jest ranny. Zawahał się i próbował znowu wystrzelić, ale chybił; kula wbiła się w kafelek.

Jackie kopnął Bena w postrzelone ramię. Bena aż zatkało, a Jackie przyłożył mu do głowy lufę.

- Rzuć broń!

Ben posłuchał, puszcżając pistolet Delii. Zaciśnął dłoń na ramieniu, z którego rytmicznie wypływała krew.

- Jesteś Forsberg.

Ben skinął głową.

Jackie poderwał go na nogi. Ben poczuł zawrót głowy.

- Gdzie jest Pielgrzym?
- Nie... wiem. Uciekł. - Jestem ranny, powracała szaleńcza myśl.

- Nie wierzę ci. - Pchnął Bena pistoletem w plecy, wytrącając go z równowagi. - Mów, gdzie jest Pielgrzym.

- Nie. - Ben upadł na granitowy blat.

Jackie schował pistolet do kieszeni i wyciągnął wielki nóż. W jarzeniowym świetle rozbłysła stal. Jackie jedną ręką schwycił Bena za włosy, drugą przyłożył mu do gardła. Patrzył, jak Ben z przerażenia otwiera szeroko oczy, gdy ostrze zbliżyło się do skóry.

- Wytnę ci kawał mięsa. Potem następny. Wyfiletuję cię po kawałku do kości.

Ben zamknął oczy. Jeżeli przekona go, że naprawdę nie wie, gdzie jest Pielgrzym, to w jednej chwili stanie się bezużyteczny. A co za tym idzie... martwy.

- Nie mogę ci powiedzieć.

Czubek noża wkręcił się w skórę Bena, który otworzył oczy.

Jackie wyszczerzył zęby w uśmiechu. Przesunął nóż do piersi Bena, przeciął mu koszulę, dźgnął w sutek. Ben czuł, jak ciało rozstępuje się pod naporem stali. Potem ostrze zatańczyło mu na brzuchu, zeszło do krocza. Zatrzymało się.

- Teraz wstrzymujesz oddech. Zastanawiasz się, gdzie go wbiję. To zależy od ciebie. Pielgrzym zabił mi brata, ty bezużyteczny sukinsynu. Powiesz, gdzie go szukać.

- Nie... nie... - W ciszy, przez roztrzaskane drzwi, usłyszeli przejeżdżający samochód.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będzie można porozmawiać z sensem. Pomożesz mi, to przeżyjesz. Chcę śmierci Pielgrzyma bardziej niż twojej. - Jackie na powrót przyłożył nóż do szyi Bena i popędził go do drzwi obok ciała Delii.

- Przepraszam - powiedział do niej Ben. Myślał, że zwymiotuje z bólu i strachu. Nóż był tak ostry i twardy, że można by nim odciąć głowę.

- Za co przepraszasz? - zapytał Jackie. – Ja ją zabiłem.

Z rozoranego ramienia Bena trysnęła krew; nagły ból sięgający aż do kości ogarnął całe ciało. Wybiegli drzwiami frontowymi. Ben, popychany przez Jackiego, zatoczył się, odzyskał równowagę. Musiał uciekać. Ale Jackie był tak samo wysoki jak on, cięższy, bardziej umięśniony i o kilka lat młodszy. Ben był pewien, że nie da mu rady w bezpośredniej walce, szczególnie z postrzeloną ręką j a Jackie do tego miał nóż i pistolet.

W takim razie go zaskocz. Postanowił działać. Dziwne... jeszcze wczoraj byłby sparaliżowany ze strachu. Teraz strach stał się luksusem.

- Moja ręka...

- Przestań skomleć.

- Moja ręka... - Ben szedł niepewnie, przewrócił się na nierównej, suchej ziemi przed sąsiednim domem. Znalazł się przed znakiem NA SPRZEDAŻ ze stylizowaną różą w logo. Pośredniczka nieruchomości miała na imię Rosie. Sprytne.

- Wstawaj - rozkazał mu Jackie, a Ben zaniknął palce na luźnym piachu. Jackie znowu schwycił go za włosy i szarpnął, obnażając Benowi gardło.

Ben cisnął mu piaskiem w oczy. Naparł mocno plecami na Jackiego, który w tym momencie nie mógł użyć noża. Jackie krzyknął, podniósł ręce do oczu, zatoczył się od pchnięcia.

Trochę piasku wpadło do oczu także Benowi, ale Jackie chwilowo zupełnie oślepl. Ben szarpnął za tablicę z ogłoszeniem o sprzedaży. Wyrwał ją z ziemi, zamachnął się i z całej siły uderzył w twarz Jackiego. Tablica trafiła przeciwnika w szczękę i policzek, czemu towarzyszyło satysfakcjonujące chrupnięcie. Jeszcze raz się zamachnął i powalił chłopa na ziemię.

Jackie dyszał z wściekłości i frustracji. Dźgnął mocno nożem tam, gdzie jego zdaniem powinien stać Ben, ale ostrze przecięło jedynie powietrze. Tarł ręką niewidzące oczy.

Ben pochylił się i ruszył biegiem do samochodu. Wepchnął zakrwawioną rękę do kieszeni w poszukiwaniu kluczyków.

Jackie wystrzelił z pistoletu, celując w stronę, skąd dochodził odgłos kroków, i Benowi kula świsnęła nad ramieniem.

Dotarł do samochodu, wszedł i pochylił się nisko, zapalając silnik. W lusterku wstecznym widział, że Jackie biegnie w jego stronę, przecierając oczy. Zatrzymał się, aby schować nóż do pochwy na łydce, a potem, mrużąc oczy, wystrzelił w stronę, z której dochodził odgłos silnika. Kula wgniotła zdeznak explorera.

Ben wcisnął gaz do dechy i ruszył z piskiem opon. Następny strzał zamienił w pajęczynę boczne lusterko od strony kierowcy.

Ben docisnął gazu. Explorer popędził z rykiem ulicą. Na końcu ulicy stał znak stopu, ale Ben przyspieszył i z pełną prędkością pokonał zakręt; wóz policyjny zahamował ostro, trąbiąc na niego. Dzielnica była nowa, wygięte w łuk uliczki, ślepe zaułki, objazdy; jeżeli źle skręci, utknie na dobre.

Ben, wycierając piasek z oka i kierując łokciem - prawa ręka bolała, jakby wepchnięto mu pod skórę zapaloną zapalną - zobaczył w lusterku, że dogania go radiowóz. Może ktoś usłyszał strzały w domu Delii. Zastanawiał się, czy się zatrzymać i powiedzieć wszystko policjantowi; zaczął zwalniać. Radiowóz się zbliżył.

Lecz wówczas, z rykiem silnika, dogonił policjanta czarny mercedes, gładki jak noc. Teraz nie mógł się zatrzymać; Jackie zabije jego i policjanta. Wcisnął gaz i odbił od krawęznika w momencie, gdy ryknął o wiele potężniejszy silnik mercedesa.

Mercedes zrównał się z radiowozem i Jackie otworzył ogień. Nadal nie widział zbyt dobrze i kule na szczęście trafiły w opony. Policyjny wóz zatrzymał się z piskiem. Oficer niezdarnie sięgał po broń, wysiadł i wycelował w mercedesa.

Chyba go nie przegonię, pomyślał Ben i skręcił gwałtownie w lewo. Jackie trzymał się blisko. Ben pomyślał o tych wszystkich filmowych pościgach, jakie widział w życiu. Zawsze na autostradzie albo w centrum miasta, można było skręcić, uciec i ujść pościgowi - samochody tańczyły przed kamerami ku uciesze widzów. Jednak tutaj lekko falista preria wchodziła między niedawno powstałe przedmieścia. Nie miał gdzie się ukryć. Były nowe domy, niektóre zbudowane do połowy, i puste działki. Umrze na tych świeżo wytyczonych uliczkach.

Droga biegła łukiem, Ben wziął zakręt ostro, aż koła explorera uniosły się i po chwili opadły na ziemię.

Przed nim pojawił się ślepy zaułek. Stały tu nowo wzniesione domy, jeden wykończony, pozostałe cztery w różnych fazach budowy, jeden obłożony klinkierem, dwa drewniane szkielety oraz fundament czekający na dalsze prace. Ben na pełnym gazie obrócił wóz.

Eksplodowała tylna szyba. Odłamki szkła - ostre konfetti - obsypały mu głowę, kłuły w szyję i uszy.

Na bitej drodze nie wygra. Mercedes był za szybki. Ben przemknął obok jednego ze szkieletów domów - podjazd już został wylany, przy wjeździe do garażu leżały deski. Zjechał z podjazdu, przemknął obok budynku i wpadł na pusty, nierówny teren wokół niewykończonych domów.

Mercedes doganiał go, wzbijając kurz, a Ben modlił się, aby nie złapać gumi na jakimś przypadkowym gwoździu. Dziurawa opona oznaczała koniec. Zauważył, że mercedes zostaje w tyle, nie daje sobie rady na terenowej drodze. Ben wypadł z rykiem na główną szosę.

Za krawędzią jezdni ciągnął się płaski teren przygotowany i ogrodzony pod przyszłe działki; schodził lekko w dół, jak się domyślał Ben, ku strumieniowi. Ale dalej będzie kolejna droga.

Uda mu się przejechać przez strumień, lecz mercedesowi na pewno nie.

Ben z pełną prędkością wjechał na płaski teren. Explorer podskakiwał.

W lusterku wstecznym Ben zobaczył mknącego mercedesa.

Co zrobiłby Pielgrzym? Na tę myśl niemal się zaśmiał pomimo bólu i mdłości, które czuł z powodu utraty krwi. Myślałby więcej niż jeden ruch do przodu.

Teren zaczął opadać; tam gdzie spodziewał się strumyka, było ogrodzenie z naciągniętego drutu. Uderzył w nie z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę.

Explorer przedarł się przez drut, wyrwijąc z ziemi słupki, z których jeden uderzył niczym pięść w drzwi pasażera. Drut zdrapał lakier z maski. Któryś ze słupków zamienił definitywnie przednią szybę w pajęczynę pęknięć. Explorer uwolnił się, a Ben wciskał gaz do dechy, chcąc odzyskać prędkość.

Mercedes gładko pokonał wyrwę w ogrodzeniu, którą zrobił Ben.

Teraz teren wznosił się pod lekkim kątem. Ben widział przed sobą szosę pełną samochodów, dwa pasma podzielone szerokim pasem ziemi niczyjej.

Na drodze sznur samochodów posuwał się ze stałą prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zatrąbił, próbował znaleźć moment, w którym mógłby się przedrzeć na dalsze pasy autostrady. Skręcił lekko w prawo, podjechał do przodu i zrobił małą wyrwę w sznurze pojazdów.

Prawie mu się udało.

Explorer wpadł na dwa pasy prowadzące na zachód, tuż przed SUV-em lexusa. Ben nie zauważył jednak pick-upu wyprzedzającego lexusa zewnętrznym pasem i kiedy już udało mu się przeskoczyć przez teren rozdzielający kierunki ruchu, pick-up zahaczył o tylny zderzak fordą.

Explorer się zakręcił. Ben walczył z kierownicą, aby nie wpaść z powrotem na szosę, między sznur samochodów. Oburącz kręcił kierownicą, pomimo działania adrenaliny piekielnie bolało go postrzelone ramię. Zapanował nad samochodem i pomknął do przodu. Serce podeszło mu do gardła. Obejrzał się, zobaczył, jak pick-up kończy obrót, sznur samochodów zwolnił; pojazdy hamowały. Kierowca w pick-upie miał około czterdziestki. Ben widział jego przerażoną twarz.

Zerknął dalej. Mercedes parł do przodu, miał paskudne wgniecenie z boku od strony pasażera.

Explorer klekotał na wybojach, jakby zamierzał rozpaść się na kawałki. Mercedes nie ścigał go w prostej linii; Jackie pędził poboczem, potem skręcił pod ostrym kątem. Zbliżał się, teraz Ben mógł skręcić jedynie w prawo.

Kilometryrowy odcinek, potem następny. Minął nieczynne dźwigi i dwóch mężczyzn na platformie pick-upu, gapiących się znad planów na intruza na ich terenie. Zobaczył duże centrum handlowe po prawej, za trzema pasami ruchu.

Plac budowy się kończył, dalej była zryta ziemia, wielkie silosy z cementem i maszyny poustawiane na parkingu. Nie było dokąd uciekać.

Tylko centrum handlowe stwarzało jakąś szansę.

Mercedes mknął niczym ekspres i zbliżał się nieubłagannie.

Ben skręcił na drogę, ledwo wyminąwszy siwą damę w escaladzie; pokazała mu palec ozdobiony diamentowym pierścionkiem. Wyrównał tor jazdy, widział, jak mercedes wymija samochody, szuka luki kilka wozów za nim. Wcisnął

gaz i zużyty, zdezelowany explorer próbował na to zareagować, ale zaczął szarpać i protestować niczym biegacz kuśtykający z powodu kontuzji.

Przed Benem rozciągało się centrum handlowe: kino z dwudziestoma salami, olbrzymia księgarnia, Macy's, Home Depot, kilka innych sklepów - wszystkie elementy potrzebne w domu towarowym na przedmieściu. Ben wtargnął na pobocze, klaksonem zapewniając sobie wolny przejazd na prawo; widział, jak mercedes ścina drogę, aby go dopaść. Dwa samochody za mercedesem wpadły na siebie.

Zobaczył twarz Jackiego wykrzywioną z wściekłości, niewiści i determinacji.

Ben gwałtownie skręcił w system alejek dojazdowych do marketu, a Jackie przejechał skręt, wcisnął hamulec, wrzucił wsteczny i zjechał na pobocze. Explorer wspinał się podjazdem; Ben nie zatrzymał się przy znaku stopu i wjechał na wysepkę. Przemknął parkingiem do głównego wejścia. Nagle pękła przednia opona; wóz zaczęło ściągać w stronę chodnika, a Ben przejechał jeszcze dziesięć metrów.

Będzie musiał zgubić Jackiego w supermarkecie. Wjechał w puste miejsce parkingowe i wysiadł, lustrując okolicę w poszukiwaniu mercedesa. Zobaczył go cztery rzędy dalej. Jechał w kierunku wejścia do centrum. Szukał go.

Ben trzymał się nisko przy ziemi, przyciskając kurtkę do rany. Koszulę i spodnie znaczyły plamy krwi, ale uznał, że zakryje większość z nich, trzymając kurtkę blisko ciała. Zauważył, że mercedes kręci się przy wejściu, a potem zawraca trzy rzędy dalej. Jackie szybko dojrzy wybite okna w explorerze.

Ben pobiegł, nisko pochylony, ignorując ciekawskie spojrzenia. Dotarł do końca rzędu, a potem rzucił się w stronę wejścia. Nieco dalej dostrzegł poobijanego mercedesa; wysiadł z niego Jackie.

Ben pokuśtykał do centrum. Nowy supermarket był wysokiej klasy. Starannie położone kafle na podłodze, skórzane fotele i kanapy ustawione artystycznie, aby ludzie mogli odpocząć, wypić kawę i wygodnie poczekać na rodzinę robiącą zakupy. Piątkowe popołudnie zwabiło całkiem spory tłum, głównie nastolatków i młodych matek.

Ben szedł szybko, próbując nie przyciągać uwagi. Zaryzykował i zerknął za siebie, aby sprawdzić, czy nie zostawia krwawego śladu. Nie zostawiał, ale zobaczył Jackiego, który szedł za nim, nie biegnąc.

Jackie się uśmiechał jak kot dopadający myszy. Trzymał rękę w kieszeni, na pewno na pistolecie. Ich spojrzenia się spotkały.

Ben dotarł do skrzyżowania na promenadzie, każda z dróg prowadziła do innego sklepu. Stał przed sklepem ze sprzętem elektronicznym i nagle dziesiątki jego twarzy pojawiło się we włączonych telewizorach nastawionych na wiadomości CNN.

Uciekł, zasłaniając dłonią twarz. Myśl. Wiedział, że potrzebny jest mu duży sklep, miejsce o prostych liniach, gdzie mógł zgubić Jackiego. Pospieszył przez gęstniejący tłum - na jednym z przejść występowało dwóch żonglerów i ludzie stawali, aby ich oglądać - i skręcił do jednego z niezbyt drogich sklepów. Liczył na to, że tam będzie większy tłok, dużo kupujących i sporo niezbyt drogich towarów. Tym samym będzie miał większe szanse się ukryć.

- Proszę pana, pan krwawi - odezwała się do Bena starsza kobieta. Miała torby pełne zakupów, wskazywała jego zakrwawioną koszulę. Potem jego twarz. Wydeła wargi. Uśmiechnął się do niej słabo i skinął głową. Wyminął ją pospiesznie.

- Proszę pana. Pan czeka! - zawołała.

Może zwróciła się do ochroniarza. Ben się obejrzał. Jackie nie zwalniał, nie chciał go dopaść przy świadkach, ale utrzymywał stałą odległość. Ben nie widział, gdzie się podziała kobieta. Wszedł do sklepu, minął młodą dziewczynę rozdającą próbki perfum, stoły zastawione kolorowymi pudełkami z prezentami, dostrzegł czerwone napisy informujące o piętnasto-procentowej obniżce cen. Wymijał matki pchające wózki, pary trzymające się za ręce, trzy dziewczyny zmierzające do działu dla młodych par.

Błąd. Za dużo ludzi, a gdyby Jackie zaczął strzelać... Ben wszedł na ruchome schody. Wymijał stojących klientów. Odwrócił się, zobaczył Jackiego niespiesznie podążającego za nim, i ogarnął go strach, że chłopak po prostu wyciągnie broń, strzeli mu w głowę i zniknie w tłumie. Drugi błąd, pomyślał Ben. Jeżeli popelni kolejny błąd, niewinny przechodzień może zginąć.

Jackie wszedł za nim na schody.

Ben ruszył do schodów prowadzących na następną kondygnację, tam skręcił w prawo do działu ze sprzętem gospodarstwa domowego i meblami.

Tutaj towary stały ciaśniej, tworząc sztuczne sypialnie, salony i pokoje telewizyjne; było mniej otwartej przestrzeni, Jackie tak łatwo go tu nie odnajdzie. Labirynt scenicznej dekoracji. Mniej klientów; pomyślał, że większe zainteresowanie meblami jest wieczorem albo w weekendy, kiedy rodziny lub pary oglądają je razem. Ale nie w piątkowe popołudnie.

W jednej z wnęk ustawiono pokój telewizyjny z elementami azjatyckimi: niska ława z drewna tekowego, minimalistyczna sofa z poduszkami z czerwonego jedwabiu z wyhaftowanymi czarną nitką chińskimi znakami, rzeźba z jadeditu, duży wazon z namalowanymi żurawiami i kwiatami.

Schwycił oburącz wazon. Rękę rozrywał koszmarny ból. Wazon był ciężki i sięgał mu od pasa do głowy.

Ben schował się we wnęce i czekał.

Jackie przebiegł obok, wypatrując Bena, który dogonił go w sześciu krokach, zamachnął się mocno, akurat gdy Jackie się obracał i wkładał rękę do kieszeni. Wazon trafił Jackiego w twarz niczym ceramiczny kij do baseballu, i rozpadł się na kawałki.

Jackie zachwiał się, a Ben jeszcze raz zamachnął się resztką wazonu, ciężkim dnem. Uderzył Jackiego w usta i chłopak upadł z zakrwawioną twarzą, rozciętą wargą, na wpół przytomny.

Ben pochylił się, wyjął z kieszeni kurtki pistolet i kluczyki, wrzucił je sobie za koszulę. Gdzie nóż?

Jackie starał się skupić na nim wzrok pomimo krwi zalewającej mu twarz. Ben pochylił się i zdrową ręką uderzył go z całych sił w szczękę. Dwukrotnie. Jackie próbował zaciśnąć pięść, ale Ben uderzył jego głową trzy razy o podłogę.

Jackie przestał walczyć, oczy zaszyły mu mgłą.

- Hejże! - Jakaś kobieta podniosła krzyk.

Ben podniósł wzrok. Była to sprzedawczyni; wypięloną dłonią zasłaniała usta.

- On ma broń w kieszeni. Widziałem. Proszę zadzwonić po policję - powiedział Ben. - Śledził mnie aż z domu na Nottingham Street. Tam ranił kobietę.

Kobieta wycofała się do telefonu na biurku. Wycelowała w niego palec, jakby to miało go zatrzymać.

- Nie ruszaj się.

Wybieraj. Zostać i wyjaśniać policji, że Jackie zabił Delię. Ale jak znajdzie się w więzieniu, to może trafi na kolejnego Kidwella. Dźwignął się i pobiegł. Słyszał, jak kobieta woła, aby się zatrzymał, ale nie posłuchał.

Zaraz będzie miał ochroniarzy na karku. Kierował się do drzwi oznaczonych napisem: „Tylko dla personelu”. Nie były zamknięte na klucz, więc wszedł, słysząc, jak kobieta woła za nim. Pobiegl korytarzem prowadzącym do pustej świetlicy i do większej części magazynowej.

Winda towarowa. Wcisnął guzik.

Wydostań się na parking. To centrum handlowe, na pewno jest dużo wyjść. Poszukaj samochodu Jackiego.

Począł, aż przyjedzie winda. Dźwignęła się leniwie z parteru. Huczała, jakby nie serwisowano jej od lat; wypełniała szyb gardłowym odchrząkiwaniem.

Przywarł do ściany. Winda oznajmiła przyjazd melodyjką, towarowe drzwi rozsunęły się niczym powolna kurtyna. Wpadł do środka i wcisnął guzik oznaczony „parter”.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi na zaplecze. Następnie szybkie kroki i potknięcie.

- Potnę... cię... na kawałki.

Nie. Drzwi zaczęły się zamykać, sunąc zgodnie z odwiecznym planem. Ben wyciągnął ze spodni koszulę, poszukał pistoletu i kluczyków.

Jackie dopadł do zamykających się drzwi, miał krew rozmazaną na czole i złamany nos. Chciał go pchnąć od dołu nożem.

Ben uniósł pistolet i strzelił; Jackie zobaczył broń. Wściekłość na twarzy przeszła w zdziwienie; uskoczył w lewo; Ben przesunął się za nim i wystrzelił, zanim drzwi się zamknęły, a winda rozpoczęła swój artretyczny zjazd.

Trafiłem go? Zabiłem?

Winda się zatrzymała. Drzwi rozchyłały się centymetr za centymetrem. Ben ukrył niezdarnie pistolet pod połą koszuli, nasłuchując zbliżających się kroków. Cisza. Odwrócił się i wybiegł z miejsca rozładunku, wyskoczył na parking. Teraz

biegł. Ból napędzał go niczym silnik. Dotarł na parking, gdzie porzucił explorera. Czarny mercedes nadal stał tam, gdzie zostawił go Jackie, blokując przejazd jakiemuś facetowi. Ben pospieszył do drzwi kierowcy.

- Na miłość boską, naucz się pan parkować - powiedział wściekły mężczyzna.

- Nauczę się - odparł Ben.

Facet wybałuszył oczy, gdy zobaczył krew i pot.

- Ej, potrzebna panu pomoc?

- Nic mi nie jest, dziękuję. - Ben wsunął się do mercedesa.

- Chwileczkę, proszę zaczekać... - Najwyraźniej rozpoznał uciekiniera. Wyciągnął komórkę z kieszeni.

Mercedes niestety nie miał automatycznej skrzyni biegów, a ręka Bena do niczego się nie nadawała. Ale żył. Nie powinien się skarżyć. Wcisnął gaz, aż mercedes skoczył do przodu. Przy każdej zmianie biegów w ramieniu pulsował tępy ból.

Ben wyjechał z parkingu. Miałeś pistolet, on tylko nóż. Mogłeś nacisnąć guzik, otworzyć drzwi, i zabić tego cholernego mordercę. Nie możesz uciekać, musisz walczyć z tymi ludźmi. Nigdy nie przestaną cię gonić.

Z żalem pomyślał o Delii, jak leżała bezwładnie na podłodze, padła w sekundę, jak jego Emily. Strzelił dwa razy do Jackiego i dwukrotnie chybił. Pielgrzym miał rację; na tej wojnie nie dawał sobie rady. Kiedy wyjeżdżał z powrotem na główną drogę przez Frisco, modlił się, aby mężczyzna na parkingu nie zapisał jego numeru rejestracyjnego, inaczej szybko usłyszy syreny ścigających go radiowozów.

Ogarnęła go złość, przyćmiła nawet ból, który odczuwał. Widok zabitej Delii dodał mu sił.

Uciekasz, a powinieneś go zabić. Powinieneś go zabić za to, co zrobił.



Jackie Lynch zadrzał. Bardziej z wściekłości niż bólu. Gdyby nie rzucił się na ścianę, zarobiłby kulkę.

Nie miał odwagi skoczyć, otworzyć na powrót drzwi windy i stanąć oko w oko z Benem. Myśl, że może zginąć od strzału z własnej broni, spowolniła go, zawahał się. To żadna ostrożność, to tchórzostwo. Głupi, mógł bez trudu wypatroszyć tego amatora jednym ruchem ostrza.

- Bezuzyteczny gówniarz - wymamrotał ze wstydem. Zawahał się, gdy Ben wmieszał się w tłum, a powinien strzelić i uciec. Okropny błąd, słaba wymówka.

Nagle musiał zapanować nad łzami. Był synem jednego z najbardziej przerażających ludzi w IRA. Przypomniawszy sobie ciemną piwnicę w Belfaście, gdzie zamykano podejrzanych o donoszenie Brytyjczykom. Nadal widział przerażenie w ich oczach, kiedy siadali na krześle przed jego ojcem. Był bratem człowieka szanowanego za zdolności skrytobójcy. A jego załatwił amator, którego nie docenił. Teraz nawet nie miał kluczyków do samochodu. Jego twarz przypominała krwawą miazgę; każdy na ulicy go zapamięta. A jak policja go znajdzie, zaczną się przesłuchania, odkryją powiązania z bratem, a dalej z klientami brata na Bliskim Wschodzie... wtedy nastąpi koniec. Nigdy nie wyjdzie z więzienia.

Dotarł do części rampy przeładunkowej sklepu, gdzie przez chwilę ukrywał się w cieniu. Nóż trzymał schowany w rękawie, gotowy, by spuścić go w dłoń. Jakiś młody człowiek wwiózł szafkę do ciężarówki, wyszedł z powrotem na rampę i znikł z wózkiem w innych drzwiach. Teraz tył ciężarówki był pusty, kierowca rozmawiał w pobliżu ze współpracownikiem trzymającym laptopa; stukał w ekran i

potrząsał głową, a potem dobrotliwie się zaśmiał.

Jackie wszedł na tył ciężarówki, przepchnął się w stronę kabiny i ukrył między lodówką a szafką. Zdjął koszulę i przycisnął ją do pociętej i poobijanej twarzy. Zostaną okropne blizny? Będzie oszpecony?

Trzydzieści sekund później drzwi ciężarówki się zasunęły, pogrążając go w ciemności. Usłyszał kroki na rampie; ochroniarze pytali o dwóch mężczyzn biegających po sklepie; kierowca odpowiedział, że stał tu cały czas i nic nie widział.

Jackie czekał, zastanawiał się, czy drzwi się otworzą, czy też ciężarówka go stąd zabierze.

Po kolejnej minucie silnik ciężarówki ożył z rykiem; wóz ruszył spod rampy.

Uciekał, przegrał z kimś takim jak Ben Forsberg. To poniżające. Gdy obijał się o sprzęty w ciemnościach, wyobrażał sobie twarz Bena patrzącego na niego z przerażeniem, umierającego powoli pod nożem, krzyczącego jak ci tchórze w piwnicy w Belfaście. Na zakrwawionej twarzy Jackiego pojawił się uśmiech.

Pokój Boba Taggarta stanowił przedziwne połączenie wystawy broni i używanych książek. Wysokie regały zajmowały całą jedną ścianę, zapchane postrzępionymi i spoiniewieranymi książkami. Kolejną ścianę zajmowała kolekcja antycznej broni wymieszanej z nowszą. Jaskrawożółte samoprzylepne kartki widniały pod kilkoma sztukami zawieszanej broni. Vocek widziała notatki poczynione ołówkiem na kolorowych kwadratach. Pismo było staranne, jak maszynowe. Na podłodze wznosiły się stosy książek, tomy na temat historii uzbrojenia i broni palnej.

- Pracuję nad książką o broni - powiedział Bob Taggart.
- Jestem przy dziewiątym szkicu według planu. Bardzo metodycznie podchodzę do pracy.

- Godne podziwu. - Pochyliła się, przyjrzała się broni. Francuski pistolet z 1878 roku. Niemiecki rewolwer z 1915. Policyjny z czasów prohibicji w Chicago.

- Gdyby ta broń umiała mówić - powiedział. - A nie tylko pluć ołowiem.

- Stracilibyśmy pracę.

Zaśmiał się. Taggart był niskim mężczyzną, mocno zbudowanym, o srebrnej szczecinie na głowie przyciętej staromodnie na jeża. Miał ciepły uśmiech. Ręce trzymał za plecami i bujał się na piętach, promiennym spojrzeniem ogarniając swoją kolekcję. Vocek szybko przyjrzała się jego palcom, kiedy wskazywał piękny antyczny karabin z Prus, nie nosił obrączki. Zastanawiała się, czy mamie spodobałby się Taggart; zastanawiała się, czy kiedykolwiek był w Houston.

- Ma pan niezłą kolekcję - pochwaliła Vocek.

- Zakupów dokonuję świadomie. Wyszukuję interesujące mnie sztuki. Jestem staranny i metodyczny.

Zastanawiała się, czy był tak samo staranny i metodyczny, gdy pracował przy sprawie Emily Forsberg. Zapropozował jej mrożoną herbatę. Usadził się w fotelu, ona na kanapie, naprzeciw niego.

- Nie wiem, jak pani pomóc - powiedział. - Główne dochodzenie przeprowadzono na Maui. Ja przesłuchiwałem ludzi tylko w Dallas, wspieraliśmy śledztwo wdrożone na Hawajach. Wszystko na temat morderstwa jest w aktach. Sprawa pozostaje otwarta.

- Ale utknęła w martwym punkcie.

- Tak.

- Jest pan najbliżej, więc z panem rozmawiam najpierw, choć na pewno skontaktujemy się ze śledczymi na Maui. Przeczytałam akta. Rzeczywiście, był pan bardzo metodyczny i staranny.

Taggart wzruszył ramionami.

- Dla Emily Forsberg to bez różnicy.

Słyszała gorycz w jego słowach.

- Chciałabym jedynie poznać pańską opinię na temat tej sprawy. Rozmowa z oficerem prowadzącym śledztwo daje znacznie więcej niż czytanie akt.

- Jednocześnie pozna pani wszystkie moje uprzedzenia i teorie. - Uśmiechnął się.

- Owszem - odparła.

- A to dlatego, że chce pani znaleźć Bena Forsberga.

- Tak. Znaleźliśmy związek między Forsbergiem a znanym płatnym zabójcą. Chcę się dowiedzieć, jak silny jest to związek i jak długo trwa.

- Sugeruje pani, że wykorzystał płatnego zabójcę, aby pozbyć się żony?

- Tak.

Taggart zmarszczył brwi.

- Wszystko możliwe.

- Co pan sądzi o Benie?

- Jako o podejrzanym czy o człowieku?

- O jednym i drugim.

- Nie rozmawiałem z nim, dopóki nie wrócił do Dallas. Nie widziałem go zaraz po śmierci żony, a wtedy można najwięcej wywnioskować z emocjonalnej reakcji podejrzanego. Miał kilka dni, aby dojść do siebie, aby poradzić sobie z szokiem. Był... Jest taki zwrot, którego używałem w pracy. Przybity, ale pełen godności.

- Rzeczywiście, zachowuje się z rezerwą - przyznała.

- Wyrachowani mordercy często tak się zachowują. Ale dowiedzieliśmy się, że on i Emily byli bardzo zakochani, bardzo szczęśliwi. Poznali się w pracy, spotykali przez dwa lata, zaręczyli się. Nic nie wskazywało na kłopoty. Żadnego znieważania, niewierności, problemów z pieniędzmi. Nie była ubezpieczona na życie. Pobrali się zaledwie tydzień wcześniej. - Wzruszył ramionami. - Poza tym... zabić ją w podróży poślubnej? Jeżeli nie chciał się z nią żenić, mógł wycofać się kilka dni wcześniej. Zazwyczaj ci, co mają wątpliwości zaraz po ślubie, godzą się z tym albo myślą o unieważnieniu małżeństwa. Ale...

- Ale?
- Nie zatrzymali się w hotelu. Wynajęli domek w Lahaini. To dość nietypowe; jeżeli chciał ją zabić, to zdecydowanie łatwiej to było zrobić w domu niż w zatłoczonym hotelu. Ale to ona załatwiła rezerwację; najwyraźniej wynajęcie domku to był jej pomysł... co zresztą potwierdziła jej matka. Ben i Emily spędzali z sobą większość czasu, to oczywiste, skoro to był ich miesiąc miodowy. Ostatniego dnia on poszedł grać w golfa z innym młodym żonkosiem, którego poznali na plaży - trzeba przyznać, dobre alibi - ale zagrał tylko dziewięć dołków, nie osiemnaście, jak wcześniej zamierzał. Jeżeli planował zabójstwo i nie chciał być w momencie, kiedy zostanie zastrzelony, to powinien grać do końca. - Odchrząknął. - Oczywiście, mógł wziąć broń, wejść na wzgórze i ją zastrzelić. Ale nie ma doświadczenia z bronią, a ekspertyza nie potwierdziła, że używał broni, nic nie wskazywało też na to, że zdobył taką podczas pobytu na Maui.
- Policja uznała, że to przypadkowa śmierć.
- Tak. Przestrzelono okna w dwóch pustych domkach oddległych o kilometr, w pobliżu lotniska podziurawiono okna w pustych samochodach. Wszystkie pociski wystrzelono z tej samej broni. Dom Forsbergów był ostatni. Ben właśnie wrócił z pola golfowego, kiedy usłyszano i zgłoszono pierwsze strzały... nie mógł być w tamtym miejscu. Pomiar czasu w zasadzie go oczyścił.
- A więc kilka przypadkowych strzałów i jeden okazał się fatalny dla Emily Forsberg.
- Taggart wzruszył ramionami.
- Jakiś głupi dzieciak napalił się trawki i strzelał na chybił trafił. Ale, cholera, ta kula trafiła ją prosto w czoło.
- Idealny strzał. - Takim mógłby popisać się Nicky Lynch.

- Albo wyjątkowo pechowy.
- I ani śladu broni ani strzelającego.
- Żadnego.
- Co z firmą Bena? Jeżeli miał powiązania z wątpliwymi interesami, a ona dowiedziała się o nich...

Taggart wzruszył ramionami.

- Wiele rządowych kontraktów jest wątpliwych... To tylko moje zdanie, ale nie znaleźliśmy żadnych podejrzanych interesów.

- Pracowała dla Hector Global.

- Tak. Była główną księgową. Miała zostać dyrektorem finansowym Sama Hectora. - Taggart splótł dłonie na bezułkowanym brzuchu. - Sam Hector wygłosił mowę pogrzebową. - Przerwał, znowu otworzył usta, jakby chciał dalej mówić, i zamknął, jakby się zastanawiał. Postukał palcami w oparcie fotela.

Vocek uniosła brwi. Taggart przemówił powoli.

- Może nie Ben był w to zamieszany, tylko Sam Hector.

- Podejrzał go pan?

- Starannie i metodycznie, pamięta pani. - Zaryzykował uśmiech. - Był w Los Angeles i potwierdziło to jego dwóch pracowników. Ale wie pani, ma własny samolot. Learjeta delta-pięć. - Znowu zamilkł i obrzucił ją zagadkowym spojrzeniem. - Ma taki zasięg, że doleci na Hawaje.

- Myśli pan, że Hector mógł polecieć na Maui, zabić Emily i wrócić? Istniałyby zapisy dotyczące lotu.

- To człowiek, który rozmieszcza najemników i sprzęt na całym świecie. Gdyby chciał polecieć na Maui niezauważony, na pewno by zdołał. - Taggart wzruszył ramionami. - Ale nie widać wyraźnego motywu, a poza tym miał alibi.

- I wracamy do punktu wyjścia.

- Proszę mi powiedzieć o tym płatnym zabójcy.

Wyciągnęła z torebki zdjęcie i podsunęła mu. Taggart wyrzekał okulary z kieszeni i przyjrzał się twarzy Nicky'ego Lyncha.

- Wygląda jak barman.

- Był wyszkolonym snajperem.

Taggart uniósł brew. Oddał jej zdjęcie Nicky'ego Lyncha.

- Snajper. To chyba wszystko wyjaśnia.

- Nie sądzi pan, że wynajęcie zabójcy przez Bena Forsberga to zgrabne rozwiązanie.

- Hm... - zamilkł i spojrzał na zegarek. - Jest około piętej. Napiłbym się bourbona. Ma pani ochotę na odrobinę?

Zaskoczyła ją nagle zmiana jego tonu. Jego czerstwa cera pobladła. Nie chciała pić, ale pomyślała, że przyjęcie propozycji może rozwiązać mu język podobnie jak bourbon.

- Tak, poproszę, tylko na jeden palec.

Wstał i przyniósł im po miarce bourbona; wręczył jej kryształową szklankę i usiadł w swoim fotelu.

- Rozmawiamy zdecydowanie prywatnie. Jeżeli powtórzy to pani komuś, zaprzeczę.

Pociągnęła łyżeczek bourbona.

- Oczywiście.

Taggart wziął długi łyk, rozkoszując się smakiem.

- Poznała już pani Sama Hectora?

Potrząsnęła głową.

Wstał i dolał sobie bourbona.

- Tego nie powtórzę. Kiedy zacząłem węszyć wokół Hectora, poczułem naciski. Zwały się jak lawina. Ze strony mojego zwierzchnika, ważniaków z Waszyngtonu. Powiedziano mi, że Sam Hector nie jest podejrzany, nie może być i nie podlega dalszej inwigilacji. Zapytałem dlaczego, bo nie lubię zależności, i pomyślałem, że ma potężne powiązania w

rządzie, że się ciska. Czy nie wygląda to tak, jakby był winny? Poszedłem do pracy w policji z dwóch powodów. Mój ojciec był gliniarzem i podziwiałem go za to jak nikogo innego. Poza tym od urodzenia nie znoszę niesprawiedliwości. Wiem, że to brzmi naiwnie, ale takiego mnie Pan Bóg stworzył. Uśmiechnęła się.

- Jestem taka sama. - Pomyślała o zabitych afgańskich dzieciach w piżamkach. Rozumiała Taggarta i on ją chyba też. Byłby o wiele lepszym partnerem w pracy niż Kidwell. - Ale żyjemy w świecie na wskroś niesprawiedliwym.

Wzruszył ramionami.

- Czuję, że Sam Hector nie wprowadza sprawiedliwości do mojego świata. Dlatego pogrzebałem trochę i odkryłem, że ten waśniak z Waszyngtonu, który mi groził, to szycha z CIA.

Odstawiła szklanke.

- Dlaczego CIA miałyby się przejmować Samem Hectorem?

- Z początku pomyślałem, że może CIA jest dużym klientem Hectora, bo on najwyraźniej pracuje dla wszystkich agencji rządowych. Ale dziwne było, że go chronią. Gdyby był zamieszany w zbrodnię, toby się od niego odcięli.

- A zamiast tego udzielili mu wsparcia.

- Tak więc ostrzegli mnie, a ja posłuchałem ostrzeżenia. Jednak zastanawiało mnie, dlaczego CIA nie chce, żebym weszły wokół Hectora. Dlaczego go ochrania?



Pojechała z Cedar Hill z powrotem do centrum Dallas, kierując się na północ Central Express, przecięła Plano w drodze na prywatne lotnisko i weszła do bezpiecznego domu. Pilot, który przywiózł ją z Austin, wypełnił lodówkę

podstawowymi produktami, więc zrobiła sobie sałatkę i kanapkę. Dopiero kiedy bourbon dotarł do żołądka, uświadomiła sobie, że jest głodna. Zadzwoił telefon.

- Vocek - przedstawiła się.

- Delia Moon nie żyje - powiedziała Pritchard. Słowa uderzyły ją niczym młot.

- Co? Jak?

- Widziano mężczyznę odpowiadającego rysopisem Benowi Forsbergowi, jak z dużą prędkością wyjeżdżał samochodem z jej dzielnicy. Inny mężczyzna w mercedesie, który go ścigał albo uciekał razem z nim, strzelił do policjanta, a ten odpowiedział ogniem. Kobieta, która oglądała budowę domu, usłyszała strzały i zadzwoniła na policję.

- Ben... zabił Delię?

- Jeszcze nie wiemy. Vocek, co się, do diabła, dzieje?

Nie podobał jej się ganiący ton w głosie Pritchard.

- To oprogramowanie, które opracowywał Adam Reynolds, dotyczące przeszukiwania finansowych baz danych... co w nim znaleziono?

- Dlaczego pytasz?

Takiej reakcji się nie spodziewała.

- Bo Delia mówiła, że to prototyp. Nie chciała mi go opisywać. Martwiła się, że go sobie przywłaszczymy.

Przez chwilę trwała cisza.

- Pracował nad sposobem zidentyfikowania i namierzenia ludzi używających fałszywych tożsamości przez łączenie informacji z wielu różnych baz danych. Przynajmniej taki wydaje się prototyp zakodowany w systemie. Lecz Reynolds nie zachował żadnych procedur czy wyników uzyskanych dzięki temu programowi... Nie jestem pewna, czy ten

program w ogóle zadziała. Nie możemy go przetestować, nie mamy dostępu do tych wszystkich baz danych.

- Falszywa tożsamość - odezwała się Vocek. - Taka, którą się wymyśla lub kradnie. - Obecne obciążenia karty kredytowej Bena teraz nabrąły dla niej sensu... szczególnie jeżeli ktoś skradł mu tożsamość. - Chcę wiedzieć, dlaczego kazałaś mi trzymać się z dala od Sama Hectora.

- To tylko współpracownik. Joanno, musimy wykazać się wynikami. On nie ma nic wspólnego z...

- Zna Bena Forsberga. Może pomóc go znaleźć.

- Nie udzieli schronienia ani pomocy uciekinierowi. To byłoby zawodowe samobójstwo.

Vocek nie potrafiła ukryć złości w głosie.

- Reprezentujesz drugą agencję rządową, która chroni Hectora w trakcie śledztwa. Dlaczego?

- Wcale go nie chronię. Chcę ci jedynie pokazać, na czym trzeba się skoncentrować, Joanno.

- Sprawdź dla mnie, czy Sam Hector jest byłym agentem CIA.

- Sprawdź...?

- Proszę.

- Nie jest. Istnieją pokaźne akta rządowe na jego temat. Jest byłym wojskowym. Nie z CIA.

- Nieważne, co jest w aktach. - Opanowała się.

- Joanno. Daj temu spokój. Po prostu poszukaj Randal-la Choate'a. Tylko to się liczy. Nie zajmuj się innymi sprawami.

- Jeżeli Hector jest byłym agentem CIA, nie sądzisz, że powinniśmy wiedzieć o tym drobnym fakcie?

- Nie wywołuj wilka z lasu - ostrzegła Pritchard. - Widzę jednak, że nie zrezygnujesz z tego, więc dobrze. Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

- Dziękuję, Margaret. - Vocek się rozłączyła. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że otworzyła puszkę Pandory. Sam Hector był potężnym i szanowanym człowiekiem, ale zbyt wiele nitek do niego prowadziło.

Vocek włączyła telewizor, znalazła dwudziestoczworogodzinny stanowy kanał informacyjny i poczekała na wiadomość o zamordowaniu Delii.

Zamordowana. Adam Reynolds dzwoniący do Kidwella o pomoc. Kidwell i strażnicy. Teraz Delia. Ciężko jej to samo poczucie bezradności, którego doznała na widok martwych afgańskich chłopców, zabitych przez tajną grupę. Dosyć, dosyć.

Przeszukała książkę telefoniczną i zadzwoniła do Hector Global, gdzie udało się jej szczebel po szczeblu dotrzeć do asystenta Sama Hectora.

- Bardzo mi przykro, pani Vocek - odparł asystent - nie ma go tu dzisiaj i wątpię, czy będzie w ten weekend. Przeżyliśmy prawdziwą tragedię...

- Wiem. Proszę mu przekazać, że byłam w hotelu, kiedy zginęli jego ludzie. Bardzo proszę, aby pan Hector do mnie oddzwonił pod ten numer. Muszę z nim porozmawiać o Benie Forsbergu. - Podziękowała asystentowi za pomoc.

Wróciła do niedokończonego obiadu, zjadła resztę, nie czując smaku. „Zostaw to. Po prostu znajdź Randalla Choate'a”. Nagle przestraszyła się, co jeszcze może znaleźć.

Pielgrzym zatrzymał skradzione volvo, teraz już z trzecim zestawem tablic rejestracyjnych, na parkingu przed kompleksem mieszkalnym we wschodnim Dallas. Na tylnym siedzeniu stały dwie torby z jedzeniem. Jedzenie i sen - tego teraz potrzebował.

Wysiadł z samochodu. Na parking podjeżdżał ostrożnie, chcąc się upewnić, czy nikt go nie śledzi lub nie czai się w samochodzie. Nikt w Piwnicy nie wiedział o tym mieszkaniu, podobnie jak o schowku z bronią i pieniędzmi. To była jego kryjówka, kapsuła ratunkowa. Większość czasu spędzał w cudownej anonimowości Nowego Jorku, a ta dziupla służyła mu za kryjówkę podczas wykonywania zleceń na południowym zachodzie, w Meksyku lub jeszcze dalej. Płacił za mieszkanie raz w roku, wysyłał gotówkę za media. Było tu dość obskurnie, toteż gospodarza przepelniało szczęście, że nie musi napraszać się o czynsz.

Pielgrzym nie zajeżdżał tu od miesięcy. Obok zrównano z ziemią wielkie osiedle, a na jego miejscu stawiano jeszcze większe centrum handlowe, tymczasem wszystko było w

stanie surowym... tylko stalowe belki i betonowe stropy.

Pielgrzym wszedł po schodach. Pod jego drzwiami siedział Ben. Trzymał pistolet między kolanami, luźno, nie celował do Pielgrzyma, który zauważył resztki plastikowych kajdanek na przegubie. Był blady, drżał z bólu, a Pielgrzym dojrzał zaschniętą krew na ręku. Pewnie mógł go unieszkodliwić trzema ruchami, rozbroić, ale chciał usłyszeć, co Ben ma do powiedzenia.

- Cześć - powiedział Pielgrzym. - To ci niespodzianka.
- Potraktuję to jako obelgę.

Pielgrzym poprawił torby w rękę.

- Jak na coś się zdecyduję, robię to - rzekł Ben.
- Nie ściągnąłeś za sobą policji.
- Przestraszyłem cię? - W jego głosie słychać było zaczepny ton.

- Pewnie. - Pielgrzym postawił torby z jedzeniem. - Jak mnie znalazłeś?

- Zostałem postrzelony w ramię. Opatrzysz mnie, a ja ci opowiem, jak cię znalazłem. Powiem ci też dokładnie, jak Adam znalazł ciebie.

- Wątpię, czy znowu mi zaufasz.
- Nie ufam ci nic a nic. Wydymałeś mnie, wydymałeś też samego siebie. - Spojrzenie Bena nabrało ostrości. - Kiedy Emily zginęła, sparaliżowało mnie... minęły dwie minuty, zanim zadzwoniłem na policję. Bo jej śmierć nie mogła być realna. Nie chciałem uwierzyć w to, co widzę.

- To się nazywa szok.
- To się nazywa moje życie. Dzisiaj widziałem, jak umiera kobieta... zupełnie niewinna. Nie mogę na to patrzeć, nie po stracie własnej żony. Nie mogę cały czas uciekać. Chcę walczyć z tymi ludźmi. Obojętnie, co to znaczy.

Pielgrzym podniósł torby.

- Chodź, doprowadzimy cię do porządku.



Pielgrzym zdezynfekował i zabandażował ramię Bena, który zgrzytał zębami.

- Ten strzał Jackiego to prawdziwy majstersztyk; chciał cię ranić.

- Nie chwał go. - Ben połknął na sucho cztery ibuprofeny. Siedział nieruchomo, a potem zaczął się trząść, gdy spadał poziom adrenaliny.

- No, Sherlocku, jak mnie znalazłeś?

- Nie daję ci to spokoju, co?

- Nie lubię mieć dziur w ochronie.

- Przez ten twój schowek czy, jak wolisz, zbrojownię. Pomyślałem, że skoro masz schowek niedaleko dużego węzła lotniczego, równie dobrze możesz mieć mieszkanie. Na wypadek gdybyś musiał się ukryć przed lotem albo gdybyś chciał zniknąć na kilka dni, nigdzie nie wyjeżdżając. Pozostawanie w pobliżu zapasów, jak je nazywasz, miało sens. Nie chciałeś, abym wiedział o twoim mieszkaniu, skoro planowałeś mnie porzucić, gdy tylko trochę się wylizesz. Wróciłem więc do biura tych magazynów. Zapytałem o wynajęcie schowka, o ceny i takie tam, a bardzo miła urzędniczka sprawdzała, co jest dostępne w systemie. Zadzwoił telefon, a kiedy odwróciła się, żeby go odebrać, zerknąłem do jej komputera i wpisałem numer twojego schowka. Pojawił się ten adres.

- Masz szczęście, że nie rozpoznali cię z telewizji.

- Włożyłem czapkę i mówiłem z ciężkim bostońskim akcentem. Nie udawałem przeziębienia i nie korzystałem nawet z chusteczki.

Pielgrzym przeszedł do wąskiej kuchni.

- Powiedz, jak Adam znalazł Piwnicę.
- Nie - odparł Ben. - Najpierw ty mi powiedz, co znalazłeś u Barkera.
- Ben, dla ciebie ignorancja to prawdziwe błogosławieństwo.
- Błąd. Jak dowiem się za dużo, nie będziesz mógł znowu mnie porzucić. A to znaczy, że będziesz musiał mnie zabić, a tego nie chcesz.

- Wczoraj zabiłem siedem osób. Dzisiaj jeszcze dwie. Z tobą byłoby parzyście. - Uśmiechnął się krzywo.

Ben wyciągnął z kieszeni mały, czarny szkicownik. Rzucił go Pielgrzymowi, który złapał notes jedną ręką i przycisnął do piersi, a potem wsunął do kieszeni.

- Dzięki. - Odwrócił się z powrotem do blatu, zaczął rozpakowywać zakupy i rozgrzewać piecyk, aby upiec mrożone pizze.

- Nie zorientowałeś się, że zgubiłeś szkice.
- Mam nadzieję, że lubisz pepperoni. - Pielgrzym sprawdził ustawienia piecyka, którym zajmował się przed dwudziestoma sekundami.

- Wypadł ci, jak biłeś się w łazience.

- Powiedziałem „dziękuję”.

- Kim jest to dziecko na rysunkach? - spytał Ben.

Pielgrzym wsunął do piekarnika dwie mrożone pizze.

- Wiem, jak to jest stracić kogoś, Pielgrzymie. Moja żona była wesoła, miała cięty język, była inteligentna, kochająca i pracowita. Szalałem na jej punkcie, w dobrym i złym znaczeniu. Od czasu jej śmierci nie byłem już sobą. Ani przez sekundę.

- Tylko nie mów mi tych bzdur, że była twoim uzupełnieniem. - Pielgrzym zatrzasnął drzwiczki piekarnika.

- Uzupełnieniem? Nie. Śmiała się z takiego gadania. Ale

zrobiła ze mnie lepszego człowieka, pod każdym względem. Od kiedy zmarła... nie mogę być znowu lepszy. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Nikt tego nie naprawi; muszę sam dojść z tym do ładu.

Pielgrzym odsunął się od piecyka. Przez chwilę myślał o dziewczęcym głosiku, gdy odebrał telefon w banku w Dżakarcie, kiedy prosiła go, aby wrócił do domu na jej urodziny.

- Mówiłeś, że wiesz, jak Adam znalazł Piwnicę.
- Powiedziałem, że najpierw ty.

Pielgrzym opowiedział mu o ataku w domu Barkera; że teraz polowali na niego jego koledzy. Opisał porywacza Teach, używając ogólników, podobnie jak De La Pena; powiedział, że Teach jest trzymana w domu, ale nie wie, gdzie jest ten dom; że Barker po raz ostatni dzwonił do hotelu w Nowym Orleanie.

- Spędziłem popołudnie, próbując wytropić, skąd przyjechał De La Pena i Green. Nie mieli GPS-u w samochodzie, nie mogłem sprawdzić. Samochód wynajęli na nazwisko Greena, zapłaciła Sparta...

- Wasza oficjalna fasada.
- Tak. Czyli zapłacono z funduszy Piwnicy. Nic nie osiągnąłem. Czy opis człowieka, który wydaje Teach polecenia, brzmi znajomo?
- Jak dziesiątki innych facetów, którzy mogą pracować w tej branży - odparł Ben. Według opisu trochę przypominał Sama Hectora, ale wysportowany, starszy mężczyzna to praktycznie opis każdego ekswojskowego.

Pielgrzym wzruszył ramionami.

- De La Pena zdecydowanie nie chciał zdradzić tego faceta, co według mnie oznacza, że miał ważny powód. Liczył na nagrodę albo mu grożono. Nie jestem pewien, czy powiedział prawdę. A ty czego się dowiedziałeś?

Ben opowiedział mu, jak uciekł z hotelu, skradł explore-ra, dojechał do domu Delii; opowiedział o desperackiej ucieczce przez centrum handlowe we Frisco i z niego. Pielgrzym słuchał, opierając brodę na złączonych palcach.

- Ciesz się, że żyjesz. - Wstał, wyciągnął z piekarnika upieczone pizze z pepperoni, położył je na talerzach i pokroił. - Biorąc pod uwagę, że popełniłeś z tuzin głupich błędów.

- Zmarnowałem szansę, aby go zabić.

- Nie dałeś mi równej szansy, aby zabił ciebie. Czasami najmądrzejszym ruchem w walce jest odwrót. - Na jego twarzy pojawił się żal, odwrócił się od Bena. - Żyjesz, aby podjąć walkę jutro, a wygląda na to, że on wyszedł z tego w znacznie gorszym stanie od ciebie.

- Co dalej?

- Nie ma żadnego dalej. Ben, oddaj sobie przysługę. Zgłoś się na policję. Wiem, że uważasz mnie za drania, ale zostawiłem cię w hotelu dla twojego dobra.

- Nie. - Wstał i przygotował im drinki, zabrał swój talerz z pizzą. Bolało go ramię, ale mdłości już minęły, a teraz w żołądku zaczęło mu burczeć z głodu. - Koniec dyskusji.

Pielgrzym zaczął łapczywie pochłaniać jedzenie.

- Świetnie. Wobec tego trzymamy się razem. - Po tym prostym oświadczeniu Ben wiedział, że Pielgrzym nie wycofa się z danego słowa.

- Barker dzwonił do Nowego Orleanu - rzekł Ben. - Delia Moon wspominała o Nowym Orleanie, powiedziała, że teraz Adam nawet nie chciał zbliżyć się do tego miasta. Mówił Kidwellowi, kiedy do niego dzwonił, że tam znajduje się źródło zagrożenia. Te dwa fakty należy połączyć.

- W Nowym Orleanie jest sporo rządowych firm kontraktowych. Dużo tłustych kasków.

- Tak - przyznał Ben. - Setki firm powiązanych z FE-MA. Z kontraktami na odbudowę i niesienie pomocy. Przez chwilę było tam sporo prywatnych agencji ochroniarskich, które miały utrzymywać porządek w mieście zaraz po przejściu huraganu, ale teraz już ich jest mniej; teraz są głównie związane z prywatnym biznesem.

- Mamy trzech pracowników kontraktowych powiązanych z tą sprawą... Adama, Hectora i ciebie. To nie jest zbieg okoliczności. Mówiłeś, że Delia dzwoniła do Sama Hectora. I wtedy zjawił się morderca pod jej drzwiami.

- Nadal nie mamy związku między Samem a Jackiem. Dzisiaj stawia swoją firmę ponad naszą przyjaźń, ale nie mogę uwierzyć, że jest zamieszany w morderstwo.

- Nie możesz czy nie chcesz? Sam Hector to twój słaby punkt, Ben.

- Spójrzmy na to pod innym kątem. To oprogramowanie Adama. Śledzić nielegalne działania przy wykorzystaniu różnych baz danych. Prawdopodobnie potrzebował funduszy, żeby zapisać potężny kod albo zlecić komuś część pracy. Rząd bardzo chciałby mieć coś takiego.

- Zgadza się.

- Powiedzmy, że Adam z założenia nie pracował dla rządu, ale dla złych facetów, którzy chcieli odnaleźć i zniszczyć Piwnicę. Ale skoro chcesz zabić grupę ludzi... szczególnie zdolnych agentów, takich, jakich ma Piwnica... to nie pozwalasz im swobodnie się przemieszczać. Zabijasz ich, zanim oni zabiją ciebie. - Zamilkł i czekał, aż słowa przebrzmiały. - Więc jeżeli ci źli faceci znaleźli Greena i De La Penę, czemu po prostu ich nie zabili? Jaki sens ma szukanie Piwnicy i niezniszczenie jej?

- W grę wchodzi ujawnienie - powiedział Pielgrzym.

- Myśl w kategoriach biznesowych. Przejęcie. Zmuszasz ich do wykonywania rozkazów.

Pielgrzym wstał, zaciskając pięści.

- I tak zamierzam wykończyć tych ludzi.
- Co wiesz o Biurze Inicjatyw Strategicznych, dla którego pracuje Vocek i Kidwell?
- Nic.
- Czy to biuro mogłoby po prostu próbować przejąć Piwnicę? - Ben skrzyżował ręce na piersi. - Pamiętasz przed kilku laty, kiedy Departamentowi Obrony nie podobały się informacje uzyskiwane od CIA, wtedy zaczął tworzyć własną agencję wywiadowczą. Piwnica byłaby wstępną wersją CIA.
- I chcę pozabijać własnych ludzi, takich jak Kidwell, i strażników Hectora?
- Zamierzają wynająć braci Lynch.
- Niebezpiecznie jest nas ścigać.
- Może masz wroga gdzieś wysoko -- zasugerował Ben.

Pielgrzym wstał.

- Zobaczmy, co znajdziemy w mercedesie Jackiego.

Mercedes stał zaparkowany przecnicę dalej, na innym parkingu. Wgniecione drzwi i odrapane boki stwarzały wrażenie, że należy do kogoś z tej dzielnicy, inaczej by tu nie pasował.

Podjechali mercedesem pod blok Pielgrzyma, zaparkowali w świetle latarni. Ben otworzył schowek na rękawiczki, zaczął przeszukiwać wepchnięte tam papiery. Mapę Teksasu, plan Dallas, dowód rejestracyjny i ubezpieczenie.

- Właścicielem samochodu jest McKeen Property Company - powiedział Ben.
- McKeen. To ta sama firma, do której należało biuro wynajęte przez Departament Bezpieczeństwa Krajowego w Austin.

Przetrzęsnęli resztę samochodu, ale nic innego nie znaleźli, więc wrócili do mieszkania.

- Musimy się dowiedzieć, kto jest właścicielem Mckeen
- rzekł Ben. - A jak się nie uda, to pójdziemy do Sama Hectora. On zapewniał personel Kidwellowi. I nie chciał nic mówić o Biurze Inicjatyw Strategicznych.

- Ben, rozumiem, że to twój przyjaciel, ale jego nazwisko pojawia się zbyt często. Nic o nim nie wiem...

- Zachęcał mnie, abym się z nim zobaczył. Mówił, że załatwi mi dobrego prawnika. Najlepszego, jakiego można dostać za pieniądze. Ale zdecydowanie nie chciał mówić, kto kryje się za Biurem Inicjatyw.

- A ty mu ufasz?

- Nie wiem. Nie jestem pewien. Prawdziwy przyjaciel powiedziałby mi wszystko, co chciałbym wiedzieć. Może nigdy nie poznamy ludzi tak dobrze, jak sądzimy.

Pielgrzym skończył swoją pizzę, wytarł usta papierową chusteczką.

- A teraz jesteś ze mną. Zamiast ze swoim starym przyjacielem.

- Bo potrzebujesz pomocy. Sam nie powstrzymasz tych ludzi. Robię tylko to, co trzeba. Tak samo jak ty.

- Może i trzeba, ale nie jest to słuszne.

- Ci ludzie, których zabiłeś, są źli czy nie?

- Nie będę ci opowiadał historii wojennych.

- Oszczędź mi co krwawszych fragmentów.

Pielgrzym siedział przy stole, pił wodę z butelki.

- Zabiłem trzy osoby finansujące terroryzm w Pakistanie. Jedna była urzędnikiem rządu pakistańskiego. Dlatego nasz rząd nie mógł się do tego przyznać. Dwa razy zabiłem tych, którzy sprzedawali tajemnice Chińczykom. - Znowu popił wodę. - Załatwiłem brytyjskiego handlarza bronią w Kolumbii, który próbował doprowadzić do układu między angielskimi ekstremistami a kręgami narkotykowymi w

Cali, aby Kolumbijczycy zabili brytyjskich sędziów. Facet miał być sam; była z nim dziewczyna. Ją też musiałem zabić. Pojedynczy strzał w serce. Zaczęła krzyczeć i nigdy nie skończyła. - Zaciśnął usta.

- Wiedziała, że on należy do ekstremistów?
- Zdaje się, że tak. Jej brat był szefem gangu.
- Więc sama dobierała sobie towarzystwo.
- Ale powiedziałem „zdaje się”. Może była czysta, tylko przyjechała na wakacje do Ameryki Południowej. Może nie wiedziała, że jej brat i chłopak to najwięksi durnie na świecie.

- Przypuszczalnie wiedziała. Ludzie muszą brać odpowiedzialność za własne wybory i czyny.

- To jestem potępiony. - Spojrzał na Bena. - Nigdy do tego nie przywykniesz. Nigdy.

- Ale walczysz po dobrej stronie.
- Czyli pochwalasz to, co robię.
- Rozumiem potrzebę takich działań - sprecyzował Ben.
- Ale znasz też cenę? - Pielgrzym milczał przez kilka sekund. - Raz popełniłem wielki błąd. Próbowałem zniszczyć komórkę terrorystyczną w Indonezji. Przed laty. Zawiodłem. Straciłem... wszystko.

Po raz pierwszy Ben zobaczył, że Pielgrzymowi drżą ręce.

- Chyba nie chcesz o tym mówić - rzekł.

Agent nie odpowiadał; Ben słyszał tylko ruch na ulicy, cichy szum kół na asfalcie.

- Ben, nie potrzebuję przyjaciela. Potrzebuję tylko twojej pomocy, aby powstrzymać tych ludzi.

- W porządku.

- Zastanawiam się... nie widzimy tego, co oczywiste. Adam poluje na terrorystów, a snajper, który go zabija, ma powiązania z terrorystami. A jeżeli Adam zginął, bo terroryści

dowiedzieli się, co robi? Może obserwowali go, zobaczyli mnie i dowiedzieli się, kim Teach i ja jesteśmy. Może w tym całym bałaganie chodzi bardziej o Adama niż o ciebie i mnie. Ben milczał.

- Terroryci działający na amerykańskiej ziemi, z poważnym wsparciem, namierzający ludzi, którzy mogli ich ujawnić. Ta walka mogła być o wiele ważniejsza niż odzyskanie Teach, uratowanie Piwnicy lub oczyszczenie imienia. Rozumiesz?

Ben pokiwał głową.

- Może on naprawdę znalazł tu terrorystów, a Arabowie w Austin byli częścią grupy...

Pielgrzym wstał.

- Musimy dowiedzieć się, kto stoi za firmą McKeen.

- Czekaj. Mówiłeś, że wszystko straciłeś. Straciłeś to dziecko z rysunków?

Pielgrzym poruszył nogami na brudnym dywanie.

- Ben, nie.

- To twoja córka?

- Proszę. Czy ja wyglądam na ojca rodziny?

- Nie teraz. Może zanim stałeś się tym, kim jesteś.

- Ben, daj spokój. Przecież ja nie pytam cię o żonę. - Wziął głęboki oddech. - W porządku, panie konsultancie, czego chcesz się dowiedzieć o firmie McKeen?

- Potrzebny mi laptop z dostępem do Internetu.

Pielgrzym wyciągnął z kieszeni czerwone zapalki i rzucił je na stół. Ben je podniósł. Blarney's Steakhouse.

- Bardzo popularny wśród przyjezdnych zabójców - wyjaśnił Pielgrzym. - Patrz tu. - Wskazał wers pod numerem telefonu. - Bezpłatne WI-FI dwadzieścia cztery przez siedem.

- Do restauracji pełnej ludzi? Absolutnie nie. Moja twarz ciągle jest pokazywana w telewizji - powiedział Ben.
- Nie ta twarz, którą ci dam.



Ben ledwo się rozpoznał. Miał fałszywą koronkę na zębach, wskutek czego wyglądały na większe; nieco przyciemniane okulary z kuferka Pielgrzyma zamieniały jego błękitne oczy na brązowe. Blond włosy zasłoniła baseballówka.

Blarney's Steakhouse - najprawdziwsza restauracja z regionalnej sieci - znajdował się przy głównej arterii komunikacyjnej Frisco. Za gigantyczną koniczyną stał szklany budynek, gdzie znowu powtórzono motyw koniczyny, tym razem mniejszej. Ta sieć restauracji rozpoczęła powolną ekspansję na południe Stanów.

Blarney's oferował wszystko co dobre w Irlandii, i to po niskich cenach. W głośnikach świergotał kiepsko odtwarzany irlandzki folk o przytłumionym wokalu, żeby stałym klientom nie przeszkadzały liryczne słowa. Daniom nadano nazwy takie jak: kurczak po dublińsku, jagnięce kotlety Leprechaun oraz kwitnący kwiat Irlandii - wielka przystawka ze smażonej cebuli. Ściany przyozdobiono podrabianymi trofeami sportowymi, stronicami z Joyce'a i Yeatsa osadzonymi w ramach, reprodukcjami napisów ulicznych z miast w całej Irlandii.

Wielki bar (stylizowany na wnętrze irlandzkiego zamku) obok głównej sali restauracyjnej pełen był ludzi oglądających koszykówkę, zespół Dallas Mavericks nadrabiał straty, a zwycięstwo mieli na wyciągnięcie ręki.

Ben wziął laptop Pielgrzyma i usiadł przy narożnym stoliku. Znalazłszy się w miejscu publicznym, był niezwykle zdenerwowany, ale Pielgrzym powiedział:

- Ukryj się gdzieś na widoku, zdziwisz się, jak mało ludzi zauważy, że coś się dzieje wokół nich.

Większość stałych bywalców baru koncentrowała się całkowicie na własnych rozmowach albo na koszykówce. Mieli do wyboru *Aмерыkańskiego idola* albo obstawianie wyniku meczu.

Pielgrzym zamówił martini z drogą wódką i dwie potężne przystawki, aby uszczęśliwić kelnerkę i żeby jej nie przeszkadzało, że posiedzą tu chwilę.

Ben rozpoczął poszukiwania. Na stronie McKeen znaleźli jedynie banner z przeprosinami za techniczne trudności; strona była nieczynna. Dziwne. Ale może w McKeen wstydzi się kontaktów z mediami po strzelaninie na ich terenie w Austin. Ben wszedł na kilka adresów wywiadu gospodarczego, gdzie nadal utrzymywał subskrypcję. Wpisanie hasła było niebezpieczne, gdyby ludzie znający jego nawyki polowali na niego, ale musiał zaryzykować.

McKeen było w prywatnych rękach, więc znalazł jedynie domysły analityków, żadnych konkretnych danych finansowych.

Zjawiły się martini i casey quesadillas z dipem z karczocha Armagh. Ben napił się martini. Pielgrzym jadł i w milczeniu obserwował, jak przez ekran przewijają się dane.

Ben czytał i klikał na długą kolumnę raportów analityków, wiadomości i forów dyskusyjnych na temat McKeen. McKeen rozpoczęła jako firma budowlana, dziesięć lat temu postanowiła inwestować na rynku handlu detalicznego i lokali biurowych, głównie na południu. Zaczęła specjalizować się w budowach dla rządu, w remontowaniu nieruchomości w Afganistanie po klęsce Talibów.

- Więcej przedsięwzięć budowlanych - zauważył Pielgrzym.

Rozwój trwał; McKeen dostała duży kontrakt budowlany w Tikricie, ale musiała zrezygnować ze względu na powstanie; wykupiła kilka miejscowych firm budowlanych w Teksasie i Nowej Anglii; kupiła Blarney's Steakhouse.

- Jejkę. McKeen ma Blarney's - powiedział Ben.
- Rozejrzę się po siedzibie korporacji na tyłach restauracji - oznajmił Pielgrzym.
- Nie rób nic głupiego.
- Siedź tu i wymądrzaj się - odparł Pielgrzym. Wstał i wyszedł.

Ben czytał dalej: McKeen została wykupiona przez grupę prywatnego kapitału, MLS Limited, dwa lata temu, piętnastego czerwca. Dwa miesiące po śmierci Emily.

Mój Boże, jakże życie byłoby inne, gdyby ona nie zginęła. Mieliby dziecko. Może siedzieliby w domu na kanapie i oglądali ten sam mecz. Ona byłaby pełna energii, miłości i życia, które tak zdefiniowało jej osobowość, a on nie siedziałby w barze w przebraniu, zastanawiając się, kto chce go zabić.

Znowu zaczął stukać w klawiaturę, czytał i przekopywał się przez raporty lub polował na informacje na temat MLS Limited. Należała ona do innej firmy o trzech inicjałach, z siedzibą na Bermudach. Ta firma natomiast była filią innej, ukrytej, na której temat Ben nie potrafił nic znaleźć. Trafił na mur. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Ktoś się ukrywał za tą całą plątaniną nazw bez znaczenia.

Nie uda mu się rozszyfrować, kto stoi za McKeen, nie za pomocą tego, co dostępne w Internecie. Był tak sfrustrowany, że aż zrobiło mu się niedobrze. Wypił martini, zjadł oliwkę. Zjadł połowę gumiastej quesadilli i skubał dip z karczocha w kolorze koniczyny.

Przyszedł mu do głowy inny pomysł. Znalazł forum dyskusyjne poświęcone firmom ochroniarskim. Pogrzebał w

nim, chciał sprawdzić, czy znajdzie kogoś, kto zawarł kontrakty z Biurem Inicjatyw Strategicznych. Przeglądał poszczególne wątki dyskusyjne. Jeden z nich nazywał się *Zaginiony pracownik kontraktowy*. Kliknął na tekst.

Chodziło o niego. Kilku pracowników w mniejszych firmach próbowało go bronić, ale wielu innych mieszało go z błotem. Ben Forsberg nie był już uznawany za ofiarę porwania; według wiadomości został rozpoznany przez sprzątaczkę i kierownika motelu przy autostradzie, został zidentyfikowany przez sprzedawczynię w domu towarowym. Rzucił okiem na tekst:

Zginęło dwóch pracowników kontraktowych, a ten skurwiel uciekł - niech się modli, żeby gliny go znalazły przed nami... Musiał ustawić jakiś trefny interes... Pewnie oszukał tego zabitego i potem go zamordował... Złośliwości i domysły ciągnęły się dalej. Każdy rozmówca używał fałszywego imienia, więc Ben nie wiedział, kto szarga mu reputację, ale byli w przewadze. Jego nieliczni obrońcy zostali zakrzyczani przez sprawiedliwych. Miał na tym forum konto i chciał przesłać odpowiedź: „Idioci, nie macie pojęcia, o czym mówicie”. Ta branża opierała się w dużej mierze na lojalności, ale jemu okazywano jej niewiele. Przeszedł do wyszukiwarki na stronie i wpisał „Biuro Inicjatyw Strategicznych”.

Brak rezultatów. Jeżeli ktoś zawarł umowę z grupą Kidwella, to nie została ona nagłośniona ani omówiona.

Mecz koszykówki zbliżał się do końca, a Pielgrzym jeszcze nie wrócił. Ben patrzył, jak Mavericks wygrywają, potem na ekranie pojawił się mecz z Zachodniego Wybrzeża. Wypił martini Pielgrzyma. Rana od kuli pulsowała, a w głowie zaczęło mu szumieć. Picie to zły pomysł. Niewiele posuwali się do przodu, a schlanie się nie było wyjściem.

Wreszcie do baru wszedł Pielgrzym, twarz miał bladą jak ściana. Usiadł naprzeciwko Bena, zauważył dwa puste

kieliszki po martini po stronie Bena, dał znak kelnerce, prosząc o następną kolejkę. Zgrzytał zębami z tłumionej wściekłości.

- Co? - zapytał Ben. - Co się stało?

Pielgrzym nic nie mówił, dopóki kelnerka nie przyniosła dwóch martini. Patrzył, jak odchodzi, potem wypił jedną i przeżuł oliwki.

- Włamałem się do biur.

- Jak?

- Jezus, Ben, to nieważne. Mam sposoby. Chciałem dostać się do komputera dyrektora generalnego, żeby sprawdzić, czy są tam jakieś dane na temat McKeen. Ale o wiele ciekawszy był ten obrazek na ścianie w gabinecie. - Pielgrzym wyciągnął z kieszeni wycinek z gazety. Wyglądał, jakby wycięto go z ramki. Artykuł o uruchomieniu Blarney's. Podpis pod zdjęciem z przecięcia wstęgi wymieniał po kolei nazwiska: właściciela, dwóch inwestorów, burmistrza Frisco.

- To jest Sam Hector? Twój wspaniały przyjaciel? - Pielgrzym postukał w postać stojącą z boku, lekko uśmiechniętą, o czujnych oczach. Palec mu drżał, kiedy wskazywał twarz mężczyzny.

- Tak, to Sam. Nie wiedziałem, że był pierwotnym inwestorem w Blarney's.

- Jest cholernie dużo rzeczy, których nie wiesz o swoim przyjacielu. Przynajmniej dla mnie on nie nazywa się Sam Hector.

- Co?

- Ten człowiek zniszczył moje życie dziesięć lat temu - powiedział Pielgrzym.

Indonezja, dziesięć lat wcześniej

Polowanie na zabójców Smoka zawiodło Choate'a na śli-
skie od deszczu ulice, w cuchnące śmieciami zaułki, do za-
dymionych restauracji, do zapiaszczonego hangaru na lot-
nisku. Informacje zdobywał, grożąc ludziom bronią lub
wciskając im pieniądze w ubrudzone dłonie. To, czego do-
wiedział się w banku, było praktycznie bezużyteczne; te
pseudonimy i konta znikły. Ale znalazł ludzi należących do
krewnych i przyjaciół zamordowanych informatorów Smo-
ka; dzięki nim miał nadzieję odnaleźć trop. Trzymał się na
uboczu. W CIA i wywiadzie indonezyjskim wiedziano, że
nie postawił nogi na pokładzie samolotu lecącego do Wirgi-
nii. Szukali go jego współpracownicy.

Trzy dni ostrożnej i nieustannej wędrówki zawiodły go aż
tu. Stał w zaciemnionym korytarzu na piętrze, z pistoletem
w dłoni. Czekał, by zabić. Gumalar zjawi się w tym domu za
kilka minut. Wtedy rachunki zostaną wyrównane, a jego
rodzina będzie bezpieczna.

Ten dom to wielka rezydencja na bogatych przedmie-
ściach Dżakarty, Pondok Indah. Z zewnątrz, z oddali, do-
chodził szum samochodów podobny do brzęczenia owadów.

Powiew wiatru niósł woń jaśminu. Na piętrze poniżej Choate słyszał, jak przywódca terrorystów skarży się baronowi narkotykowemu.

- Nierozważny sukinsyn, zawsze się spóźnia.

Tak, panie Gumalar, proszę się pospieszyć, pomyślał Choate. Dzisiaj Gumalar miał dostarczyć wyprane dwa miliony komórce Krew Ognia, której celem było osłabienie rządu indonezyjskiego. Dom należał do barona narkotykowego, którego żywo interesowało obalenie rządu i który zapewniał neutralne, bezpieczne schronienie dwóm przyjaciołom, by mogli w spokoju realizować swoje plany.

Mężczyźni rozmawiali jak para starych bab, plotkowali o telewizji i wspólnych przyjaciółach, jakby ich praca nie polegała na niszczeniu ludzkiego życia.

Choate spojrzął na zegarek. Gumalar się spóźnił. Doszło do zmiany planów, poinformował Choate'a szeptem w rozmowie telefonicznej jeden z nowych współpracowników. Spotkanie przeniesiono tutaj z centrum Bandungu oddalonego o sto pięćdziesiąt kilometrów. Choate popędził do Dżakarty wściekły, że dostał błędną informację - ale tutaj przywódca terrorystów i baron narkotykowy czekali. Zastanawiał się, czy ci ludzie po prostu z ostrożności zmieniali plany, czy raczej podejrzewali, że na nich poluje od czasu ucieczki z więzienia.

Ponieważ ktoś - może nawet ktoś z CIA - wystawił jego i Smoka Gumalarowi. Ktoś mógł także powiedzieć, że nie opuścił kraju.

Choate zerknął na zegarek i modlił się, aby Gumalar stał się na spotkanie. Tamara miała urodziny za trzy dni i gdyby zabił Gumalara dzisiaj i wrócił do Agencji, zdążyłby jeszcze przybrać dom, a także pomóc Tamarze upiec tort. Wiedział, że jeżeli wykona to niemożliwe zadanie tak, aby ani on, ani CIA nie zostali obwinieni, będzie mu wybaczone ucieczka ze szpitala i powrót do akcji.

Na dole otworzyły się drzwi. Wstrzymał oddech. Usłyszał chóralne powitanie, baron narkotykowy powiedział po indonezyjsku:

- Cześć. W porządku, skoro musieliście go przywieźć.

Słychać było, że jest trochę zdziwiony. Mężczyźni cicho rozmawiali. Gumalar coś pomrukiwał w odpowiedzi. Wtedy odezwał się baron narkotykowy:

- Tak, na górze i po prawej.

Ktoś dostał wskazówki, jak trafić do łazienki.

Idealnie, pomyślał Choate, jeżeli to jest goryl Gumalara, mógłby go wyeliminować od razu, rzucić się na dół, zabić drugiego goryla i barona narkotykowego. Gumalar był po czterdziestce i nie znał sztuk walki. Główne zagrożenie stanowili ochroniarze i gdyby wyeliminował ich osobno, robota poszłaby gładko.

Może nawet będzie mógł złapać wcześniejszy lot do Stanów.

Usłyszał ciche kroki na marmurowych stopniach. Zbliżały się.

Choate spokojnie wycelował broń. Jeden strzał w gardło. Był trzy metry od schodów i kiedy ten ktoś wejdzie na piętro, Choate poczeka, aż się odwróci, i jego oczy przywykną do ciemności rozświetlonej jedynie delikatną poświatą lampy z dołu.

Czekał.

Na piętro weszło dziecko.

Choate zamarł. Chłopiec miał może dziesięć lat, był szczupły, ubrany w dżinsy i T-shirt, a do tego trampki. Zerknął w róg, gdzie stał Choate, i też znieruchomiał.

Choate nie opuścił pistoletu, palec spoczywał na spuście; lufa mierzyła w gardło chłopca. Chłopiec wbił wzrok w twarz mężczyzny, jakby patrzenie w lufę było zbyt okropne.

Decyzja. Zabić chłopca, aby móc potem zabić wszystkich innych w domu.

Choate zamarł. Nie potrafił strzelić. Nie chciał.

Chłopiec krzyknął.

Choate wbiegł do sypialni i wyszedł przez otwarte okno. Skoczył na dach. Zbiegł po ostrym skosie, chwycił się krawędzi, opóźnił upadek, zeskoczył. Wylądował na dachu parteru, zeskoczył z niego na metalowy stół w patiu przy basenie.

Zeskoczył na ziemię, wyciągając oba pistolety. Zobaczył uzbrojonego mężczyznę - goryla Gumalara, tego, który go torturował - wychodzącego zza narożnika. Ochroniarz strzelił i Choate odpowiedział ogniem. Mężczyzna upadł z zakrwawioną piersią.

Choate odwrócił się i zobaczył czterech ludzi stojących w oknie: barona narkotykowego, przywódcę terrorystów, Gumalara... i Smoka.

Żywego, w okularach w czarnych oprawkach; ogoloną głowę zakrywała ciemna peruka. Nadal miał obie ręce. W jednej z nich szybko pojawił się glock wycelowany w Choate'a.

- Sukinsyn! - krzyknął Choate i opróżnił magazynek, roztrzaskując okno; baron narkotykowy i przywódca terrorystów dostali w gardło, Gumalar przewrócił się, chwytając za brzuch. Smok zanurkował za ciężkie biurko, a krew tryskająca na tapetę potwierdziła celność strzału.

Choate pobiegł. Przedzierał się przez bambusowy zagajnik na granicy posiadłości, aż wypadł na ulicę. Wyminął pędzące bmw i skierował się na północ. Domy przy ulicy były duże i dobrze oświetlone; nie miał gdzie się ukryć. Przecnicę dalej zostawił motocykl w cieniu podjazdu niezamieszkanego domu, który wystawiono na sprzedaż.

Popędził na tamto podwórko. Motocykl nie chciał zapalić.

Usłyszał nadciągające syreny policyjne. Pobiegł do następnego domu; starsze, ale dobrze utrzymane audi stało na podjeździe. Wybił okno od strony kierowcy, otworzył drzwi,

wyrwał kable i odpalił wóz na krótko. Na pełnym gazie wypadł samochodem na ulicę w momencie, kiedy pojawiły się trzy policyjne wozy patrolowe. Wcisnął gaz do podłogi, ostro skręcił w prawo, przywołując w pamięci plan centrum Dżakarty. Mogę ich zgubić, jak dotrę do Mentang, do bezpiecznego domu, pomyślał.

Ścigali go przez kilometr, miał dosyć czasu na zastanawianie. W pewnej chwili kolejny wóz policyjny wyskoczył tuż przed nim; Choate skręcił gwałtownie, by go wyminąć, i wjechał w wystawę. Mocno uderzył w kierownicę i tylko pomyślał, że nie zdąży na urodziny córeczki.

Kiedy się obudził, leżał w więziennym szpitalu w Dżakarcie. W CIA powiedzieli, że go nie znają.

- Chcesz powiedzieć, że mój najlepszy przyjaciel jest twoim największym wrogiem. - Ben wjechał mercedesem na parking przed domem. Pielgrzym oparł się o okno po stronie pasażera. Właśnie skończył opowiadać Benowi historię z Indonezji.

- Ben, on jest chyba i twoim największym wrogiem.

- Sam Hector i Smok nie mogą być tą samą osobą. - Ben zaparkował samochód, wyłączył silnik. - Sam nie jest Brytyjczykiem i nigdy nie był łysy. Nigdy nie pracował dla CIA. Wiem to.

- Akcent i włosy można zmienić. Znałeś go przed dziesięciu laty?

Ben milczał. Weszli do mieszkania.

- Poznałeś kiedyś jego kolegów ze studiów? Ludzi, z którymi pracował, zanim założył własną firmę?

- Nie. Pracował poza Stanami dla wojska. Był łącznikiem wojskowym ze sprzymierzonymi armiami. - Ben mamrotał te słowa, jakby je czytał na głos z resume, które znał na pamięć. Sam, który zabrał go na ryby na Florydę dla uczczenia dużego kontraktu. Sam, który przedstawił go

Emily, a po dwóch latach wznosił toast na ich ślubie. Sam, który łamiącym się głosem oddawał hołd Emily podczas pogrzebu. Sam zabójcą? Nie.

- Ach. Wobec tego była to jego przykrywka. Jako oficer łącznikowy mógł swobodnie się poruszać. Zabijać, gdzie tylko był potrzebny. - Pielgrzym odwrócił się do niego. - Dlatego nie zaproponował mi pracy jak reszcie z Piwnicy. Wiedział, że go rozpoznam. Chciał, by ludzie myśleli, że Smok nie żyje. Miałem słyszeć jego egzekucję w sąsiednim pokoju. Zrezygnował ze swojej przykrywki w CIA, żeby założyć własną firmę. Może z pomocą CIA, może samodzielnie.

- O Chryste. - Ben poczuł ucisk w żołądku. Zaszło mu w ustach. - Pierwszy kontrakt Hector Global był w Indonezji. Zlecony przez Departament Spraw Zagranicznych, konsultacje dla służb bezpieczeństwa. Ponieważ doszło do próby zabójstwa rodziny prominenta rządowego...

- Jezu Chryste, Ben. On grał na dwie strony. Jako Smok zaaranżował atak na Gumalara, czego domagała się CIA. Musiał zapewne zabić własnych informatorów, wsadzić ich ręce do tego worka... skoro miał zniknąć jako Smok, nie chciał, żeby jacyś miejscowi go zidentyfikowali. Pacholki z indonezyjskiego wywiadu zjawiły się tam, bo powiedział im, że ja będę działał na ich terenie. Potem zmienił strony; powiedział Indonezyjczykom, że może kazać wycofać się CIA, jeżeli załatwi mu kontrakt na ochronę. Zbudował swoją firmę na krwi niewinnych ludzi... Czerpie zyski z rujnowania idealnej operacji CIA. Aranżuje wszystko tak, żeby wyglądało na to, że został zdemaskowany i nawet jego kumple w CIA dają się na to nabrać. Zostają z nim. Może im zapłacił. Czerpie zyski z ochrony tych, którzy finansowali terrorystów. - Pielgrzym potrząsnął głową. - Zniszczył mi życie...

Ben wyciągnął rękę i dotknął ramienia Pielgrzyma, który wzdrzgnął się i przycisnął pięść do ust.

- Mówiłem im, że Smok żyje; powiedzieli, że go zabiłem. Kryli go i sprzedali mnie. Jezu. - Osunął się na podłogę, obejmując głowę rękami. - Zabiję go.

- Nic dziwnego, że przez te wszystkie lata nie chciałeś mieć partnera - rzekł Ben. - Co powiedzieli twojej rodzinie?

- Sprawdziłem wiadomości później... Podsunęli mi historię, że szmuglowałem narkotyki na boku. Na pewno powiedzieli, że zginąłem podczas ucieczki z więzienia, którą zorganizowała Teach.

- Przykro mi. - Przypomniawszy sobie rysunki dziewczynki, wyobraził sobie przemianę szkraba w nastolatkę. - Więc usuwa cię i wykorzystuje moje nazwisko. To znaczy... - Zamilkł.

- Dokończ, Ben. To znaczy, że bracia Lynch pracowali dla niego. To znaczy, że zabójcy też siedzieli w kieszeni Hectora, a on ich posłał do biura Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, żeby wszystkich załatwili. W tym jego ludzi. Zupełnie tak samo jak w Indonezji.

Ben poczuł dudnienie w skroniach.

- Rozumiesz, że to zupełnie nie pasuje do tego Sama, którego zawsze znałem. Dla niego przede wszystkim liczy się lojalność i kraj. To on nie dał mi się załamać po śmierci Emily... był przy mnie...

- Rozumiesz, że przez wiele lat prowadził podwójne życie. Oszukiwał cię, tak samo jak innych, a przychodziło mu to łatwo. Wrobił nas podwójnie. To nie jest zbieg okoliczności, że Barker nadał mi twoją tożsamość. Hector wie, że zagrażam przejęciu przez nich Piwnicy. Ty, w pewnym stopniu, też stanowisz dla niego zagrożenie.

- Nie.

- Te daty, które mi pokazałeś. Mówiłeś, że Emily zginęła przed dwoma laty. W tym samym czasie McKeen zostało wykupione przez tajemniczą firmę. Emily była księgową. Może znalazła pieniądze, których nie powinna znaleźć.

- Teraz posuwasz się za daleko. Sam podziwiał Emily. - Przypomniał sobie, jak śmiała się, rozmawiając z Samem przez telefon chwilę przedtem, nim kula zakończyła jej życie.

- Zrozum to. Tak naprawdę nie znasz tego człowieka. To wyszkolony zabójca, Ben, i najgorszy manipulator, jakiego znałem. Jackie jeździ wozem zarejestrowanym na firmę, z którą on kiedyś miał do czynienia.

Ben milczał przez długą chwilę. Zastanawiał się nad tym, że Sam upierał się, aby nie spotykać się w publicznym miejscu; nad cichym, znudzonym stukaniem koralików liczydła, gdy Ben błagał go o pomoc.

- Dobrze - powiedział w końcu.

- Jedziemy do niego - zdecydował Pielgrzym. - Zmusimy go, aby powiedział, gdzie jest Teach.

- Nie, nie jedziemy. Teraz to samobójstwo. Jego dom to forteca. Poza tym właśnie tego oczekuje - odparł Ben. - Pokonamy go sposobem, którego się nie spodziewa.

Pięć minut po północy w spokojną sobotę Jackie siedział nad kieliszkiem czystej wódki. Alkohol parzył w rozcięte usta, ale jemu to nie przeszkadzało. Zamknął oczy, poczekał, aż będą łzawić, i zamrugął.

Uciekł z ciężarówki. Wydostał się na pierwszym przystanku, kiedy kierowca wyładowywał kuchenkę. Wypełzył niezauważony. Spozrzegł niedaleko ruchliwą trasę, co uratowało kierowcy życie - Jackie nie musiał go zabijać, aby uciec, a pozbycie się wozu pełnego sprzętu stanowiłoby problem. Przeszedł pół kilometra, aż dotarł do stacji benzynowej i zadzwonił do Hectora, aby go stamtąd odebrał.

Hector nie był zadowolony z tego, że Ben jest na wolności i że stracili samochód. Jackie miał to gdzieś.

Wyrzwał przez okno, znudzony, niespokojny, gotów kogoś zranić. Hector miał ponad tuzin ochroniarzy kręcących się po posiadłości - aroganckich jak żołnierze brytyjscy za czasów jego dzieciństwa w Belfaście. Dzięki tym ludziom Jackie czuł się bezpieczniej, ale ich obecność była męcząca; on i Teach musieli przebywać na uboczu. Hector nie chciał

wyjaśniać swojemu zespołowi szacownych byłych policjantów i wojskowych, dlaczego przetrzymuje starszą kobietę wbrew jej woli. Nikomu poza Hectorem nie wolno było wchodzić do głównego budynku.

Jackie wychylił drugi kieliszek. Wstał i zszedł na parter do sali konferencyjnej. Teach i Hector siedzieli przy stole, rysując coś na czystej mapie Stanów Zjednoczonych i Europy. Były tam nazwy połączone kolorowymi liniami, notatki zrobione ołówkiem, a przy niektórych Hector przykleił taśmą zdjęcia.

- To cała Piwnica? - zapytał Jackie. - Wszyscy mali szpiedzy?

Oboje podnieśli na niego wzrok.

- Mam uszy - dodał Jackie.

- Żebyś tylko w innych sprawach był równie dobry - rzucił Hector i wskazał Teach sześć nazw. - Ta szóstka... im pójdzie dobrze. Zadzwoń do nich, powiedz, żeby zjawili się w Nowym Orleanie po południu, niech przyjadą do bazy dzisiaj wieczorem - postukał w adres zapisany na kartce - i czekają na dalsze rozkazy.

- Mówiłeś, że chcesz kogoś zabić w Nowym Orleanie - odezwał się Jackie.

- Jackie, Piwnica będzie kontynuować swoją dobrą robotę. W Nowym Orleanie znalazłem komórkę młodych Arabów, którzy wkradli się do kraju z fałszywymi paszportami. To terroryści planujący przeprowadzenie ataku tutaj. Ty, ja i nasi przyjaciele z Piwnicy załatwimy ich.

Jackie się zaśmiał.

- Dziwi mnie ten altruizm. Ty chyba nie robisz niczego za darmo. - Posłał drwiący uśmiech Teach, która z zasady milczała, a odzywała się tylko po to, by odpowiedzieć na pytanie.

- Uwierz mi, że zabicie tej grupy to właściwa rzecz dla naszego kraju. - Pchnął telefon w stronę Teach. - Dzwon.

Dokładnie wykonała polecenie, a on się przysłuchiwał. Odłożyła słuchawkę.

- Bardzo dobrze, Teach.

- Skoro wiesz o komórce terrorystycznej, to dlaczego po prostu nie zadzwonisz do Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i nie powiesz im; niech oni zlikwidują tę komórkę. Byłbyś bohaterem - rzekła Teach.

- Nie potrzebuję pochwał, aby być dobrym obywatelem.

- Wstał. - Jackie, zaprowadź Teach z powrotem do jej pokoju. - Poszedł do swojego biura, zamknął drzwi. Dzień nie przebiegał idealnie... w zasadzie nic nie szło tak jak trzeba od śmierci Nicky'ego Lyncha; niech go piekło pochłonie po tysiącokroć, żeby nie trafić... ale można wybrnąć z tych kłopotów. Jeszcze wygra.

Sprawdził pocztę. Jedna wiadomość od asystenta: agentka Vocek z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego bardzo chciała z nim rozmawiać. Usunął wiadomość.

Na ścianach widniały najrozmaitsze fotografie: Hector ściskający prawicę prezydenta Stanów Zjednoczonych, pozujący z pracownikami w Zielonej Strefie, zwiedzający górską twierdzę w Afganistanie. Teraz dopiero rozwinię interes.

Zadzwoniła komórka.

- Tak?

- Pan Hector? Tu Fred Espinoza. - Fred był pracownikiem Hector Global odpowiedzialnym za stan bezpieczeństwa Blarney's Steakhouse.

- Fred, jestem zajęty, to niezbyt dobra pora.

- Tak, wiem, zginęli nasi ludzie w Austin... naprawdę mi przykro, ale zważywszy na te wydarzenia, pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć o wszelkich wydarzeniach u klientów.

Mieliśmy włamanie w siedzibie Blarney's dzisiaj wieczorem.

- Mów.

- Hm, nie jestem pewien, jak to zrobił. O dziewiątej trzydzieści dzisiaj wieczorem ktoś wyłączył alarm. Zarejestrowała to kamera przemysłowa. Włamał się do alarmu i podłączył palmtopa do systemu; rozczytał kody i uzyskał dostęp. - Espinoza przerwał. - Nietypowy włamywacz.

- Rzeczywiście. - Przesunął palcami po koralikach liczydła. - Co zrobił?

- Mam nagranie na naszej wewnętrznej stronie.

Hector odnalazł film. Randall Choate, teraz znany jako Pielgrzym, wrzód na tyłku, który trzeba usunąć, przemykał ciemnymi korytarzami do biura dyrektora generalnego. Zapalił latarkę i omiótł nią pomieszczenie. Wtedy obraz przejęła ukryta kamera w biurze. Pielgrzym sprawdzał szafki z dokumentacją, były zamknięte. Zatrzymał się i spojrzał na ścianę. Na wideo było widać, jak pochyła się blisko, kierując promień światła na zdjęcie w ramce. Uroczyste przecięcie wstęgi pierwszego lokalu Blarney's - Hector przypomniał sobie ten radosny dzień.

Pielgrzym wyjął zdjęcie z ramki i wepchnął je do kieszeni. Potem skierował płamę światła na swoją dłoń i uniósł środkowy palec na dobre pięć sekund. Reszta nagrania pokazywała jego wyjście z budynku.

- Poinformowałeś już klienta? - zapytał Hector.

- Tak jest. To dziwne, ale włamywacz nie zabrał nic wartościowego.

- Pokazanie tego palca sugeruje, że to głupi żart.

- Dość przesadzony. - Espinoza wyraźnie wątpił.

- Hm, hakerzy tak samo marnują intelekt, aby oszpecić stronę internetową firmy. - Z chrzęstem przesunął wszystkie

paciorki liczydła na jedną stronę. - Nie musimy tego zgłaszać policji.

- Jak to?

- Może to ktoś, kto chce zwrócić na siebie uwagę, zaszkodzić dobremu imieniu Hector Global. Już zaatakowano jedną z naszych filii, a teraz to włamanie. Nie ma potrzeby, aby policja dostała ten film, jeszcze jakiś dowcipniś wykradnie go i zamieści na YouTube. Ten facet chciał tylko pokazać, że Hector Global nie stara się jak należy.

- Tak jest - odpowiedział Espinoza.

- Nie możemy sobie pozwolić na więcej negatywnych uwag pod adresem naszych służb bezpieczeństwa. Umów się z Blarney's; powiedz, że damy im pół roku bezpłatnej ochrony. Tylko ich uspokój i nie mieszaj do tego policji.

- Tak jest.

- Aha, Fred? Dzięki, że powiadomiłeś mnie o tej sytuacji, bardzo dobrze zrobiłeś.

- Tak jest. Dobranoc.

Hector ponownie obejrzał film. Choate kradł jego stare zdjęcie.

Nie znał mnie jako Sama Hectora. Teraz już zna. Nie zakładał, że Choate wiedział o jego wysokiej pozycji; myślał, że Choate zginął. Dopiero przed kilku laty dowiedział się, że jednak żyje. Więc... teraz zna moje prawdziwe nazwisko.

Następnym razem, jak zobaczę ten palec, to go odstrzelę, pomyślał. A zatem Pielgrzym jest w Dallas. Może uwolnił Bena Forsberga i razem pracowali. Ta ostatnia myśl nie spodobała mu się, ale i tak był mądrzejszy od nich obu. Niewiele mogli mu zrobić, ukrywając się jak szczury, ale trzeba ich powstrzymać. Zlikwidować.

Zadzwoił telefon. To współpracownik, którego prosił o

sygnał, gdyby użyto karty wystawionej na Jamesa Woodwarda.

- Użyto jej w Blarney's Steakhouse. Zadzwońłem do restauracji. Cztery martini, dwie przystawki. Kelnerka powiedziała, że byli to dwaj mężczyźni.

- Dziękuję. - Zatem byli razem, Ben i Pielgrzym, pili i ucztowali, a potem włamali się do biura. Ależ bezczelne sukinsyny. Skończy z ich arogancją.

Powiódł czubkiem palca po liczydło leżącym na biurku, przesuwając paciorki z jednej strony na drugą, redukując wartość na górnym pręcie. Ben. Głupek - przesunął ostatni koralik na zero. Był z niego wartościowy żołnierz na polu ekonomii; pomagał w kontraktach, napędzał pieniądze do kieszeni Hectora, pracoholik łatwy w eksploatacji, bo nie miał własnego życia od śmierci Emily. Był użyteczny, ale przestał. Tak samo jak każdy inny.

Pospieszył do pokoju, w którym spała Teach przykuta kajdankami do łóżka. Kopnął w łóżko, a ona raptownie się obudziła.

- Wstawaj - rozkazał. - Chcę wiedzieć, gdzie oni się ukrywają.

- Kto?

- Pielgrzym.

- Podalam wszystkie dane na temat Piwnicy, każdą kryjówkę... powiedziałam wszystko...

- Barkera trzymałaś w pobliżu lotniska w Dallas, to samo z De La Pena w Chicago, z Greenem w Denver. To wasz styl, wasza metoda. Pielgrzym powtórzy to tutaj, jeśli ma jakąś norę.

- W takim razie jest jego, nie moja, i nic o niej nie wiem.

Przysunął twarz do jej twarzy. Miała kwaśny oddech; nie dał jej szczoteczki do zębów.

- Dallas to blisko jego dziecka.
Teach nie drgnęła.
- On nie ma dziecka.
- Owszem, ma. Tamarę Choate. Teraz nazywa się Tamarą Dawson. Ojczym adoptował ją przed dwoma laty. Nie było przeciwwskazań, skoro jej prawdziwy tata nie żył. Ma czternaście lat. Mieszka w Tyler, sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Dallas. Dlatego dajesz poczciwemu Pielgrzymowi wszystkie zlecenia w tym rejonie. Niech tam skoczy i pogapi się na swojego dzieciaka z daleka. Nie zdziwię się, jeśli wynajmuje jakiś lokal w pobliżu, żeby szpiegowanie małej było łatwiejsze, żeby miał gdzie się położyć po pracy.

Potrząsnęła głową.

- On nie ma dzieci.
Spoliczkował ją mocno.
- Powiedz, gdzie się ukrywa, bo Jackie złoży wizytę pannie Tamarze i jej mamie. - Pochylił się nad nią. - Nie każ córce płacić za ojca.

Warga jej krwawiła.

- Nie mogę powiedzieć czegoś, czego nie wiem. - Spojrzała na niego tak, jak nie lubił, z narastającym strachem, czystą nienawiścią rozpalającą się w bladych oczach.

- Podaj adres, bo każę Jackiemu zabawić się z jego córką. - Poglądził ją palcem po brodzie. - Lubię dzieci. Nie chcę ich ranić. Ale jak mi nie pomożesz, zrobię jej krzywdę i już nigdy nie będzie taka sama. Nie zabiję jej. Zostawię ją przy życiu. To będzie dla niej gorsze.

Nie odpowiedziała. Głowę miała spuszczoną nisko, jakby pogrążyła się w modlitwie.

- Ciągłe się łudzisz, że Pielgrzym cię uratuje? Daj spokój.

Uniosła głowę.

- Ilu twoich ludzi zginęło?

Podszedł do drzwi, wzdychając.

- Jackie, pozwól na chwilę.

Wszedł Jackie. Twarz miał okropną. Sińce po złamaniu nosa, bandaże. Hector dotknął jego szczęki.

- Jak jesteś czternastoletnią dziewczynką i budzisz się w środku nocy, a przed sobą widzisz taką twarz... bez urazy, Jackie... sikasz po nogach ze strachu. - Teraz zwrócił się do Jackiego. - Pielgrzym ma czternastoletnią córunię. Oddam ją tobie. Powiedz Teach, co z nią zrobisz. Nie pomi-jaj szczegółów.

Jackie spojrział na niego, odczytując z twarzy mężczyzny pragnienie wyrachowanej zemsty; potem uśmiechnął się i usiadł na brzegu łóżka Teach.

- Normalnie nie zastanawiam się, jak skrzywdzić dziewczynkę, ale skoro to córka Pielgrzyma, jejku, w porządku, będę musiał się postarać. Najpierw bym ją trochę pocałował, a potem tak zerznął, żeby już nigdy nie miała przyjemności z seksu.

Teach ani drgnęła.

Jackie wyciągnął nóż z pochwy na łydce.

- Opowiem ci, jak mój tata zmuszał do mówienia protestanckich zdrajców w Belfaście, kiedy byli pewni, że nie pisną ani słowa. Widzisz, zabierało się ich do piwnicy na herbatę i długą pogawędkę. Jak rozmowa nie szła, tata wyciągał noże.

Teach ani drgnęła. Jackie pomyślał, że jak pochyli się do przodu i pocałuje ją, to poczuje strach na jej ustach.

- Ale widzisz, z córką Pielgrzyma byłoby gorzej. W Belfaście, kiedy ci głupi ludzie zaczynali mówić, tata przerywał cięcie twarzy i genitaliów. Lecz ja nie chcę zmuszać jej do mówienia. Nic nie musi mówić, żeby się uratować. - Obrócił

nóż i w ostrzu odbiło się słabe światło znad jej łóżka. - Chcę jedynie ją skrzywdzić.

Jackie rozpoczął recytację, która zmroziła krew Teach, malowała okropieństwa w jej umyśle, aż mierzył ją jego szept. Jednak nadal potrzasała przecząco głową, toteż Jackie przeszedł do demonstracji.

Raport Chalida - Nowy Orlean

W niedzielę zaczynamy pracę. Jeżeli wszystkiego nie zepsułem.

Boję się, bo chyba zaryzykowałem całe swoje szkolenie, całe poświęcenie. Nie byłem przygotowany na przypadkową sytuację. Dzisiaj jednym z ćwiczeń było przejście Dzielnicą Francuską i określenie, kto mnie śledzi i jak mogę go zgubić w tłumie. Jestem pewien, że ten tłum jest mniejszy niż normalnie, od czasu Katriny, ale ulice nadal są pełne radosnych Amerykanów, otumanionych karmazynowym przyprawem alkoholu z sokiem owocowym albo piwem w puszcze.

Dzisiaj sam uległem otumanieniu. W połowie zadania z trenerami zobaczyłem kogoś znajomego z Bejrutu. Roule, kuzynkę dobrego kolegi. Słyszałem, że studiuje architekturę na Uniwersytecie Rice w Houston. Można by pomyśleć, że będzie się ciężko uczyć, ale nie, spaceruje z trójką blond Amerykanek i sama wygląda bardzo po amerykańsku, w dzinsach i błękitnym polo, z kompletem bransoletek. Jest śliczna, gdy tak spaceruje z tymi amerykańskimi pięknosciami, gdy zakłada za ucho kosmyk czarnych włosów. Zerkam na

nią dwukrotnie, raz zaszokowany, a za drugim razem, aby się upewnić, że to ona, ale Roula wyczuwa mój wzrok i odwraca się.

Mam nadzieję, że mnie nie pozna; pochylam głowę i obracam się gwałtownie, aby obejrzeć wystawę T-shirtów dla turystów.

- Chalid? - słyszę jej głos pełen zdziwienia.

Nie.

Odwracam się i odchodzę. Wtedy ona powtarza głośno moje imię, więc się zatrzymuję. Zerkam za siebie. Uśmiecha się, rozpoznając mnie.

- Chalid, jak się masz?

- Dobrze - mówię. - Co u ciebie, Roula, co tutaj robisz?
- Słowa rozciągają mi się niewyraźnie w ustach.

- Przyjechałam na weekend z koleżankami. - Wskazuje amerykańskie piękności, które patrzą na mnie obojętnie. Jestem dla nich chudym Arabem niegodnym zainteresowania.

- Och - mówię. Moi obserwatorzy... teraz ich widzę, bo nawet nie próbują ukryć się przede mną... przyglądają się, jak rozmawiam z dziewczynami. Mam ochotę uciec.

- Co tu robisz?

Miałem rzekomo być w Szwajcarii i studiować finanse.

- Ach, hm, mój opiekun ze szkoły... na uniwersytecie w Genewie... wygłasza wykład w Tulane, więc przyjechałem z nim. - To wyjaśnienie brzmi dla mnie beznadziejnie, ale zmuszam się do uśmiechu i wskazuję wystawę pełną T-shirtów. - Przyłapałyście mnie poza zajęciami.

Roula się śmieje.

- A jak długo tu będziesz?

- Wyjeżdżam w sobotę.

- My też. - I wtedy oczywiście, zgodnie z zachowaniem

moich rodaków, Roula zaczyna dopytywać się o moją matkę, moich kuzynów... wie, że moi bracia i ojciec nie żyją, więc ich nie wspomina.

Odpowiadam pospiesznie, pytam o jej rodzinę, potem niby to sprawdzam godzinę.

- Roula, to była miła niespodzianka, ale muszę wracać na uniwersytet. Za mało czasu przeznaczyłem na zwiedzanie. - Posyłam jej niezdarny uśmiech.

Ona uśmiecha się promiennie.

- Miło było cię spotkać, Chalid.

- Ciebie też. - Odwracam się i odchodzę, nie patrząc za siebie. Moje szkolenie jest zrujnowane. Dwie przecznice dalej ryzykuję zerknięcie. Szło za mną dwóch, ale teraz jest tylko jeden. Ten drugi w tej chwili śledzi Roule.

Przywożą mnie z powrotem do domu, przesłuchują dokładnie. Wyjaśniam, że to moja koleżanka; że studiuje architekturę w Ameryce; że jest nieszkodliwa.

- Ale ciebie tu miało nie być - mówią do mnie nauczyciele. - Co będzie, jak wspomni rodzinie czy przyjaciołom, że cię tutaj spotkała?

- Podsunąłem jej wersję spójną z moim alibi - odpowiadam, a oni śmieją się, bo to śmieszne. Cały czas mam nadzieję, iż powiedzą mi, że to próba, że Roula należy do organizacji. Ale nic takiego nie słyszę.

- Co miałem zrobić? - pytam, nieszcześliwy.

- Nie rozmawiać z nią. Odejść, uciec od niej.

- Ale ona wiedziała, że to ja. Gdybym uciekał, tylko obudziłbym jej podejrzania...

- Ale nigdy nie byłaby pewna, czy to ty. Rozmawiałeś z nią. Wie za dużo.

Chłód chwyta mnie za serce. Nie tak miało być. Przyjechałem tutaj, żeby nauczyć się wykonać dobrze zadanie,

żeby zabić tych, którzy muszą umrzeć, nie niewinnych, takich jak Roula.

- Co będzie? - pytam w końcu.

Moi nauczyciele wymieniają się spojrzeniami.

- Telefony jej rodziny w Bejrucie będą na podsłuchu; poczta i e-maile będą monitorowane. Posłuchamy i zobaczymy, czy mówi coś o tobie. Jeżeli nie... to dobrze. Jeżeli tak... cóż. Wtedy zobaczymy. Teraz to twój problem... niech to będzie lekcja, której nigdy nie zapomnisz. - Traktują mnie, jakbym był niegrzecznym uczniem i przed chwilą dostał lanie.

Chyba im nie wierzę. Niedobrze mi ze strachu, że każą dzisiaj w nocy zabić Roule. Wracam, na ich rozkaz, do swojego pokoju. Leżę na łóżku i wpatruję się w sufit. Czuję, że mnie obserwują; to próba, a ja zawodzę.

Otwierają się drzwi. Siadam w łóżku. Jeden z nauczycieli - ten, którego nazywają pan Noc - wchodzi i zamyka za sobą drzwi.

- Zabijecie ją? - pytam pospiesznie.

- Nie - odpowiada. - Chyba uważasz nas za impulsywnych. Albo okrutnych.

- Realnie podchodzę do naszej pracy.

Pan Noc kiwa głową.

- Ale jeżeli zajdzie potrzeba, ktoś z nią porozmawia. Zmusi ją do milczenia. Twoja obecność tutaj musi być utrzymana w tajemnicy.

Przełykam. „Musi” oznacza wiele możliwości. Ale skoro mówi, że jej nie zabiją, wierzę mu. Moje życie jest w rękach tych ludzi, muszę im ufać.

- Rozumiem.

- Jeżeli nie będzie umiała utrzymać języka za zębami... - Wzrusza ramionami.

- Utrzyma - zapewniam. - To bardzo rozsądna dziewczyna, z dobrej rodziny. Może kogoś z jej rodziny też można zwerbować.

- Może. - Pan Noc odchrząkuje. - Muszę wiedzieć, czy naprawdę jesteś gotowy do wykonania zadania, Chalid. (Zapisanie jego słów jest dla mnie bolesne, ale chcę być szczerzy, więc muszę to zrobić).

- Jestem. Jestem. Proszę. - Nagle ogarnął mnie strach, że mogłem stać się niepotrzebny. Ale oni nas potrzebują... tak niewielu jest chętnych do tej roboty, do podjęcia olbrzymiego ryzyka. Już zaryzykowałem tak wiele, docierając aż tutaj.

Pan Noc przygląda mi się przez chwilę, nic nie mówi, a ja biorę się w garść i więcej nie proszę. Teraz muszę być silny.

- Nadal jesteś jednym z nas. Oto twoje zadanie.

Niemal padam z ulgi, ale nie zdradzam swoich uczuć.

Czytam dokumenty, które mi podaje, patrzę, jaka będzie moja pierwsza bitwa w tej wojnie.

Wręcz palę się do wykonania tego zadania. Wypuszczają mnie z pokoju. Jadę na strzelnicę i zaczynam ładować pociski w cel, a każde naciśnięcie spustu przynosi ulgę.

Świt wpełzł przez ciężkie, poźółkde zasłony, jakby niechętnie wnosił jasność do zaciemnionego pokoju. Ben obudzil się na japońskim materacu. Wyczuł pod poduszką pistolet i gwałtownie odsunął od niego rękę. Bolało go ramię. Spał o wiele mocniej, niż się spodziewał.

Pielgrzym parzył kawę; stał przy zlewie i wpatrywał się w przestrzeń.

- Hej - odezwał się Ben.

Żadnej odpowiedzi.

- Nie jesteś rannym ptaszkiem - dodał Ben.

- Powinniśmy wczoraj poszukać Hectora. Sen to ostatnia rzecz...

- Rozluźnij się. Hector wie, że wątpię w jego lojalność, skoro do niego nie oddzwoniłem. Założę się, że wie też już o twoich odwiedzinach w biurze McKeen. Brak wiadomości od nas musi go niepokoić.

- Nie mogę tak zostawić Teach.

- Zostawisz ją, jak dasz się zabić podczas bezsensownej próby ratowania jej. - Ben wstał z materaca. - Będziemy z

nim walczyć, ale subtelnie. Nie wytoczymy armat, które hukiem zwrócą uwagę.

- Nie tak postępuję - powiedział Pielgrzym. - Nie zdajesz sobie sprawy, przeciw komu walczymy...

- Nie wiedziałbyś nawet, kim jest twój wróg, gdyby nie ja. Dlatego może daj sobie spokój z tą przemądrzałą gadką, bo naprawdę mi się znudziła.

Pielgrzym odstawił kubek z kawą.

- Dobrze. Co proponujesz?

- Siła i słabość Hectora to jego firma. Daje mu siłę, ale właśnie ją najbardziej boi się stracić. Pomogłem mu zbudować firmę; mogę ją zniszczyć.

- Chcesz powiedzieć, że możesz ujawnić różne brudy?

- Nie tyle brudy, ile wątpliwości. Skontaktuję się z każdym z jego kontaktów w różnych agencjach i zasugeruję, że wkrótce zostanie poddany obserwacji.

- Jesteś uciekinierem, nikt ci nie zaufa - odparł Pielgrzym.

- Raczej ukrywam się przed jego ochroniarzami. – Ben sam poczęstował się kawą, czarną i mocną. Przygotowujemy dwustronny atak. Obsmarujemy Hectora przed ludźmi z rządu, którzy się liczą. Narobimy wokół niego smrodu i politycy uciekną. Poza tym skontaktujemy się z agentką Vocek. Delia Moon dała mi jej numer. Zawrzemy z nią układ.

- To na nic, jeżeli chcą naszej śmierci...

- Nie sądzę, aby ona tego chciała. Raczej woli nas wziąć na smycz. Pomoże nam fakt, że wykonałeś niezbędną robotę dla rządu.

- Błąd. Niezbędną zdaniem małej i tajnej grupy.

- I ta grupa może być celem w stopniu znacznie większym niż ty. Niewykluczone, że Vocek złoży ci niezłą ofertę. Znasz więcej brudów w rządzie, niż kiedykolwiek poznałby Hector.

- Nadal twierdę, że powinniśmy dopaść Hectora.
- Już go uszkodziłeś. Zabiłeś jego ludzi, a także snajpera. Wzmocni ochronę, bo stracił dwóch ludzi z rak rzekomych terrorystów. Na swojej działce będzie miał prawdziwą armię. Nie ma sposobu, żebyś dostał się do jego domu. Nie wiemy nawet, czy tam trzyma Teach.
- Świetnie. Rozumiem, o co ci chodzi - rzekł przygnębiony Pielgrzym. - Co powiemy Vocek?
- Tylko się nie zdziw. - Ben wziął głęboki oddech. - Piwnica jest skończona. Adam Reynolds już cię znalazł; wkrótce Departament Bezpieczeństwa znajdzie pozostałych agentów. Musisz tylko zdecydować, czy poddasz się dobrowolnie i będziesz współpracować, czy nie. Podaj im szczegóły dotyczące twoich zadań. Rezultatów. Łagodniej cię potraktują.
- Wstąpiłem do Piwnicy, żeby uniknąć więzienia. Nie mogę tam wrócić. - Lekko rozchylił zasłonę, przyjrzał się parkingowi. - Zdajesz sobie sprawę, że Biuro Inicjatyw Strategicznych może nas po prostu wyeliminować.
- Nie wierzę, żeby Vocek była zdolna do morderstwa.
- Sam Hector robił cię w konia latami, więc wybac mi, jeżeli kwestionuję twoje umiejętności oceniania ludzkiego charakteru.
- Nie podobało się jej, kiedy Kidwell tak mocno mnie naciskał. To coś mówi o niej jako człowieku.
- Odgrywała dobrego glinę.
- Świetnie. My odegramy dobrego glinę i damy im coś. Nie możemy walczyć z Hectorem, nie na jego terenie. Nie możemy iść na policję. Cokolwiek stanie się jutro w Nowym Orleanie, jeżeli przekażemy teraz informację Departamentowi, może ubijemy interes.
- Ale nie mamy pojęcia, co się dzieje.

- Pomóż Vocek poskładać to wszystko razem, a wyjdiesz na dobrego faceta.

- Ona nas aresztuje.

- Wiem, że dla ciebie takie podejście do sprawy to zupełna nowość. Ale proszę, spróbujmy. Damy Vocek amunicję. Wszystko, co wiesz o Piwnicy. Wszystko, co obaj wiemy o Hectorze, o jego firmie i czasach, gdy był w CIA. Istnieje między tym związek i jeżeli...

Pielgrzym potrząsnął głową.

- Grupa Vocek wynajęła Hectora... Ktoś w tej grupie przechwytyje informacje.

- Tak. To ryzyko. Ale będziemy musieli spotkać się z nią twarzą w twarz, zobaczyć, czy zdołamy ją przekonać. Przecież uratowałeś jej życie.

- Niecelowo.

- Uwierz, potrzebujemy tego.

- Ben. Ten scenariusz tobie wydaje się sensowny. Moim zdaniem jest zwariowany. Ja tylko chcę wziąć spluwę i walnąć Hectora. Problem rozwiązany.

- Jak zrobimy to na mój sposób, to jest większe prawdopodobieństwo, że przeżyjemy. - Ben zrobił krok naprzód, oparł się o pęknięty blat dzielący kuchnię od miniaturowej jadalni. - Jackie Lynch grał w jednej drużynie z ludźmi, którzy zabili Kidwella. Departament Bezpieczeństwa będzie chciał dostać głowę Jackiego na talerzu, a on jedzie na jednym wózku z Hectorem. Dlatego będą też chcieli dostać głowę Hectora na talerzu. Jeżeli coś ich łączy, zniszczymy to. Odizolujemy go.

- Powinieneś zadzwonić do Vocek.

- Nie. - Ben potrząsnął głową. - Ty zadzwoń.

- Nie umiem rozmawiać przez telefon.

- To ty masz informacje, których ona potrzebuje. Ale masz się z nią spotkać sam. Bo jeśli zastawi pułapkę, nie może złapać nas obu. Jeden musi zostać na wolności.

Pielgrzym skinął głową.

- Nie złapie mnie. Nie martw się. - Potarł czoło. - Zadzwoń do niej. - Potrząsnął głową. - Nie gniewaj się, ale naprawdę nie przywykłem do pracy z partnerem.

- Mam nadzieję, że to szybko się zmieni - odparł Ben.

Vocek zerknęła na biurko - właśnie minęła dziewiąta rano w sobotę - i przyjrzała się zdjęciom denatów. Dochodzeniowcy pracujący nad morderstwem Kidwella, działający poza biurem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego w Houston, przysłali jej najświeższy raport dotyczący zabitych Arabów.

Mężczyźni zostali zidentyfikowani. Wszyscy pochodzili z południowych przedmieść Bejrutu. Dwaj z nich byli braćmi, kolejni dwaj ich kuzynami, a wszyscy należeli do gangu rozprowadzającego narkotyki w Bejrucie i wykonującego brudną robotę, kiedy zaszła potrzeba.

Przypomniał się jej truizm na temat Bliskiego Wschodu, który znalazła w książce byłego agenta CIA, Roberta Baera: „Nie rekrutuje się jednostek; rekrutuje się rodziny, plemiona, klany”. Oto był idealny przykład. Ale tego o farbowanych blond włosach i tego z dwoma kolczykami w uchu trudno by było uznać za typowych fundamentalistów.

Zadzwoiła do jednego ze śledczych w Departamencie Bezpieczeństwa w Houston, pozwoliła mu ponarzekać przez trzy minuty na współpracę z FBI, a potem powiedziała:

- Ale ci ludzie nie wyglądają na religijnych ekstremistów.

- Och, ci Muradowie nie są za bardzo pobożni. Zawsze wynajmowano ich do pomocy. - Usłyszała szelest kartek na biurku śledczego. - Wszyscy Muradowie przylecieli przez Paryż do Miami, tam posiedzieli pięć dni. Bilety były opłacone gotówką w Bejrucie. Ale wszyscy zatrzymali się razem w hotelu w Miami przed lotem do Austin w dzień ataku. - Zakaszlał jak palacz. - I tu jest podejrzana sprawa. Jeszcze w latach osiemdziesiątych tatuś Murad, głowa klanu, był oczyma i uszami CIA.

- Ciekawe.

- Tak. Kiedy polowaliśmy na tych, co podłożyli bombę pod ambasadę, był informatorem. Niezbyt przydatnym, ale gotowym wskazać paru za pewną cenę. Znikł z listy płac Agencji jakieś dziesięć lat temu. Jeden z jego synów związał się z komórką Krwi Ognia w Libanie, przeprowadził kilka ataków bombowych za pieniądze, został zamordowany przed paroma miesiącami.

- Więc Muradowie grali po obu stronach.

- Tak, ale nie dowiesz się tego od CIA. Mówią, że nie mają akt Muradów, w co mało kto uwierzy; byli częścią podziemnego świata w Bejrucie od pokoleń. Moje źródła to dwaj emerytowani oficerowie operacyjni. I pani Murad.

- Rozmawiałaś z nią.

- Oczywiście nieoficjalnie. I mogła próbować chronić honor rodziny, utrzymywać, że nie są terrorystami. Z jej punktu widzenia lepiej, żeby rodzinę łączono z Hezbollahem niż CIA. Powiedziała, że mąż wspominał o telefonie od starego przyjaciela, który obiecywał duże pieniądze za przysługę.

- Kim jest ten stary przyjaciel?

- Mówi, że to Anglik, którego jej mąż znał przed laty; nazywano go Smokiem. Oczywiście w CIA zaprzeczają, że

znają lub znali kogokolwiek o takim pseudonimie. W zasadzie CIA ze mną więcej nie chce rozmawiać.

Smok.

- Jasne, że zaprzeczają. Udają, że nic nie wiedzą - powiedziała Vocek. - Byli najemnicy atakujący biura Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego na amerykańskiej ziemi? To istny koszmar.

Dawni informatorzy CIA, a teraz tajemniczy Anglik z czasów kontaktów Muradów z CIA.

- Dlaczego ktoś wynajmuje gang z Libanu? - drążyła. - Łatwiej znaleźć najemników bliżej domu.

- Przestań zadawać trudne pytania.

Postukała palcem w stół.

- Zaatakowali biuro, które nawet jeszcze nie było otwarte. Na co liczyli? Z pewnością brali pod uwagę, że zostaną złapani albo zabici. Arabscy najemnicy atakujący biuro Departamentu... to wygląda na akt terrorystyczny, ale nim nie był.

- Chyba nie. - Słyszała, jak oficer wertuje kolejne kartki.

- Czego więc chcieli? Mogli zabrać Kidwella, gdyby chcieli oficera Departamentu. A jeżeli chcieli Bena Forsberga... Co on wie, dlaczego jest dla nich taki cenny?

- Nie mam pojęcia. Dalej będę kopał.

- Może oni chcieli tylko wszystkich pozabijać?

Nadal nie wiedziała dlaczego. Podziękowała mu i rozłączyła się. Była śpiąca... w nocy zasnęła tylko na chwilę, nie mogła przestać myśleć. Zadzwoiła do Margaret Pritchard.

- Dowiedziałas się czegoś o Samie Hectorze, czy był w CIA? - zapytała.

- Mam oczy i uszy otwarte. Ale nie licz na szybką odpowiedź. - Najwyraźniej nie była specjalnie zainteresowana tą sprawą.

- Oczy i uszy? - Ogarnęło ją zniecierpliwienie. - Przepraszam, Margaret, ale nie możesz po prostu zadzwonić do dyrektora CIA i zapytać?

- Jeżeli był głęboko w strukturach CIA, to nic mi nie powiedzą.

- Powiedzą, jeżeli zasugerujesz, że jest podejrzany w sprawie o zabójstwo agenta Departamentu.

- Trudno, żeby Sam Hector był podejrzany.

Powiedziała Pritchard o związku między Muradami a CIA, o tym, co pani Murad zdradziła na temat człowieka zwanego Smokiem.

- Nic mnie nie obchodzi jakiś idiota Smok. Wskoczył z filmu z Bruce'em Lee? Mnie interesuje Randall Choate.

- Choate i ten Smok to byli agenci CIA. Hector też rzekomo był w CIA. Musimy sprawdzić ich powiązania.

- Byłabym z ciebie dumna, gdybyś zmierzała prosto do celu, Joanno.

- Wynajęliście Hectora, żeby zapewnił logistyczne i ochroniarskie wsparcie przy wyszukiwaniu niezarejestrowanych operacji. Ale jeśli miał interes w szukaniu tych grup? Mógł wykorzystać nas jako przykrywkę dla własnych celów.

Pritchard sapnęła zniecierpliwiona. Pewnie wie, że popełniła błąd, angażując Hectora, i teraz nie chce się do tego przyznać. To byłoby fatalne dla jej kariery, pomyślała Vochek.

- Nie ryzykowałby, aby dla lukratywnego biznesu zepsuć operację rządową.

- Biznesmen zrobi wszystko, jeżeli uważa, że ryzyko się opłaci. Kto ci powiedział, że szukamy niezarejestrowanych grup?

- To tajne, ale polecenia otrzymałam od osoby wyższej rangą.

- A Hector zarabia miliony na kontraktach z rządem. Zna każdego liczącego się urzędnika.

- Zbyt pochopne założenie.

- W takim razie przetestuj moją teorię. Poszperaj na temat Hectora. Czego się obawiasz?

- Pamiętaj, że w naszej pracy obowiązuje hierarchia, agentko Vocek - odpowiedziała Pritchard chłodno. - Ale zgoda, pociągnę trochę mocniej za sznurki.

Robisz uniki, pomyślała Vocek. Słyszała to w głosie Pritchard. Albo wiedziała więcej o Hectorze, niż przyznawała, i nie chciała się tym z nią podzielić, albo - co znacznie bardziej przerażające - nie знаła przeszłości Hectora i była przez niego manipulowana, a jednocześnie nie chciała się przyznać do porażki.

Zadzwoił telefon. Ach, oby to był Hector. Odebrała komórkę, marszcząc brwi na widok zablokowanego numeru na ekranie.

- Tu Vocek.

- Mam nadzieję, że nie bolała cię głowa.

Doznała szoku, jakby oblano ją ukropem. Natychmiast poznała ten głos. Mężczyzna, który pozbawił ją przytomności i zaniknął w szafie.

- Tak. Słucham.

- Mam nadzieję, że ból minął.

- Prawie. Chciałabym z tobą porozmawiać, Randall - powiedziała cicho.

- Randall Choate nadal nie żyje. Przynajmniej dopóki nie dojdziemy do porozumienia.

- Jakie są twoje warunki?

- Sam Hector przegra.

Cisza przez dziesięć długich sekund.

- Słucham?

- Hector wynajął bandziorów, żeby zabili twojego partnera. Jeden z jego ludzi zamordował wczoraj Delię Moon i próbował zabić Bena. Ukradliśmy mu samochód, który jest zarejestrowany na firmę powiązaną z Hectorem, używaną jako przykrywka.

- Potrzebuję szczegółów.

- Dostaniesz je, jak się spotkamy. Przyjedziesz sama. Jak zobaczę kogoś jeszcze, ucieknę. Departament nic nie dostanie, a morderca taki jak Sam Hector nadal będzie trzymał cię na smyczy.

- Nie jestem przekonana, czy sama będę bezpieczna. Uderzyłeś mnie w głowę.

- Próbowалаś złamać mi kark pałką. Zapomnijmy i wybaczymy sobie. - Niemal słyszała uśmiech w jego głosie. - Gdybym chciał cię zabić, zginęłabyś w Austin. Jesteś mi winna podziękowanie za to, że wepchnąłem cię do tej komórki, tylko dlatego żyjesz.

Przeknęła ślinę.

- Dziękuję, Randall.

- Boiska piłkarskie przy Plano Parkway. Południe. Przyjedź sama. Jak zwietrzę, że masz towarzystwo, znikam.

- Ben Forsberg. Nic mu nie jest?

- Nic. - Wtedy usłyszała w głosie Pielgrzyma żal. - Więc wiesz... Ben jest całkowicie niewinny. On nie wynajął Nicky'ego Lyncha. Wykorzystałem jego tożsamość bez jego wiedzy. Ale Hector próbował zabić Bena wielokrotnie w ciągu ostatnich dwóch dni, więc Ben zrobił się teraz nieśmiały. I jeszcze jedno.

- Tak?

- Nie znam szczegółów, ale jak masz jakiś gorący ślad o zagrożeniu w Nowym Orleanie, to potraktuj go poważnie. Mówię to jako przykładowy obywatel.

- Nowy Orlean.

- Tak.
- Dobrze. Randall?
- Tak?
- Pragnę wam pomóc. Nie chcę, żeby coś wam się stało.
- Słowa nic nie kosztują. Do zobaczenia w południe. -

Rozłączył się.

Hm. Propozycja Pielgrzyma mogła być szczerą albo stanowiła pułapkę. Zgodnie z protokołem powinna poinformować przełożonego.

Zawahała się. Z natury nie naginała zasad. Ale... знаła Pritchard. Będzie domagała się wsparcia dla niej i natychmiastowego pojmania Pielgrzyma. Aresztują jednego niezdiscyplinowanego agenta CIA - faktycznie związanego z podejrzaną grupą. Oczywiście może namawiać go do oddania się w ich ręce, ale pojmanie go zagwarantuje sukces.

O co mu chodziło z tym Nowym Orleanem? Nie miała pojęcia, czy miastu coś groziło. Takiej poszlaki nie mogła zataić. Byłoby to zdecydowanie nieodpowiedzialne. Zadzwoiła do Pritchard i zrelacjonowała rozmowę.

- Skontaktuję się z biurem w Nowym Orleanie, sprawdzę, czy robi się gorąco - odparła Pritchard. - Oczywiście będzie trudno przypisać ostrzeżenie człowiekowi, którego uznawano za martwego od dziesięciu lat. Chcesz się z nim spotkać sama? - zapytała Pritchard.

- Tak.
- Nie chcę ponosić takiego ryzyka. Jeżeli nie podda się tobie, to będziemy go śledzić.
- Zauważy.
- Nie naszych ludzi. Dzwonię do Secret Service w Dallas.
- Nie ich jurysdykcja.
- Ach. Ale powiedział, że skradł imię Bena Forsberga. Kradzież tożsamości i defraudacja im podlegają.

- Proszę. Pozwól, że załatwię to sama.
- Już straciliśmy Kidwella. Nie wiem, do czego może być zdolny ten człowiek.
- A to, co powiedział o Hectorze?
W odpowiedzi długie milczenie.
- Chcę zobaczyć, jakie ma dowody.
- Wstrzymujemy współpracę z Hectorem?
- Po jednym słowie tego człowieka? Daj spokój. - Przez telefon Vocek usłyszała, jak Pritchard stuka paznokciem w biurko. - Dowody, Joanno. Sprawdźmy wpierw, czy na tej kości jest jakieś mięso.

Teach załamała się o dziesiątej trzydzieści w sobotę rano. Podała im ulicę i numer mieszkania - wiedziała o tym od lat, wkrótce po tym, jak Pielgrzym wynajął nieruchomość pod fałszywym nazwiskiem, ale nie zdradzała się przed nim.

Jackie wyczyścił nóż - niezbyt wiele krwi; cięcia były płytkie i strategiczne - i poklepał ją po policzku.

- Ślicznie nam pomogłaś. Zaoszczędziłaś dziewczynie kilku paskudnych godzin. Teraz umrze jako staruszka.

Hector podał jej ścierkę, aby otarła twarz, usta i nogi. Drżała, a on zastanawiał się, czy to bardziej ze strachu czy z wściekłości.

- Chodźmy. Ona jedzie z nami - zdecydował Hector.
- Z nami? - zapytał Jackie.
- Z tobą i ze mną. Wyciągniemy Pielgrzyma.
- Poradzę sobie bez pomocy. - Jackie czuł się pełen energii po tej nocy; nakłonił Teach do mówienia; robota została właściwie wykonana. Ojciec byłby z niego dumny.
- Muszę wrócić w teren.
- Myślałem, że tylko zarządzasz.

- Każdy kierownik powinien od czasu do czasu ubrudzić sobie ręce - odparł.
- To po co zabierać Teach? Zamknij ją tutaj.
- Nie chcę jej zostawiać, żeby moi ludzie jej nie odkryli.
- Pewnie - odpowiedział Jackie, kiwając głową i lekko się uśmiechając.
- Podstawię wóz blisko domu. Przygotuj ją. Potrzebuję jednej rzeczy, zanim pojedziemy. Na wypadek gdyby Ben tam był.



Ben stuknął w klawisze laptopa Pielgrzyma. Pisał szczegółowy raport na temat każdego kontraktu, który pomógł zdobyć Samowi Hectorowi. Z tego, co się orientował, nic w tych kontraktach nie było nielegalnego... ale bez wątpienia pewne fragmenty mogły zaskoczyć uważnego czytelnika, szczególnie te dotyczące czasu czy braku konkurencji. Większość firm w realnym świecie miała nadzieję na zysk; Hector Global pracował na zasadzie zysku gwarantowanego, wynoszącego około piętnastu procent. Koszty wynoszące osiemnaście dolarów przesyłane były do rządu jako osiemdziesiąt. Pewna liczba kontraktów nie miała w ogóle konkurencyjnych ofert; dopuszczane firmy konkurencyjne były zbyt małe, aby sprostać zleceniu, więc współzawodnicstwo istniało tylko teoretycznie.

Ben zakrył twarz dłońmi i wziął głęboki oddech. Pomógł stworzyć potwora. A teraz - przy zagrożonych kontraktach, przy wysychających funduszach - co uczyni potwór, aby przetrwać? Jego praca i dobre rady pomogły Hectorowi zdobyć kontrakty, wzbogaciły go i dodały mu siłę, pozwoliły sięgać bez problemu do każdej agencji.

Do pokoju wszedł Pielgrzym, wkładając magazynek do pistoletu.

- Wychodzę. Chcę przyjrzeć się dokładnie temu miejscu przed spotkaniem.

- Mam nadzieję, że wrócisz - odparł Ben.

- Jak nie...

- Wtedy znajdę sposób, żeby go pogrążyć.

- Wolałbym go wyeliminować kulką niż arkuszem kalkulacyjnym.

- Czymkolwiek, co się sprawdzi. - Ben wstał. - Po wodzenia. - Podał rękę Pielgrzymowi, który ją uściskał. Potem wyszedł bez słowa.

Ben usiadł, aby dokończyć przelew danych z mózgu do laptopa. Zapisywał każdą zapamiętaną rozmowę z Hectorem dotyczącą Departamentu Bezpieczeństwa. Pisanie przynosiło spokój, dawało złudzenie powrotu do normalności po chaosie minionych dwóch dni. Rozbolało go jednak postrzelone ramię. Teraz musiał wybrać grupę ludzi, do której miał to wysłać - reprezentantów i senatorów, urzędników Departamentów Stanu i Obrony, których specjalnie nie interesowały kontrakty - i przekonać ich, aby potraktowali go poważnie.

Jako że obecnie miał status zbiega, będzie to trudne.

Wstał, poszedł do kuchni, nalał wody do szklanki. Musiał rozprostować nogi. Chciał się zastanowić.

Szkicownik Pielgrzyma leżał na blacie kuchennym; wyraźny znak, że zamierzał wrócić.

Ben podniósł go. Pragnął znowu przejrzeć rysunki, ale byłoby to naruszenie prywatności. Nie chciał jednak zostawić go tam, gdzie mógł zostać zapomniany, gdyby on musiał szybko wyjść. Wepchnął mały czarny notes do kieszeni koszuli.

Zabrał szklankę wody i podszedł do okna. Zachmurzyło

się, szare niebo miało kolor startych łańcuchów. W tę sobotę ekipy budowlane nie pracowały przy remoncie sąsiedniego budynku, toteż słyszał cichy, uspokajający szept wiatru.

Kiedy zaciągnął zasłonę i odwrócił się od okna, na parking wjechał lincoln navigator.

Ben spojrzął na zegarek. Pielgrzym powinien być już przy boiskach. Postanowił sporządzić listę politycznych wrogów Hectora, a potem wysłać im e-maile. Skończył wodę, ponownie napełnił szklanę.

Usłyszał jakieś drapanie przy drzwiach. Zachrobotał zamki i drzwi się otworzyły. Wszedł Jackie z pistoletem wyciągniętym przed siebie, omiatając wzrokiem pokój. Spozstrzegł Bena.

- Ręce na głowę i kładź się! - rozkazał. - Oj, nieźle to wygląda, chłopie. Poważnie.

Ben posłuchał. Pod poduszką na materacu cały czas leżał jego pistolet. Nie miał jednak jak się do niego dostać.

Drzwi się zatrzasnęły. Leżał na szorstkich kaflach w kuchni. Słyszał szybki ruch w mieszkaniu: Jackie sprawdza, czy Pielgrzym czai się w sypialni. Zaczął pełznąć do materaca, a wtedy Jackie zjawił się w drzwiach sypialni, celując do niego z pistoletu.

- Nie mam zamiaru rozwalać ci twarzy - powiedział Jackie. - Ale jednak zamierzam cię uszkodzić. - Pochylił się, wyciągnął komórkę ze spodni Bena i wepchnął ją sobie do czarnej kurtki. Był ubrany na czarno i miał czarne kowbojskie buty. Na jego nosie widniał opatrunek.

- Czysto! - Jackie zawołał przez zamknięte drzwi mieszkania.

Do środka wszedł Sam Hector, prowadząc przed sobą kobietę. Była po pięćdziesiątce, siwiejąca, o pełnych ustach i przerażonych błękitnych oczach.

- Sam... - odezwał się Ben.

Sam uśmiechał się - krzywo, nieszczercze i arogancko.

Jackie podniósł Bena za koszulę, pchnął go na podłogę w salonie. Teraz materac był metr od niego; pistolet leżał z drugiej strony pod poduszką. Ta kobieta - Teach, jak się domyślał - siedziała na krześle, pchnięta na nie przez Hectora.

Hector stanął między nim a materacem. Trzymał pistolet wycelowany w podłogę.

- Byłoby łatwiej, gdybyś przyjechał do mnie do domu, tak jak prosiłem. Klient ma zawsze rację, Ben.

- Nie lubię się mylić - odezwał się Ben - a myliłem się co do ciebie.

Hector wzruszył ramionami.

- Myliłeś się mocno, przyjacielu.

- Nie jestem twoim przyjacielem.

- To prawda. I nie zamierzasz się zestarzeć.

- Jak Adam i Delia, i twoi ochroniarze z centrum Austin. Jesteś mordercą.

Hector uniósł rękę, pogroził mu palcem.

- Mam czyste ręce. A gdzie twój nowy przyjaciel?

- Znikł na dobre.

- Odpowiadaj na pytania. - Jackie poderwał Bena z podłogi i wymierzył mu potężny cios w twarz, aż głowa uderzyła w ścianę. Ben poczuł, że poluzował mu się ząb; krew trysnęła z nosa. Poczuł czubek noża na brzuchu. - Bo inaczej zabawimy się w odcinanie kutasa.

Strużka krwi połaskotała Bena w usta.

- Sam, co ja ci takiego zrobiłem, poza tym, że pomogłem ci się wzbogacić...

- Wiesz, że nie cierpię ludzi, którzy się ociągają. Gdzie jest Pielgrzym? Kiedy wraca?

- Nie wraca.

- Jackie, sprawdź laptopa, zobacz, co robił - polecił Hector.

Jackie podszedł do komputera, otworzył zakładkę z dokumentami.

- Pisał raport o tobie i twoich kontraktach. Niezbyt miły. Obsmarował cię jak ostatniego skurwiela, naprawdę.

- Usuń go. Sprawdź, czy jest jeszcze coś ciekawego na dysku, a potem wszystko wyczyść. - Hector ponownie starał się przywołać na twarz uśmiech. - Ben, sprawiłeś mi niemiłą niespodziankę. Naprawdę. Wiedziałem, że masz mózg, ale nie podejrzewałem, że kręgosłup. - Usiadł przed Benem. - Dokąd poszedł Pielgrzym, co? Jak mi powiesz, to nie pozwolę, by Jackie cię pociął.

Za każdym razem, kiedy groziła mu śmierć przez te ostatnie dwa dni, Ben czuł, jak strach wżera mu się w kości, a adrenalina rozgrzewa krew. Lecz teraz - w obliczu śmierci - ogarnął go dziwny spokój. Musiał chronić Pielgrzyma, obojętnie, co mu zrobią nożem czy pistoletem. Ta świadomość go uspokajała. Kłamstwo łatwiej przychodziło.

- Pojechał do ciebie do domu, żeby poszukać Teach.

Twarz Hectora - maska, którą całymi latami oszukiwał Bena - nie zdradziła żadnej reakcji. Wtedy Ben dostrzegł minimalne drżenie w kąciку ust Sama, a potem usłyszał wściekły szept:

- Nie jest taki głupi. Ty też nie.

Graj na zwłokę.

- Sam, jak możesz udawać normalnego człowieka, skoro nim nie jesteś? Ufałem ci, byłem twoim przyjacielem...

- Prosta logika: ludzie są albo pomocni, albo uciążliwi. - Wyciągnął z kieszeni marynarki zaklejoną kopertę, rzucił ją Benowi na kolana.

- Jak nie chcesz współpracować, trudno. Odkryję karty.

- Nie interesuje mnie to.
- Interesuje. Otwórz.

Ben rozerwał kopertę i wysypał komplet zdjęć. Obrazy uderzyły go niczym pięść olbrzyma, zgniatając płuca, rozplaszczając wszystkie myśli w głowie.

Emily. Fotografowana przez teleobiektyw, jak stoi w kuchennym oknie na Maui tuż przed śmiercią. Następne zdjęcie. To samo. Następne: odkłada słuchawkę telefonu, wgląda na zamyśloną, niemal spogląda w obiektyw, marszczy brwi. Potem zdjęcie okna w kuchni, dziura po kuli znacząca szybę, Emily leży na podłodze.

Zdjęcia wyleciały mu z rąk. Coś ścisnęło go za gardło, za pierś.

- Dlaczego?
- Hector się zaśmiał.
- Dlaczego ty... Dlaczego?

Hector zaśmiał się, jak kot bawiący się zdychającą myszą.

- Ty cholerny morderco...! - krzyknął Ben, a wtedy Teach rzuciła się na Hectora i chwyciła go za gardło. Ben poderwał się, chwytając za pistolet Sama, lecz Sam wyrwał się im obojgu, kopnął w twarz Bena, który padł na podłogę, skierował broń w brzuch kobiety i strzelił.

Teach upadła - oczy miała szeroko otwarte, usta zaciśnięte. Ben znowu wstał, a Hector uderzył go pistoletem w twarz, kopnął w żołądek i powalił na dywan.

Ben spojrzął w oczy Teach. Mrugnęła raz, drugi, przestała, próbowała coś powiedzieć.

- Jackie. - Hector obserwował Teach, mierząc z pistoletu do Bena. Kiedy przestała oddychać, szturchnął ją nogą. - Wywal to ścierwo do sypialni.

Jackie podniósł ciało Teach i wykonał polecenie.

Ben podczołgał się do materaca. Ledwo mógł oddychać.

Pistolet. Poduszka. Jego jedyna szansa, aby uciec i zabić sukinsyna.

- Chyba dość niegrzecznie będzie wypominać, że wszystko ci zabrałem - rzekł Hector. - Żonę. Dobre imię, firmę. Godność.

- Dlaczego... dlaczego? - Niech ten zadowolony z siebie kutas myśli, że mnie złamał. Wsunął rękę pod poduszkę, skulony, jakby się bał, że zaraz Hector go kopnie albo uderzy. Drżał, splunął krwią. Emily. Ona odmieniła jego życie, a teraz, kiedy poznał prawdę o jej śmierci, znowu czuł się odmieniony. Ogarnęła go determinacja. Nie wahał się ani chwili.

- Ben, powiesz mi, gdzie jest Pielgrzym, bo cię znam. Jesteś słaby. Sprzedasz mi tę informację za lekką śmierć. Chcesz zajrzeć Teach pod ubranie i zobaczyć jej rany?

Dotknął palcami broni. Gdy tylko wyciągnie pistolet, Hector go zabije, a nawet, gdyby mu się udało zabić albo ranić Hectora pozostaje jeszcze Jackie. Szanse były kiepskie.

Lecz w innym razie oni go zabiją i poczekają na powrót Pielgrzyma. Śmierć niczego nie załatwia. Przypomniawszy sobie słowa Pielgrzyma: „Czasami najmądrzejszym ruchem w walce jest odwrót”.

- Delia powiedziała mi wszystko o Nowym Orleanie - powiedział Ben i przez moment Hector stał zaskoczony. Ben rzucił mu poduszkę prosto w twarz i podniósł pistolet. Pierze eksplodowało z poduszki, gdy Hector strzelił przez jej środek, ale Ben opróżnił magazynek w kierunku Hectora, biegnąc do okna. Hector rzucił się do tyłu, za blat kuchenny. Pociski wystrzelone przez Bena podziurawiły ładę, ścianę i lodówkę.

Hector wstał, żeby odpowiedzieć ogniem, ale Ben uderzył w okno.

Zaciągnięte i zakurzone zasłony pochwyciły go, gdy skał; ciężki materiał ochronił przed odłamkami szkła. Wypadł

na półpiętro. Gdyby się zatrzymał albo wybrał schody, przypuszczalnie by zginął. Przetoczył się bez chwili wahania pod metalową barierką i spadł na trawę z wysokości piętra.

Mieszkanie znajdowało się na rogu i gdyby pobiegł przed siebie, znalazłby się na otwartej przestrzeni. Zanurkował więc pod podest, rzucił się w przeciwnym kierunku i skręcił za róg. Słyszał ich kroki dudniące na schodach.

Rób to, czego się nie spodziewają. Skręcił za kolejny róg; siatka dzieląca kompleks od sąsiedniej budowy była tuż przed nim. Jeśli dopisze mu szczęście, uznają, że nadal biegnie na północ, gdy tymczasem on wycofa się na południe po przeciwległej stronie budynku. Ben pokonał płot, ignorując drut kolczasty, który wbił się w ramiona i spodnie.

- Tam! - dobiegł go głos Jackiego z parkingu po prawej stronie. Zauważyli go.

Ben spadł na piasek i pobiegł labiryntem budowy. Budynek miał kształt litery U; stał frontem do ulic, a niedokończone boki były niezadaszone.

Teraz się obejrzał. Hector usiadł za kierownicą navigatora i zmierzał w kierunku bramy, Jackie biegł za SUV-em. Sięgał po pistolet.

Ben wymijał taczki, stosy płyt kartonowych, nieczynny wózek widłowy. Lincoln doganiał go z rykiem. Ben uskoczył w lewo, a Jackie strzelił.

Albo go przejadą, albo zastrzelą. Biegł na wprost, SUV jechał za nim. Ben wybierał drogę, gdzie samochód nie mógł wjechać. Zerknął za siebie, a navigator brnął przez budowlane śmieci, kozły ciesielskie i połamane płyty kartonowe trzy metry za nim.

Ben wskoczył na fundament i skierował się do akurat wznoszonej ściany działowej; musiał się ukryć. Schował się za ścianą, gdy trafiły w nią kule.

Usłyszał, jak navigator zatrzymuje się z piskiem opon, potem rozległy się kroki na betonie. Ben wyszedł z drugiej strony - do następnego ogrodzenia z siatki z drugiego boku działki biegła ścieżka. Na otwartym terenie go zastrzela. Ale nie było dokąd iść. Nie można wiecznie przed nimi uciekać, a naboje się skończyły. Liczył kule, jak uczył go Pielgrzym, i wieści nie były dobre.

Pobiegł, ale słyszał za sobą dudnienie kroków.

Kilka metrów za siatką zobaczył grupkę mężczyzn i kobiet czekających pod wiatą Dallas Area Rapid Transit. Rzucił się na płot, korzystając ze słupka, aby się podciągnąć. Wtedy dostrzegł rów oddzielający budowę od przystanku.

Schodził z płotu, gdy zagrzmiały strzały; jedna z kul trafiła go w but, gwałtownie szarpiąc za stopę, kolejna - w pierś. Trzeci pocisk wbił się w metalowy słupek, który zasłaniał mu brzuch; zadrżał od siły uderzenia, jakby kopnął go ktoś niewidzialny. Ben poleciał głową w dół, został na ziemi i przetoczył się do rowu, gdzie wpadł w wodę i błoto, ścieki z budowy.

Wciągnął powietrze do płuc, dźwignął się na nogi, usłyszał, jak ktoś mówi:

- Co jest, do diabła?

Jakaś kobieta krzyknęła i zawołała po hiszpańsku:

- Strzały, słyszałam strzały!

Ben pobiegł rowem, trzymając się nisko; zgiął się, żeby przejść przez kanał biegnący pod jezdnią.

Ktoś z tłumu pewnie dzwoni na policję. Proszę, Boże, niech przyjadą. Wydostał się po drugiej stronie i gramolił po ścianie kanału. Znalazł się na pustym placu z dużym napisem głoszącym, że wkrótce będzie tu więcej pomieszczeń biurowych.

Ani śladu Hectora. Mogli uciec, gdy tylko zobaczyli świadków. Hector nie chciałby, aby ktoś go zidentyfikował.

Ben sięgnął po telefon komórkowy. Nie było go. Przypomniał sobie, że Jackie go zabrał.

Przez dziurki na sznurowadła wylewała się krew. Ból w klatce piersiowej pulsował. Ben obmacał ciało, obawiając się, że znajdzie dziurę po kuli. Klatkę piersiową miał obolałą, jakby trafiono go młotem kowalskim. Dziura w kieszeni koszuli. Pod dziurą trafił na twardy prostokąt, szkicownik Pielgrzyma, w którego skórzaną okładkę utknęła kula.

Musiał odnaleźć Pielgrzyma, zniknąć z ulic. Był zakrwawiony, zabłocony i rzucał się w oczy.



Z pewnym zaskoczeniem Ben dowiedział się, że bezdomni mają telefony komórkowe. Za sklepem stało trzech mężczyzn. Przestali rozmawiać i obrzucili Bena podejrzliwymi spojrzzeniami, kiedy się do nich zbliżył.

- Przepraszam - powiedział Ben - jest tu gdzieś budka telefoniczna?

- Nie - odpowiedział jeden z mężczyzn. - Co ci się stało?

- Wpadłem do rowu. Skaleczyłem nogę. - Wszyscy trzej spojrzeli na jego stopę; ze skarpety sączyła się krew.

- Kawalek dalej jest kościół, dadzą ci lodu - powiedział jeden z trójki.

- Lód i modlitwę - zaśmiał się drugi. - Do kogo musisz zadzwonić?

- Do przyjaciela. Przyjedzie po mnie. - Ben zerknął przez ramię. Żadnego śladu pogoni. Nie będą ryzykowali, aby ktoś ich zobaczył, kiedy na przystanku stał tłum ludzi. To nie znaczy, że nie przeszukują okolicy.

- Ty jesteś ten z gazet - rzekł pierwszy mężczyzna.

Ben zamarł. Trzej mężczyźni przyglądali mu się badawczo.

- Tak - potwierdził drugi.
- Jesteśmy na bieżąco. Nie mamy nic do roboty, więc gapimy się w gazetę - dodał trzeci.
- Jest nagroda? - zapytał pierwszy. Dwaj pozostali otoczyli Bena kręgiem, odcinając mu drogę ucieczki.
- Proszę. Nie dzwońcie na policję. Jestem niewinny. Próbuję złapać ludzi, którzy zabili mi żonę.
- Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie.
- Jak w *Ściganym*? - zapytał jeden z nich.
- Ben skinął głową.
- Jak jest nagroda, gliny tak to urzędzą, żebyśmy nic nie dostali, pewne jak amen w pacierzu - powiedział pierwszy. - Nie chcę też, żeby mnie pokazywali w telewizji. Rodzina wiecznie mnie szuka.
- Masz. - Drugi z mężczyzn wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął okazały telefon. - Możesz skorzystać z mojego, ale nie dłużej niż minutę. Na kartę. Kupiłem go w Wal-Marcie. I nie bierz tego do siebie, ale trzymam telefon, żebyś mi z nim nie uciekł.
- Stopa mu krwawi; nawet jak ucieknie, to niedaleko - dodał pierwszy i zaśmiał się z własnego sprytu.
- Mężczyzna trzymał telefon, a oszołomiony Ben wybrał numer. Wtedy mężczyzna przysunął telefon Benowi do ucha.
- Mów wyraźnie, panie Ścigany. Nie najlepiej słychać.

Chociaż zanosilo się na deszcz, boiska nie były puste; dziesiątki rodzin z dziećmi, w wieku od czterech do pięćdziesięciu lat, krążyły między zielonymi prostokątami. Matki, ojcowie i rodzeństwo stali przy liniach bocznych, rozmawiali między sobą i wykrzykiwali słowa zachęty pod adresem graczy. Trenerzy klaskali i krzywili się; młodzież z liceum sędziowała, dmuchała w gwizdki i okazywała znudzenie.

Ojcowie dopingowali córki. Pielgrzym wiedział, że Tamar gra w piłkę, ale nigdy nie miał odwagi, aby przyjrzeć się grze z bliska; ryzyko było za duże. Dlaczego wybrał to miejsce, pełne ojców i córek? Sypał sobie sól na ranę.

Pielgrzym przemieszczał się w tłumie. Miał na sobie koszulę serwisanta firmy telefonicznej i czapkę baseballową, skarby ze skrytki; trzymał się na skraju tłumu.

W ciągu pierwszych pięciu minut zauważył dwie osoby, które go obserwowały: mamę, która najwyraźniej nie znała innych mam i stała nieco z boku, ze skrzyżowanymi rękami, nie skupiając uwagi na cudownej grze dziecka, ale za to często lustrując tłum. Był jeszcze mocno zbudowany młody mężczyzna w koszulce sędziego, która jednak nie była

wepchnięta w spodenki, ale wypuszczona na zwykłe, długie spodnie. Mógł tam ukrywać pistolet. Facet nie był większy od licealisty, ale twarz miał starą. Ciągłe zerkał na inne mecze.

Żadne z nich do niego nie podeszło. Chcieli, aby rozmawiał z Vocek. Prawdopodobnie spróbują go zgarnąć, jak skończy rozmawiać.

Jednak złamała obietnicę albo przełożona ją zmusiła. Głupia.

Sześciolatkwowie skończyli mecz, wypili po kartonie soku i coś przekąsili. Teraz wracali razem z rodzicami. Trzymał się w ich pobliżu; z telefonem przy uchu udawał, że jest mocno zajęty rozmową.

Wyszedł z nimi na parking i zerknął za siebie. Obserwatorzy nadal tkwili na swoich miejscach i nikt inny za nim nie ruszył. Wskoczył do samochodu i nie przejmował się wycofywaniem. Ruszył przed siebie, przez krawężnik, po trawie, aż wypadł na ulicę. Wcisnął klawisz szybkiego wybierania i połączył się z Vocek.

- Mówiłem, żebyś przyszła sama - powiedział. Westchnęła.

- Chciałam - odparła - ale mnie przegłosowano. Przy najmniej była na tyle mądra, że nie zaprzeczała.

- Przykro mi, ale nie możemy się spotkać, skoro łamiesz umowy.

- Mogę zaproponować ci układ. Co powiesz na to, żeby porozmawiać ze mną i moją szefową?

- Muszę odrzucić twoje miłe zaproszenie. Przykro mi, nadużyłaś mojego zaufania.

Milczała przez chwilę, a potem jej ton złagodniał.

- Randall. Wiem, że masz córkę. Tamarę. Mogę załatwić, abyś się z nią znowu zobaczył.

- Poczuł w piersi chłód, jakby wniknęło w nią ostrze noża.
- Trzymaj się z daleka od mojego dziecka. I mojej byłej żony.
 - Nie chcę ich skrzywdzić, próbuję dać ci to, czego chcesz.
 - Vocek, nie wiesz, czego chcę.
 - To mi powiedz.
 - Rozmawiać z kimś, kto rzeczywiście ma władzę i może ze mną negocjować. Żegnam.
 - Czekaj, proszę, muszę wiedzieć, co ma się wydarzyć w Nowym Orleanie.
 - Też muszę wiedzieć. Do widzenia, Vocek. - Rozłączył się i natychmiast zawrócił, zatrzymał się na parkingu przed barem szybkiej obsługi. Czekał.

Pięć minut później zobaczył ją w fordzie, jak szybko ruszyła. Dwa inne fordysy jechały za nią.

Pojechał za nimi. Śledzenie w Plano było łatwe i zarazem pełne wyzwania; ulice przeważnie były długie i proste, ale panował duży ruch - na tym przedmieściu żyło ćwierć miliona ludzi - i kierowcy nieustannie zmieniali pasy, by zdobyć choć centymetr przewagi. Sztuka polegała na tym, aby trzymać się blisko, lecz niezbyt blisko, i nie zgubić ich przy szybko zmieniających się światłach. A jednocześnie nie zostać zauważonym.

Trzy samochody skierowały się do centrum handlowego, za którym skręciły. Pielgrzym zdziwił się, widząc pas startowy dzielący okolicę, ciąg hangarów z flotą prywatnych samolotów skrytych pod dachami.

Znalazłem cię, pomyślał. Co za ciekawe miejsce.

W centrum handlowym przyczał się i obserwował dom. Ona i jej koledzy wejdą do środka, zadzwoni do szefowej, zamelduje o niepowodzeniu, może poprosi o kolejną szansę.

Co ciekawe, nie wrócili do biura. Vocek, jak mówił wcześniej Ben, miała kwatery w Houston. Zastanawiał się, czy jej współpracownicy to miejscowi. Jeżeli tak i wyjadą wcześniej...

Zadzwoił telefon. Nie znał tego numeru. Odebrał.

- Tak.
- Tu Ben.
- Tak.
- Potrzebuję pomocy.
- Jaśniej.
- Jestem sześć ulic od mieszkania. Mały wypadek. Mam zranioną nogę. Przyjechał Hector i wściekł się, wiesz, jaki jest.

- Nic ci nie jest? Złapał cię?
- Jestem zdrow, nie złapał mnie.

Wiedział, że Ben by go nie zdradził, nawet gdyby teraz Hector przystawiał mu pistolet do głowy. Dotarło to do niego z pełną jasnością pomimo chwili zwątpienia.

- Jestem przy centrum handlowym Plano Palisades, na przeciw Plano Air Ranch Park. Masz pieniądze przy sobie?

- Tak.
- Weź taksówkę.
- W Dallas? Nie kręć się po ulicach w poszukiwaniu klientów.

- Ben. Daj mi twój adres, zadzwonię po taksówkę dla ciebie, zapłacę. Jestem na północ od Nordstroma.

- Dobra. - Ben miał głos, jakby miał zaraz zemdleć.
- Wszystko w porządku?
- Strasznie mi przykro. - W głosie Bena pojawiło się przerażenie. - Miałeś całkowitą rację.

- W sprawie czego?
- Muszę iść, mój czas...

Telefon zamilkł.

Hm, jeżeli mylił się i Hector właśnie go zlokalizował, niech przychodzi. Będzie tu czekał, przestrzeli Hectorowi i Jackiemu kolana i zaciągnie ich do bezpiecznego domu Vochek niczym kot znoszący pokiereszowane, martwe ptaki.



Godzinę później zjawiała się taksówka. Pielgrzym wysiadł z volva i wyciągnął banknoty dla taksówkarza. Ben wszedł od strony pasażera, ściągnął but. Nie patrzył na Pielgrzyma.

- Powiedz, co się stało. - Pochylił się i przyjrzał nodze Bena.

- Mam złe wiadomości - rzekł Ben. Pielgrzym pochylił głowę. - Teach nie żyje.

- Mów. - Gdy Ben wyjaśniał, twarz Pielgrzyma pozostała nieruchoma niczym kamień.

- Umarła, próbując mi pomóc.

Pielgrzym się krzywił. Wysiadł z samochodu i stanął przy drzwiach. Ben wysiadł i spojrzał na niego.

- Pielgrzym... człowieku, przykro mi.

Obok przejeżdżały samochody i mijali ich ludzie, pogrążając w szumie przez kilka chwil.

- Zabił ją, bo więcej jej nie potrzebował. Przejął całkowitą kontrolę nad Piwnicą. Wygrał.

- Nie. Nadal żyjemy, możemy z nim walczyć. Zabił Emili. Ma jej zdjęcia. Zdjęcia zrobione tuż przed zabójstwem i zaraz po zabójstwie.

Twarz Pielgrzyma pobladła. Potrząsnął głową. Czekał kilka chwil, aż głos mu powróci.

- O Boże, Ben.

- Byłem idiotą... Bronilem go... Zarobiłem dla niego fortunę... a on zabił mi żonę.

- Gdzie są te zdjęcia?

- Nie wiem. Były na podłodze... Wątpię, żeby Hector wrócił do mieszkania, aby je pozbierać.

Pielgrzym przetarł dłonią usta.

- Więc zdjęcia tam jeszcze są. Z ciałem Teach.

- Jakie to, do cholery, ma znaczenie?

- Może wprowadzić w błąd policję. - Pielgrzym wziął głęboki oddech. - Musimy się ruszyć. Pokaż mi swoją stopę.

- Nic mi nie jest.

- Daj mi się tym zająć, dobra?

Skorzystał z apteczki samochodowej, aby opatrzyć stopę Benowi - kula znacznie zmniejszyła prędkość podczas przechodzenia przez sztuczną skórę buta i gęstą siatkę, pozostawiła paskudny ślad i oderwała fragment ciała z podbicia. Tkwiła w zakrwawionej skarpecie, między stopą a butem. Pielgrzym wyłuskał ją na podłogę.

- Tu jest kolejna. - Ben podał mu zniszczony szkicownik. - Włożyłem go do kieszeni. Nie chciałem, abyś go zgubił.

Pielgrzym wydobyl kulę z kartek, schował notes do kieszeni bez słowa, nie sprawdzając nawet, jak bardzo pocisk uszkodził rysunki.

- Ben, nie mam nic przeciwbólowego.

- Niczego nie potrzebuję. Co teraz?

- Porozmawiamy z Vocek. - Ruchem głowy wskazał dom. - Tylko jeden wóz tam teraz stoi; kumple odjechali. Chodźmy.

Bezpieczny dom miał na ganku kamerę i gdy rozległ się dzwonek, Vocek zmarszczyła czoło, widząc twarz na monitorze. Otworzyła drzwi, trzymając w ręku pistolet.

Ben uniósł ręce.

- Jestem nieuzbrojony - powiedział.

Vocek dała mu znak, aby wszedł.

- Gdzie Randall Choate? - zapytała.

Ben wzruszył ramionami i wszedł do środka. Usłyszeli stłumiony krzyk i odgłos ciężaru padającego na podłogę.

- Nie zamierzamy cię skrzywdzić, ale on chce porozmawiać tylko z tobą.

Vocek pobiegła do kuchni. Pilot z Departamentu, który korzystał z kryjówki, leżał nieprzytomny na podłodze. Pielgrzym zaglądał do lodówki. Znalazł puszkę coli i otworzył. Na kuchence wrzała zupa pomidorowa; kanapki z szynką leżały niedokończone na deseczce. Pielgrzym wyłączył ogień pod garnkiem.

- Paskudnie wykipiało - powiedział.

Wycelowała w niego pistolet.

- Na podłogę. Właśnie napadłeś na oficera federalnego.

- Wy wszyscy macie o sobie wielkie mniemanie - rzekł Pielgrzym. - Skoro jest z niego taki federalny twardziel, to nie powinien padać, jak go tylko pogłaskałem. Bądź tak uprzejma i skieruj swojego grata gdzie indziej. Chciałaś rozmawiać, proszę, przyszedłem. Jesteśmy nawet na twoim terenie.

- Na podłogę, ale już! - krzyknęła.

- Jeszcze dzisiaj twoja kariera trafi do kibla albo będziesz szefować Biuru Inicjatyw. Wybieraj.

Nadal w niego celowała.

- Posłuchaj go - zaproponował Ben. - Jesteśmy po twojej stronie. Mamy informacje, których potrzebujesz, i chcemy się nimi podzielić. Ale w zamian musisz nam pomóc. Wiesz, że Pielgrzym potrafi zniknąć. Nie sprawdzaj go.

- Powiedział mi, że jesteś niewinny. - Nie odrywała wzroku od Pielgrzyma. - Ale nie jestem pewna, czy powinnam wierzyć komuś, kto przez dziesięć lat kłamał, że nie żyje.

- Pielgrzym musiał zniknąć z powodu Sama Hectora. Interesuje cię to? - zapytał Ben.

Po kilku sekundach opuściła broń. Uklękła przy nieprzytomnym pilocie, sprawdziła puls, przesunęła dłonią po jego głowie.

- Będzie go bolała łepetyna, nic więcej, poleży jeszcze jakąś godzinę - ocenił Pielgrzym. - Chodź, położymy go na kanapie. - Razem z Benem przenieśli pilota do salonu, ułożyli na kanapie i wsunęli mu poduszkę pod głowę. Ben poczekał, aż Vocek wróci do kuchni; zajrzał do kieszeni pilota i wyciągnął komórkę, wsadził ją sobie do kieszeni, gdy wracał do kuchni.

- Mów - poleciała.

Pielgrzym wetknął łyżkę w zupę pomidorową, skrzywił się.

- Powiem ci o każdej brudnej robocie, jaką wykonałem przez ostatnie dziesięć lat. O każdym zadaniu Piwnicy.

- Piwnica.
- To zakodowana nazwa grupy nieudaczników i wyrzutków z CIA, których ścigasz.

- Piwnica. - Wyglądała na lekko oszołomioną, jakby właśnie przebudziła się ze snu. Ben domyślił się, że nawet nie znała nazwy grupy, którą ścigała. - Dobrze. Rozmawiałam z szefową i mam autoryzację, aby zająć się tobą, jeżeli chcesz się poddać.

Pielgrzym zmarszczył brwi na słowo „poddąć”, jakby nieprzyjemnie pachniało.

- Świetnie. Najpierw Benowi zagwarantujesz pełną nieetykalność. Jest niewinny.

- Dobrze, zrobię, co mogę.

- Mocno się postaraj z tym swoim „co mogę”, agentko Vocek, bo inaczej zacisnę rękę jak skąpiec i nic nie dostaniesz. - Przedstawił jej skróconą wersję ostatnich dni ze specjalnymi szczegółami dotyczącymi ich ucieczki z biura Departamentu w Austin. Ben zauważył, że Pielgrzym opuścił krytyczne informacje: nazwę hotelu w Nowym Orleanie, do którego zadzwonił Barker. Domyślił się, że chciał zachować atutową kartę na przyszłe negocjacje, więc nic nie powiedział.

Vocek nie przerywała mu ani nie zadawała pytań; kilka razy marszczyła brwi i potrząsała głową. W końcu się odezwała:

- Możesz potwierdzić, że Sam Hector był zabójcą CIA znanym jako Smok? 1

- Będzie to moje słowo przeciw jego, chyba że CIA przezwie milczenie na jego temat.

- CIA spotka się z olbrzymimi naciskami politycznymi, żeby sprawa Hectora nie ujrzała światła dziennego. On ma wielu wpływowych przyjaciół - powiedział Ben. - Ale to nie

jest nasze największe zmartwienie. Największe to Nowy Orlean. –Nadal nie rozumiem, na czym polega zagrożenie.

Pielgrzym oparł się o ladę, popił długi łyk coli.

- Przejął Piwnicę, aby wykonywała brudną robotę. Robotę, w której nie mógł wykorzystać regularnych pracowników kontraktowych, ponieważ brakowało im wykszolenia albo mogliby się zbuntować albo zadawać za dużo pytań. Agenci Piwnicy myślą, że dostają rozkazy od Teach, ale nie wiemy, co to za zlecenie. Założę się, że jest wielkie, bo podjął się ogromnego ryzyka, aby je zrealizować. - Pielgrzym odchrząknął. - Pomogę ci powstrzymać Piwnicę przed wykonaniem tego zadania.

- To znaczy, że od teraz jesteś wolnym strzelcem - powiedziała spokojnie.

- Ale trzymamy się z tobą. I potrzebujemy twojego samolotu - dodał Ben.

- Samolotu. - Mrugnęła, jakby widziała ruch ust, ale żaden dźwięk do niej nie dotarł.

- Dom stoi przy pasie startowym - zauważył Ben.

- Teraz samolot jest bezużyteczny - powiedziała. - Ogłuszyłeś pilota.

- Umiem pilotować - oznajmił Pielgrzym. - Lecimy natychmiast. Zanim się facet przebudzi.

- Tak po prostu do Nowego Orleanu? - Potrząsnęła głową. - Nie. Musimy zadzwonić do CIA, do Departamentu Bezpieczeństwa...

Ben pokręcił głową.

- Hector robi to dla pieniędzy. Pracuje na zlecenie. Twoje tajne biuro w Departamencie zapłaciło mu, żeby znalazł Piwnicę. Wykonał to, ale nie podzielił się z tobą informacjami, prawda?

- Nie. Jeżeli powiedział, moja szefowa to przede mną ukryła.

- Ale teraz poszedł dalej, przejmuje Piwnicę, będzie kontrolował ich misje. Ma zespół świetnie wyszkolonych agentów, którzy sądzą, że czynią dobro, wykonując te zadania. A skoro przejął kontrolę nad Piwnicą, to możliwe... - przerwał, aby dotarła do nich waga słów - ...że zapłacił mu inny klient. Nie twoja szefowa. Ktoś inny kupił sobie prywatne CIA.

Te słowa zawisły w powietrzu niczym kłątwa.

- A dokonał tego, zabijając moją przyjaciółkę i mentorkę - powiedział Pielgrzym. - Zamordował żonę Bena. Musi umrzeć. Nie zapłacić. Umrzeć.

Vocek pobladła we fluorescencyjnym świetle w kuchni. Ben wyciągnął rękę i lekko dotknął jej ramienia.

- Hector postanowił wykorzystać mnie i Pielgrzyma. Chciał go wyeliminować dlatego, że znali się jeszcze z czasów, kiedy pracował jako zabójca; z kolei mnie łatwo byłoby powiązać z wynajętym mordercą z racji tego, jak zginęła moja żona. Zabija Adama i Pielgrzyma, a ponieważ Pielgrzym współpracował z Adamem, używając mojego nazwiska, wygląda na to, że jestem powiązany z nimi obydwojma. Po śmierci Pielgrzyma okazałoby się, że kiedyś zabijał dla CIA; Hector postarałby się, aby ta informacja wypłynęła. Potem na mnie spada odpowiedzialność za śmierć żony... a może też Adama i Pielgrzyma. Realizacja jego planu nabrała tempa, kiedy Pielgrzym zostawił moją wizytówkę przy ciele snajpera.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego wybrał ciebie za cel, Ben, skoro byliście przyjaciółmi.

- Dwie pieczenie na jednym ogniu. Obwinił mnie o zamordowanie żony i usunął z drogi podczas przejmowania Piwnicy. Musiał to zrobić, bo dobrze znam jego firmę.

- A my daliśmy mu pracę. - Vocek na moment zamknęła oczy. - Moja szefowa jest klientką Hectora. Margaret Pritchard. Cały tydzień zawracała głowę Hectorowi.

- Więc nie możemy jej ufać - powiedział Pielgrzym. - Ty też nie.

- Nie mogę tak po prostu pozwolić, żebyście wzięli samolot Departamentu i polecieeli do Nowego Orleanu.

- Agentko Vocek - odezwał się Pielgrzym. - Chcesz naszej współpracy. Teraz musimy działać. Decyduj. Bo inaczej zdecydujemy za ciebie, z całym należnym szacunkiem.

Sam Hector naprowadził learjeta na prywatny pas. Po chwili był już w powietrzu. Ustawił kurs, nawiązał kontakt radiowy z kontrolą ruchu powietrznego nad Dallas. Potem zamilkł, zsunął słuchawki i wybrał numer na pokładowym telefonie.

- Mam nadzieję, że zostawicie mi trochę gumbo - powiedział.

- Niewiele. Spodziewałam się, że zadzwonisz wcześniej... - odparła Margaret Pritchard.

- Zaszła zmiana w planach.

- Słucham.

- Dziś po południu policja znalazła ciało w pewnym mieszkaniu. Mam źródło w tym wydziale. To ciało kobiety, która najwyraźniej jest powiązana z Randallem Choate'em.

- Skąd wiesz, że jest...

- Nie wiem. Ale może warto, aby twój agent pokazał zdjęcie Choate'a gospodarzowi, sprawdził, czy ktoś go poznaje. Sprawdź, czy zdjęcie denatki pasuje do jakiejś byłej agentki CIA, także tych zaginionych w akcji. Mój informator prześle ci kompletną historię. - Odchrząknął. Nie musiał

wchodzić w szczegóły dotyczące raportu policyjnego; starczą rozrzucone zdjęcia przedstawiające Emily Forsberg tuż przed śmiercią i zaraz po i opis Bena Forsberga przedstawiony przez świadków z przystanku autobusowego. Lepiej, żeby usłyszała to z niezależnego źródła. Z mieszkania zabrał jedynie laptopa; nie było powodu, by policja odkryła usunięty z twardego dysku raport Bena.

- Za dużo zabitych - powiedziała. - Nie da się tego utrzymać w tajemnicy.

- Nieprawda. Ukrywali się od lat i dzięki pracy Adama i moim poszukiwaniom wyciągnąłem trzech z nich w ciągu ostatnich kilku dni; ta kobieta może być czwarta. Ta grupa imploduje pod moim naciskiem - skłamał. - Wiedzą, że niedługo zostaną zdemaskowani. Choate chyba próbował wyeliminować wszystkich, którzy mogli mówić.

- Nie potrzebuję trupów. Potrzebuję żywych, którzy nam powiedzą, gdzie jest reszta grupy.

- Wiem, Margaret - odparł. - Już jesteśmy blisko. Jest jeden problem.

- Jaki?

- Wiedzą, że ich ścigam. Dzwonił do mnie Ben Forsberg. Groził mi. Mówił, że obsmaruje mnie i moją firmę. Nie ustąpię. Kto wie, co on wyciągnie, co wymyśli? To wszystko będą kłamstwa, ale chciałbym, abyś maksymalnie to wyciszyła. Jak będziesz rozmawiać z szefową policji w Dallas o tej sprawie powiązanej z Departamentem Bezpieczeństwa, musisz jej wytłumaczyć, że pracuję dla ciebie i wszelkie zarzuty pod moim adresem są bezpodstawne.

Zawahała się, jakby prosił ją o zbyt wiele.

- Sam...

- Mam zadzwonić do sekretarki w Departamencie? Tak będzie łatwiej?

- Pewnie, że nie. Zajmiemy się tym. Przyjdiesz tu od razu, jak wylądujesz?

- Nie. Mamy dalsze ślady, ale zadzwonię, jak wyląduję. Podziękowała mu i rozłączyła się.

- Chyba za bardzo podkreślałeś swój udział w całej tej sprawie - zauważył Jackie.

- Ben i Pielgrzym już nam nie zaszkodzą. Ben uciekł z miejsca zbrodni i zostawił zdjęcia zamordowanej żony. Nikt im nie uwierzy.

- Wiedzą o Nowym Orleanie. Rozmawiał z Delią Monon...

- Nie zna szczegółów. A poza tym nie dotrą tam na czas.

Hector skierował samolot na południowy wschód, w kierunku Nowego Orleanu. Ciężka robota była prawie na ukończeniu. Nie minie dzień, a będzie miał zapewnioną przyszłość.

Pilot przebudził się i poruszył. Z kuchni dobiegały jakieś głosy. Dwóch mężczyzn i Vocek. Mówili o... mówili o zabranii samolotu. Czuł zapach zupy pomidorowej, którą zaczął podgrzewać, i pomyślał, że jedyną częścią ciała funkcjonującą normalnie jest nos. Bolał go kark, ledwo widział, a ręce miał ciężkie, jakby ciało zamieniło się w żelazo. Szukał w kieszeni komórki... nie znalazł. Ale przypomniał sobie rozmieszczenie przycisków alarmowych w domu. Naciśnięcie przycisku wyśle bezgłośny sygnał alarmowy do biura Departamentu w Dallas i powiadomi policję w Plano.

Usłyszał, jak ci z kuchni wyszli; dźwignął się na nogi, upadł na kolana i zaczął iść na czworakach do przycisku w biblioteczkę.



Samolot był zatankowany i załadowany. Pielgrzym sprawdzał przyrządy, kiedy rozległy się syreny.

- Pielgrzym. - Ben wskazywał coś ponad jego ramieniem. - Musimy ruszać. Już.

Przez główny wjazd na lotnisko z piskiem opon wpadł radiowóz policyjny z błyskającymi kogutami.

- Wszystko im wyjaśnię. - Vocek sięgnęła do drzwi.
- Ben, nie pozwól jej. - Pielgrzym włączył silniki, pokolewał na pas. - Nie możemy ryzykować, że zabraknie ci daru przekonywania.

Wóz policyjny wjechał na trawę przy pasie, gdy odrzutowiec pędził po betonie.

- Wjedzie na pas - krzyczała Vocek.
- Nie jest samobójcą. - Pielgrzym zwiększył prędkość. Samolot pędził w stronę radiowozu. Drugi samochód patrolowy podążał za pierwszym; oba były już na pasie.
- O Chryste - wyszeptał Ben.

Odrzutowiec mknął do przodu prosto na samochody, które w ostatniej chwili ustąpiły mu z drogi. Koła samolotu uniosły się i samochody zostały w dole.

- Policjanci nie wysiedli, więc wiedziałem, że nie zaparkują na pasie. Zdrowy rozsądek - rzekł Pielgrzym.
- Od tego twojego zdrowego rozsądku dostanę ataku serca - powiedział Ben.

Radio w samolocie zaczęło trzeszczeć.

- Każą nam lądować - dodał Ben.
- Wyjaśnij, że lecimy z pilną misją Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Twoja szefowa ma posłuch? - zapytał Pielgrzym.

Vocek skinęła głową.

- Może otworzyć nam drogę. Ale może też nas zatrzymać.

- To niech doprowadzi nas do samego Nowego Orleanu. Inaczej trzeba się liczyć z tym, że nas zestrzelą.

Vocek sięgnęła po radio i poprosiła kontrolę ruchu o kryzysowe połączenie z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego. Po trzech minutach odezwała się Margaret Pritchard.

- Agentka Vocek?

- Tak. Z panem Choate'em i panem Forsbergiem.
 - Proszę powtórzyć.
 - Pan Choate i pan Forsberg poddali się i są pod moją ochroną.
 - Zrozumiałam.
 - Chcę zawrzeć układ, pani Pritchard - odezwał się Pielgrzym. - Możemy udzielić wam wszystkich potrzebnych informacji na temat większej tajnej grupy rządowej. Ale musimy dolecieć do Nowego Orleanu... bez problemów. Tego chce Vocek i my.
 - Dopilnuję, żebyście mieli czystą trasę do Nowego Orleanu - odparła Pritchard z rezygnacją w głosie.
 - Dziękuję, Margaret - powiedziała Vocek.
 - Jeszcze jedno - dodał pospiesznie Ben. - To część umowy. Proszę powiedzieć Samowi Hectorowi, że poddaliśmy się Departamentowi Bezpieczeństwa i jesteśmy przesłuchiwani przez was w bezpiecznym miejscu. Media i policja w Dallas nie wiedzą o tym.
- Cisza trwała tak długo, aż wydało im się, że zerwała połączenie.
- Dlaczego mam go okłamywać? - zapytała Pritchard.
- Ben spojrział na Vocek błagająco.
- Mamy poważne dowody przeciw Hectorowi - powiedziała Vocek. - Byłoby najlepiej, gdyby uwierzył, że oni nie stanowią dla niego zagrożenia.
 - Rozumiem. - Pritchard przerwała połączenie i z radia dobiegały jedynie komunikaty lotnicze, polecenia dla Pielgrzyma, aby wzniósł się wyżej.
 - Pritchard go okłamię? - zapytał Ben.
 - Nie podoba mi się, że nie zapewniła nas o tym - odparła Vocek. Ona i Ben siedzieli w tyle samolotu, wygodnie rozparci w fotelach. Teksas roztaczał się pod nimi. Gdy

słońce chyliło się ku zachodowi, Bena dopadło zmęczenie, bolało go całe ciało; zamknął oczy. Usłyszał, jak Vocek pyta:

- Dlaczego?
- Dlaczego co? - odpowiedział pytaniem Pielgrzym.
- Dlaczego Piwnica? Dlaczego powstała?
- Nie wiem.
- Wstąpiłeś do niej i nigdy nie pytałeś?
- Ignorancja ma swoje zalety. Nie zatrudnili mnie ze względu na inteligencję.

- Nie - potwierdziła. - Zabijałeś dla CIA. A potem dla Piwnicy.

- Tak. Więcej kradłem i szpiegowałem, niż zabijałem.

Zamilkła, a szum silników działał niczym koc. Ben pomyślał o Emily; nienawidziła latania, nigdy nie weszłaby do tak małego samolotu.

- Zabijałeś, kradłeś, szpiegowałeś. Czego robiłeś najwięcej? - znowu zagadnęła.

- Czy to ma znaczenie? - zapytał Pielgrzym.

- Zabijałeś tylko złych - rzekła.

Ben czuł, jak falami ustępuje jej napięcie. Normalnie nikt nie żartuje sobie z mordercą.

- Zabijałem - przyznał Pielgrzym - i to jest złe. Musiałem nauczyć się nie wymiotować po zabójstwie. Ale nie będę żałował ani przez chwilę, gdy zabiję Hectora.

- Jeżeli Hector jest winny - powiedziała Vocek - a nie twierdę, że jest, to w żadnym razie... nie możesz go zabić. Musimy go mieć żywego.

- Mało mnie obchodzi, co musicie. Mówię wam, co się stanie.

- Nie pracujesz już dla Piwnicy.

- Dla was też nie.

Szturchnęła Bena palcem.

- Otwórz oczy. Powiedz, dlaczego Hector miałby ryzykować to przejście tajnej grupy?

Ben się zastanowił.

- Człowiek taki jak Hector ryzykuje swój interes tylko po to, aby go ratować. Cokolwiek robi, musi to być coś, co pomoże mu utrzymać się na powierzchni. Ostatnio stracił wiele kontraktów, wielu współpracowników od niego odeszło. Parę dni temu powiedział mi, że niedługo nie będzie już musiał się martwić.

Zamilkli, gdy pojawiła się pod nimi Luizjana. Ben zamknął oczy i wyczerpany się zdrzemnął. Śniła mu się Emily, delikatny uścisk jej dłoni. Spokojna i cicha. Obudziły go słowa Pielgrzyma:

- Jakiś samolot szybko się do nas zbliża.

Ben przycisnął twarz do okna.

- To nie jest myśliwiec - powiedział. - Prywatny odrzutowiec, ale większy od naszego.

- Są za blisko - ostrzegła Vocek.

- Czekaj chwilę - rzekł Pielgrzym i wyciągnął z ucha słuchawkę, aby rozmowa była słyszalna w kabinie.

- Tu Pritchard. Ten samolot będzie was eskortował do Nowego Orleanu, na lotnisko Lakefront. Po wylądowaniu wyrzucicie broń, opuścicie samolot z rękami na głowie i położycie się na pasie. Zrozumieliście?

- Zrozumieliśmy - potwierdził Pielgrzym. - Dzięki za eskortę. - Rozłączył się.

- To tylko ostrzeżenie - odezwała się Vocek. - Przez dziesięć lat byłeś wyrzutkiem. Chcą być pewni, że umiesz się zachować.

- Albo że mogą nas kontrolować - dodał Ben.

- Jak mnie zabiją - powiedział Pielgrzym - dadzą ci awans w nagrodę albo zlikwidują, bo wiesz za dużo. - Vocek zaczęła potrząsać głową, a Pielgrzym podniósł rękę. -

Uważaj na siebie, przynajmniej dopóki atrament nie wyschnie na liście pochwalnym.

- Masz paranoję.
- Powiedz - odezwał się Ben - jaki będzie finał znalezienia wszystkich nielegalnych grup takich jak Piwnica?
- Zamknij się.
- Racja. A co potem? Procesy wszystkich członków i tych, którzy wydawali rozkazy, publiczny spektakl, największe pranie brudów w rządzie nadawane na cały świat? Czy może zamknięcie przebiegnie dyskretnie? Będziecie musieli znaleźć sposób, aby nakazać wszystkim milczenie.
- Na pewno nie zamierzaliśmy eliminować ludzi.
- Ale nie zamierzaliście też ich zwalniać i im wybaczać - dodał Ben.

- Nie, raczej nie.
- Darujcie, ale nie mam ochoty stawać przed plutonem egzekucyjnym - powiedział Pielgrzym.

Pod nimi roztaczała się poświata nad Nowym Orleanem, słabsza od czasu huraganu. Odezwała się wieża lotniska Lakefront - gdzie odrzutowce takie jak ich zwykle lądowały - i podała Pielgrzymowi instrukcje podejścia.

Teraz mknęli nad jeziorem Pontchartrain, wielkim akwenem, niegdyś źródłem śmiertelnej fali, która zalała miasto. Nadciągnęła szybko i pochłonęła centrum.

Wieża powtórzyła instrukcję lądowania.

Pielgrzym spojrział na wskaźniki. Wysłuchał raportów o pozycji samolotów w pobliżu, mierząc odległość i prędkość, obliczając ich dystans od Lakefront i Międzynarodowego Portu Lotniczego imienia Louisa Armstronga.

- To się uda - powiedział, na wpeł do siebie, i stromo zanurkował ku wodzie.

Ben przycisnął twarz do okna. Gdy oni mknęli ku ziemi,

samolot Departamentu rzucił się w dół, próbując trzymać się w pobliżu.

- Ben, on oszalał, na miłość boską! - Vocek chwyciła Pielgrzyma, ale on jedną ręką pchnął ją na siedzenie.

- Ben, daj mi natychmiast pistolet - poleciła.

- Nie. - Nie wycelował w nią, ale trzymał pistolet blisko ciała. - Wie, co robi.

- Taki sam z ciebie wariat jak z niego.

Kontrola ruchu lotniska Lakefront nie była zachwycona tym, co rejestrowała, i spokojnie ostrzegła Pielgrzyma, że nie ma zezwolenia na zmianę pułapu. Leciał nisko nad długą niecką jeziora Pontchartrain, ale spowolnił schodzenie. Przemykał zaledwie siedemdziesiąt metrów nad taflą wody, aż znalazł się nad miastem. W świetle latarni widział ludzi na ulicy w zdziwieniu i strachu obserwujących samolot; może byli przekonani, że maszyna zaraz się rozbije.

Ale odrzutowiec Departamentu Bezpieczeństwa zbliżał się do nich. Pielgrzym przemknął nad Superdromem, wznosząc się, by ominąć jego szczyt, wykonał nawrót nad Dzielnicą Francuską, znowu zszedł nisko i leciał wzdłuż Missisipi, kierując się na Lower Ninth Ward. W dole, w jaskrawej księżycowej poświacie leżała upiorna sieć dróg, ulic i ruin pozostawionych przez Katrinę, które teraz stawały się elementem krajobrazu. Ben przyglądał się szerokim połaciom łąd, gdzie nic nie zostało odbudowane; wiele domów nadal leżało w gruzach. Na podwórkach stały przyczepy mieszkalne. Patrzył, jak wysokościomierz podaje coraz niższe wskazania. Znajdowali się siedemdziesiąt metrów nad zrujnowanym miastem. Ryk silników odbijał się echem od ziemi.

Z przerażającym hukiem wykonali ostry skręt ku ruinom.

Ten wariat zamierzał lądować. Na ulicy. Vocek widziała sieci energetyczne, przekrzywione słupy, przewalone płoty przed domami, ruiny uciekające przed śmiercią.

Ben nadal trzymał pistolet, nie celując w nikogo, zaciskał usta zmartwiony.

- Ben. Powiedz, żeby tego nie robił.
- Wie, co robi.

Wątpliwe. Chwyliła pistolet i mocno wbiła łokieć w pierś Bena. Teraz trzymała broń oburącz i próbowała wyrwać z jego uścisku.

Pielgrzym znowu wykonał ostry zwrot samolotem, nachylając maszynę pod kątem prostym, zwolnił i szukał odpowiednio szerokiej ulicy.

Siła nagłego skrętu sprawiła, że Vocek odrzuciło od Bena, który przełożył pistolet do drugiej ręki, byle dalej od niej. Wtedy mała, ale ciężka pięść trafiła Bena w tył głowy, aż uderzył twarzą w okno. Rozciął sobie wargę.

Zgiął się i zakrył ciałem pistolet. Nie mógł jej pozwolić, aby przejęła broń. Samolot wykonał kolejny skręt w lewo, gdy Pielgrzym starał się zwolnić, zanim skończą mu się ulice do wylądowania. Ben z tak bliska zobaczył przednie światła samochodu na opustoszałej jezdni, że niemal można było ich dotknąć.

Vocek wylądowała mu na plecach. Jedną ręką chwyciła go za gardło, a palce drugiej wbiła mu w oczy.

- Ben, proszę, daj mi pistolet, zanim on nas zabije.

Pielgrzym szukał asfaltu. W poświacie księżycy i światła samochodów i domów zobaczył pięciopasmówkę, jedną dość zatłoczoną przecnicę na skraju dzielnicy, gdzie drogi i działki zostały zmiecione przez huragan. Były też mniej zatłoczone ulice. Przy jednej stało mniej domów i przyczep, mniej było podwórek ogrodzonych siatką. Na tej biegnącej

prosto ulicy parkowało niewiele samochodów. Samolot Departamentu krążył wysoko w górze, obserwował, wzywając miejscową policję, aby przechwyciła Pielgrzyma. Zakładali się pewnie, czy jest na tyle szalony, aby wylądować.

Hm, a dlaczego nie? Nie miał nic do stracenia. Nic. Pierwszy raz od dziesięciu lat ktoś inny niż Teach usiłował mu wydawać polecenia. Nie przyjmował żadnych rozkazów. Dzięki tej myśli zapanował nad rękami na sterach.

Schodził szybko, słysząc, jak Ben i Vocek szamoczą się z tyłu. Przez skrzyżowanie przetoczył się pick-up, wyłonił się z cienia, jadąc w przeciwnym kierunku, może jakieś dziesięć metrów pod nimi. Pielgrzyma ogarnęło zwątpienie - przeważnie całkowicie mu obce, a w ustach poczuł kwaśny smak. Jeszcze kogoś zabije, a był przecież dobrym facetem eliminującym tych złych. Mógł wpaść na minivana, pełnego dzieci, prowadzonego przez licealistkę, albo na jakiegoś normalnego, miłego gościa, który wracał na motocyklu po długim dniu pracy przy odbudowie miasta - nie, nie może do tego dopuścić.

Skierował samolot na pusty asfalt. Musiał posadzić maszynę i mieć miejsce na wyhamowanie...

Wtedy padł strzał.



Vocek wiedziała, jak ranić. Oczy, krocze, wyginanie palców do tyłu, co sprawiało koszmarny ból. Całą tę brutalną magię stosowała na Benie, powtarzając: „Ben, puść”. Ale on nie puszczał. Nastąpiła mu na skaleczoną stopę, zawył. Chwyciła pistolet. Uniósł broń, a ona przekreśliła, czuła, jak jego palec naciska spust. Pistolet huknął. Okno roztrzaskało się. Zaiskrzyło na skrzydle.

- Cholera! - krzyknął Pielgrzym.

Ben napał z całych sił, przygniótł Vocek do okna. Trzymał ją, próbował oderwać jej ręce od pistoletu.

- Już prawie! - zawołał Pielgrzym.

Koła uderzyły o asfalt. Samolot podskoczył twardo, a Bena podrzuciło niemal do sufitu. Nadal jednak w żelaznym uścisku trzymał pistolet. Znowu padł na Vocek, aż uszło z niej całe powietrze. Pielgrzym wyłączył silniki i podniósł klapy. Rozległ się grzmot i zatrzęsło całym samolotem, za oknami sypały się iskry, gdy skrzydło zaczepiło o metal - skrzynkę na listy, znak drogowy, ogrodzenie z siatki - a maszyna mknęła z łoskotem naprzód. Kolejny protestujący wrzask metalu, wibrujący zgrzyt i maszyna stanęła.

Pielgrzym odwrócił się i zabrał im pistolet. Przyłożył go Vocek do głowy.

- Koniec umowy - powiedział. - Dzięki za podwiezienie.

- Pielgrzym... - odezwał się Ben.

- Policja będzie tu pewnie za dziewięćdziesiąt sekund, a my nie możemy ufać Departamentowi. Chodź. - Otworzył drzwi, chwycił Bena i wypchnął go na chodnik.

- Nie rób tego - wysapała Vocek.

- Vocek, nie ufaj nikomu. Nie chcę więcej oglądać twojej ślicznej buźki.

Pielgrzym zeskoczył na asfalt. Za samolotem zahamowały z piskiem minivan i pick-up. Pielgrzym pobiegł do półciężarówki z wyciągniętym przed siebie pistoletem, aby było go widać, i gestem nakazał obu kobietom wysiąść z kabiny. Szeroko otworzyły oczy na widok samolotu z pogiętymi skrzydłami i szaleńca wymachującego bronią. Posłuchały, podniosły ręce, jedna się rozplakała.

- Bardzo przepraszam, ale potrzebny mi ten samochód. Odzyskacie go. - Pielgrzym wepchnął Bena na miejsce

pasażera i usiadł za kierownicą. Zawrócił pick-upa, trawia-
stym poboczem wyminął samolot i znikł z rykiem silnika.
Przez otwarte okno wilgotny oddech okolicy czuć było zgni-
lizną. Rozległy się nadciągające syreny - straż pożarna, po-
licja, pogotowie ratunkowe. Nad nimi krążył samolot De-
partamentu.

- Ben - odezwał się Pielgrzym. - Powinienem dać ci
szansę, abyś z nią został.

- Mówiliśmy, że będziemy trzymać się razem. - Wy-
dawało mu się, że przez chwilę widział na twarzy Pielgrzy-
ma cień ulgi. Był i znikł. Chyba mu się przywidziało.

- Będą nas ścigać do końca. Jesteś gotowy?

- Tak.

Pielgrzym pomknął ulicą, po której obu stronach stały
domy z cegli i drewna.

- Nadal słyszę samolot. - Ben wychylił się przez okno. -
Nawraca, stara się nas nie zgubić.

Pielgrzym ostro skręcił kierownicą, dostrzegając w lu-
sterku wstecznym błyskającego koguta policyjnego wozu.
Wpadł w St. Claude Avenue i ruszył na zachód.

Wóz zastępcy szeryfa jechał za nimi, błyskając światłami.

Ruch nie był duży i Pielgrzym wymijał samochody i przy-
spieszał, wpadał w boczne uliczki, a potem na powrót na St.
Claude. Ben przygotowywał się na uderzenie, które na
pewno nadejdzie, kiedy Pielgrzym źle oceni odległość i trafi
w czyjś zderzak albo barierkę. Pielgrzym niemal zahaczył o
znak ostrzegający o robotach drogowych na ulicy, skręcił na
pełnym gazie, przejechał dwa podwórka i zahamował z pi-
skiem, wpadł na trawiasty parking pełen samochodów oso-
bowych i ciężarówek, nad którymi powiewał transparent
informujący o wieczornym spotkaniu w duchu odnowy,
prawdopodobnie w kościele z czerwonej cegły stojącym nieco

dalej od ulicy. Wcisnęli się między dwie duże ciężarówki wyładowane towarem na festyn. Odrzutowiec przeleciał nad nimi.

Pochylili głowy, a Ben pomyślał: Tak to się skończy, aresztują mnie z byłym szpiegiem na kościelnym parkingu. Wycie odrzutowca ucichło, syreny wozu szeryfa zamarły w oddali, więc wysiedli z pick-upu. Pielgrzym zaczął szperać pod zderzakami samochodów w poszukiwaniu skrzynek z kluczykami; Ben sprawdzał, czy jakieś drzwi są otwarte.

Rozległo się więcej syren. Nadciągały wozy patrolowe, które wezwano po wyładowaniu samolotu. W namiocie wzniesionym obok kościoła rozległy się motywy przewodnie nowoczesnej muzyki sakralnej. Wtedy syreny znowu ucichły. Natrętny skowyt odrzutowca zastąpił terkot śmigłowca.

- Mam zwycięzcę - powiedział Pielgrzym, wyciągając skrzynkę spod zderzaka. - Chodź, zanim zauważą nas z helikoptera. Mogą latać niżej i wolniej, przyczepią się do nas jak rzep.

Wyjechali statecznym, niebieskim sedanem forda.

- Mam nadzieję, że to nie wóz kaznodziei - powiedział Ben. - Jedziemy do piekła.

- Tylko ja jestem potępieńcem. Tobie znajdziemy kryjówkę. - Słyszeli, jak śmigłowiec zatacza coraz szersze kręgi. Pielgrzym włączył się do ruchu z normalną prędkością.

- Chować się. Nic z tego. On zabił Emily. Nie będę siedział bezczynnie.

- Ben. Hector przejął Piwnicę właśnie dla tej dużej roboty. To znaczy, że będę musiał walczyć z kilkoma ludźmi z Piwnicy. To tak, jakbym walczył z całym gangiem takich jak ja. Ty odegrałeś swoją rolę. Nie musisz brać tego na...

- Wiem, że kiepsko strzelam i marnie się biję, ale mogę ci pomóc.

- Nie teraz. Obiecuję, że zabiję go dla ciebie. Za wszystkich, których skrzywdził. - Pielgrzym zacisnął usta. - Za Teach... i za twoją żonę. Nie będziesz musiał długo czekać.

- Dobry Boże. Wiesz, co zamierza Hector. - Oczywiście, że wiedział, ale nie zamierzał powiedzieć tego ani Vocek, ani władzom, dopóki nie zorientuje się, jakie przyjęcie czeka jego i Bena w Nowym Orleanie.

- Mam pomysł - powiedział Pielgrzym.

- Piwnica utrzymywała tu kryjówkę.

- Właśnie.

- Jeżeli Hector przekonał ich, że zwróciłeś się przeciw Teach... tak samo jak przekonał Greena i De La Penę... zabiją cię - doszedł do wniosku Ben.

- Tak, zabijają. Potraktują jak byle łobuza na ulicy. Hector ma wszystkie kody od Teach, informacje bankowe... w ich oczach będzie uchodził za prawego. Ja - za wroga.

- To uderzę w niego z innej strony. Barker dzwonił do kogoś w hotelu Marquis de Lafayette. To ostatnia osoba, do której dzwonił, zanim wyszedł z domu, aby zdradzić ciebie i Teach.

- Tak.

- Ciekawe, kto to taki. Wiemy, że Hector zapewnia szefowej Vocek ochronę. Ale może pracuje jeszcze dla kogoś.

- Dobrze - odparł Pielgrzym. - Zdobądź spis połączeń telefonicznych, a ja pójdę strzelać do ludzi.

- Lepiej się uspokój, bo popełnisz błąd i sam zginiesz. Pielgrzym zatrzymał się przy krawężniku.

- Wybacz, że się złościę. Tak jak ty straciłem własne życie. Teraz już dwukrotnie. Najpierw straciłem rodzinę, karierę, a teraz Teach i Piwnicę. Dwa dni temu chciałem się wycofać. Chciałem odejść i żyć w realnym świecie. Zabijem

własną nadzieją. - Przez moment milczał, zaciskając palce na kierownicy. - Ale teraz nie ma tam dla mnie miejsca. Dopóki mogłem zostać w Piwnicy, jeszcze miałem nadzieję, że wszystko się zmieni... że będę żył normalnie. Ale nie mogę. Vocek i Departament wsadzą mnie do więzienia i latami każą zeznawać.

- Sam zaproponowałeś spotkanie Vocek.

- Byłem zdesperowany, Ben. Żeby dotrzeć tutaj. Żeby Hector nie wygrał. Rozumiesz mnie.

- Tak. Nienawidzę tego skurwiela tak samo jak ty. Dla tego pozwól, że ci pomogę...

- Zadzwoń na moją komórkę, jak znajdziesz coś ciekawego w spisie numerów. Ja zadzwonię, jak zabiję Hectora. - Z rąk Bena wyciągnął telefon skradziony pilotowi, aktywował ekran, zapamiętał numer.

- Założmy, że nam się uda, co wtedy?

- Odejdę. Ty negocjuj nietykalność; opowiem ci rzeczy, które możesz sprzedać Departamentowi, a informacje te będą dla nich cenniejsze od złota. Dzięki temu odzyskasz życie.

- Odzyskaj własne życie. Zawsze będziesz się oglądał za siebie.

- Nie. Nie zrobię tego. - Pielgrzym jechał w milczeniu przez kilka minut, a potem skręcił na Poydras. Na ulicach widać było grupki turystów, nie takie jak w czasach sprzed Katriny, ale większe, niż Ben się spodziewał. - Masz. - Pielgrzym wyciągnął kilkaset dolarów zabranych ze skrytki, wepchnął je Benowi w ręce. - Nie uda ci się zdobyć tych wyciągów bez łapówki. Wszystko kosztuje. Hotel jest kilka przecznic w tę stronę. Powodzenia.

- Prawie masz nadzieję, że mnie złapią.

- Ben, nie chcesz być na linii ognia.

Ben wyciągnął do niego rękę. Pielgrzym uściskał ją.

- Przepraszam. Nie umiem się zegnać.

- Trzymaj się, Randall. - Ben wysiadł z samochodu. Po raz pierwszy i jedyny użył jego prawdziwego imienia, tego, które wspomniała Vocek.

- Trzymaj się, Ben. Przepraszam za wszystko.

Ben zamknął drzwi, a samochód popędził prosto w ciemność.

Piwnica. Przyjechali, jeden po drugim, samochodami z wypożyczalni na lotnisku Louisa Armstronga. Bezpieczny dom - piętrowy, jednorodzinny - stał na skraju Metairie, podmiejskiej dzielnicy oszczędzonej przez Katrinę. Hector czuł się niczym czarnoksiężnik wzywający duchy, by wykonały jego rozkazy. Witał każdego po kolei przy drzwiach kodem, który dała mu Teach, i prawdziwym nazwiskiem.

Razem sześciu. Dwie kobiety, czterech mężczyzn. Ta szóstka nigdy nie przebywała z sobą razem w jednym pokoju i widział, jak zerkają na siebie ciekawie, ale nie przyglądają się sobie zbyt długo. Starają się, aby ich nie zapamiętano, i sami też nie chcą pamiętać.

Jackie stał w głębi pokoju, z rękami założonymi na piersi, w okularach przeciwsłonecznych, jakby był bardzo złym facetem.

- Obawiam się, że mam złe wieści. Teach nie żyje - zaczął Hector, kiedy wszyscy się zebrali. Nacisnął klawisz laptopa połączonego z projektorem. Pojawiło się nieco ziarniste zdjęcie Teach leżącej na dywanie. Zrobił je komórką, kiedy

wbiegł z powrotem do mieszkania, wiedząc, że dowód jej śmierci może się przydać.

Jeden z mężczyzn przetarł oczy, jakby ze zmęczenia. Jedna z kobiet westchnęła. Reszta milczała.

- Zapewniam was, że Piwnica będzie działała jak do tej pory. Przejęcie przeze mnie dowodzenia przebiegnie gładko. Jak wy wszyscy, jestem byłym pracownikiem CIA. Pracowałem przy operacjach specjalnych pod przykrywką. Obecnie prowadzę prywatną firmę ochroniarską. Lecz przez kilka ostatnich lat ściśle współpracowałem z Teach i Piwnicą. - Uznał, że najlepiej będzie spleść prawdę z kłamstwem.

- Kto ją zabił? - zapytał jeden z mężczyzn.

Hector nacisnął kolejny przycisk. Na ekranie pojawiła się twarz Pielgrzyma.

- Została znaleziona martwa w mieszkaniu wynajmowanym przez tego człowieka. To agent Piwnicy znany jako Pielgrzym. Jest także odpowiedzialny za śmierć trzech innych agentów Piwnicy. - Hector wyświetlił po kolei zdjęcia Barkera, Greena i De La Peny i czekał, aż zgromadzonych ogarnie złość. - Zabił jednego w Austin, dwóch w Dallas. To najdotkliwszy atak na Piwnicę w jej historii, szczególnie że nastąpił od wewnątrz.

- Dlaczego zwrócił się przeciwko nam? - zapytała jedna z kobiet.

- Dla zysku. Nasz cel dał mu łapówkę. - Hector wycedził te słowa z pogardą. - Weszliśmy w posiadanie informacji o grupie terrorystycznej Krew Ognia działającej w podziemiu w Nowym Orleanie. Przyczaili się tu, aby zaatakować. Zabijemy ich. - Wyświetlił szczegółową mapę ukazującą dom w pobliżu południowego wybrzeża jeziora Pontchartrain, w dzielnicy Lakeview. - Dziś w nocy. Wchodzimy szybko, bo

jutro wyjeżdżają. Nie dajemy sukinsynom żadnej szansy. - Rozdał zgromadzonym akta i zdjęcia sześciu młodych ludzi.

- Dlaczego Departament tym się nie zajmuje, dlaczego po prostu ich nie aresztować? - zapytała druga kobieta.

- Nie przekazaliśmy informacji Departamentowi. Terrorysty wiedzą o nas od Pielgrzyma. Nie chcemy, żeby zostali ujęci i zaczęli o nas mówić. Idą do piachu. Wszyscy.

Zadzwoił telefon. Zerknął na wyświetlany numer.

- Przepraszam. Przestudiujcie mapy okolicy i domu. To dość prosta operacja, ale chętnie wysłucham waszych propozycji. - Wyświetlił mapy taktyczne na ekranie, wszedł do drugiego pokoju, zamknął drzwi i odebrał telefon.

Dzwoniła Margaret Pritchard.

- Mamy problem - powiedziała.

Chciał już powiedzieć: „Wobec tego rozwiąż go”, ale jej się ciągle wydawało, że to ona wydaje rozkazy.

- Tak, Margaret?

- Dwóch ludzi z tajnej grupy... jak się dowiedziałam, Piwnicy... porwało moją agentkę oraz samolot i są w Nowym Orleanie. Jeden z nich, Choate, zaproponował układ, że powie wszystko o Piwnicy, ale uciekł razem z kolegą, gdy dotarł na miejsce. Chcieli, bym przekazała ci, że są przesłuchiwani przez Departament. Zastanawiam się, dlaczego tego zażądali; dlaczego chcieli, abyś uwierzył, że się wydostali.

Hector zachował spokój. Pielgrzym nie znał tego adresu, jedynie Teach. Ale czy wiedział, kto jest celem, czy zamierzał się wtrącać? Nie mógł.

- Sam, powinieneś wiedzieć, że jeden z moich agentów stawia ci poważne zarzuty. Uważam, że spisałeś się znakomicie, wykurzając tych ludzi, ale musimy znaleźć resztę i chciałabym porozmawiać z tobą o twoich metodach.

- Chodzi o agentkę Vocek? Czy to właśnie ją, hm, porwali? - Przypomniał sobie nazwisko kobiety, która zadzwoniła do niego w Dallas; nie oddzwonił. Była w samo locie z Pielgrzymem i Forsbergiem. Zastanawiał się, co mówili, jaką umowę zawarli z tą całą Vocek. Dla niego to katastrofa.

Cholerny Nicky Lynch, że też musiał chybić. Gdyby tylko zabił Pielgrzyma, a Jackie podrzucił zdjęcia - wtedy Ben Forsberg byłby podejrzany o powiązania z martwym agentem CIA o wątplivej przeszłości, a pewne dowody podrzucone przy ciele trupa wiązałyby go ze sprawą morderstwa żony. Teraz wszystko wisiało na włosku.

- Tak. Ona jest tu teraz ze mną. Nie mówiłam nikomu o jej zarzutach i poprosiłam, aby od teraz milczała na ten temat. Ale, Sam, martwię się poważnie...

- Margaret. Wiem, że jest późno, ale mogę przyjechać i wszystko wyjaśnimy. Jesteś tam gdzie zawsze?

- Tak - odpowiedziała.

- Niedługo się zobaczymy.

Wrócił do pokoju; zespół zgromadził się przy mapie.

- Nowe informacje. Mogą ruszyć wcześniej, niż się spodziewaliśmy. - Przedstawił swój podstawowy plan podejścia, zabicia strażnika i opanowania domu w sposób systematyczny, pokój po pokoju. - Ta grupa w najmniejszym stopniu nie dorównuje nam wszystkim.

- Trochę to za szybko - wąpiącym tonem zauważył jeden z mężczyzn.

- To piętrowy dom. Oni przeważnie śpią. Macie więcej broni. To nie rachunek różniczkowy - mówił Hector. Panował nad głosem, by nie było w nim zjadliwości, gdyż teraz wszyscy go obserwowali. Nie byli pracownikami kontraktowymi, pamiętał o tym. To byli inni ludzie, eksagenci, tak jak on.

Wiem, że strata Teach to wielki cios. Ale ci ludzie mają powody, by nas załatwić. Usuńmy ich, zanim oni to zrobią z nami.

Zostawił ich dyskutujących nad mapą, dzielących się spostrzeżeniami, jak najlepiej postąpić.

Dał znak Jackiemu, aby przeszedł z nim do salonu.

Jackie zamknął drzwi, założył ręce na piersi.

- Niezłe bajki naopowiadałeś.

Hector zbyt późno uświadomił sobie, że przez niego Jackie posmakował władzy. Niepotrzebnie pozwolił mu uczestniczyć w zebraniu i słuchać kłamstw. Jackie mógł zdradzić i ujawnić jego nadużycia.

- Nie wszystko to bajki - odparł Hector.

Jackie przewrócił oczyma.

Hector nachylił się do jego ucha.

- Mam dla ciebie zadanie. Musisz zabić dwóch ludzi.

- W porządku.

- Znasz Nowy Orlean?

- Z mapą znajdę każde miejsce.

- Użyj GPS-u w wozie. Zabijesz dwie kobiety. Jedna dobrze po pięćdziesiątce, Margaret Pritchard, a druga młodsza, Joanna Vocek. Są w tym hotelu, pod tym numerem. Trzeba to zrobić szybko i po cichu. Mogą być uzbrojone. Pritchard jest głupia, ale Vocek nie. Spodziewają się mnie; odwiedzisz ich ty.

Jackie przyjrzał się adresowi, schował kartkę do kieszeni.

- Pielgrzym i Forsberg są w Nowym Orleanie. Nie wiemy gdzie.

Jackie sapnął poirytowany.

- A co będzie, jeśli Pielgrzym i Ben wiedzą, dokąd zmierzasz?

Hectorowi zadrżał kącik ust.

- Nie wiedzą. Nie mogą wiedzieć.
 - Nigdy nie mów, że nie mogą.
 - Wtedy moi nowi koledzy z Piwnicy z radością ich zabi-
- ją.
Wiszący za ich plecami zegar wybił północ.

Raport Chalida - Nowy Orlean

Nie mogę spać. Słyszę chrapanie w innych pokojach, ale nie mogę uspokoić myśli. Ciągłe się zamartwiam. Dzisiaj zaczynam pracę i muszę ją wykonać perfekcyjnie. Nie ma miejsca na błędy, pomyłki. Dziwnie jest tak myśleć o pracy.

W wiadomościach widziałem reportaż o ataku grupy Libańczyków na biuro Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, które nawet jeszcze nie zostało otwarte w Austin. Czuję, jak wszyscy w pokoju obserwują mnie, kiedy podano, że to Libańczycy, jakbym przywłókł ze sobą zarazę niekompetencji. Pewnie to z mojej strony nadinterpretacja, po prostu jestem świadom, że moje życie staje się jednym wielkim kłamstwem.

Kłamstwo aż do śmierci. To stare, niepokojące uczucie przenika aż do kości. Czuję, że to ostatnia noc z życia, jakie znałem. Myślę o własnej tożsamości - tym, kim jestem w głębi serca - która uległa zmianie, gdy zostałem zwerbowany. Wtedy skończyła się moja bezużyteczność i natychmiast wstąpiła we mnie nadzieja, stałem się użyteczny. Ale dzisiaj naprawdę nastał koniec mojego starego życia i początek nowego.

Leżę i nie śpię. Czuję tę zmianę w kościach.

- Naprawdę musisz mi pomóc - powiedział Ben, uśmiechając się nieporadnie. W odpowiedzi nocny recepcjonista w hotelu Marquis de Lafayette przywołał na twarz automatyczny uśmiech przeznaczony dla klientów. Jakakolwiek prośba wyszeptana po północy najprawdopodobniej była natury niemoralnej. Ben widział, jak recepcjonista przygotowuje się na grzeczne pytanie, gdzie można znaleźć luksusowe prostytutki.

- Słucham?

- Moja żona dzwoniła tu do kogoś w zeszły poniedziałek. Chciałbym wiedzieć, kim był ten ktoś.

- Proszę pana, nie mogę ujawnić zapisu naszych rozmów.

- Zapłacę ci dwieście dolarów. - Ben nadal uśmiechał się przyjaźnie.

Recepcjonista zamrugął.

- Proszę pana. Mógłbym stracić pracę. Przepraszam, ale nie mogę panu pomóc.

- Rozumiem. Pięćset dolarów.

- Proszę pana... - Recepcjonista poczerwieniał.

- Gotówką - dodał Ben. - Nikt się nie dowie. Ale muszę

mieć ten numer telefonu. Moje dzieci. Żona chce mi je odebrać. Miałem romans. Ona też, ale ona nie miała odwagi się przyznać.

- Proszę pana, z całym szacunkiem. Nie chcę wiedzieć...

- Moje dzieci. Nie mogę ich stracić na całe życie. Pomóż mi wyrównać szanse. Proszę. Sześćset dolarów. Jeżeli nie potrzebujesz pieniędzy, na pewno masz tutaj rodzinę, której się przydadzą. Wiem, jak ciężko jest tu wam od czasu huraganu.

- Proszę pana. - Recepcjonista zwilżył usta. - Nie wiem nawet, czy mógłbym panu udzielić potrzebnych informacji...

- Dzwoniła o jedenastej zero dziewięć. Rozmawiała przez dwanaście minut. Powinien być zapis rozmowy przychodzącej. Z którym pokojem połączono i kto zajmował ten pokój. Tylko tego potrzebuję.

- Proszę wybaczyć moje pytanie. Skąd mam wiedzieć, że nie chce pan wyrzucić krzywdy osobie, do której dzwoniła pańska żona? - Po tym pytaniu nastąpiło przeciągłe westchnienie, głębokie i gardłowe. Zmagał się z etyką. Obliczał, ile może kupić za sześćset dolarów. Recepcjonista miał ze dwadzieścia dwa lata i na palcu prostą obrączkę.

- Przysięgam, że nie.

- Ja... nie...

- Sześćset. Źle na tym nie wyjdiesz. Pomożesz sobie i mnie, przyda mi się teraz pomocna dłoń.

- Nie wiem nawet, czy mam takie informacje... - Recepcjonista zerknął przez ramię. - Mój szef...

Ben podsunął mężczyźnie trzy banknoty studolarowe.

- Oto połowa. Reszta, jak przyniesiesz wyciągi

Recepcjonista nie spojrział na pieniądze. Wziął je i wepchnął do kieszeni. Przeszedł na tyły biura, nie było go przez trzydzieści sekund, wrócił i oznajmił:

- Dwadzieścia minut.

Ben skinął głową i poszedł do baru. Kilka osób piło i rozmawiało ściszym głosem. Odniósł wrażenie, jakby wszedł do pokoju pełnego urzędników, którzy zjawili się tu, aby przekonać samych siebie, że w porządku jest wypić szklankę piwa. Telewizor nad barem pokazywał wiadomości z nagłego lądowania - jak je opisano - na Marais Street w nadal zdewastowanej dzielnicy Lower Ninth Ward.

Zamówił wodę sodową, wypił połowę i oparł się o bar. Potem szybko się odwrócił.

Przez hol przechodziła Joanna Vocek z kobietą w granatowej garsonce, o jasnych blond włosach, w dużych okularach. Szły do windy, pochłonięte rozmową.

Dobry Boże. Czy to zbieg okoliczności? Tyle hoteli w mieście... ale wtedy przyszło mu coś do głowy. W związku z odbudową Nowego Orleanu przybywało tu mnóstwo ludzi z agencji federalnych. Przymuszczalnie mają tu stałą rezerwację, a hotele zawierały umowy z agencjami, aby utrzymać interes. Wiedział to z pracy konsultanta.

Kontakt Barkera mógł pracować w rządzie.

Ben poczekał, aż obie kobiety znikną w windzie, a potem wszedł z powrotem do holu.

Recepcjonista stał za ladą, marszcząc brwi przed monitorem, i wyglądał na winnego kilku zbrodni.

- Proszę pana - powiedział szeptem. - Nie mogę dotrzeć do tych informacji. Kierownik używa komputera i nie mogę wejść w bazę danych, nie mogę, oto pańskie pieniądze...

- Próbuj dalej, proszę, ale możesz mi powiedzieć jedno... czy władze federalne wynajmują tu apartament albo pokoje?

- Tak. Kilka różnych agencji. FEMA, Izba Handlowa, Departament Bezpieczeństwa Krajowego, oczywiście FEMA jest częścią Departamentu...

- Potrzebuję nazwisk wszystkich gości powiązanych z rządem, którzy przebywali tu w zeszły poniedziałek, i wykaz ich rozmów telefonicznych. Możesz to zrobić za dodatkową stówę?

Recepcjonista zmarszczył brwi, jakby pytania dotyczące pracowników rządowych były dla niego niewygodne.

- Spróbuję.

- Tak. Ale pośpiesz się. - Ben wrócił do baru, został w pobliżu drzwi, starał się na nikogo nie patrzeć.

Dziesięć minut później recepcjonista ruchem głowy wskazał zaplecze. Czoło mu połyskiwało, jakby miał wypocić się na śmierć; błyszcząca twarz zdradzała maksymalne zdenerwowanie.

Ben minął ladę i ruszył w stronę schodów. Zerknął za siebie, a recepcjonista nerwowo kiwnął głową. Ben wszedł po schodach na półpiętro, gdzie mieściły się pomieszczenia konferencyjne i sala balowa. Schody były puste i recepcjonista minął go truchtem, jakby spieszył się na inne spotkanie; nawet na niego nie spojrział.

Ben podążył za nim do zamkniętej sali balowej. Recepcjonista wszedł, a Ben za nim. W sali było ciemno i pusto; kwiatowy szampon do dywanów cuchnął jak tanie perfumy.

- Pieniądze poproszę - powiedział chłopak.

Ben wręczył mu resztę gotówki i recepcjonista przeliczył pośpiesznie banknoty. Wtedy wcisnął Benowi w rękę kopertę. Ben otworzył ją, rozwinął strony; lista osób z powiązaniem w rządzie, które zatrzymały się w hotelu w zeszły poniedziałek, liczyła przynajmniej piętnaście nazwisk. Przy każdym były rozmowy przychodzące i wychodzące.

- Jesteśmy kwita. Nigdy się nie widzieliśmy.
- Dzięki - powiedział Ben, ale recepcjonista już zniknął.

Ben stał w opustoszałej sali i przebiegł palcem wzdłuż nazwisk. Nic mu nie mówiły i brakowało informacji, z jakiej są agencji... dopiero na końcu.

Margaret Pritchard apartament 1201. Recepcjonista dopisał ołówkiem, drukowanymi literami: ODEBRAŁA TELEFON W PONIEDZIAŁEK O GODZINIE, O KTÓRĄ PYTAŁEŚ.

Nazwisko przełożonej Vocek. To do niej Vocek dzwoniła, gdy lecieli samolotem.

Dlaczego Barker do niej dzwonił? Barker pracował dla Teach; zdradził Teach i Pielgrzyma dla Hectora; co go łączyło z Pritchard?

Ben oparł się o ścianę. Przebiegł wzrokiem wydruk pod połączeniami. Następny numer wykręcany z pokoju Pritchard znajdował się w obszarze Austin, jak wskazywał kierunkowy 512. Ten numer znał, ale nie wiedział skąd. Przeszukiwał pokłady pamięci. Wtedy przypomniał sobie nosowy głos nagrany na jego sekretarce. 512-555-3998 to numer biura Adama Reynoldsa.

Mój Boże. Margaret Pritchard była w bezpośrednim kontakcie z Adamem Reynoldsem. To oznaczało, że może wiedzieć o jego oprogramowaniu, dzięki któremu ujawniono kilku członków Piwnicy. Dla kogo więc pracował Reynolds i Barker... dla Hectora czy Pritchard? Jeżeli Hector wynajął braci Lynch, aby zabili Adama, a Pritchard pracowała dla Hectora... czy traktowała Reynoldsa jako sprzymierzeńca czy wroga? W najlepszym razie była w kontakcie z Barkerem, który wynajmował szwadrony śmierci.

Hector dał komuś prywatne CIA. Może Pritchard nie została wykorzystana przez Hectora; może była w pełni świadoma jego brutalnych akcji.

Ben przed kilkoma dniami był człowiekiem od sporządzania kontraktów; teraz mądrze będzie umówić się z Vochek. Pokazać jej dowody wskazujące na jej szefową. Namówić ją, aby pomogła mu dojść prawdy.

Wiedział, że Pielgrzym ma słabe szanse na zwycięstwo. Był wyczerpany, ranny, a wróg był liczniejszy. Jeśli nawet Hector ucieknie przed furią Pielgrzyma, to nie ucieknie przed Benem. Ben wyjdzie z ukrycia, pozbawi go poparcia w kręgach władzy i zrujnuje. Na tę myśl przebiegł go zimny dreszcz rozkoszy.

Rany w ramieniu i w stopie pulsowały. Otworzył komórkę skradzioną pilotowi. Znalazł na liście numer do Vochek. Wybrał go.

- Ty i ja mamy inne cele - powiedziała Vocek. - Tak nie może być.

Pritchard założyła ręce na piersi, krążyła po pokoju hotelowym, marszcząc czoło w zamyśleniu.

Vocek dotknęła ramienia przełożonej i Pritchard się zatrzymała.

- Mówię ci, że musimy odnaleźć Pielgrzyma i Bena i nakłonić ich do złożenia zeznań.

- Już sporo rozmawialiście - odparła Pritchard. - Mówisz o Choacie, używając tego idiotycznego pseudonimu.

- Za bardzo związaliśmy się z Hectorem. Wyklucz go z projektu do czasu, aż zyskamy pewność, że nie przejmie tego, nad czym pracujemy. Przynajmniej dopóki nie sprawdzimy, czy nie jest zamieszany w morderstwo Emily Forsberg.

Pritchard przyłożyła rękę do brzucha.

- Jestem głodna. Jadłaś?

- Nie.

Pritchard podniosła słuchawkę, połączyła się z obsługą, zamówiła dzbanek kawy bezkofeinowej, dwa omlety i zapiekanekę ziemniaczaną z serem. Rozłączyła się.

- Chcesz, żebym uwierzyła na słowo uciekinierowi z CIA i komuś powiązanemu z zabójcą zamiast najbardziej szanowanemu współpracownikowi rządu.

- W zasadzie jak bardzo pomaga nam Hector?

- Mówiłam ci, zapewnia wsparcie, które umożliwia nam identyfikację tajnych agentów.

- A jak znajdziesz tych agentów, to co wtedy?

- Zostaną aresztowani. Nigdy tak się nie zachowywałaś. Wątpisz w moje słowo?

- Nie. Wątpię w jego. Czy podał ci choćby jedno nazwisko oprócz nazwiska Pielgrzyma?

- Nie.

- A jednak Adam Reynolds nie żyje. Jego dziewczyna też.

- Bo Piwnica stara się ich uciszyć.

- To Adam Reynolds ich znalazł, tak? Podał nazwiska Hectorowi. Ale Hector nie przekazał ich tobie.

- To śmieszne.

- Nie wspomniałaś nawet o oprogramowaniu Reynoldsa do poszukiwania pseudonimów po śladach finansowych. Pielgrzym i Ben powiedzieli mi o tym.

Pritchard machnęła ręką.

- Nie wiedzieliśmy, czy ten program w ogóle będzie działał.

- Nie to jest powodem. Prawdziwy powód jest taki, że aby zidentyfikować rzekomo fałszywą tożsamość, program musi korzystać z wielu baz danych, do których Adam Reynolds nie miał dostępu. Ale ty mu go dałaś. Nielegalnie.

Zapadła cisza, słychać było tylko szum klimatyzacji.

- Mówiłam ci, że mamy wolną rękę, aby znaleźć tych ludzi - wycodziła Pritchard.

Vocek, rozczarowana działaniami przełożonej, odparowała:

- Jak będziemy łamać wszelkie prawa, aby znaleźć tych ludzi, Margaret, to upodobnimy się do nich.

- Oszczędź mi wykładu na temat swobód obywatelskich.

I ja chciałam, żeby moja mama była podobna do ciebie? Bardziej zrównoważona, dokładniejsza?

- Musimy zajrzeć do akt Hectora w CIA. Pielgrzym twierdził, że to zabójca.

- A jeżeli tak, to co? - zapytała Pritchard. - To nie ma nic wspólnego z jego obecną pracą.

- Klienci mogą mieć odmienne zdanie - odparła Vocek. Zadzwoniła jej komórka. - Tak?

- Vocek? Tu Ben Forsberg.

- Gdzie jesteś?

- Niedaleko. Przepraszam, że uciekliśmy.

- Chyba was nie winię - odparła cicho.

- Jesteś z szefową?

- Tak. - Zerknęła na Margaret, która stała z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Mam dowody wiążące Pritchard z Barkerem, tym, który zdradził Piwnicę, i z Adamem Reynoldsem. Zdaje się, że powinna wyjaśnić, jak to wszystko się łączy.

Vocek nie patrzyła na Pritchard, ale wyczuwała, że jej przełożona stoi tuż obok i jest spięta. Vocek odwróciła się i podeszła do okna. Spojrzała na ciemne chodniki, jakby spodziewała się, że zobaczy tam Bena obserwującego jej okno.

- Chyba masz rację.

- Jesteście tam same?

- Tak.

- Chcę porozmawiać z wami. Z wami dwiema. Bo jak pragnie uratować swoją karierę, niech lepiej pociągnie Hectora do odpowiedzialności. Chcę zawrzeć z wami układ.

Dowody. Albo pograży Margaret, albo wszystko się wyjaśni, ale bez względu na to Ben będzie pod jej nadzorem.

- Apartament tysiąc dwieście jeden - powiedziała. Rozłączył się i Vocek złożyła swój telefon.

- Kto to był? - zapytała Pritchard.

Vocek przemówiła do swojej przełożonej chłodno, z wyższością.

- Margaret, usiądź, musimy porozmawiać.



Vocek nic nie powiedziała do Bena, kiedy otworzyła drzwi, a on wszedł do pokoju. Podał jej listę numerów telefonów i pistolet, który miał w samolocie, ten, o który się bili.

- Ufam, że jesteś po mojej stronie - powiedział.

Vocek wzięła pistolet i zaniósła go do sypialni. Margaret Pritchard przyglądała się, a potem wstała z kanapy i podeszła do telefonu.

Ben wszedł między nią a aparat; podniósł go i wyciągnął kabel z gniazdka.

- Dostyc już nagadałaś się przez telefon.

- Masz tupet.

- Ostatnio coraz większy. Wynajęłaś Hectora, aby mógł ci znaleźć te tajne grupy. On sam działa poza prawem.

Margaret przeniosła wzrok na Vocek.

- Jeżeli chcesz zachować pracę, Joanno, aresztuj tego człowieka.

Vocek ani drgnęła.

- Chyba zbyt upodobniliśmy się do ludzi, których ścigamy, Margaret. Ustalmy wszystkie fakty.

- Barker, agent Piwnicy, dzwonił do ciebie do tego pokoju. Jeżeli nie wiedziałaś o Piwnicy, to skąd znałaś Barkera?

- zapytał Ben. - To haker, który zszedł do podziemia, zamiast odsiedzieć karę. Współpracowałaś z ukrywającym się przestępcą. Strasznie to wypadnie na przesłuchaniu w Kongresie.

- Te wyciągi rozmów są fałszywe.

- Świetnie. Jeden z moich klientów jest konsultantem dla Departamentu Sprawiedliwości i ma tam dobre znajomości. Z radością zadzwonię do prokuratora generalnego do domu dziś wieczorem i pozwolę, byś wszystko mu wytłumaczyła.

Pritchard podeszła do kanapy, stanęła z założonymi rękoma.

- Rzekomo chcesz iść na układ. Słucham - powiedziała, jakby to ona wyświadczała mu przysługę.

- Hector pójdzie siedzieć. Na długo. Był mordercą i wynajmował zabójców.

- Jeżeli wydam Hectora, to się rozniesie, i nasza operacja zostanie ujawniona. Cały sens powstrzymywania takich grup jak Piwnica polegał na utrzymaniu tego w tajemnicy przed opinią publiczną.

- Nie obchodzi mnie, czy rząd będzie się wstydził. To nie takie straszne.

- Nie chcemy, żeby wrogowie i sprzymierzeńcy poznali szczegóły naszych tajnych operacji, a jak dowiedzą się o nas, wyjdzie też na jaw, że Hector pracował dla mnie.

- W takim razie przekaz go nam po cichu.

- Chcesz, abym pozwoliła wam go zabić? Daj spokój.

- Masz gdzie wszystkich tych ludzi, których zamordował.

- Nic mi nie wiadomo, żeby zabił kogokolwiek.

- Pokazał mi dowód, że zamordował moją żonę. - Ben położył ręce na ramionach Pritchard i pchnął ją na fotel. Nie opierała się. - Bronisz go, bronisz mordercy. Skąd znałaś Barkera?

Pritchard poruszała ustami, jakby nie była pewna, że potrafi mówić. W końcu jej się udało.

- Barker nie pracował dla CIA. Przyszedł do Departamentu i został skierowany do mnie. Chciał zdradzić Piwnicę za pieniądze i rozgrzeszenie.

- I skierowałaś go do Hectora.

Pritchard skinęła głową.

- Barker był naszą furtką. Wiedział tylko o Teach, ale nie znał lokalizacji kryjówek; nie mógł wydać nam reszty Piwnicy. Ale przekazał kilka nazwisk, prawdopodobnie agentów, co pozwoliło nam sprawdzić oprogramowanie Reynoldsa i znaleźć więcej nazwisk. Barker zadzwonił do mnie w poniedziałek, aby dać znać, że rozpoczęła się operacja ujawnienia Pielgrzyma i reszty Piwnicy, bo zwiertzyli, że Adam Reynolds próbuje namierzyć ich konta i tożsamości. Jednak nie miałam pojęcia, że Hector działa na dwa fronty i namierza Pielgrzyma. Albo ciebie.

- Tylko że Barker zdradził też ciebie. Przekazywał ci niepełne informacje, natomiast Hectorowi mówił wszystko. Hector wynajął snajpera, który załatwił Reynoldsa i próbował załatwić Pielgrzyma. Wynajął bandziorów, którzy zabili Kidwella i Delię Moon oraz porwali Teach. Nigdy ci nie oddał Teach, która wydałaby całą Piwnicę. Zabił ją na moich oczach. Nie tego chciałaś, prawda?

Pritchard zasłoniła dłonią usta.

- Dlaczego miałby zabić Reynoldsa? - Ben pochylił się i krzyknął Pritchard prosto twarz. - Powiedz!

- Nie wiem - odparła.

- Myślałem... - Ben przerwał. - Adam Reynolds opracował ten program, aby szukać terrorystów. Czy zadzwonił do ciebie w poniedziałek, bo znalazł nie Piwnicę, ale faktycznych terrorystów?

Pritchard potarła skronie, jakby chciała uśmierzyć ból głowy.

- Odpowiedz mu, Margaret - odezwała się Vocek.

- Popenił błąd - odparła. - Trafił na grupę używającą podejrzanych tożsamości i podróżującą do Nowego Orleanu. Ale to nie są terroryści.

- W takim razie kim są?

Pritchard jakby go nie słyszała.

- Przyjechałam do Nowego Orleanu, aby to sprawdzić. Dlatego tu byłam.

- Kogo namierza Hector? - zapytał Ben. - Bo cokolwiek się tu dzieje, z tego powodu przejął Piwnicę.

- Nie mógł ich namierzać - wyszeptała Pritchard. - Nie miał najmniejszego powodu.

Ben schwycił ją za ramiona.

- Mów!

- Reynolds w trakcie poszukiwań... znalazł grupę Arabów podróżujących według algorytmu sugerującego fałszywe nazwiska; przyjechali do Stanów kilka tygodni temu, wszyscy dotarli do Nowego Orleanu. Ale ci ludzie to nie terroryści. Szkołą się w bezpiecznym domu CIA. - Pritchard przelknęła ślinę.

- O mój Boże - jęknął Ben.

- To Arabowie przygotowujący się do infiltracji i szpiegowania grup terrorystycznych poza Ameryką. Będą naszymi uszami i oczyma, których nigdy nie mieliśmy w takich miejscach jak Bejrut, Bagdad, Damaszek. Nigdy nie mieliśmy prawdziwych, wyszkolonych szpiegów pracujących głęboko w strukturach Hezbollachu, Al-Kaidy czy też innej siatki. Są naszą jedyną nadzieją na zniszczenie organizacji terrorystycznych od środka.

Ben puścił ją.

- Gdzie jest ich kryjówka?
- Nie znam adresu... jest utajniony...
- Lecz Adam dał Hectorowi te same informacje co tobie
- wtrąciła Vocek. - Hector użyje Piwnicy, aby zabić zespół CIA. Dlaczego miałby...

- Bo Hectorowi potrzeba wojny, żeby dobrze i długo prosperować - wyjaśnił Ben. - Zarabia na niej krocie. - Pomyślał o historii Pielgrzyma w Indonezji; wrobienie Pielgrzyma w zamian za kontrakt na ochronę dla swojej nowej firmy, czerpanie zysku ze strachu i chaosu.

Hector znowu to robił, ale teraz na znacznie większą skalę. Rozległo się stukanie do drzwi.



Kelner, łagodny, zapracowany mężczyzna, zatrudniony w hotelu od dwudziestu lat, był jednym z pierwszych pracowników powracających po Katrinie, zastukał do drzwi i przedstawił się jako obsługa. Był zmęczony, bolały go nogi i szykował się do zakończenia zmiany. Skinął młodemu mężczyźnie spacerującemu korytarzem, odwrócił się do drzwi i wtedy poczuł na skroni chłodny metal. Zamarł.

- Wejdiesz i zostawisz drzwi uchylone. Zrób tak, a nic ci się nie stanie. Kiwnij głową, jeśli zrozumiałeś.

Kelner, zeszywniały ze strachu, pokiwał głową. Młody mężczyzna odsunął się pod ścianę. Drzwi się otworzyły.

Pielgrzym patrzył, jak wyjeżdżają dwa samochody. Jeden to van z agentami Piwnicy, drugi sedan tylko z Hectorem. Jackie wyjechał pięć minut wcześniej trzecim samochodem i Pielgrzym puścił go. Musiał zostać z Hectorem.

Oba pojazdy wjechały na Veterans Boulevard i skierowały się na wschód, a potem na północ ku jezioru Pontchartrain. Ruch był większy niż zazwyczaj - sobota wieczór w Nowym Orleanie - i Pielgrzym trzymał się z tyłu, obserwując samochód Hectora. Nie tracili czasu; obojętnie co to za zadanie, ruszyli do działania.

Nie chciał zabić nikogo z Piwnicy. Dokonali takiego samego wyboru jak on, postanowili posklejać życie i odbudować je pracą mającą sens. A może kierowały nimi zupełnie inne pobudki. Wszyscy wykonywali pracę, która nie przynosiła uznania, i tylko Teach zapewniała ich, że czynią dobro.

Co takiego było w Nowym Orleanie, co zainteresowało Hectora i wymagało interwencji Piwnicy? Firma Hector Global dowodziła tysiącami wyszkolonych ludzi, gotowych działać w dowolnym miejscu na świecie. Ale oni nie będą

zabijać dla zachcianki szefa, szczególnie poza strefą działań wojennych.

To musiało być zadanie, którego wykonania odmówiłyby jego regularne siły, ponieważ pojawiłyby się pytania. Re-perkusje.

Gdyby zastrzelił Hectora, może reszta grupy zaczęłaby go gonić. Niewykluczone, że zrezygnowaliby z ataku, gdyby stracili element zaskoczenia.

Trzymał się blisko, gdy skierowali się w płataninę odbudowywanych i zdewastowanych domostw w pobliżu olbrzymiego jeziora.

Ale gdyby nie trafił Hectora, a Piwnica go złapała... hm. Hector zmienił jego życie w koszmar, teraz powinien za to zapłacić. Dopilnuje, aby cena była wysoka.

Kelner, zacisnąwszy usta, wprowadził wózek do pokoju. Ben zobaczył kawę i dzbanek oraz talerze z przykrywkami. Lecz kelner milczał, żadnego „dobry wieczór”, „witam państwa”, trzymał głowę nisko, jakby spodziewał się uderzenia.

Pritchard podeszła do niego, aby podpisać rachunek. Rozległy się dwa głośne pyknięcia i kelner padł na tacę, a Pritchard przetoczyła się na plecy. W drzwiach stał Jackie Lynch z uniesionym pistoletem z tłumikiem; poszukując wzrokiem następnego celu, zamknął za sobą drzwi apartamentu.

Vocek cofała się niezdarnie. Jackie uniósł broń.

- Nie! - krzyknął Ben. - Nie!

Jackie zobaczył Bena. Pokiereszowane usta wykrzywił mu uśmiech; przeniósł lufę z Vocek na Bena.

I w tym momencie Vocek zaatakowała, kopnęła Jackiego w splot słoneczny. Zatoczył się do tyłu, a ona rzuciła się na niego, tak że pistolet przez ułamek sekundy skierowany był w podłogę.

Ben podbiegł i ciałem przygniótł zabójcę do ściany, pistolet znalazł się między nimi, zacisnął na nim obie dłonie. Energii mięśniom dostarczała wściekłość.

Jackie wrzasnął i wystrzelił. Kula trafiła w dywan.

Vocek chwyciła napastnika za długie włosy i uderzyła jego głową o ścianę. Raz, drugi, a on ryczał w gniewie. Ben wykręcał broń w stronę Jackiego; próbował strzelić, ale złamany palec zabójcy zaklinował spust. Jackie pomimo przeżywanego bólu nie puszczał Bena, w końcu wyrwał się z chwytu Vocek. Chociaż Ben unieruchamiał mu rękę, z całej siły kopnął ją w pierś, aż padła na podłogę.

- Teraz koniec! - krzyknął Jackie. Strząsnął Bena, który poleciał na wózek. Oparzył ramię o gorący dzbanek z kawą. Schwycił go i wziął zamach - nie miał czasu, aby zdjąć wieko, Jackie już unosił broń. Ben uderzył w pistolet, ale nie udało mu się wybić go mordercy z ręki. Ponownie się zamachnął, teraz celując w głowę, jednak nie trafił. Jackie znów wycelował, a Ben złapał go za rękę i skierował lufę w sufit.

- Zabiję cię...! - krzyczał Ben.

Vocek wstała i pobiegła do sypialni.

Jackie stękał z wściekłości i zaczął wykręcać rękę z uchwytu Bena, który drugą ręką zdjął wreszcie wieko dzbanka i chlusnął kawą na krocze Jackiego. Ten wrzasnął i próbował odskoczyć od ściany. Ben uderzył go dzbankiem w twarz. Ochlapał sobie rękę gorącą kawą, ale nie czuł bólu.

Jackie wykrzywił się z wściekłości. Pochylił się, a Ben chwycił pistolet, jednak zabójca nie puszczał broni. Wrzeszcząc wściekle, uderzył pistoletem Bena w twarz, raz, drugi.

Nie puszczaj, tylko nie puszczaj, myślał Ben, padając na kolana z zakrwawionym czołem i rozciętym policzkiem. Jackie wyrwał mu pistolet i...

Huk wystrzału wypełnił pokój, a w dłoni Jackiego pojawiła się krwawiąca dziura wielkości monety, wtedy Vocek strzeliła jeszcze raz, w żołądek. Jackie złożył się wpół, upuścił pistolet.

Vocek stała nad Pritchard z pistoletem, który wcześniej oddał jej Ben.

- Weź jego broń! - krzyknęła.

Jackie schylił się po pistolet, a Vocek strzeliła po raz kolejny, w klatkę piersiową. Zabójca wrzasnął i zwinął się w kłębek. Ben chwycił pistolet i wycelował w jego głowę.

- Gdzie Hector? Co jest celem?

- O Boże - jęczał Jackie. - Boli, boli.

- Sprowadzimy lekarza, ale powiedz, gdzie jest cel - mówił Ben.

- Nicky, Nicky - szlochał Jackie. Po twarzy ściekała mu ślina i śluz z nosa. Zakrztusił się, wijąc na dywanie. - Nie, nie, nie... - I wtedy jego głos przeszedł w przerywany pomruk. Otworzył szeroko oczy z bólu i znieruchomiał.

Ben wstał. Czuł, że ma w głowie pustkę, że cały drży od nadmiaru adrenaliny. Nie, to jeszcze nie koniec. Sięgnął do kieszeni Jackiego. Znalazł kluczyki do samochodu i skrawek papieru z adresem hotelu. Żadnej komórki. Zabrał kluczyki.

Vocek uklękła przy Pritchard, dotknęła jej szyi.

- Och mój Boże, Ben... zadzwoń do recepcji.

Ben sprawdził stan nieszczęsnego kelnera leżącego bezwładnie przy wózku. On też nie żył.

- Hector robi porządki - rzekł Ben. - Chciał zamknąć usta Pritchard i tobie, zanim stałyście się większym zagrożeniem, zanim zaczęłyście kwestionować jego taktykę i wyniki. Już was nie potrzebuje. Musimy go znaleźć. Zaraz. Zadzwoń do CIA. Powiedz, że ich bezpieczny dom jest zagrożony. Albo na policję.

- Nie wiem nawet, gdzie skierować policję. A jak zadzwonię do CIA, będą musieli potwierdzić moją tożsamość. Nie pokonam biurokracji.

- Sprawdź komórkę Pritchard, rejestr rozmów. Ktoś z

CIA powiedział jej o operacji, żeby nie przeszkadzała, musi być ślad po tym połączeniu. Vocek skinęła głową.

- Mam inny pomysł. - Zaciśnął dłoń na kluczykach samochodowych. Wstał i ruszył korytarzem, minął kilku przestraszonych gości, którzy słyszeli walkę. - Zaraz wrócę - skłamał.

- Ben! - zawołała za nim Vocek. - Stój! Dokąd idziesz?

Wiatr na ulicy był wilgotny i zimny. Ben zaczerpnął świeżego powietrza, opuściwszy hotel wyjściem przeciwpożarowym. Znalazł się w wąskim zaułku. Migały koguty, policja akurat zajechała przed hotel, cegły zabarwiły się błękitem i czerwienią jak w dziecięcym pokoju.

Ben schował broń Jackiego do kieszeni. Poszedł zaułkiem przy hotelu w stronę najbliższego parkingu. Nacisnął pilota przy kluczykach, powtarzał czynność, aż w trzecim rzędzie znalazł wóz. Chevrolet z wypożyczalni zamrugał światłami.

Zajrzał pod siedzenie i przeszukał schowek. Jackie pochodził z Belfastu; prawdopodobnie nie znał dobrze Nowego Orleanu. Powinien gdzieś mieć wskazówki, może Benowi uda się po nich trafić do miejsca, skąd Jackie przyjechał. Nic. Na skrawku papieru z kieszeni był tylko adres hotelu, żadnych wskazówek.

Wtedy zauważył monitor GPS-u. Dotknął ekranu i urządzenie ożyło. Obejrzał pokrętła, wcisnął guzik, który wyświetlał ostatnią trasę. Do hotelu Marquis de Lafayette. Przeszedł do poprzedniego adresu. Ten był w Metairie.

Dobra, w takim razie do Metairie.

Lecz ostrożność nakazała mu czekać. Myśl jak Jackie. Gdzie mógł być Jackie przed wykonaniem zlecenia? Może tam, gdzie zebrała się Piwnica z Hectorem. Ale teraz na

pewno ich tam nie było. Jeszcze raz sprawdził. Kolejny adres, magazynu w pobliżu lotniska Louisa Armstronga. Potem kolejny adres, wypożyczalni samochodów.

Musiał wybrać, dokąd jechać. Próbował myśleć jak Hector. Jeżeli sprawy źle się potoczą albo ludzie Piwnicy nie zaakceptują Hectora lub nie uwierzą w jego wersję, wtedy Hector będzie musiał znaleźć kryjówkę. Może właśnie w magazynie.

Magazyn. Hector Global umieścił tu swoje siły po niszczycielskim ataku Katriny. Niedaleko lotniska. Pamiętał kontrakty podpisywane i negocjowane, trudności ze znalezieniem właścicieli nieruchomości w exodusie po huraganie, kiedy Hector Global chciał wynająć lokal.

Musiał opierać się tylko na tym.

Przełączył się z powrotem na mapę z magazynem, przyjrzał się jej i wyjechał z parkingu. Włączył komórkę skradzioną pilotowi. Bateria była prawie wyczerpana. Nie miał ładowarki. Zadzwoił do Pielgrzyma.

Większość dzielnicy Lakeview straszyla opuszczonymi domami. Niewiele budynków wzniesiono na nowo, inne zburzono do końca, sporo stało pustych. Wyglądały niczym abstrakcyjne pomniki. To mit, że tylko biedne dzielnice Nowego Orleanu zatopiła wredna Katrina. Ta dzielnica należała do milej średniej i wyższej klasy. Pielgrzym pomyślał, że gdyby zamrugał oczyma w księżycowej poświacie - blednącej już za ciężkimi chmurami - zobaczyłby, jak piękne były niegdyś te domy i ogrody. Gdzieniegdzie pośród ruin pozostały rzeźby z połamanymi kończynami, tułowia pochylone, jakby błagały o łaskę własnego boga o kamiennej twarzy. Dęby i klony palmowe stały uschnięte, zapomniane, chybotliwe - dowód furii natury.

Kiedy zbliżyli się do jeziora na West End Boulevard, Pielgrzym musiał trzymać się z dala od samochodów, skręcić na parking, zająć pozycję, potem przyspieszyć, żeby nie stracić z oczu ich świateł, później znowu zostać w tyle. Wreszcie skręcili w ulicę. Przejechał obok, potem skręcił w prawo w ulicę Roberta E. Lee, zawrócił i wjechał w dzielnicę kilka przecznic dalej na południe od drogi, którą oni jechali.

Zadzwoiła komórka.

- Piwnica atakuje bezpieczny dom CIA. - Ben był wyraźnie zaniepokojony. - To miejsce szkolenia grupy Arabów, którzy mieli infiltrować grupy terrorystyczne.

Cholerny zdrajca, pomyślał Pielgrzym. Czuł, jak przepelnia go nienawiść. Nie, zachowaj spokój, nakazał sobie w duchu.

- Ale nie wiem, gdzie jest ten dom...

- Nie martw się - powiedział Pielgrzym. - Jestem tu, Ben. Jezu, nieźle się spisałeś.

- Słuchaj. Chyba wiem, gdzie Hector ma swoją bazę. W magazynie przy lotnisku. - Podał Pielgrzymowi adres. - Vochek próbuje ostrzec CIA. Jadę tam, żeby sprawdzić, czy znajdę jakieś dowody przeciw niemu. Chcesz, żebym przyjechał ci pomóc?

- Poradzę sobie.

- Pielgrzym...

Ale Pielgrzym się rozłączył. Nie było o czym gadać ani czasu do stracenia. Cholera, Ben, dobrze się spisałeś. Przypomnił sobie, jak kiedyś powiedział Benowi: „Nie nadajesz się”. Mylił się.

Ja mam ratować CIA, toż to ironia. Muszę walczyć za Agencję, kiedy ona nie ruszyła nawet palcem, żeby odbić mnie z więzienia w Indonezji, chyba że zgodzę się wstąpić do ich tajnej grupy od brudnej roboty.

Koło wykonało pełny obrót. Nie tego się spodziewał. Pamiętał radość na twarzy ojczyma, kiedy ukończył szkołę, dumę, jaką odczuwał, gdy wstępował do Agencji, szok zmieszany z przerażeniem przy narodzinach córki, ciepło nowego życia trzymanego w rękach. Wtedy myślał, że jego życie potoczy się inaczej. Gdyby nie ściagał Gumalara, chcąc bronić własnej rodziny, gdyby nie chybił, strzelając do Smoka, gdyby nie dał się złapać policji...

Gdyby. Gdyby. Gdyby.

Koniec tych gdybań. Liczyła się tylko terazniejszość. Nie liczył na to, że wyjdzie z tej konfrontacji żywy.

Zaparkował na pustej działce i wysiadł z samochodu. Przeszedł dwa podwórka między domami i zobaczył ulicę, przy której wyburzono wszystkie budynki. Na dwóch posesjach wyrosła wysoka trawa; przemykał nisko przez zarośla.

Kilka działek dalej usłyszał metaliczny dźwięk. Zgasła latarnia, prawdopodobnie założona po huraganie. Zanim zgasło światło, zobaczył duży dom na sporym terenie, z nowo wybudowanym kamiennym murem, oddalony nieco od innych domów i działek.

Cel.

Zespół Piwnicy będzie szybki. Kryjówka prawdopodobnie miała wzmocnione drzwi i okna, ale oni wyłączą systemy alarmowe, wejdą i będą mordować, a po sześćdziesięciu sekundach wyjdą. W domu na pierwszym piętrze paliło się jedno przyciemnione światło, ktoś nie mógł spać albo stał na straży.

Podczas szkolenia nigdy nie spał dobrze; był zbyt chętny do nauki, do chłonięcia danych, technik i analiz. Natychmiast wyczuł bratnią duszę w tym nocnym marku.

Podszedł pospiesznie do vana. Przestrzelił zamek, szarpnął drzwi. W środku siedział mężczyzna ze słuchawkami na uszach; odwrócił się do niego. Sięgnął po broń, ale Pielgrzym uderzył go w brzuch. Mężczyzna padł, nie mógł złapać oddechu. Pielgrzym ostrożnie odłączył słuchawki i owinał kabel wokół szyi mężczyzny. Zacisnął go mocno, aż wpił się w ciało, potem poluzował nieco w akcie łaski, znowu zacisnął.

- Ilu atakuje? - spytał.

Facet szarpał się, więc Pielgrzym zacisnął kabel. Mężczyzna, cały posiniały, podniósł sześć palców. Hector i jeszcze pięciu agentów Piwnicy, nie licząc tego.

- Broń? Ładunki wybuchowe?
- Pistolety, noże. Nic ciężkiego. - Facet się krztusił.
- Jaki jest twój kod wywoławczy? Tylko nie kłam. Jak podam błędny i będę musiał uciekać, zabiję cię po drodze. Teraz ratujesz sobie życie. - Poluzował kabel na tyle, aby facet odpowiedział.

- Proste numery. Jestem Siódemka.
- Przy okazji, nie zabiłem Teach. Jak wyjdiesz z tego żywy, a ja nie, to zabij dla mnie Hectora. - Dwukrotnie uderzył głową mężczyzny o kant blatu, na którym stała z aparatura, i mężczyzna osunął się nieprzytomny.

Ubranie Pielgrzyma nie było przystosowane do nocnych eskapad - miał na sobie spodnie khaki i jasną koszulę. Nieprzytomny mężczyzna nosił czarny golf i czarne spodnie. Pielgrzym rozebrał go, strój był trochę przyciasny.

Zabrał też mężczyźnie pistolet i nóż, wyciągnął mu z ucha małą słuchawkę i wepchnął do swojego. Włączył ją i słuchał rozmów Piwnicy. Zespół szykował się do akcji. Jedynka i Dwójka wyłączyli alarm na ogrodzeniu i zbliżali się do domu, aby zająć się skrzynką z alarmem. To oznaczało, że dwóch z nich powinno być w pobliżu niskiego kamiennego muru, skąd obserwowała ich poczynania reszta zespołu, gotowa włączyć się do akcji, kiedy system alarmowy zostanie zdezaktywowany.

Przez chwilę Pielgrzym zastanawiał się, czy włączyć silnik vana, nacisnąć klakson i narobić hałasu, żeby ludzie w domu się obudzili. Ale to oznaczałoby odwrót i wszyscy rzuciliby się na niego. Mieli przewagę liczebną. A gdyby tak włączył się do rozmowy przez radio i poinformował wszystkich, że to Hector zabił Teach? Przypuszczalnie by mu nie uwierzyli. Zabił przecież dwóch agentów Piwnicy. Nie będzie im teraz tłumaczył, że w samoobronie.

Musiał działać inaczej.

Wydostał się z vana.

Był szczerze przekonany, że zginie. Sześciu na jednego, a jeżeli ktoś w kryjówce CIA był uzbrojony - a bez wątpienia był - też mógł go zastrzelić.

Rób co trzeba. Robił to od dziesięciu lat, a Ben powtarzał, że to dobrze. Ben należał do osób, które wiedziały, że brudną robotę czasem trzeba wykonać; dla takich ludzi wszystko było w porządku, dopóki nie mieli krwi na rękach. Wielu rozumowało w ten sposób. Lecz teraz Pielgrzym miał zamordować swoich kolegów.

Rób co trzeba.

Serce ciążyło mu niczym głaz.

Wśluchiwał się w ciszę. Nikt nic nie mówił, co oznaczało, że czekają na wyłączenie systemu alarmowego. Wypełził z vana - wszystkie latarnie były wyłączone. Na ulicy panowały ciemności, księżyc się schował.

Pielgrzym obliczył wielkość muru. Wysoki na metr pięćdziesiąt, szeroki na trzydzieści centymetrów. Zbliżył się do głównego podjazdu, zatrzymał trzy metry przed nim, nasłuchiwał. Po minucie usłyszał z lewej strony ledwo słyszalny szelest - ktoś stąpał po trawie.

Cofnął się, usłyszał szept, ktoś oznajmił, że już kończą rozbierać alarm. Podszedł do muru.

Pielgrzym praktycznie wylądował na jednym z nich, na kobiecie, wbił jej kolano w plecy i przygniótł do trawy. Był jeszcze mężczyzna, niski i mocno zbudowany. Pielgrzym schwycił go za głowę, uderzył nią o kamień trzy razy, brutalnie, łamiąc agentowi nos, kalecząc policzek i pozbawiając go przytomności; Pielgrzym puścił ciało. Uklęknął przy kobiecie. Była lekko oghuszona, więc uderzył ją otwartą dłonią w kark, żeby za prędko się nie ocknęła.

Wyciągnął im z uszu słuchawki. Trzech wyeliminowanych, zostało czterech.

- Piątka, Czwórka, zgłoście się - usłyszał baryton Hectora. Musiała go zaniepokoić szamotanina.

- Tu Siódemka - szepnął Pielgrzym do laryngofonu. - Widzę ich, wracają do wozu. Czwórka stuka w ucho.

Cisza, jakby oceniano jego szept.

- Powiedz im, kurwa, żeby tu zaraz wracali.

- Tak jest. - Pielgrzym, nisko pochylony, pobiegł szybko do kamiennej przybudówki, gdzie kończył się podjazd. Musiał zneutralizować zespół: jeszcze trzech agentów, dwóch pracujących przy alarmie.

Gdzie jest Hector?

- Odkryli nas - usłyszał kobiecy głos w słuchawce i tuż obok, a zaraz potem poczuł kopnięcie w pierś. Kobieta stała za przybudówką, a on nie zachował ostrożności. Jej cios zachwiał nim. Srebrny błysk pojawił się w słabej poświacie księżycy; miała nóż, broń palna obudziłaby wszystkich w do mu. Wzięła zamach i ostrze rozpruło czarny sweter i rozorało pierś. Ale odrobinę straciła równowagę, spróbowała wyprowadzić kolejne kopnięcie, tym razem na twarz. Złapał jej nogę wysoko i pchnął ją mocno na ścianę. Zapadła cisza, a potem głosy pozostałych wypełniły mu ucho.

Wiedzieli, że tu jest.

- Alarm rozbrojony - zameldował któryś z mężczyzn.

- Atakujemy - rozkazał Hector.

Następnym uderzeniem Pielgrzym złamał napastnicze rękę. Doszedł do wniosku, że lepsze to niż zabicie jej. Upuściła nóż, powstrzymując krzyk - twarda i dobrze wyszkolona, uważała, by nie zaalarmować celu. Uderzył ją dwukrotnie, mocno, z szacunkiem i żalem; upadła, może nie straciła przytomności, ale na pewno została wyeliminowana z dalszej walki.

Pozostało jeszcze dwóch agentów Piwnicy i Hector. Pielgrzym znajdował się przy bocznym ganek. Domyślał się, że atak rozpocznie się od tyłu, z dala od ulicy.

Usłyszał stłumiony odgłos strzału trafiającego w stal wzmocnionych drzwi. Okazja, by się wkraść, przepadła; spóźnił się. Włączył laryngofon.

- Hector zabił Teach. Nie ja. Zastrzelcie go. Zastrzelcie!

Brak odpowiedzi. Brak potwierdzenia. Padły dwa kolejne strzały.

- Nie atakujecie terrorystów. Atakujecie bezpieczny dom CIA. Hector to zdrajca - powiedział Pielgrzym i popędził biegiem. - Czterech zdjętych, wszyscy żyją. Nie kłamie. Zrezygnujcie.

Nic. Ignorowali go albo Hector zerwał połączenie. Widział ruch w oknach.

Hector i ludzie Piwnicy byli już w środku.

Wiedzieli o jego obecności; jeden będzie stać przy drzwiach i czekać na niego, a pozostali będą zabijać. Drzwi stanowiły pułapkę. Wystrzelił więc w tylne okna; kule uderzyły o zbrojone szkło. Popędził schodami na ganek. Ci w środku pomyślał, że jest głupi, chce roztrzaskać szybę ogniem z pistoletu i wskoczyć przez okno. Nie przestawał strzelać w szybę, ale w ostatniej chwili rzucił się do drzwi.

Fortel zadziałał. Pielgrzym upadł na podłogę, przetoczył się z korytarza do jadalni, strzelając z pistoletu, i trafił w kolano jednego z agentów Piwnicy, który czekał na niego blisko okna; agent odpowiedział ogniem, kula wbiła się w ramię Pielgrzyma. Szybko przeturlał się pod stół, wystrzelił ponownie, krzycząc bez zastanowienia: CIA! CIA!

Kiedyś był w CIA, w gruncie rzeczy zawsze będzie.

Kula trafiła w stół, pod którym się ukrywał, wystrzelono ją z lewej strony. Na podłodze w kuchni widział jedno ciało,

T-shirt i spodnie od piżamy. Już zabili jednego. Postrzelił agenta stojącego najbliżej okna w nogę i ten pokuśtykał do kuchni.

W holu zaczął dzwonić telefon. Dzięki, Vocek, przyciągnęłaś ich uwagę. Za późno.

Drugi agent Piwnicy także wycofał się do kuchni, strzelając do Pielgrzyma pod niewygodnym kątem i unieruchamiając go pod stołem. Kule trzaskały o sosnowe krzesła.

- Przerwać ogień! - Pielgrzym krzyknął w przerwie między strzałami. - Hector zabił Teach!

Cisza. Przerwa się przedłużała, więc zaryzykował ucieczkę spod stołu na korytarz.

Kiedy biegł, zapaliło się światło.

Pielgrzym zobaczył na schodach młodego mężczyznę w okularach o czarnych włosach i ustach wykrzywionych z przerażenia, z glockiem w drżącej dłoni. Hector kucał w dole schodów, celując w młodzieńca.

Pielgrzym strzelił i kula trafiła w pistolet Hectora, wytrącając mu go z ręki. Hector zatoczył się do pokoju za schodami. Pielgrzym strzelał, aż trafił go między kark a ramię, lecz Hector nie zatrzymał się i wypadł na dwór.

Młody Arab skierował broń na Pielgrzyma i strzelał w panice na oślep.

Pielgrzym wycofał się korytarzem i wyszedł tylnymi drzwiami. Pozostali dwaj agenci Piwnicy uciekli z kuchni i biegli teraz przez podwórko.

Pielgrzym skoczył na trawę, obiegł dom i skierował się w stronę kamiennego muru.

Z górnych okien otwarto ogień. Grupa CIA się obudziła. Kule orały trawnik wokół jego nóg. Strzelali do niego po ciemku, wzięwszy go za wroga.

W nagłym strumieniu światła z reflektorów vana Pielgrzym zobaczył, jak Hector wspina się na mur.

W domu zrobiło się jasno na górze i na dole.

Pielgrzym dopadł do ogrodzenia, przeskoczył je. Ramię bolało koszmarnie. Van Piwnicy ożył i w światłach padających z domu Pielgrzym zobaczył, że za kierownicą siedzi technik, nie Hector; zwolnił na tyle, aby kobieta ze złamaną ręką wgramoliła się do środka.

Gdzie Hector?

Van na pełnym gazie sunął na Pielgrzyma, który uskoczył w zarośla; jakaś kula przeleciała mu obok głowy. Pochylił się i pobiegł, a van przyspieszył i znikł.

Cztery posesje dalej włączono silnik samochodu, stojącego na spękany podjeździe, przed którym brakowało domu. Światła się jednak nie zapaliły.

Hector. Pielgrzym obrócił się i pobiegł przez podwórka, puste działki, podciągnął się na płot i dotarł do swojego wozu.

Wypadł z rykiem silnika na West End i zobaczył w oddali samochód Hectora, który skręcił w Veterans Boulevard, kierując się na zachód. Włączył reflektory. Pielgrzym po pewnym czasie nabrał przekonania, że Hector nie jedzie do kryjówki Piwnicy w Metairie, ale dalej na zachód, na lotnisko.

Tam gdzie ma swoją melinę.

Uciekaj, żaloszny skurwielu, pomyślał Pielgrzym. Ramię go bolało. Kierował łokciem, jedną ręką przeskakał listę numerów i znalazł numer do skradzionej komórki Bena; wybrał go.

Nie odbierał.

Uciekaj, żaloszny skurwielu, pomyślał. Uciekaj, a Ben i ja i tak cię zabijemy.

Ben skręcił w ciemną ulicę nieopodal lotniska imienia Louisa Armstronga. Po obu stronach ciągnęły się magazyny i składnice z ciemnymi, pustymi stróżówkami. Jednak drewniany szlaban był opuszczony. Zauważył przy nim czytnik kart. Spróbował użyć karty, którą zabrał Jackiemu, i szlaban się podniósł. Ben ruszył dalej.

Gdzieś na parkingach przed różnymi magazynami - były przynajmniej cztery duże - stały samochody. Ten, do którego zmierzał, oznaczony literą B, spowijały ciemności, w pobliżu nie parkowały żadne pojazdy. Zaparkował samochód Jackiego obok drzwi - niech Hector zobaczy, że Jackie wrócił cały i zdrowy. Napis na drzwiach oznajmiał, że było to „MLS Limited”. Nazwa jednej z firm fasadowych używanych przez Hector Global; musiał wynająć lokal na własne nazwisko, nie na Hector Global. Ben wypróbował dwa klucze, które zabrał Jackiemu. Drugi pasował. Serce mu podchodziło do gardła, kiedy otwierał drzwi.

Ciemno. Zamknął za sobą drzwi na klucz. Cicho kliknęły. W rękę trzymał pistolet. Nawet gdyby teraz zginął, Vocek

miała już wystarczająco dużo dowodów, aby postawić zarzuty Hectorowi. Nie zamierzał jednak czekać na lawę przysięgłych, prawników i rozprawy, aby pomścić Emily.

Zrobił niepewnie krok w ciemnościach, wyciągnął przed siebie rękę. Dotknął ściany, natrafił na zawias i framugę. Wszedł do ciemnego korytarza, gdzie strużka światła obrysowywała wielkie, podwójne drzwi. Skierował się do nich, serce waliło mu tak głośno, że niemal słyszał echo odbijające się od ścian.

Znalazł włącznik światła, nacisnął go. Ponownie spróbował użyć komórki pilota - bateria całkowicie padła. Bezużyteczna. Zamknął telefon i zaczął badać wnętrze.

Połowę magazynu stanowił labirynt sześcianów, najwyraźniej wrzuconych pospiesznie; w drugiej połowie nie było nic. Większość boksów była pusta, nie dostrzegł komputera czy choćby krzesła. Poszedł do największego biura, domyślając się, że należy do ważniejszego urzędnika. Drzwi wyważył gaśnicą.

Laptop w środku nie był zabezpieczony hasłem. Ben zaczął przeszukiwać katalogi plików w sieci.

Większość interesów MLS wydawała się powiązana z kontraktami na odbudowę budynków rządowych w Nowym Orleanie i w obrębie ujścia Missisipi. Nic ciekawego.

Poszukał nazwiska „Reynolds”. Znalazł arkusze kalkulacyjne z płatnościami za miesiące pracy nad oprogramowaniem. Podniósł słuchawkę telefonu, zadzwonił do hotelu Marquis de Lafayette, poprosił o połączenie z apartamentem 1201.

- Vocek?
- Mój Boże, Ben, gdzie jesteś, do diabła? - Najwyraźniej była wściekła.

Podał jej adres.

- Znalazłem zapisy Hectora na pokrycie badań Reynoldsa. Finansował sporo rzeczy poprzez jedną z fikcyjnych

firm. Powinnaś tu przyjechać. - Powtórzył adres i Vocek się rozłączyła.

Co jeszcze tu było? Pomyślał o tym, co znalazł na temat MLS, kiedy przeszukiwał bazy biznesowe w barze. Blarney's został założony zaraz po śmierci Emily. Otworzył skrzynkę pocztową, szukał e-maili od Hectora z okresu, kiedy zakładano firmę. Znalazł kilka, przeczytał. Jeden zawierał arkusz kalkulacyjny od Hectora z notatką: „To są płatności do realizacji, proszę ich dokonać elektronicznie”. Kliknął na plik.

Była to lista transakcji na usługi świadczone i pobierane z okresu dwóch tygodni. Jedna z transakcji była wyznaczona na dzień po śmierci Emily. Przeczytał notatkę: „Zaliczka, podróż (dwa połączenia, DFW), premia za prowadzenie agencji, premia za realizację”.

Był zaskoczony. „Premia za realizację”. Nie. Kliknął, by sprawdzić, na kogo dokonano przelewu.

Poczuł ściskanie w gardle.

Drzwi otworzyły się i zatrasnęły. Usłyszał nierówne kroki na betonie.

- Jackie! Jackie, cholera, trafili mnie... musimy wiać.

Ben wstał. Hector opierał się o odległą ścianę. Ściągał czarną skórzaną kurtkę; plecy miał mokre od krwi, z trudem chwycił powietrze.

- Jackiego tu nie ma. - Ben wycelował w Hectora. Nie mówił swoim głosem. Był chłodny, opanowany. Jakby wściekłość osiągnęła poziom, który nie wymaga już podniesionego tonu ani krzyku.

Teraz należało tylko dokończyć dzieła.

- Ben. - Hector uniósł pistolet i nacisnął spust. Nic. Hector zamknął oczy. - I tak jest zepsuty. - Rzucił pistolet.

Uśmiechał się ponuro, jakby nie potrzebował broni. Benowi przeszły ciarki po plecach.

- Nawet ja teraz wiem, że trzeba liczyć kule - powiedział Ben. Zostały mu dwie. Sprawdził magazynek wcześniej.

- Ben. Obaj mamy kłopoty. Ale nie musimy...

- Nigdy nie byłeś negocjatorem, ja nim byłem. Nie namówisz mnie, Sam, powiedz mi tylko to, co chcę wiedzieć.

Sam Hector, nawet gdy do niego celowano z broni, nie przejmował się rozkazami. Na jego twarzy ciągle malowała się pogardliwa mina.

- Ben, posłuchaj mnie...

- Nie. Powiedz mi, gdzie jest Pielgrzym.

Hector stał pod ścianą.

- Podziurawiony kulami CIA. Martwy. Ale ty nie musisz tak skończyć. CIA też będzie chciała twojej śmierci, Ben. Mogę cię uratować. Zawrzyjmy umowę...

- Nie, nie możemy. Jesteś żalosnym mordercą i oddam cię Departamentowi. Agentka Vocek zrobi karierę, pogrążając cię.

- Nie bądź taki pewien...

- Jackie chybił, Vocek go zabiła.

Ben nieomal słyszał, jak trybiki przeskakują w głowie Hectora.

- Słuchaj, Ben, ile praw pogwałciłeś w tej szaleńczej gonitwie? Dziesiątki. Będziesz potrzebował pomocy, mogę ją zapewnić. - Mówił wolno, jakby z każdym słowem chciał wzmocnić siłę przekazu...

W przeciwnym końcu magazynu roztrzaskało się okno.

- Nie mówiłeś mi, że zamordowałeś Emily - powiedział Ben. - Musiała odkryć liczne firmy, które zakładałeś. Nie chciałeś, aby kojarzono je z Hector Global. Więc mogłeś wydawać pieniądze na brudną robotę. - Usłyszał za sobą

kroki. - Wyjaśnisz mi coś. Znalazłem płatność na finansową przykrywkę Piwnicy, Sparta Consulting, od jednej z twoich fałszywych firm dzień po śmierci...

- Ben?

Wszedł Pielgrzym. Miał zakrwawione ramię. Wtoczył się do magazynu. Podszedł do Bena, był metr od niego. Celował do Hectora.

- Powstrzymałeś atak? - spytał twardo Ben.

- Tak. Mógłbyś zastrzelić tego skurwiela? Wtedy może znowu mnie posklejasz. - Pielgrzym się zatoczył.

- Zastrzełę. Kiedy powiesz mi, kto zabił Emily.

- Hector... - odparł Pielgrzym.

- Nie. - Ben potrząsnął głową. - Kumple Hectora w CIA chcieli jej śmierci, bo fikcyjne firmy, które Hector pozakładał, stworzył dla nich i ona je odkryła. Brudną robotę zlecili Teach. Znalazłem płatność. Muszę wiedzieć, kto z Piwnicy ją zabił.

- Maui - odezwał się Hector. - Dwa lata temu. Pojedynczy strzał przez okno w kuchni. Mam zdjęcia, które dostałem od przyjaciela z CIA.

Twarz Pielgrzyma, blada z utraty krwi, przybrała kolor kości.

- Co?

- Kto ją zabił, Pielgrzym? - pytał Ben.

- Ben, nie wiem...

- Chyba jednak wiesz - rzekł Hector. - Lot przez Dallas na płatne zlecenie, Ben. Chyba wiesz, kto lubi latać przez Dallas, zobaczyć córkę, jak ma okazję.

W oczach Bena pojawiło się szaleństwo, pistolet w jego ręku drżał. Cisza w magazynie była upiorna, przygniatająca.

- Ben... - zaczął Pielgrzym. - Maui?

- Czy zabiłeś kobietę na Maui przed dwoma laty? - wyszeptał Ben. - Odpowiedz.

Pielgrzym otworzył i zamknął usta.

- Teach zrobiła dla mnie listę wszystkich zadań. Wtedy dowiedziałem się, że Emily to robota Piwnicy - powiedział Hector. - Nie zlecałem jej śmierci, Ben, moi przyjaciele z CIA to zrobili. Wysyłają najlepszych, aby dokonali najgorszego.

W mieszkaniu w Dallas Hector zaczął mówić o Emily i wtedy Teach się na niego rzuciła... zanim dokończył.

Ben zamknął oczy, zaledwie na pół sekundy, i skierował pistolet na Pielgrzyma.

- Rzuć broń. Pod ścianę. Razem z nim. Już!

- Ben, ja... - Pielgrzym zamilkł. Rzucił pistolet, podniósł rękę do głowy.

Hector przemówił cicho, a dla Bena było to jak łamanie kości.

- Jeden z kolegów powiedział Teach, że Emily sprzedaje tajemnice do Chin; że na Maui ma spotkać się z chińskim agentem, aby przekazać mu tajemnice Agencji, które zdobyła poprzez moje kontakty. Trzeba ją było usunąć.

- Czy to prawda?! - krzyknął Ben. Pamiętał litanię grzechów Pielgrzyma: „Dwa razy zabiłem tych, którzy sprzedawali tajemnice Chińczykom”.

Pielgrzym podniósł wzrok i napotkał jego spojrzenie.

- Tak, Ben. Tak... zabiłem ją.

Ben myślał, że głowa mu pęknie.

- Ty... ty...

- Nie miałem pojęcia - mówił Pielgrzym. - Dali mi adres i jej opis. Nic poza tym.

- On pociągnął za spust, Ben, tylko to się liczy - powiedział Hector.

Pielgrzym przełknął ślinę, próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał, wreszcie wykrztusił:

- Kazali mi czekać na telefon. To miał być sygnał do działania.

Musisz go zabić, pomyślał Ben.

- Ben - odezwał się Hector - twoja jedyna nadzieja to układ ze mną. Jakiej chcesz rekompensaty? Dostaniesz ją. Zabicie mnie nie przywróci życia Emily. Może ci grozić wyrok. Mam kumpli w administracji, którzy cię ułaskawią. Mam władzę, mogę cię uratować, on nie ma nic. Po prostu musisz milczeć.

- Ty milcz - rozkazał Ben. Nie spuszczał wzroku z Pielgrzymą.

- Mam czyste ręce, on ma zakrwawione.

- Ben, zrób co trzeba - szepnął Pielgrzym.

Słowo „trzeba” paliło Benowi mózg niczym rozgrzane żelazo. „Robisz co trzeba”, zapewniał Pielgrzymą więcej niż raz w ciągu ostatnich kilku dni. Bolała go pierś.

Ben wycelował pistolet w Pielgrzymą, opanował drżenie.

- Zastrzeliłeś moją żonę - rzekł lodowato.

Pielgrzym powoli skinął głową, jakby już miał stryzyk na szyi. Zamknął oczy, poruszał ustami.

- Ben, strzelaj - podpowiadał Hector. - Nic nie przywróci życia Emily. Ale możesz go zabić. Zastrzel go, zostaniesz bohaterem. Zabijesz łajdaka z CIA. Rząd oczyści cię z wszelkich zarzutów.

Pielgrzym zrobił z palców kwadrat nad sercem.

- Kiepsko celujesz. Traf tutaj w środek i po wszystkim.

Ben strzelił. Kula trafiła idealnie w pierś, a Hector podskoczył i jęknął, widząc rosnącą plamę krwi na koszuli.

- Pielgrzym ją zabił - powiedział Ben - ale ty wydałeś rozkaz.

Hector osunął się na podłogę, z zaskoczonym wyrazem twarzy, zacharczał i skonał.

Ben ponownie skierował pistolet na Pielgrzyma, który wciąż pokazywał najlepsze miejsce dla kuli.

Został jeden nabój. Ben zacisnął rękę na kolbie. Decyduj.

- Opuść ręce - polecił Ben. - Nie zabiję cię. Okłamali cię na jej temat.

Pielgrzym opuścił ręce. Zrobił krok w stronę Bena.

- Tak mi przykro. Jesteś moim przyjacielem.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece. - Pistolet drżał w dłoni Bena. Wtedy opuścił go i odwrócił się plecami do Pielgrzyma.

- Ben...

- Idź do diabła, zostaw mnie. Proszę. Idź.

Wyłamano drzwi. Do sali wbiegła Vocek razem z czterema uzbrojonymi ludźmi w kurtkach Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Ben i Pielgrzym zamarli dwa metry od siebie. Pistolety wymierzono w Bena, gdyż tylko on trzymał broń.

- Ben, rzuć pistolet - rozkazała Vocek.

Posłuchał. Pistolet stuknął o beton.

- Odsuń się - rozkazał jeden z mężczyzn i Ben cofnął się o krok.

- Pielgrzym, na ziemię, już - poleciła Vocek.

Pielgrzym się nie ruszył. Ignorował mężczyzn i Vocek.

- Myślałem, że wygraliśmy. Myślałem, że w końcu wygraliśmy... Ben, ile zostało kul?

- Jedna - odpowiedział Ben. - Ale nie...

- Zamknij się i na ziemię! - wrzasnął jeden z agentów.

Pielgrzym spojrzał Benowi prosto w oczy.

- Trzeba - powiedział i rzucił się w stronę pistoletu Bena. Jego palce zamknęły się na nim, uniosły broń z podłogi.

Padły strzały, które odbiły się echem w magazynie. Pielgrzym padł na ścianę i osunął się po niej, rozmazując krew na szarym betonie.

Ben chwycił go i podtrzymał. Pielgrzym skonał mu na rękach.

Raport Chalida - Wirginia

Nie poproszono mnie, abym zapisał własne myśli w raporcie z czterech miesięcy, od ataku na dom w Nowym Orleanie. Może już czas, żeby faceci z Langley przeprowadzili kolejną analizę mojego pisma. Sprawdź, czy straciłem ochotę na tę pracę.

Z początku, kiedy zorientowałem się, że włamano się do domu - myślałem, że to próba. Potem ogień stał się nazbyt realny. Zbiegłem na dół i zobaczyłem starszego człowieka, uniósł pistolet w moją stronę, a ja idiotycznie znieruchomiałem. Nigdy już nie popełnię tego błędu. Wtedy drugi mężczyzna trafił tamtego, a ja otworzyłem ogień do tego drugiego, bo byłem śmiertelnie przerażony.

Ten, który mnie uratował - nigdy nie zapomnę jego twarzy. Malowała się na niej determinacja, odwaga i twardość. Taką twarz chcę mieć, gdy będę w akcji.

Nie byłem pewien, czy pozwolą nam wykonać naszą robotę - bałem się, że zostaniemy skompromitowani, a nasze nazwiska odkryte i przekazane grupom terrorystycznym, które mamy infiltrować. Ale wtedy przekonano nas, że wszyscy, którzy poznali nasze nazwiska, nie żyją.

Ludzie, którzy nas zaatakowali, zostali wprowadzeni w błąd. Nie wiem, co stało się z tymi napastnikami, którzy uciekli; tego ranka przeniesiono nas do innego domu, tego w Atlancie. Tam czekaliśmy, by poznać nasz los.

Teraz wróciłem z krótką wizytą. Rywale Krwi Ognia, szumowiny, które zapłaciły Chalidowi Muradowi, aby wysadził w powietrze moich braci, mają komórki na terenie całej Europy. Infiltrowałem taką komórkę w Paryżu - przyszło mi to bez trudu, gdyż tamci wiedzą, że moich braci zabili Izraelczycy i Amerykanie, że nawróciłem się na ich sprawę i mam motyw. Ta komórka jest przekonana, że wykonuję ich brudną robotę, wyszukując miejsca do podłożenia bomby; chcą rozpocząć nową falę ataków terrorystycznych na banki i giełdy w Ameryce, Arabii Saudyjskiej, Jordanii i Francji, aby osłabić gospodarkę, rozerwać sojusze. Wkrótce pewnie otrzymam szczegóły i jeżeli wykonam moją pracę należycie, już więcej nie dojdzie do ataków, a sieć komórek od Paryża po Nowy Jork i dalej zostanie zdemaskowana i zniszczona.

Niewinne rodziny nie będą musiały więcej cierpieć. To mnie napędza, trzyma przy życiu, dopóki nie spełnię zadania.

Mówią mi, że jeśli moja kryjówka i nazwisko zostaną odkryte, dadzą mi nowe życie, ochronią mnie. Niewykluczone. Może po prostu wyślą mnie do pracy gdzie indziej. To dobre, bo jak już raz zaczniesz takie życie, trudno prowadzić inne.

Muszę wracać do pracy. Pamiętam twarz tamtego mężczyzny i mam nadzieję, że też będę nosił taką maskę siły i determinacji.

Miesiąc po wydarzeniach w Nowym Orleanie Ben Forsberg siedział na ławce w parku w cieniu sosen w Tyler, w Teksasie. Czekał na dziewczynkę i jej matkę, aż będą obok przechodzić; śledził je od kilku dni, ostrożnie, aby go nie zauważyły. Czekał na właściwy moment, aby się przywitać.

We wschodnim Teksasie lato było w pełni, w brutalnym rozkwicie, a wilgoć i żar nie znały litości. Lecz umiarkowany wiatr, to przybierający na sile, to znów słabnący, przynosił odrobinę ulgi. W parku było tłoczno. Psy spacerowały obok swoich właścicieli, chłopcy rzucali frisbee, w cieniu urządzano pikniki, pary przechadzały się pod drzewami.

Wtedy pojawiła się matka i córka, niosły latawiec i śmiały się.

Podszedł i zatrzymał się przed nimi.

- Pani Choate?

Kobieta zamarła i potrzebowała dobrych pięciu sekund, by odpowiedzieć.

- Hm, kiedyś nią byłam. Teraz nazywam się Kimberly Dawson.

Dziewczynka mu się przyglądała.

Ben przywołał niezadarny uśmiech.

- Nazywam się Ben Forsberg. Znałem pani męża w Indonezji.

- O mój Boże! - zawołała kobieta.

- To, co o nim mówiono, to nieprawda. Nie przemycił narkotyków. Został wrobiony. Pomyślałem, że powinna pani poznać prawdę.

Milczały. Nastolatka drżała, jakby chciała odwrócić się i uciec.

- Czy to kiepski żart? - zapytała pani Dawson. - Wcale nie jest śmieszny...

- To nie żart. Proszę dać mi minutę. Tamara, jesteś podobna do taty.

- Wiem - odpowiedziała dziewczynka. - Widziałam zdjęcia.

Pani Dawson zbliżyła się do córki.

- Chciał pan czegoś, panie Forsberg? - Przytuliła córkę jakby dla ochrony, jakby nie była zadowolona, że przeszłość upomniała się o nie w słoneczny, idealny dzień.

- Pomyślałem, że może Tamara chciałaby mieć pamiętkę po ojcu. - Wręczył dziewczynce mały czarny szkicownik. W dolnym prawym narożniku widniała dziura. - Przepraszam, że zniszczony.

Tamara otworzyła notes i zaparło jej dech w piersiach na widok samej siebie, od niemowlęctwa aż do teraz, jej twarz uchwycona w najdrobniejszych szczegółach. Zasłoniła dłonią usta.

- Skąd wiedział, co bym chciała? - Tamara przerzucała kartki. - Mój Boże, mamo, te rysunki są niesamowite... - Zatrzymała się na rysunku, na którym siedzi na ławce w parku, w chłodnym cieniu sosen. Spojrzała na kartkę, a potem podniosła wzrok na park dookoła, jakby nie dowierzając.

Zrozumiała, co oznacza ten rysunek; spojrziała na wzgórze, na miejsce, z którego musiał obserwować ją ojciec.

- Dobra wyobraźnia - rzekła pani Dawson dość chłodno. - Pracuje pan dla firmy mojego zmarłego męża?

Wyczuł, że wiedziała coś o jego pracy dla CIA.

- Nie... byłem tylko przyjacielem. - Pochylił się nad dziewczynką. - Tamaro, nie znałem twojego taty długo, ale wiem, że bardzo cię kochał. Widać to po tych rysunkach. I wiem, że zawsze chciał postępować słusznie. Wiem... bardzo chciałby spędzić z tobą życie. Naprawdę życzylibym mu tego. Wszystko byłoby inne. - Wszystko. Życie Pielgrzyma, życie Bena.

Tamara zamknęła notes, zacisnęła go w dłoni. Była zbyt oszołomiona, aby uśmiechnąć się lub płakać.

- Dziękuję.

- Proszę - powiedział Ben i odszedł. Opuścił cień sosen i znalazł się w jaskrawym słońcu. Wszystko zaczynało się od początku.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję Benowi Sevierowi, Brianowi Tarcie, Ericie Imranyi i wszystkim w Dutton; Davidowi Shelleyowi, Ursuli Mackenzie, Thalii Proctor, Nathalie Morse i wszystkim w Little, Brown UK; Karze Welsh, Kristen Weber i wszystkim w NAL; Peterowi Ginsbergowi, Shirley Stewart, Holly Frederick, Dave'owi Barborze i Nathanowi Bransfordowi; Joyce i Alowi Preisserom; Madenrze James; doktorowi Philowi Huntowi i Charlyne Cooper.

Specjalne podziękowania dla Christine Wiltz, cudownej pisarki i przewodniczki po Nowym Orleanie, oraz dla mojej matki, Elizabeth Norrid, mojej przewodniczki po przedmieściach Dallas.

I zawsze z całego serca dziękuję Lesliemu, Charlesowi i Williamowi.